

ELIZABETH
ADLER

Podróż na Capri



Elizabeth Adler

Podróż na Capri

Część I

Tajemnicza historia zaczyna się
w Sneadley Hali, w Yorkshire w
Anglii

Żaden człowiek nie jest dość bogaty, by kupić własną przeszłość

Oscar Wilde

Rozdział I

Daisy Keane

Prószy śnieg. Wielkie białe śnieżynki osiadają na moich rudych włosach diadem księżniczki, pozostają tak przez całą minutę, a potem topnieją i spływają mi po karku lodowatymi kroplami. Moja matka, która miała bzika na punkcie odpowiedniego zachowania, powiedziałaaby, że sama sobie jestem winna - trzeba było założyć kapelusz na pogrzeb, przez szacunek dla zmarłego. Oczywiście miałaby rację, ale nie mam kapelusza nadającego się na pogrzeb, więc postanowiłam się obejść bez niego.

Stoję w tłumie żałobników nad grobem Roberta Waldo Hardwicka, magnata finansowego, twórcy i marnotrawcy niejednej fortuny i dumnego posiadacza tytułu szlacheckiego, nadanego przez Jej Królewską Wysokość i zapewniającego mu po wieki wieków -jak sądzę - miano sir Roberta Hardwicka.

Uroczystość odbywa się w wiosce Lower Sneadley, w Yorkshire w Anglii. Tuż obok wznosi się gotycki kamienny kościół. Jest lodowate kwietniowe popołudnie; wiatr śmiga po Górach Pennińskich i mrozi krew tym z nas, którzy wciąż są wśród żywych. Tak nam się przynajmniej wydaje, bo zdążyliśmy już kompletnie zdrętwieć. Nawet pies Boba, mały, przysadzisty Jack Russell, siedzący obok mnie na smyczy, wydaje się zamrożony na sople. Nie mruga, gapi się tylko w dziurę w ziemi.

Współczuję serdecznie jemu i biednym siostronom Bronte, które mieszkały na lodowatej plebanii w bardzo podobnej wiosce. Kiedy myślę, jak spędzały zimne

noce przy świecach, kiedy wyobrażam sobie ich przemarznięte, spierzchnięte dłonie w mitenkach, pospiesznie zapisujące fantazje, które stały się sławnymi powieściami, mogę tylko podziwiać ich wytrwałość.

Patrząc na grupkę żałobników, wiem, że większość z nich zadaje sobie pytanie, co ja, Daisy Keane, trzydziestodwuletnia Amerykanka, robię na pogrzebie milionera z Yorkshire? Czuję ich ciekawskie, ukradkowe spojrzenia, ale twardo wbijam wzrok w okrytą aksamitem trumnę sir Roberta. Udaję, że słucham przemyśleń i modlitw pastora. Dlaczego, pytam w duchu, pastor nie mógł załatwić tego wszystkiego w swoim równie lodowatym kościele? Czy nie zauważył, że rozpełtała się wiosenna śnieżycy i że za chwilę zamrzniemy?

Czuję, że łzy płyną mi po policzkach. Jestem tak zmarznięta, że na chwilę zapomniałam, dlaczego tu jestem. I nie, wcale nie chodzi o pieniądze Boba. Nie boję się zarabiać na życie i nie potrzebuję jałmużny od bogaczy. Dokładnie to samo powiedziałam Robertowi Hardwickowi, kiedy się poznaliśmy, chociaż wtedy trochę minęłam się z prawdą.

To było na przyjęciu - na jednej z tych imprez dla ludzi z wyższych sfer, gdzie wszyscy znają wszystkich. Z wyjątkiem mnie. Ja nie znałam nikogo. A co więcej, rozglądając się wokół, nie byłam pewna, czy w ogóle chcę ich znać. Mężczyźni nosili garnitury z Savile Row i mieli włosy ulizane do tyłu - na tę brytyjską modłę chłopców z dobrych starych szkół - byli bogaci i dyskutowali o interesach, które miały wzbogacić ich jeszcze bardziej. A podstarzałe kobiety, usiłujące wyglądać na młodsze, wystrojone w zbyt seksowne kiecki od Cavallego i Versace, zapamiętałe plotkowały o przyjaciółkach nieobecnych na przyjęciu.

Suki, pomyślałam, biorąc z tacy kolejny kieliszek obrzydliwego białego wina i dziwną kanapeczkę - maleńki strączek grochu napełniony czymś, co wyglądało na brązowe mięso kraba. Chociaż umierałam z głodu, powąchałam ją podejrzliwie.

- To curry. - Głos rozległ się zza mojego lewego ramienia. - I nie polecam.

Obróciłam się za szybko, wychlapując wino na jednego z największych i najbrzydszych mężczyzn, jakich w życiu widziałam. Próbowaliśmy wytrzeć ciemną, prążkowaną marynarkę koktajlową serwetką. Bez większego efektu.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam.

- Przestraszyłem panią, to moja wina.

- Skąd pan wie, że to nie jest smaczne?

Posłał mi spojrzenie pod tytułem: „Och, no co ty, dziewczyno”.

- Bo spróbowałam. - W jego głębokim głosie zabrzmiała irytacja. Najwyraźniej pytanie wydało mu się idiotyczne.

- Niepotrzebnie pytałam, ale proszę to złożyć na karb towarzystwa. Niech pan na nich spojrzy. Wszyscy gadają o pieniądzach i seksie. O tym, kto je ma lub będzie miał.

Jego bladoniebieskie oczy połyskiwały zimno pod siwymi brwiami. Chyba nie przypadł mu do gustu ten komentarz prostej Amerykanki. A może po prostu nie przepadał za rudzielcami.

- A dlaczego pani nie rozmawia o pieniądzach? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Mam tyle, ile trzeba. Niezbyt dużo, ale nie potrzebuję więcej. - Oczywiście kłamałam. Miałam dokładnie pięćset dolarów i byłam bez pracy. Właśnie dlatego znalazłam się na tym przyjęciu; szukałam okazji - choć nawet ja sama nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, jaką pracę mogłaby tu znaleźć rozwiedziona kura domowa z amerykańskiego przedmieścia, z dyplomem college'u.

Znów spojrzeliśmy na siebie w milczeniu.

- No dobrze, więc dlaczego nie rozmawia pani o seksie? - zapytał w końcu.

Posłałam mu chłodne spojrzenie.

- Ta sama odpowiedź.

Uśmiechnął się chłodno.

- Więc mężczy się pani na tej imprezie tak samo jak ja? - Miał akcent, którego nie potrafiłam określić, lekko beatlesowski, ale nie do końca, z mniej dźwięcznym „a” i ostrzejszą intonacją.

- Zauważył pan to?

- Więc co właściwie pani tu robi?

Wzruszyłam ramionami.

- Znajomy dał mi zaproszenie. Sam nie mógł przyjść. Redaguję kolumnę z ploteczkami - skłamałam szybko. - W amerykańskim tygodniku „Tacy, jak My”. Zna pan?

- Nie, dzięki Bogu.

Uśmiechnęłam się. Pewnie zbyt często - jak na swój gust - był ofiarą takich dziennikarzy. Ja jednak nie mogłam go skojarzyć. To był dla mnie nowy teren, nie wiedziałam jeszcze, kto jest kim na angielskich salonach. Widziałam tylko, że to twardy, bezkompromisowy facet.

- Znalazła się pani w nieodpowiednim miejscu - oznajmił stanowczo z tym swoim kosmicznym akcentem. - Ci ludzie mają w nosie amerykańskie tygodniki. Żyją we własnym, hermetycznym światku. Dla nich wszystko inne jest drugiej kategorii.

Zabrzmiało to trochę jak skarga uczniaka, wykluczonego ze szkolnej paczki. Spojrzałam na niego z zaciekawieniem. Miał blisko dwa metry wzrostu,

był masywny jak niedźwiedź, zwałisty, ale nie gruby. Założył doskonale skrojony, ale bardzo pognieciony garnitur. Na oko tuż po sześćdziesiątce, gładko ogolony, miał krzaczaste brwi, szeroki nos, cienkie wargi, czerwona-wą cerę i najgorszą fryzurę, jaką w życiu widziałam. Jego włosy wyglądały jak gęsty, szary, splątany mop. Byłam pewna, że żaden fryzjer nie tykał ich od lat, i założyłabym się, że facet strzygł się sam. Przypominał ogra. Jego ogromna dłoń ścisnęła kieliszek wina, a blade, lodowate oczy oglądały mnie uważnie - od długich, rudych włosów po szpilki z czubatymi noskami zapinane na pasek w kostce. Ocenia moją wartość rynkową, pomyślałam zirytowana.

- Jestem Bob Hardwick.

Umilkł, jakby czekał na moją reakcję. Ucisnęłam mu dłoń, ale zachowałam spokój. Oczywiście wiedziałam, kim był. Bezczelnym, biednym i niewykształconym chłopakiem z Yorkshire, który za sznurowadła wyciągnął się z błota, by zostać sławnym na cały świat potentatem finansowym. Nie chwaliłam się tą wiedzą.

- Co pani na to, żebyśmy stąd wyszli? Postawię pani kolację - powiedział nagle.

Jeśli miał nadzieję na tani podryw, to źle mnie ocenił. Posłałam mu obojętne spojrzenie spod rzęs, które tak doskonale wypraktykowałam na mężczyznach przez ostatni rok.

- Nikt nie musi stawiać mi kolacji - odparłam.

- Świetnie. Więc pani płaci. No już, chodźmy stąd. - Zanim się obejrzałam, trzymał mnie za łokieć i prowadził do drzwi.

Rozdział 2

Daisy

Tuż przed wejściem stał zaparkowany stalowoszary bentley. Ku mojemu zaskoczeniu nie było w nim szofera. Zamiast niego na fotelu kierowcy siedział pies - pulchny Jack Russell, biały z brązową łatką na oku i ze szczeniastym podbródkiem.

- To jest Rats - powiedział sir Robert, odpychając psa na bok. Rats przeskoczył na moje kolana, choć z pewnością nie szukał pieszczot. Ignorował mnie, śledząc przez okno przejeżdżające samochody, jakby to były króliki, za którymi chciałby pognać.

Sir Robert jeździł zbyt szybko, ale prowadził doskonale. Po drodze nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Narzekał tylko pod nosem na gęsty londyński ruch i kierowców. Według niego żaden z nich nie potrafił jeździć.

- Gdyby pan o tym decydował, miałby pan ulice wyłącznie dla siebie - po wiedziałam, zmęczona jego utyskiwaniem.

- I tym lepiej - odgryzł się.

Rats zachwiał się na moich kolanach, kiedy sir Robert ostro skręcił w cichą uliczkę na Mayfair. Zatrzymał się gwałtownie przed przystrojoną kwiatami, ceglana kamienicą, która od dawien dawna była siedzibą słynnej restauracji Le Gavroche. Poruszając się szybko, jak na tak postawnego człowieka, otworzył drzwi z mojej strony i pomógł mi wysiąść, zanim zdążyłam mrugnąć. Pomyślałam, że jak na ogra jest w niezłej formie.

Wiedziałam, że Le Gavroche należy do kategorii supereleganckich, drogich lokali, do jakich chodzi się świętować rocznice ślubu, ważne randki i wielkie interesy. Zastanowiłam się, co mam na sobie. Był zimny jesienny wieczór, więc włożyłam spódnicę z czarnej skóry kupioną sześć lat temu, a sweter w lamparcie ćetki, usiany brązowymi cekinami, zapięłam pod samą szyję. Kołnierz z gęstego sztucznego futra spięłam cytrynową broszką w kształcie wybuchającej gwiazdy, a w uszach miałam wiszące bursztynowe kolczyki. Moje gęste, ciemnorude włosy były upięte do góry po bokach, trochę w stylu lat czterdziestych, i z tyłu spływały swobodnie na ramiona. Na nogach miałam najseksowniejsze narzędzie tortur, jakie mężczyzna wymyślił dla kobiety - czarne, zamszowe szpilki wykończone satynowym paskiem nad kostką. Istne sadomaso, pomyślałam, kiedy dostrzegłam ich spiczaste noski u Bergdorfa, przecenione z astronomicznej kwoty niemal do zera - pewnie dlatego, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby ich nosić. Z wyjątkiem mnie, wariatki, która dopiero co wyrwała się z przedmieścia i nieudanego małżeństwa. No i kosztowały naprawdę niewiele.

W sumie nie wyglądałam najgorzej. Spokojnie mogłam wejść do drogiej, pyszniejszej się dwiema gwiazdkami Michelina restauracji, choć może sweter był nieco zbyt krzykliwy. Ale powtarzam, dopiero opadało ze mnie podmiejskie błotko i kompleksy porzuconej kobiety. A poza tym, jak niby miałam znaleźć pracę, nie ściągając na siebie uwagi?

Czując dłoń sir Roberta, zaciśniętą na moim łokciu, weszłam po frontowych schodach, minęłam donice z kwiatami i znalazłam się w małym, przytulnym holu. Sir Bob nie czekał na nikogo, nawet na maitre d'hôtel, który pobiegł za nami, kiedy zeszliliśmy po wąskich schodach i przemknęliśmy przez zatłoczoną salę jadalną. I znów, zanim ktokolwiek zdążył nas dogonić, Bob poprowadził mnie do stolika w rogu.

Sala była niewielka i bardzo przytulna. Oświetlały ją lampy w jedwabnych abażurach. Ciemnoczerwone ściany zdobiły urocze obrazy i wszędzie było pełno kwiatów. Panowała tu wyciszona atmosfera i pomyślałam, że ci klienci - dość bogaci, by pozwolić sobie na jądanie w tym eleganckim sielskim wnętrzu - musieli się tu czuć jak w domu. Do sir Roberta Hardwicka pasowało ono idealnie. Widziałam, że to człowiek starej daty. Nie odpowiadał mu chłodny wystrój i mieszana kuchnia nowoczesnych restauracji. Przeprowadził mnie do lokalu, w którym najwyraźniej dobrze go znano i traktowano jak króla.

- Dobry wieczór. Witamy ponownie, sir. - Maitre d'hôtel nareszcie nas do gonił.

- Dziękuję. - Sir Robert najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędki. - To co zwykle, poproszę. - Spojrzał na mnie, unosząc pytająco brew.

Nie byłam smakoszką alkoholi, ale najwyraźniej czegoś się po mnie spodziewano. Przypomniałam sobie te wszystkie długie, samotne wieczory przed telewizorem, tylko z *Seksem w wielkim mieście* i Sarą Jessicą Parker do towarzystwa.

- Cosmopolitan - powiedziałam. Nigdy go nie próbowałam, ale miał ładny, różowy kolor i Sara Jessica zawsze to pijała.

- Z wódką Grey Goose - poinstruował sir Robert. Zwrócił się do mnie. - Oczywiście Francuzi robią najlepszą wódkę.

- Oczywiście - zgodziłam się, jakbym wiedziała cokolwiek na ten temat.

Kelnerzy zakręcili się wokół nas. Rozłożono nam na kolanach śnieżnobiałe serwetki, podano menu, a na stole zjawiły się przekąski - czy też *amuses bouches*, jak nazywał je sir Robert. Przyniesiono wodę. Spojrzałam na etykietkę. Francuska. Sir Robert najwyraźniej był frankofilem - francuska restauracja, francuska wódka, francuska woda. Potrzebował tylko Francuzki do kompletu.

Patrzyłam osłupiała, jak pożarł swoją *amuse bouche* i kiwnął, by przyniesiono więcej.

- Tarta z leśnymi grzybami - wyjaśnił, zadowolony. - Bije na głowę te sa kramenckie strączki grochu z puszkowanymi krabami i sosem curry z butelki, które podali na tamtym przyjęciu. Zawsze jest tak samo. Tanie, białe wino i nieudane, upichcone naprędce wynalazki czyjejs siostry, która chce zrobić karierę w cateringu. Chryste, tymi świąństwami można się zatruć. Założę się, że niejeden gość będzie dziś haftował. I dobrze im tak - dodał, rozkładając swoje menu. Zaczął studiować jego zawartość. - W każdym razie tu się to nie zdarza - dorzucił. - Bywam w tej restauracji od dwudziestu lat. I mówię ci, dziewczyno, jest bez zarzutu, więc zamawiaj, co chcesz.

Jakby w odpowiedzi zaburczało mi głośno w brzuchu. Zerknęłam niepewnie spod rzęs na sir Roberta, w nadziei, że nie usłyszał. Zjadłam talerz płatków na śniadanie, a to było dwanaście godzin temu. Gdybym go nie spotkała, jechałabym do domu - jeśli moją obskurną kawalerkę w Bayswater można było nazwać domem - na kolację w postaci drugiego talerza płatków.

Po raz pierwszy w życiu doświadczałam biedy i to wcale nie było zabawne. Ale kiedy mój mąż zostawił mnie dla innej, zabierając ze sobą cały dorobek naszego dziesięcioletniego małżeństwa, bieda nagle zajrzała mi w twarz. Był prawnikiem, więc sprytnie pozbawił mnie praw do domu i odciął od inwestycji, zostawiając tylko granitowe blaty kuchenne, wymyślne głowice od pryszniców i tabliczkę NA SPRZEDAŻ przed domem, który nie należał już do mnie. A na pocieszenie wspomnienie ładnej, jasnowłosej dwudziestolatki, siedzącej obok niego w „naszym” samochodzie, kiedy odjeżdżał na dobre.

Dlatego przyjechałam do Londynu. A raczej uciekałam - to już bliższe prawdy. Myślałam, że odległość złagodzi złe wspomnienia, ale jak na razie moja teoria się nie sprawdzała. Bolesna przeszłość ręka w rękę z biedą ocieniały niczym wielka chmura moją pozbawioną mężczyzny przyszłość.

Kelner zaczął recytować specjalności zakładu, ale sir Robert uciszył go gestem.

- Ta dziewczyna jest głodna - powiedział, spoglądając na mnie bystro. - Zje zupę homarową, a potem tego waszego kurczaka po francusku, pieczonego z warzywami. I proszę przynieść mnóstwo chleba z masłem.

- *Poulet de Bresse*, oczywiście, sir. - Kelner zapisał zamówienie, nie wzruszony faktem, że sir Robert arbitralnie zdecydował za mnie. Prawdę mówiąc, mnie także niewiele to obchodziło. W tamtym momencie pieczony kurczak wydawał mi się kawałkiem nieba.

Dla siebie sir Robert zamówił *confit* z kaczki w cieście, a na drugie *rostbef*. Lubi proste potrawy, pomyślałam, uśmiechając się.

- A co takiego wywołało ten uśmiech? - zapytał groźnie.

- Sama przyjemność przebywania tutaj - skłamałam szybko, chociaż ciągle jeszcze nie byłam pewna, czy rzeczywiście jest mi przyjemnie.

- Ze mną, hę? - Z niedowierzaniem uniósł krzaczastą brew.

Odwrociłam się do niego i spojrzałam prosto w jego kamienne, niebieskie oczy. Być może ryzykowałam utratę pieczonego kurczaka, zadając to pytanie, ale musiałam wiedzieć.

- Dlaczego pan mnie poderwał na tym przyjęciu?

Rozsiadł się na krześle i, popijając swoją francuską wódkę z lodem, zastanawiał się przez chwilę. W końcu powiedział:

- Rude włosy, niezłe nogi, samotna. - Wypił kolejny łyk i dodał po namyśle: — I była pani wystraszona.

Zszokowana otworzyłam usta, by zaprotestować, ale zbył mnie gestem.

- Proszę nie pytać, skąd to wiem. Pani wie, że to prawda.

Nie miałam odpowiedzi. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Upiłam łyczek cosmopolitana. Smakował mi.

- Ile pani ma lat? - zapytał.

- Trzydzieści. - Znowu skłamałam, choć nie do końca rozumiałam dlaczego. Zareagowałam odruchowo, jakby parę lat w tę czy w tamtą mogło cokolwiek zmienić na opanowanym przez młodzież rynku pracy. Tak naprawdę miałam wtedy trzydzieści cztery lata, a kolejne urodziny zbliżały się wielkimi krokami.

- Kłamie pani.

Poczułam, że się czerwienię.

- A pan co, jasnowidz? - odgryzłam się.

Oparł łokcie na stole, złożył dłonie i uśmiechnął się z wyższością.

- Powiedzmy, że jestem dobrym sędzią charakterów.

Zajęłam się smarowaniem chleba, nic nie mówiąc. Przyniesiono moją zupę homarową i *confit* z kaczką dla sir Roberta. Mój gospodarz zamówił u sommeliera butelkę białego bordeaux. Jedliśmy w milczeniu przez długą chwilę. Zupa była boska.

- Więc jak się pani nazywa? - powiedział w końcu, odkładając nóż i widelec.

Zagapiłam się na niego, osłupiała. Jadłam kolację z człowiekiem, który nie znał nawet mojego nazwiska!

- Daisy Keane - odparłam pospiesznie.

- Daisy? To ci dopiero imię, które ma dobry wpływ na dziecko!

- Moja matka była maniaczką ogrodnictwa. Nazwała nas, mnie i moje siostry, Daisy, Lavender i Violet*.

I to by było na tyle, bo drzwi naszego domu otwierały się prosto na chica-gowską ulicę. Ani jednego kwiatka w zasięgu wzroku.

Sommelier nalał odrobinę wina do kieliszka. Sir Robert posmakował i kiwnął głową. Nasze kieliszki się napełniły.

- Proszę skosztować - powiedział.

Było przepyszne.

- Przypomina świeżo skoszoną trawę w letni dzień - stwierdziłam.

- Pasuje do pani imienia, można powiedzieć. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i jego szeroką, płaską twarz rozświetliło ożywienie, którego nie zauważyłam wcześniej. — Wiem, że do wołowyńki powinno się pić czerwone wino — po-

* Stokrotka, Lawenda i Fiołek.

wiedział - ale tak się składa, że to moje ulubione. A poza tym pani je kurczaka. Rzeczywiście jadłam. I niemal mruczałam z zadowolenia.

- To najlepszy kurczak, jakiego w życiu próbowałam - stwierdziłam, ale sir Robert atakował już swój rostbef. Nie można inaczej opisać jego sposobu jedzenia. Wyglądał jak skazaniec, który otrzymał ostatni posiłek, jakby zamierzał się nim rozkoszować do ostatniego kęsa. W jego ogromnych dłoniach srebrne sztucce wydawały się tak małe, jakby pochodziły z kompletu dla lalek, a zadowolenie starło ponurą minę z jego twarzy. Podobieństwo do Shreka było uderzające.

- Więc co właściwie robi pani w Londynie? - zapytał nagle.

- Mówiłam panu. Pracuję dla amerykańskiego tygodnika. - Mój Boże, kłamstwa przychodziły mi tak łatwo, że aż mnie to przerażało. Do tej pory przez całe życie byłam uczciwa. Tak i zobacz, dokąd cię to zaprowadziło, szepnął cichy, zimny głosik w mojej głowie.

- Ha! Taka z pani dziennikarka z kolumny plotkarskiej, jak i ze mnie. To oddzielny gatunek, rozpoznawalny z pięćdziesięciu kroków na każdym przyjęciu. I żadna z nich nigdy nie wyglądała tak jak pani.

Najeżyłam się. Ostrożnie odłożyłam nóż i widelec na talerz.

- Doprawdy? A jak ja wyglądam, w takim razie? - Przygotowałam się w duchu na atak.

- Jak kobieta, która zgubiła się gdzieś po drodze.

Kompletnie zbił mnie z tropu. Czy przeszłość była wypisana na mojej twarzy jak blizny po fatalnym wypadku?

- Niech się pani nie martwi - powiedział łagodniejszym tonem. - Wiem co to rozpacz. Patrząc na mnie i czytając o mnie w gazetach, nigdy by pani nie pomyślała, że ten arogancki, pospolity, brzydki stary drań ma uczucia. Jestem normalnym człowiekiem...

Milczałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu był kimś zupełnie obcym.

- No więc? — Patrzył na mnie z uniesionymi brwiami, czekając na odpowiedź. Spojrzałam w dół na swoje palce, splecione ze sobą jak kable wysokiego napięcia. Miałam okazję, by opowiedzieć swoją historię i nie umiałam tego zrobić. To było zbyt upokarzające. Pokręciłam głową. Nie mogłam się przyznać do swojego rozpaczliwego położenia. Po prostu nie mogłam.

Sir Robert przywołał kelnera i zamówił kawę. Butelka wina, opróżniona ledwie do połowy, siedziała zapomniana w swojej lodowej kąpieli w srebrnym wiaderku. Radosny nastrój wyparował. Nagle przypominałam sobie o psie. Zaniepokojona spytałam, czy Rats nie powinien iść na spacer.

- Już się tym zajęli - odparł. - Ale miło, że pani o nim pomyślała.

Wzruszyłam ramionami. Przynajmniej rozumiałam jego miłość do psa.

Kiwnął na kelnera, prosząc o rachunek. Kiedy go przyniesiono, podsunął go mnie.

- Umowa to umowa, zgadza się?

Boże, zapomniałam, że to ja miałam zapłacić. Od dwóch tygodni żyłam na płatkach i kanapkach z serem. Wiedziałam, że jeśli zapłacę, w ogóle nie będę miała co jeść. Gapiłam się tępo na zawrotną kwotę. Duma zwyciężyła. Wygrzebałam z torebki resztę pieniędzy i odliczyłam właściwą sumę.

- Proszę nie zapominać o napiwku - powiedział z protekcyjnym uśmiechem. - Ja zawsze zostawiam dwadzieścia pięć procent. Dzięki temu mam dobre stosunki z personelem.

- A ja nigdy nie daję więcej niż dwadzieścia - wypaliłam. Próbował mną rządzić i wyraźnie bawił go fakt, że przerażała mnie wizja zapłacenia wysokiego rachunku.

Wziął pieniądze, policzył je.

- Zdaje się, że nie jest pani zachwycona, spełniając obietnicę. Dlaczego? Czyżby pani znowu kłamała?

- Ja nigdy nie kłamię - odparłam sztywno.

Roześmiał się; głośne, ochryple odgłosy, przypominające szczekanie, sprawiły, że głowy odwróciły się w naszą stronę.

- No i proszę, znowu pani to robi - powiedział.

Schował pieniądze do kieszeni, wsunął kartę kredytową do skórzanego etui z rachunkiem i podał kelnerowi.

- Prawdę mówiąc, wygląda pani na kobietę, która potrzebuje pracy. - Spojrzałam na niego gniewnie. - O co chodzi? - zapytał, wciąż szczerząc zęby. - Boi się pani zrobić sobie ręce po łokcie? Nie chce ich pani ubrudzić? To strach, że przeciąży pani swój biedny, mały mózg? Jak to naprawdę z panią jest, co?

Przez długą chwilę wpatrywałam się w niego tępo. Nagle załamalam się pod jego atakiem. Przeprosiłam za kłamstwa. Opowiedziałam mu swoją historię. Opowiedziałam mu o mojej matce, pochodzącej z drobnej szlachty irlandzkiej.

- Może pan wierzyć, albo nie, ale jestem prawdziwą lady - powiedziałam. - To znaczy, ja nie mam tytułu, ale moja mama miała. Wyszła za irlandzkiego lorda, stała się lady Keane i żyła w biedzie z szacownym nazwiskiem. Kiedy umarł, stała się jeszcze biedniejsza i przeprowadziła się do Ameryki, do Chicago, gdzie miała krewnych. Irlandczyków jest pełno w całej Ameryce. Mieszkałyśmy w małym mieszkaniu, a mama znalazła pracę w gastronomii.

- Była szefem kuchni?

- Kelnerką. Nigdy nikomu nie mówiła o swoim tytule. Była skromną kobietą i nie wiedziała, jak go wykorzystać, żeby się lepiej urządzić. Jakoś sobie radziłyśmy. Ja i moje siostry skończyłyśmy szkoły, dorosłyśmy, wyszłyśmy za męża.

- I się rozwiodłyśmy.

- Tylko ja. Lavender wciąż jest mężatką, ma trójkę dzieci. Vi nie wyszła za męża, pracuje dla „National Geographic”. Wiecznie siedzi w jakichś miejscach w rodzaju Borneo czy Mato Grosso. - Nasze oczy się spotkały. - A pan wie o mnie wszystko.

- Nie do końca. - Jego krzaczaste brwi uniosły się z zaciekawieniem, i nagle wspomnienia, które ukrywałam w najciemniejszych zakamarkach umysłu, wróciły jak fala, niosąc ze sobą palący ból.

Nim się obejrzałam, powiedziałam Bobowi Hardwickowi wszystko. O tym, jak mąż zostawił mnie, zabierając ze sobą cały nasz majątek. Jak zapłakałam gorzko, kiedy odjechał, by zacząć nowe życie z piękną blondynką uwieszoną na jego ramieniu. O tym, jak krzyczałam i wyłam, jak powtarzałam sobie w kółko, że to musi być moja wina. Że nie byłam dość atrakcyjna, dość seksowna, dość interesująca. Nie byłam dobrą żoną, krótko mówiąc. Nawet teraz nie wiedziałam, co zrobiłam nie tak. Za bardzo mnie to wszystko bolało, żeby zadać sobie pytanie, czy wina nie leżała przypadkiem po jego stronie.

Opowiedziałam Bobowi o tym, jak zdołałam się trochę otrząsnąć po bolesnych doświadczeniach i odepchnęłam od siebie złe wspomnienia. Ukryłam się przed nimi i przed własną przeszłością, zdeterminowana, by odnaleźć nową siebie - kobietę, która nie będzie już padać ofiarą drapieżnych mężczyzn. Zbudowałam wokół swojego romantycznego serca skorupę, która miała je ochronić przed światem.

- Od tej pory to ja przejmuję męską rolę - powiedziałam Bobowi Hardwickowi. Popijał swoje wino z łokciami opartymi na stole, wpatrując się we mnie bladoniebieskimi oczami. - I dlatego jestem tu, w Londynie - powiedziałam, kończąc opowieść wzruszeniem ramion. - Teraz wie pan wszystko.

Bob milczał. Zażenowana złapałam kieliszek i łyknęłam wino, żałując, że obnażyłam duszę przed nieznanym.

- To już minęło - powiedział w końcu. - Ten facet był draniem. W ogóle nie powinna być pani mu zaufała, ale kobiety nabierają się na ładne opakowanie. I dobry seks,

- Nawet tego nie było - wypaliłam i zaczerwieniłam się, znów żałując własnych słów. Ciągłe mi się to zdarzało; słowa po prostu wydobywały się

z moich ust, zanim zdążyłam je zatrzymać. Poza tym nigdy wcześniej nie przyznałam się do tego, nawet przed sobą ani przed moją przyjaciółką, Bordelaise. A teraz Bob śmiał się ze mnie.

- Było w pani zbyt dużo lady, by mieć z tego frajdę, co?

Wiedziałam, że Bob żartował, byśmy mogli przebrnąć przez smutne wspomnienia, którymi prawie popsułam nasz wspólny wieczór. Kiedy się jednak nad tym zastanowiłam, uznałam, że mógł mieć rację. Może nigdy nie dałam się ponieść, nigdy nie zrobiłam tego z prawdziwą pasją, nigdy tak naprawdę nie poczułam tego, co, według kobiecych pism, powinnam była czuć.

- Być może ma pan rację — powiedziałam i nareszcie byłam szczerą.

- Więc ma pani klasę, choć pozory temu przeczą.

Znów się najeżyłam.

- A pan potrafi zaleźć ludziom za skórę, co?

- Udaje się za każdym razem. — Uśmiechnął się triumfalnie. — Tak czy inaczej, teraz pani będzie pracowała u mnie. Zgadza się?

- Niby w jakim charakterze? - Byłam podejrzliwa. Wzruszył ramionami.

- Moja osobista asystentka wyjechała, żeby się opiekować chorą mamą. Mam mieszkanie w Nowym Jorku, apartament tutaj, na Park Lane, i dom na Capri. No i jest jeszcze Sneadley Hali w Yorkshire. Dopilnowanie tego wszystkiego to ciężka praca. Będzie pani moją ochmistrzynią, jeśli pani woli. A do tego moją asystentką, sekretarką, rzecznikiem prasowym... ogólnie kimś za ufany, zależne od tego, jakiej roli będę od pani wymagał danego dnia. Prze kona się pani, że jestem trudnym szefem. Ciężko się dla mnie pracuje, a przy najmniej tak mówią. - Wzruszył z irytacją szerokimi ramionami. - Ja po prostu chcę, żeby wszystko było zrobione jak należy, a przeważnie nie jest, chyba że zrobię to sam. Ale pensja przekroczy pani najśmielsze oczekiwania. Więc... podoba pani tej roli?

Zabrakło mi tchu. Ten człowiek był jak żywioł, był Shrekiem z ponadprzeciętną inteligencją. Rzucił mi wyzwanie. Oferta była kusząca i, oczywiście, ratowała mi życie, ale wciąż jeszcze mu nie ufałam.

Siedział w milczeniu, obserwując mnie. W końcu powiedział łagodnie:

- Posłuchaj, skarbie. Kiedyś, dawno temu, byłem młody jak ty, bez grosza, i zakochany. Teraz nie jestem ani młody, ani biedny, ani zakochany, ale cza sem zadaję sobie pytanie: Gdybym miał okazję, który z tych trzech stanów chciałbym odzyskać? Czy byłaby to młodość? Bym znów mógł cieszyć się silnym ciałem? Doznaniem tak oczywistym w młodym wieku? A może wolał bym być biedny? Po raz kolejny wygrzebywać się z samego dna ubóstwa, od nowa doświadczyć przyjemności osiągnięcia sukcesu? A może chciałbym się

znów zakochać? Ach, miłość! - Zamknął oczy i jęknął cicho. - Ta kwintesencja wszystkich uczuć... Nie. Tylko nie to. Miłość jest zbyt bolesna. I koniec

z nią. Mnie pozostała już tylko ciężka praca. I jeszcze więcej ciężkiej pracy. To jedyne, co daje mi satysfakcję. To i miłość dobrego psa. Zmięklam, słysząc, jak niespodziewanie obnaża przede mną duszę. Przede mną, kompletnie obcą osobą. Tak jak ja był samotny, choć z innych powodów, On był samotny z wyboru.

- Oczywiście musiałyby pani ze mną zamieszkać - powiedział nagle.

Mogłam się domyślić! To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Posłałam mu swoje badawcze spojrzenie z ukosa, ale nagle podskoczyłam, kiedy trzasnął kieliszkiem o stół tak mocno, że wino chlapanęło na obrus. Przybiegł kelner, ale sir Robert odpedził go machnięciem ręki.

- Posłuchaj no mnie, dziewczyno - powiedział niskim, szorstkim, gniewnym głosem. - I nigdy o tym nie zapominaj. Jestem bogaty. Kobiety na mnie polują. Piękne kobiety z towarzystwa, młode aktorki, modelki, wszystkie uganają się za mną z żądzą pieniędzy w oczach. Kobiety, których nie znam, dzwonią do mnie, by mi powiedzieć, jak bardzo mnie podziwiają i zaprosić mnie na kolację. Zrozum, ty niemądry, piegowaty rudzielcu, że mogę mieć każdą kobietę, jaką zechcę. - Dziobnął palcem moją okrytą sztucznym futrem pierś. - A ciebie nie chcę.

Broszka przy swetrze odpięła się, przerażona jego szturmem, i dziabnęła go w palec.

- No proszę - powiedział z szerokim uśmiechem. - To chyba dobry początek, co?

I tak zaczęła się moja pięcioletnia „służba” i przyjaźń z sir Robertem Waldo Hardwickiem. Najbardziej apodyktycznym, wymagającym i irytującym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam, ale także kimś najlepszym, najbardziej wyrozumiałym i troskliwym. Jak mógł mieć w sobie wszystkie te cechy jednocześnie? To było jego największą tajemnicą.

Na tym fundamencie zbudowaliśmy naszą przyjaźń. Wybuchy złości, irytacji i płaczu - to mój wkład, oczywiście; lodowate monologi, zimna obojętność - jego. Ale oboje mieliśmy jeden wspólny skarb - miłość. Byliśmy podobni do siebie. Byliśmy zespołem, przyjaciółmi. A jeśli się zastanawiacie, odpowiem - nie, nigdy nie był moim kochankiem.

Tamtego wieczoru w Le Gavroche Bob Hardwick wziął ode mnie pieniądze, bo, jak mi powiedział później, chciał się przekonać, czy jestem honorowa. Byłam. Oczywiście domyślił się, że jestem spłukana i udaje, że jest inaczej, a jednak

dotrzymałam słowa. A właściwie dotrzymałam tego, co on obiecał w moim imieniu. Ale to nie miało znaczenia, bo on był równie honorowy. I oddał mi moje pieniądze w samochodzie, w drodze do domu.

Natychmiast wypłacił mi też zaliczkę, a potem powiedział, żebym poszła do dobrego fryzjera i sprawiła sobie porządne ubrania. Wprowadziłam się do jego życia i do jego świata, a on nauczył mnie wszystkiego. Stałam się niezastąpiona - a przynajmniej pozwolił mi w to wierzyć. W głębi serca wiedziałam jednak, że naprawdę tak było. Bob mnie uratował. Dał mi drugą szansę i kochałam go za to. I dlatego stoję tutaj, na jego pogrzebie, w śnieżycy, ze łzami płynącymi po zmarzniętych policzkach, żegnając się z nim. Był moim najlepszym przyjacielem i będę za nim tęsknić do końca moich dni.

A jednocześnie zastanawiałam się, dlaczego inni zmarznęci na kość żałobnicy - piękna była żona, Francuzka, prześliczna włoska kochanka i najróżniejsze sztywne, miejskie indywidua ze świata biznesu - są tu razem ze mną, bo nikogo z nich nie można było nazwać jego przyjacielem.

Na pogrzeb przyszedł ktoś jeszcze. Wyróżniał się spośród tych wszystkich biznesmenów - wysoki i szczupły, w długim czarnym płaszczu i z bardzo krótko ostrzyżonymi, ciemnymi włosami, na których osiadał śnieg. Stał sam na końcu niewielkiej grupy żałobników. Jego wąskie, szare oczy pod surowymi brwiami napotkały moje, nad głowami zgromadzonych. Kiwnął mi głową na powitanie. Odpowiedziałam tym samym, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia, kim był.

Rozdział 3

Daisy

Było już po wszystkim. Mieszczuchy odwracały się i pospiesznie uciekały przed mroźnym wiatrem do przytulnych samochodów, które miały odwieźć ich na stację w miasteczku, piętnaście kilometrów stąd, na ekspres do Londynu. Miejscowi wciąż kulili się w zbitej grupce pod parasolami. Niektórzy pracowali w Sneadley Hali: ogrodnik, gospodyni, panie zajmujące się domem. Była też Ginny Bunn, barmanka z pubu Pod Baranią Głową, ubrana na czarno, w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, który zwykle wkładała na doroczne garden party w Hali. I Reg Blunt, właściciel pubu, kanciasty i przysadzisty - dobry przyjaciel Boba. Blunt popijał piwko z Bobem w niejeden

sobotni wieczór, siedząc z nim na drewnianej ławie przy kofninku. Ci ludzie uważali Boba za swojego i teraz przyszli, oferując swoją pomoc i współczucie. Niejeden uronił łzę.

- To był naprawdę dobry człowiek i dobry przyjaciel - powiedziała Ginny łamiącym się głosem. - Nieważne, co o nim gadają inni.

Kiwnęłam głową, żałując, że nie potrafię się uśmiechnąć ani znaleźć odpowiednich słów.

- Rzekł Pan „błogosławieni cisi” - dodał Blunt. - Ale jeśli mnie pani zapyta, to silni ludzie, tacy jak sir Robert, są naszym błogosławieństwem. Będzie go nam brakowało. O tak, wszyscy będziemy za nim tęsknić. - Ku mojemu zaskoczeniu ujął moją dłoń i przycisnął ją do zimnych warg. - Proszę na siebie uważać - powiedział. - I proszę pamiętać, wszyscy tutaj w Sneadley będziemy się o panią troszczyć.

Wzruszona patrzyłam, jak odchodzi. Za ledwie w parę lat stałam się częścią tej wsi, członkiem małej społeczności, w której ludzie wciąż troszczyli się o siebie nawzajem. Reg Blunt zapewnił, że jeśli będę potrzebowała pomocy, mogę na nich liczyć. Byłam mu za to wdzięczna. Znowu zostałam sama w zimnym, zaśnieżonym świecie, pozbawiona ochrony Boba Hardwicka. I znowu bez pracy, pomyślałam, choć tym razem miałam konto oszczędnościowe. I było tam o wiele więcej niż pięćset dolarów, które miałam w torebce, gdy poznałam Boba.

Rats wciąż gapił się w ciemną dziurę; jakimś cudem wiedział, że tam leży jego pan.

- Chodź, piesku. - Pociągnęłam za smycz. Nie ruszył się. - Rats, chodź ze mną, piesku - powiedziałam, ale on położył się na śniegu. Schyliłam się, by go podnieść, ale przywarł do zamrożonej ziemi. Miejscowi odeszli, a pozostali żałobnicy wsiadali już do samochodów. Nawet się nie obejrżeli. Nikt się nim nie przejmował. To był tylko stary pies Hardwicka.

Gorzkie łzy popłynęły mi po policzkach, kiedy próbowałam wsunąć rękę pod brzuch Ratsa, ale pies przylgnął do ziemi jak ostryga do skały.

- Pomogę pani.
Spojrzałam w górę przez łzy. To był nieznajomy.
- Zwierzęta wiedzą takie rzeczy - powiedział cicho. - On nie chce zostać wic swojego pana.

- Tak jak ja - odparłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.
Ciemne oczy nieznajomego napotkały mój wzrok. To było długie, głębokie, pełne współczucia spojrzenie. W końcu odwrócił się do psa i pogłaskał szorstką białą sierść na jego grzbiecie.

- No już, piesku - powiedział łagodnie. - Pora iść. Wszystko będzie dobrze.

Pies uniósł głowę, popatrzył na niego przez sekundę, po czym schował nos między łapy i wydał głębokie westchnienie, które wstrząsnęło jego krępyim ciałem.

- Posłuchaj, staruszkule - powiedział stanowczo nieznajomy - musisz się opiekować panią Keane, więc weź się w garść. Chodź, pora się zbierać.

Czy był to poważny ton nieznajomego, czy dźwięk mojego nazwiska, czy po prostu wrodzone podejście do psów — coś nareszcie sprawiło, że Rats podniósł się na nogi. Kichnął głośno, po czym otrzepał się starannie, ochlapując nas błotem. Roześmialiśmy się oboje.

- Tak już lepiej - powiedział mężczyzna, wciąż się uśmiechając. - A teraz pozwólcie, że zabiorę was oboje z tej zimnicy.

Wziął mnie za ramię. Z Ratsem, wlokącym się za nami na smyczy, odeszliśmy, zostawiając Boba Hardwicka w miejscu ostatniego spoczynku.

Ruszyliśmy śliską ścieżką koło kościoła. Ślady innych żałobników zdały już przykryć gęsto padający śnieg. Wyszliśmy przez cmentarną, zadaszoną bramę, którą latem pokrywały kwiaty fioletowej wisterii. Wiejska ulica była teraz pusta, z wyjątkiem mojego czerwonego minicoopera i zgrabnego czarnego jaguara ze składanym dachem. Oba samochody były już przyprószone śniegiem.

Po raz pierwszy uważnie przyjrzałam się nieznajomemu. Był tuż po czterdziestce. Bardzo wysoki - miał około metra dziewięćdziesiąt i szerokie ramiona. Założył długi luźny płaszcz, zapięty pod samą szyję, i czarne traperki. Jego szczupła twarz była surowa i kanciasta, z niebieskawym cieniem zarostu na podbródku. Nos miał lekko zakrzywiony, a szparki szarych oczu patrzyły na mnie spod prostych czarnych brwi. Był na swój sposób atrakcyjny, może nawet trochę niebezpieczny, z głębokimi fałdami na czole, zmarszczkami rozchodzącymi się promieniście wokół oczu i włosami ogolonymi niemal do skóry, tworzącymi ledwie czarny cień na jego kształtnej głowie.

- Nie wiem, kim pan jest, ale i tak dziękuję - zwróciłam się do niego.

- Za to ja wiem, kim pani jest. Bob wszystko mi o pani powiedział.

Oślupiałam. Myślałam, że znam wszystkich współników i znajomych Boba.

- Daisy Keane, asystentka, PR, powiernica i przyjaciółka. - Ukłonił się lekko. —A ja jestem Harry Montana.

Uścisnęłam jego dłoń. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że choć mi się przedstawił, nie powiedział, czym się zajmuje.

- Pewnie jest pan tak samo zmarznięty, jak ja - zauważyłam, strzepując płatki śniegu z włosów. - Nie będzie stypy, Bob powiedział mi kiedyś, że jej

nie chce, ale może pojedzie pan ze mną do Hali? Niech pan pozwoli przynajmniej poczęstować się gorącą kawą, zanim wróci pan do... -Nie wiedziałam, dokąd ma wracać, a on mnie nie oświecił.

- Bardzo chętnie - rzekł tylko.

- To niedaleko. Sneadley Hali znajduje się przy głównej ulicy, za wielką żelazną bramą po prawej. Nie da się przegapić. - Wsiadłam do mini. Jak za wsze miałam problem, bo samochód był za mały dla moich długich nóg. - Zresztą, proszę jechać za mną.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Harry Montana jest Amerykaninem tak jak ja. Mówił z jakimś południowym akcentem; teksaskim, być może? Tak czy inaczej był daleko od domu. Jadąc ostrożnie zaśnieżoną ulicą, znów zadałam sobie pytanie, co robił na kameralnym pogrzebie we wsi w Yorkshire, w samym środku śnieżycy.

Rozdział 4

Sneadley Hali przez pięć pokoleń należał do rodziny Oldcastle, zanim kupił go Bob Hardwick. Była to wielka, kwadratowa budowla w georgiańskim stylu, z szarego kamienia typowego dla Yorkshire, z długim prostym podjazdem prowadzącym do kolumnowego portyku. Okna były wysokie, a drzwi wejściowe miały długie okienko w każdym skrzydle i wachlarzowaty świetlik u góry. Nie był to ładny dom, ale jego prostota i solidność pasowały do osobowości Boba.

- Wszyscy właściciele tego domu handlowali wełną - poinformował mnie, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy. - Na tych wzgórzach, jak okiem sięgnąć i jeszcze dalej, pasły się owce. Wełna stanowiła bogactwo Yorkshire, a dzień, w którym zaczęliśmy kupować sztuczne włókna, był dniem ruiny dla wielu sukienników i foluszników w tych okolicach. Z biedaków stali się bogaczami, a potem znów spadli na dno szybciej, niż można sobie wyobrazić. A teraz tacy jak ja, kowboje finansjery, twardogłowi oportuniści niepatyczkujący się z nikim, są właścicielami domów takich jak Sneadley Hali.

Słyszałam opony jaguara, chrzęszczące za mną na żwirze, kiedy wjechałam w bramę z kutego żelaza, wciąż przyozdobioną wielkim O, monogramem rodziny Oldcastle. Pani Wainwright, gospodyni i kucharka, otworzyła frontowe drzwi, zanim zdążyłam zaparkować.

- Och, proszę wejść, pani Keane - zaprosiła. - Już się zaczynaliśmy marwić, że została pani całkiem sama na cmentarzu. Właśnie miałam wysłać po panią pana Stanleya.

Stanley był ogrodnikiem, mieszkał z żoną w stróżówce. Pani Wainwright miała własne przytulne mieszkanie w przybudówce.

-Wszystko w porządku, pani Wainwright, już jestem. — Wchodząc po stopniach do drzwi, usłyszałam, że Montana parkuje samochód. - Przyjechał ze mną przyjaciel sir Roberta. Pan Montana pomógł mi z Ratsem. Biedna psina nie chciała odejść od grobu.

Pani Wainwright westchnęła ciężko. Była korpulentną kobietą z obfitym biustem, siwymi włosami zakręconymi na lokówce, z kwadratową szczęką i przesywającymi, niebieskimi oczami, które nie przegapiały niczego. Nie przegapiły też mężczyzny, który wszedł po schodkach i stanął obok mnie z laptopem w ręce.

- Na pewno oboje chcecie kawy - powiedziała żywo. - Chociaż, jak na mój gust, filiżanka dobrej herbaty robi człowiekowi o wiele lepiej, szczególnie kiedy ktoś się czuje trochę niezdrów. Upiekłam też biszkopt z dżemem, wiem, że to pani ulubiony.

Odwróciła się, żeby odejść, ale zawołałam ją. Zdziwiona, spojrzała na mnie. « Podbiegłam do niej, objęłam ją i uściśkałam mocno.

- Dziękuję. Dziękuję pani za wszystko. Dziękuję, że pani tak się o mnie troszczy — wymamrotałam w jej sztywne jak drut włosy.

- Ależ to nic, naprawdę drobiazg. - Uśmiechnęła się zażenowana, kiedy ją puściłam. Przytulanie kogokolwiek nie leżało w jej zwyczajach, jak to u ludzi z Yorkshire, choć serce miała pełne miłości. - Woda z pani kapie na świeżo wyfroterowaną podłogę - zbesztła mnie. - Zaraz przyślę naszą Brendę z ręcznikiem. - „Nasza” Brenda była jej zamężną córką, która mieszkała we wsi i także pracowała w Hali.

- Przepraszam, pani Wainwright. - Uśmiechnęłam się ze skruchą. Nagle przypomniałam sobie o człowieku, którego zaprosiłam na kawę.

Harry Montana spoglądał z aprobatą na pokryte boazerią ściany i wypolerowane orzechowe podłogi, na wysokie okna z ciężkimi złotymi kotarami, odgradzającymi wnętrze od śnieżycy i na ogień buzujący w wielkim kamiennym kominku.

- Brakuje tylko ogarów, wygrzewających się przy ogniu, i odgłosów polowania — powiedział. — Wszystkich tych ludzi w czerwonych żakietach, na wielkich czarnych koniach.

- Nigdy nie znalazłby pan ogarów w domu. Siedziałyby w psiarni koło stajni - odparłam. -A zresztą nie wolno już polować z psami.

- Ale rozumie pani, o co mi chodzi. Czy nie tak Amerykanie wyobrażają sobie życie na angielskiej wsi?

- Pewnie tak. - Uśmiechnęłam się. - Wiele się nauczyłam przez ostatnich pięć lat o życiu na angielskiej wsi. Wezmę pański płaszcz.

Odstawił skórzaną walizeczkę z laptopem i zdjął długi, prawie do kostek, płaszcz. Był lekki jak piórko, pewnie z kaszmiru, jak się domyślałam, z włoską metką. Ale pod drogim okryciem krył się ktoś zupełnie inny, niż można by się tego spodziewać. Wystrzępione, sprane džinsy, czarne traperki, czarny golf. Jego ramiona były szerokie, biodra wąskie, a na prawym nadgarstku miał bransoletkę ze srebra i skóry, wysadzaną turkusami. Poczułam motylki w żołądku. Z tą swoją ogoloną głową i smukłą sylwetką powinien starać się o rolę bandyty w hollywoodzkim westernie, a nie sterczeć na pogrzebie finansowego potentata z Yorkshire.

Powiesiłam płaszcz w szafie w holu, obok mojego. Wyjęłam stary ręcznik, trzymany tutaj specjalnie w tym celu, i posłałam wytrzeć Ratsa, który przysiadł przy kominku.

- Dobry piesek - mruknęłam. - Dobry Rats. Wszystko będzie dobrze, obieuję. I przyrzekam, że cię nie zostawię.

- Więc odziedziczyła pani psa? - zapytał Harry Montana zza moich pleców.

- Niczego nie odziedziczyłam. - Zebrałam się z podłogi. - Jestem tylko pracownicą. Ale oczywiście zajmę się Ratsem, bo Bob by tego chciał. Zresztą i tak pokochałam go tak, jakby to był mój pies. Choć pewnie on zawsze uważał, że ma tylko jednego pana.

Czułam na sobie wzrok Montany, kiedy szłam odłożyć ręcznik. Przypomniałam sobie, że wciąż nie wiem, kim on jest i dlaczego tu przyjechał. Za proponowałam, żebyśmy przeszli do salonu, przytrzymał więc ciężkie drzwi i puścił mnie przodem.

To był mój ulubiony pokój w domu. Nawet podczas śnieżycy wydawał się słoneczny. Ściany w kolorze jasnej ochry, sofy ze złotego brokatu z poduszkami spłaszczonymi od wieloletniego wysiadania i polegiwania, jasne, miękkie dywaniki trochę wystrzępione od użytku, lampy rozsiewające ciepły złoty blask i ogień migoczący w kominku. Prawdę mówiąc, kiedy się nad tym zastanowiłam, niewiele się to różniło od wiejskiego luksusu restauracji Le Gavroche. Wtedy, za pierwszym razem, skojarzyła mi się z domem, do którego miło było wracać. To właśnie był taki dom. Wkrótce jednak miałam opuścić to miejsce.

Do pokoju weszła pani Wainwright, popychając dwupoziomowy wiktoriański baren z mahoniem, na którym stały tace z kanapkami, biskwitami i słynnym biszkoptem z dżemem, a także srebrny komplet do kawy. Przywitała się z Harrym

Montana i zostawiła mnie, bym czyniła honory domu. Nalałam parującej kawy do kruchych, białoniebieskich filiżanek z porcelany Wedgwood i podałam jedną „kowbojowi”. Czuł się zupełnie swobodnie, siedział z rozsuniętymi kolanami, z długimi nogami skrzyżowanymi w kostkach; podciągnięte rękawy odsłaniały kawałek tatuażu, wyglądającego na jakieś chińskie znaki, biegnące wokół przedramienia.

Zjadłam kawałek biszkoptu. Zwykle smakował letnimi truskawkami. Dziś miał smak popiołu.

- Skąd pani wie, że nic pani nie odziedziczyła? - Wrzucił sobie dwie kostki cukru do kawy i zamieszał. - Prawnicy odczytali już testament?

Zmarszczyłam brwi, zaalarmowana. Zaprosiłam kompletnie nieznanego człowieka do domu Boba. To mógł być każdy! Rywal w interesach, który próbował zdobyć informacje. Reporter na tropie dobrego artykułu. Zaginiony krewny na dorobku. Przyjrzałam mu się jeszcze raz. Wyglądał jak modna wersja amerykańskiego marine, z tą swoją fryzurą, w postrzępionych dzinsach, z bransoletką i tatuażem. Odgarnęłam gęste, wciąż jeszcze wilgotne włosy z czoła. Było rozpalone z niepokoju. Czyżbym niechcący wpuściła wroga do domu mojego byłego pracodawcy?

- Kim pan jest, u diabła? - wypaliłam. - Jakim prawem zadaje mi pan tak osobiste pytania?

- Jestem kimś w rodzaju przyjaciela Boba.

- Nie istnieje „ktoś w rodzaju przyjaciela” - odparłam cierpko. - Przyjaciel to przyjaciel, i koniec. Jak pan go poznał?

- Spotkaliśmy się dziesięć lat temu. Bob usłyszał o mnie od znajomego. Za dzwonił do Dallas, a ja poleciałem do Nowego Jorku, żeby się z nim spotkać. Skorzystał wtedy z moich usług. A niedawno zwierzył mi się z pewnego osobistego kłopotu. Wierzył, że potrafię mu pomóc.

Byłam ciekawa, co miał na myśli, mówiąc „osobisty kłopot”, ale uznałam, że lepiej o nic nie pytać. Niektóre sprawy Bob wolał zachować w tajemnicy i szanowałam to. Nie zmieniało to jednak faktu, że musiałam się dowiedzieć, kim naprawdę był mężczyzna, siedzący naprzeciw mnie. Już miałam powtórzyć pytanie, ale mnie uprzedził. Wstał, wyciągnął portfel z tylnej kieszeni dzinsów, wyjął z niego wizytówkę i podał mi ją.

- Harry Montana - przeczytałam. - Zarządzanie ryzykiem. Ochrona. Usługi detektywistyczne. - Były też adresy w Nowym Jorku i w Dallas, numery telefonów i adres mailowy.

Nie zaskoczyła mnie jego profesja, ale wciąż dziwiło mnie, że tu przyjechał. Bob korzystał z usług prywatnych detektywów, kiedy chciał zebrać informacje

na temat rywali w interesach, ale z tego, co mówił Montana, tym razem chodziło o coś innego.

- Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani nad tym, jak zginął Bob? - zapytał.

- Oczywiście, że tak. Wciąż o tym myślę... bez końca. Jechał sam, w nocy, po górskiej drodze, której dobrze nie znał. Spadł w przepaść. Powinam tam być, to ja powinnam prowadzić...

- Ale gdyby tak było, pani też by nie żyła.

Poczułam, że usta otwierają mi się ze zdumienia. Zagapiłam się na nieznanego.

- Nie, pan nie rozumie - powiedziałam pospiesznie. - Bob zawsze jeździł zbyt szybko. Jakby oczekiwał, że inne samochody będą mu zjeżdżać z drogi. Nie pozwoliłabym mu prowadzić na tej górskiej drodze, ale miałam gripę. Leżałam w łóżku, w mieszkaniu na Manhattanie. Powinam być z nim. Powinam...

- Gnębi panią poczucie winy.

Zdrętwiałe miejsce w moim sercu ożyło nagle i wielką falą powrócił do mnie żal. Ze zgarbionymi ramionami, pochyloną głową płakałam i płakałam, wciąż od nowa. Nieznajomy się nie poruszył. Siedział i patrzył na mnie, a kiedy było po wszystkim, powiedział łagodnie:

- Wyrzuty sumienia nie sprowadzą go z powrotem, Daisy Keane, i pani to wie. W głębi duszy wie pani też, że każdy jest odpowiedzialny za własne czyny. Bob Hardwick nie zginął dlatego, że pani tam nie było, ale dlatego, że on się tam znalazł. W nieodpowiedniej chwili, w nieodpowiednim miejscu.

Słyszałam tykanie zegara. Polano osunęło się w palenisku i nowy płomień rozbłysnął jaśniej, odbijając się różem w srebrnym dzbanku na kawę. Pograżona w rozpacz, prawie nie widziałam pejzaży na ścianach, zblakłej czerwieni i zieleni dywanów, mosiężno-skórzanej osłony przed kominkiem, Ratsa, który chrapanął smacznie, przekręcając się drugim bokiem do ognia... Nie zwracałam uwagi na żaden z tych znajomych widoków i dźwięków. W martwej ciszy, która nagle zapadła, byłam tylko ja i ten obcy człowiek.

Drgnęłam, słysząc pukanie do drzwi. Weszła pani Wainwright. Odwracając pospiesznie wzrok od mojej rozmazanej twarzy, powiedziała:

- Nie wydostanie się pani stąd dzisiaj. Pan Stanley mówi, że drogi są zasypane, a pług wyjadą dopiero jutro, oczywiście pod warunkiem, że śnieżyca ustanie.

Hali, otoczony drzewami, był oddalony od wiejskiej ulicy. Przez padający śnieg ledwie mogłam dostrzec mętne, żółtawe światło latarni przy bramie na

końcu podjazdu. Nasze samochody, stojące przed wejściem, były już przykryte grubą białą koldrą. Wstałam, by zaciągnąć ciężkie jedwabne zasłony.

- Wygląda na to, że zostaje pan na noc, panie Montana. - Na tę myśl moje serce przepełniła niechęć.

Montana już stał, spoglądając na zegarek.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu...
- Nie ma pan wyjścia. Obawiam się, że utknął pan tu wraz ze mną.
- To żaden kłopot, proszę pana - powiedziała pani Wainwright, przejmując dowodzenie. - Połóż pana Montanę w Czerwonym Pokoju, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Kiwnęłam głową.

- Lepiej wprowadźmy samochody do garażu, zanim je kompletnie zasy pie - zaproponowałam nieznanemu.

Montana podziękował pani Wainwright, jeszcze raz podziękował mnie, spojrzął na zegarek. Miałam wrażenie, że mu się spieszy do wyjazdu, ale nie miał wyboru.

Zaprowadziłam go do szatni na tyłach domu, gdzie znalazłam parę pasujących na niego kaloszy i dałam mu starą, wełnianą kurtkę Boba. Ubrałam się podobnie, wsunęłam spodnie w kalosze i aż na brwi naciągnęłam czarną, wełnianą czapkę narciarską. Montanie podałam płaski, kraciasty kaszkiet.

Stanowiliśmy ciekawy widok.

- Wygląda pan jak wiejski szlachcic - stwierdziłam.
- A pani jak uchodźca z Syberii. - Wbrew samej sobie uśmiechnęłam się.

Padające płatki śniegu były twarde, zlodowaciałe; zacięły z boku, niesione wiatrem. Kiwnęłam na Montanę i dzielnie wyszłam w śnieżycę. Pan Stanley posypał solą frontowe schody, ale do wnętrza portyku zdążyło już napadać śniegu. Poślizgnęłam się. Montana złapał mnie za ramię.

- Powoli - powiedział.

Jego bliskość sprawiała mi przyjemność, i to, że się o mnie troszczy. Dzięki temu znów poczułam się drobna i kobieca. Minęło wiele czasu, od kiedy mężczyzna trzymał mnie pod ramię, i musiałam sobie przypomnieć, że ten tutaj chce mnie tylko uchronić przed skręceniem karku.

Montana oczyścił szyby mojego mini. Spojrzął na mnie z powątpiewaniem, kiedy zauważył, że śnieg sięga do połowy opon.

- Może ja poprowadzę? - zapytał.
- Poradzę sobie. A poza tym muszę panu pokazać drogę. Garaże są za do mem, w dawnych stajniach.

Poczekaliśmy, aż zmiecie śnieg ze swoich szyb. Usłyszałam warkot silnika. Za godzinę żaden z samochodów nie chciałby zapalić. Wydawało się cudem, że akumulatory jeszcze działały.

Wcisnęłam gaz. Opony zabuksowały, ale bez efektu. Wdepnęłam pedał mocniej i samochód skoczył do przodu. To było jak prowadzenie po piaszczystej wydminie. Zobaczyłam za sobą krótkie światła samochodu Montany i włączyłam kierunkowskaz w prawo, ostrożnie objeżdżając narożnik domu. Mimo to tylne koła wpadły w poślizg. Zdjęłam nogę z gazu i szybko wyprostowałam samochód. Nie chciałam wylądować w krzakach. Przejechałam wzdłuż ściany i skręciłam w prawo na wielki, brukowany dziedziniec. Śnieżny dywan, który go pokrywał, był nieskalany. Wcisnęłam pilota drzwi garażu i odetchnęłam z ulgą, kiedy podjechały do góry. Bałam się, że nie będą działać na tym mrozie.

Garaż jakimś cudem wciąż pachniał jak stajnia, którą kiedyś był, choć teraz stała w nim kolekcja samochodów Boba: bugatti z 1929 roku, jaguar e-type z 1964, corvette z początku lat sześćdziesiątych, turkusowoniebieski pletwisty chevrolet kabrio z lat pięćdziesiątych, ford mustang kabrio z 1964, a do tego nowy mercedes i piękne, jasnoczerwone ferrari, najnowszy model. Bob kochał samochody. To ironia losu, że zginął w jednym z nich.

Wprowadziłam mini do środka i machnęłam Montanie, żeby wjechał swoim jaguarem. Zaparkował obok mnie. Kiedy wysiadł, podałam mu miękką miotkę.

- Lepiej niech pan zmiecie śnieg, jeśli nie chce pan, żeby ten piękny kabrio let się zniszczył. - Patrzyłam, jak macha zmiotką, oczyszczając najpierw swoje jaguara, potem mojego mini.

- Nie wygląda pani na dziewczynę, która kupiłaby sobie czerwony samochód - powiedział przez ramię.

- Bo chyba nie jestem. Bob mi go kupił. Powiedział, że już pora, bym trochę rozjaśniła swoje życie.

Montana odwrócił się i spojrzął na mnie.

- I miał rację?

- Bob zawsze miał rację.

Montana odstawił miotkę pod ścianę i wyszliśmy z garażu. Elektryczne drzwi zamknęły się za nami i zostaliśmy sami w ciemności. Wielkie, czarne sykomory, obłożone śniegiem, jęczały na wietrze, a brukowany dziedziniec wyglądał jak zamrożona, biała kartka papieru.

Śnieg przestał padać. Staliśmy w ciszy, wdychając mroźne powietrze. Spojrzałam z ukosa na Montanę. Para buchała z jego nozdrzy jak u konia po długim biegu. Płatki śniegu osiadały na jego ciemnych włosach.

- To mi przypomina dzieciństwo na ranchu mojego taty w Teksasie - po wiedział cicho. - W takie śnieżne noce chodziłem do baraku i siedziałem z kowbojami wokół piecyka, słuchając, jak rozmawiają o koniach i bydło. Po tem wracałem do siebie. Czasami śnieg sięgał mi do kolan i zanim dotarłem do domu, byłem skostniały z zimna. Zazdrościłem chłopakom ich ciepłego baraku, tej ich zadymionej wspólnoty, wspólnych zainteresowań, niewymuszonych rozmów. W domu byłem tylko ja, mój tata i posługacz, były kowboj, za stary, żeby jeździć na koniu.

Znów zaczęło padać. Zadrżałam z zimna.

- Pewnie pan za tym tęskni - zgadywałam.
- Ani trochę. Teraz jestem mieszcuchem. Chciałaby pani zrobić aniołka na śniegu? - zapytał z uśmiechem.
- Nie ma mowy. Już jestem przemarznięta.

Wziął mnie pod ramię i ruszyliśmy przez dziedziniec. W głębokim śniegu musieliśmy wysoko podnosić nogi i ostrożnie stawiać je z powrotem, posuwając się powoli do przodu. Kiedy nareszcie dotarliśmy do tylnych drzwi, twarz miałam pokrytą śniegiem, dyszałam z wysiłku i zimna.

Ciepłe, żółte światło sączyło się z okien. Z ulgą weszliśmy do środka, zrzuciliśmy przemoczone kurtki i zaczęliśmy podskakiwać na jednej nodze, ścigając kalosze i śmiejąc się z siebie nawzajem, bo bardzo głupio to wyglądało. Kiedy zjawiliśmy się w holu, pani Wainwright wyszła nam na spotkanie i oznajmiła, że kolacja będzie gotowa za godzinę.

- Będziemy mieli czas, żeby wziąć gorącą kąpiel i przebrać się w coś suchego - stwierdziłam. Nagle przypomniałam sobie, że mój gość nie ma bagażu. Powiedziałam mu, że ubrania Boba z pewnością będą na niego za duże, więc jest skazany na to, co ma na sobie.

Montana wziął walizkę z laptopem i razem weszliśmy po szerokich schodach na galerię na piętrze. Na całej jej długości znajdowały się drzwi do pokoi. Bob zajmował główny pokój nad portykiem, z widokiem na wioskę i dalej, aż na falujące łagodnie doliny, latem usiane owcami. Skrzyłem w lewo, zaprowadziłam Montanę do Czerwonego Pokoju. Stwierdził, że pomieszczenie godne jest swojej nazwy - pokój cały wyłożony był czerwonym brokatem. Na środku stało rzeźbione, jakobińskie łóżko z baldachimem, tonące w czerwonym jedwabiu. Bob sam urządził ten pokój. Kiedy powiedziałam, że moim zdaniem wszystko to przypomina hinduską restaurację, zaprzeczył. Jego zdaniem pokój wyglądał jak bombajski burdel, i stwierdził, że dokładnie o to mu chodziło. Teraz wyraziłam nadzieję, że mój gość nie będzie się czuł nieswojo, śpiąc w czerwonym burdelu. Montana się roześmiał.

Pokazałam mu przylegającą do pokoju łazienkę, wyłożoną ciemną boazerią, z żeliwną wanną na nóżkach. Zostawiłam go samego i poszłam do własnego zacisza, w drugim końcu domu.

Rozdział 5

Harry Montana

Montana długo stał pod gorącym prysznicem. Wreszcie poczuł, że kości zaczynają mu tajać. Od dzieciństwa nie był tak zmarznięty. Wytarł się, owinął ręcznik wokół bioder i stanął przed lustrem, pocierając dłonią podbródek szorstki od zarostu. Nie myślał o tym, jak wygląda, ale o kobiecie, którą właśnie poznał, i o jej związku z sir Robertem Hardwickiem.

Daisy Keane była atrakcyjna i elegancka. Ubierała się w tym surowym nowoczesnym stylu, który ułatwiał życie wielu kobietom, niezbyt pewnym własnego gustu. Nie pasowało to do jej uroczych piegów wiejskiej dziewczyny ani

grzywy lśniących, rudych włosów i pełnych, słodkich ust. Ani do jej niskiego, uwodzicielskiego głosu. Montana spodziewał się twardej karierowiczki, gotowej oskubać Boba z czego się da. Zamiast tego znalazł niepewną siebie, wręcz bezbronną dziewczynę. Albo była dobrą aktorką, albo naprawdę zależało jej na Hardwicku. Kto to mógł wiedzieć? Kiedy stawką były takie pieniądze jak jego fortuna, wszystko było możliwe. Ale podobą mu się jej troska o psa. Była jeszcze dla niej nadzieja. I założyłby się, że nie spodziewała się spotkać na pogrzebie kogoś takiego, jak on. Różnili się od siebie jak dzień i noc, i spędzą ten wieczór razem tylko ze względu na Boba Hardwicka i na śnieżycę. I dlatego, że miał dla niej list. Zamierzał podrzucić go do Hali po pogrzebie, ale sama go zaprosiła.

Założył ubranie, sprawdził bransoletkę - która nigdy nie opuszczała jego nadgarstka - zapiął dżinsy i nabijany srebrnymi ćwiekami pasek, a potem wsunął stopy w czarne buty. Nie rozgrzał się jeszcze jak należy i oddałby wszystko za kieliszek bourbona. Słyszał, jak zlodowaciały śnieg uderza o szyby.

Miał zaledwie dwanaście lat, kiedy ojciec zmarł bez grosza przy duszy, a jego eksmitowano z farmy. Władze szybko podrzuciły go rodzinie zastępczej, mieszkającej na obrzeżach wielkomiejskiego getta. To miejsce było oddalone o lata świetlne od cichych równin rancha, po których błąkał się na koniu.

Zniszczony, nędzny krajobraz miasta i beznadziejne życie, jakie wiódł, odcisnęły niezatarte, bolesne piętno na jego duszy. Znosił to przez dwa lata, a potem wyruszył w świat z kilkoma dokami w kieszeni lewisów i z czarną, dzinsową kurtką, która należała do co najmniej trzech innych dzieciaków, zanim trafiła do niego. Miał czternaście lat, ale wyglądał na szesnaście, kiedy zaczął swoją samotną, trwającą rok podróż bocznymi drogami Teksasu. Szybko stał się mądrzejszy i twardszy niż przeciętny nastolatek. Kiedy kończyły mu się pieniądze, co spotykało go nader często, zawsze znajdował jakąś pracę, ale nigdzie nie zagrzał miejsca zbyt długo. Z powrotem ruszał w swoją drogę donikąd, bez widoków na świetlaną przyszłość, bez nadziei na coś lepszego. Tak było, dopóki nie spotkał człowieka, który odmienił jego życie. Człowieka, który przyjął go do siebie i otworzył jego umysł na świat książek i nauki. I duchowości, której nigdy przedtem nie doświadczył.

Człowiek ten nazywał się Phineas Cloudwalker* i był rdzennym Amerykaninem, pochodzącym z plemienia Komanczów, choć sam zawsze mówił o sobie „Indianin”. Dzięki Phineasowi Cloudwalkerowi Montana otrzymał dobre wykształcenie i w końcu zdobył dyplom z wyróżnieniem na Uniwersytecie Duke’a.

Po studiach Montana wstąpił do marines, gdzie jego samotnicza, nonkonformistyczna natura szybko wpakowała go w kłopoty. Poznano się jednak na jego inteligencji i zdolnościach przywódczych, i mianowano go porucznikiem w oddziale specjalnym zwanym Delta Force. Tam, pośród innych młodych ludzi, gotowych podjąć każde wyzwanie, każde ryzyko, gotowych umrzeć za siebie nawzajem i za swój kraj, Montana zabłysnął.

Dziesięć lat i kilka ciężkich kampanii, później opuścił oddział, by zająć się umierającym Komanczem, który uratował mu życie i ocalił jego duszę. Bransoletka, którą nosił, należała właśnie do niego. To jego wartości uznawał za własne, od niego nauczył się siły. Uważał go za swojego prawdziwego ojca.

Od swojego mentora Montana nauczył się też, że powinien cieszyć się każdym dniem. Tutaj, w cichym komfortowym Sneadley Hali, gdzie wciąż rządziła tradycja, zdał sobie sprawę, że niemal utracił tę umiejętność. Ostatnio głównie pracował. W jego życiu nie było miejsca ani czasu na psa takiego jak Rats, ani na prawdziwy dom, choć właściwie nigdy go nie pragnął. Wędrowny styl życia zanadto mu odpowiadał.

Podszedł do okna i odsunął zasłonę, by popatrzeć na śnieżny krajobraz. Nie spodziewał się śnieżycy tak późno w kwietniu, ale najwyraźniej nie spodzie-

wali się jej także meteorolodzy. Można by pomyśleć, że ze swoimi radarami Dopplera i globalnymi prognozami powinni byli przewidzieć tę burzę. A on powinien już być w Londynie. Czekwała na niego kobieta. Wyjął komórkę i wystukał numer.

- Przykro mi, kotku - powiedział, kiedy odebrała. - Utknąłem na północy, w śnieżycy. - Posłuchał chwilę jej narzekań, przeprosił jeszcze raz i powiedział, że rzeczywiście fatalnie się złożyło, ale nic nie może na to poradzić. Kiedy znów zaczęła psioczyć, zirytował się w końcu i rzucił ostro: - Kotku, takie jest życie. Zadzwoń później. - Była ładna, seksowna i stanowczo wy-

magiała od niego zbyt wiele. A on nie potrzebował wymagającej kobiety. Prawdę mówiąc, nie potrzebował żadnej kobiety. Był zupełnie szczęśliwy sam, nie będąc niczyją własnością.

Ten Czerwony Pokój zaczynał go wkurzać. Czerwień nie była jego ulubionym kolorem. Wyjął dużą, szarą kopertę z walizki i, zostawiając czerwone jedwabie za sobą, szedł na dół. Rats wciąż leżał zwinięty przy ogniu. Łypnął na niego jednym okiem, powęszył ze znużeniem i odwrócił wzrok.

- Biedny piesek - powiedział łagodnie Montana.

Położył kopertę na stoliku w holu. Długim pogrzebaczem poruszył polana w kominku i stanął plecami do ognia, z rękami w kieszeniach dzinsów, rozmyślając o powodach, dla których tu przyjechał. Umierając, Hardwick zostawił mu w spadku zagadkę. Montana był zdecydowany ją rozwiązać. Do tego powierzono mu misję, którą zamierzał wypełnić dziś wieczorem. Te obowiązki sprawiły, że znalazł się tutaj, zamiast spędzić wieczór w swoim londyńskim mieszkaniu z ładną dziewczyną, która doprowadzała go do szału. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie wyszedł na tym lepiej. Mimo tego, że utknął w Yorkshire, w czasie burzy śnieżnej, i miał w perspektywie burzę, która mogła się okazać jeszcze gwałtowniejsza niż ta, której uniknął.

Rozdział 6

Daisy

Ze wszystkich domów Boba najbardziej lubiłam Sneadley Hali, choć nie widziałam jeszcze jego willi na Capri. Jakoś nigdy nie udało nam się tam zajrzeć. Bob mówił, że jest zbyt zajęty, by zrobić sobie prawdziwe wakacje, choć to właśnie był główny powód, dla którego kupił willę Belkiss.

* Chodzący po Chmurach.

Usiadłam na łóżku i zdjęłam przemoczone skarpetki, rozglądając się po znajomym pokoju, który właściwie nie należał już do mnie.

Następnego dnia po tym, jak Bob zaproponował mi pracę, przywiózł mnie właśnie do Sneadley. Po obskurnej kawalerce w Bayswater ten pokój wydał mi się rajem, a kiedy Bob powiedział, że mogę go urządzić, jak chcę, pojechałam do najbliższego miasteczka po farby i pędzle, po czym wróciłam i sama go pomalowałam.

- Znasz się na rzeczy, dziewczyno - powiedział Bob, stając w drzwiach i patrząc, jak balansuję na drabinie i macham wałkiem po suficie. - Ale mogłem to zlecić robotnikom, nie musiałaś zadawać sobie tyle trudu.

- Trudu? - wykrzyknęłam uradowana. - To najmiłsza rzecz, jaka mnie spotkała od lat. Jestem zachwycona. A poza tym robiłam to, kiedy byłam mężatką. Sama urządziłam dom, wszystkie pomieszczenia.

- A jaki był twój dom? — Po raz pierwszy zapytał o coś dotyczącego mojej przeszłości.

- Podmiejski. Nudny. Pusty. Miałam nadzieję na dzieci, ale jakoś się nie udało.

- Pewnie dlatego, że za mało się bzykałaś - rzucił kwaśno, rozśmieszając mnie. Miał rację.

Ściany pokoju pomalowałam gąbką na kolor bladej terakoty, aż zaczął wyglądać tak, jak wyobrażałam sobie starą tokańską willę, wyblakłą od upływu lat i od słońca. Może malowanie gąbką było dekoratorskim banałem, trochę passę, ale za każdym razem, kiedy wchodzę do tego pokoju, czuję, jak mnie wita. Po prostu go uwielbiałam.

Futryny trzech wysokich okien osadzone były głęboko w wyłożonych boazerią otworach strzelniczych i miały prawdziwe, wewnętrzne okiennice. Pomalowałam je na białe, kupiłam zasłony z ciężkiej tafty w brązowe i bladozłote pasy, a na podłodze położyłam miękkie kremowy dywan. Meble były z lat trzydziestych, jasny orzech. Miałam tu drewniane łóżko z puszystą kołdrą z kremowego jedwabiu i toaletkę z małymi srebrnymi kinkietami po obu stronach ozdobnego, weneckiego lustra. Przy oknie stał szezlong, obity jasną szeniłą, ze stertą aksamitnych poduszek. Lubiłam na nim czytać w letnie wieczory, wdychając zapach świeżo skoszonej trawy i słuchając cichego pobekiwania owiec, dobiegającego ze wzgórz.

Włączyłam Dianę Krall, weszłam do łazienki, odkręciłam kurki nad wanną, wlałam do wody trochę jaśminowego olejku i zapaliłam dwie świece. Z ulgą zdjęłam z siebie żałobne ubranie. Zostawiłam je tam, gdzie stałam, i zanurzyłam się w kąpieli, zamykając oczy, sflukując z sie-

bie wspomnienie tego okropnego dnia, gryzącego zimna i mojej własnej rozpacz.

Płynął ku mnie miękki głos Krall, śpiewającej stare standardy. Co mnie teraz czeka, zastanawiałam się. Teraz, kiedy nie ma już Boba Hardwicka, który i mnie uratuje? Trzeba było podjąć wiele decyzji. Czy mam zostać w Anglii? Wrócić do Chicago? A może spróbować szczęścia w Los Angeles, tak jak całe mnóstwo innych ludzi? Moja siostra Lavender, starsza ode mnie o siedem lat mężatka z trójką dzieci, mieszkała w San Francisco. Różnica wieku była tak duża, że nigdy nie byłyśmy tak naprawdę blisko. Moja druga siostra, Vi, też miała własne pracowite życie. I choć wszystkie trzy kochałyśmy się, wiedziałam, że byłoby nie fair nagle zwalić im się na głowę. A to -jak zapewne powiedziałby Bob - dawało mi absolutnie wolną rękę.

Słyszałam niemal, jak mówi: „Zawsze szukaj pozytywnego aspektu. Nie jesteś w ślepej uliczce, jesteś po prostu na skrzyżowaniu. Od ciebie zależy wybór drogi”.

Potrzebowałam pocieszenia. Wzięłam komórkę i wybrałam chicagowski numer mojej przyjaciółki, Bordelaise Maguire. Wiem, że Bordelaise to dziwne imię, ale tak się przypadkiem złożyło, że jej matka była akurat na kursie francuskiej kuchni, kiedy niespodziewanie zaczęła rodzić. *Bordelaise* było pierwszym słowem, jakie wypowiedziała, kiedy dziecko przyszło na świat. I dlatego moja przyjaciółka nosiła imię po francuskim sosie.

Oczywiście dzwoniłam już nie raz, żeby się wypłakać na jej ramieniu, kiedy Bob umarł. I oczywiście Bordelaise powiedziała, że złapie samolot i następnego dnia już będzie przy mnie. Ale nie mogłam na to pozwolić. Powiedziałam sobie, że tym razem muszę stać twardo na własnych nogach, że muszę zająć się wszystkim, tak jak oczekiwалby tego ode mnie Bob. Pomógł mi stać się nową silną kobietą i przyszła pora, żebym udowodniła, że naprawdę nią jestem. Teraz wiem, że to było głupie, odmawiać, kiedy mogłam się cieszyć towarzystwem mojej najbliższej przyjaciółki, ale kiedy jesteśmy w stresie, robimy głupie rzeczy.

Od tamtej pory Bordelaise codziennie pisała do mnie maile. A ja odpisywałam jej, że czuję się dobrze, że wkrótce pewnie opuścę Sneadley Hall i chyba jednak wrócę do Chicago.

Teraz odebrała po pierwszym sygnale. I nawet nie pytając, kto to, jakby się spodziewała, że zadzwonię, zapytała:

- Wszystko okej?
- Mniej więcej.
- Więc już po pogrzebie.

- Już po - przyznałam płaczkliwie.
- Więc teraz idź do łóżka z dużą szklanką grzanej whisky z cytryną. Po prostu wleź pod kołdrę i się prześpij. Założę się, że ostatnio niewiele spałaś.
Sen należał do nocy, kiedy Bob jeszcze żył.
- Gadasz jak moja mama - powiedziałam.
- Ktoś musi się o ciebie troszczyć, nawet jeśli tylko na odległość.
- Nic mi nie jest, naprawdę. Wszystko w porządku. Właśnie biorę drugą, gorącą kąpiel. Mamy tu burzę, zasypało nas śniegiem.
- Tutaj też jest śnieżycza - poinformowała mnie. - Słuchaj, naprawdę wszystko w porządku? - W jej głosie brzmiało powątpiewanie, więc znowu zapewniłam, że nic mi nie jest i powiedziałam, że zaraz idę na dół zjeść kolację z przyjacielem Boba.

- Drogi są zamknięte i utknął tu na noc - wyjaśniłam. - Więc nie musisz się martwić, nie jestem sama. Chciałam tylko z tobą pogadać, i tyle.

- Masz to jak w banku, dziewczyno — powiedziała miękko Bordelaise. Rozłączyłyśmy się, obiecując sobie porozmawiać jutro.

Znamy się z Bordelaise od podstawówki. Jej rodzice byli właścicielami restauracji, w której pracowała moja mama i jako nastolatki obie dorabiałyśmy sobie tam, kelnerując, myjąc gary i stoły i plotkując o klientach - kto nam się podoba, kto się z kim spotyka, która żona zdradza męża.

Bordelaise była jasnookim skrzatem, drobniutkim, z rozczochranymi blond włosami i zbyt długą, postrzępioną grzywką, która zwisała aż na te jej oszalałymi niebieskie oczy. Doprowadzało to jej mamę do szału. Przysięgała, że córka nic nie widzi. Facetów ciągnęło do niej jak przysłowiowe niedźwiedzie do miodu; wystarczyło, że przeczeszała ręką włosy, posłała zalotne spojrzenie i psotny uśmiech, i już było po nich. I miała to poświadczzone notarialnie. Dwóch mężów trafionych i zatopionych, trzeci w drodze na dno. Nie żeby ją to załamało. W przeciwieństwie do mnie, zawsze była chętna przeżyć nową przygodę.

Woda w wannie zaczęła już stygnąć. Wyszedłam z niej i owinełam się we wspinały, wielki i miękki ręcznik. Przez chwilę stałam, patrząc na swoje odbicie w lustrzanych ścianach.

Oto ja, myślałam, przyglądając się sobie. Opanowana i spokojna na zewnątrz, w środku wciąż rozdygotana. Nigdy nie byłam piękną; raczej piegowatym, tyczkowatym dzieciakiem, który wyrósł na piegowatą, tyczkowatą kobietę. Mam za małe cycki jak na aktualną biuściastą modę. Długie, proste jak u topielicy, ciemnorude włosy żyją własnym życiem i dlatego zwykle noszę je upięte po bokach albo ściągnięte do tyłu, by nie wchodziły mi do oczu, które mają kolor zielonych oliwek. Nogi są moim największym atutem - dłu-

gie i smukłe. Z sadomasochistycznych szpilek przerzuciłam się na bardziej eleganckie i „twarzowe”, koszmarnie drogie buty, które są moją największą słabością. Mam zdrową, ładną cerę pod tymi wszystkimi piegami, prosty nos i pełne wargi. I jestem jedną z niewielu kobiet, jakie znam, które mogą używać czerwonej szminki - a konkretnie Armani nr 9. W sumie nie jestem taka najgorsza jak na kobietę, która prawie w ogóle o sobie nie dba i wiecznie chowa swoją bezradność pod czarnymi garsonkami.

Bo tak naprawdę jestem zdolną oszustką. Supersprawną, bystrą asygentką, sprawiedliwą, ale surową, kiedy zachodzi taka potrzeba, zawsze opanowaną, zawsze na swoim miejscu. Tylko Bob znał prawdziwą mnie; przejrzał mnie od samego początku. I jeszcze Rats wiedział, kim naprawdę jestem. Wskakiwał mi wieczorem do łóżka, nie zwracając uwagi na moje skarpetki (wiecznie miałam zimne stopy, co według Boba było „znaczące”) i na moją wygodną, ale znoszoną koszulę nocną. Wtulał się we mnie - ciepłe, żywe stworzenie, przed którym mogłam wylać wszystkie żale, jakby mnie rozumiał. A zresztą, kto może powiedzieć, że tak nie jest? Tak czy inaczej ja wierzyłam, że Rats mnie rozumie. Tylko on i Bob - i moja przyjaciółka Bordelaise - znali prawdziwą mnie.

Stojąc nago w mojej ślicznej łazience, czułam się tak samo jak wtedy, kiedy przed moim domem, który nie był już mój, wystawiono znak NA SPRZEDAŻ. Wyrzucona na mróz. Znow sama.

Szybko ubrałam się w czarny sweter i luźne spodnie z czarnego aksamitu, po czym zasiadłam przy mojej ślicznej toaletce, żeby przypudrować nos, nałożyć szminkę i wyszczotkować włosy. Skropiłam się za uchem odrobiną L'Heure Bleue Guerlaina - to był prezent od Boba, a zapach miał tak egzotyczny, że sama nigdy bym go nie wybrała - wsunęłam bose stopy w czarne baletki i poszłam na dół, by zjeść kolację z Harrym Montaną.

Rozdział 7

Daisy

Montana stał przy kominku w holu, z rękami w kieszeniach dzinsów. Uniósł wzrok, kiedy usłyszał moje kroki, i patrzył mi w oczy, gdy szłam w jego stronę. Uśmiechnął się.

- Zniknął syberyjski uchodźca, zjawiała się pani domu - powiedział.
- Sądzi pan, że to zmiana na lepsze? - Czyżbym z nim flirtowała? Jak mogłam? W takiej chwili.
- Z całą pewnością.
- Tak czy inaczej, jak pan wie, nie jestem panią tego domu. Jestem tylko pracownicą.
- Kimś więcej. Była pani jego przyjacielem.
- Uśmiechnęłam się.
- To lepsze niż: „ktoś w rodzaju przyjaciela”.
- Nie znałem Boba wystarczająco dobrze, żeby być kimś więcej niż siłą najeżdżoną - wyjaśnił. - Ale ponieważ Bob miał taki, a nie inny charakter, zostałem „kimś w rodzaju przyjaciela”.

Oczywiście chciałam wiedzieć, dlaczego Bob go zatrudnił, ale nie spytałam. Dyskrecja należała do moich obowiązków. Zamiast zaspokoić ciekawość, zaproponowałam drinka. Rats ruszył za mną, kiedy poprowadziłam gościa do salonu, gdzie znajdował się barek - wielka kolekcja butelek, szklanek i kieliszków, poustawianych na srebrnych tacach w ogromnym siedemnastowiecznym dębowym kredensie. Rzuciłam gościowi pytające spojrzenie przez ramię.

- Pewnie nie ma pani bourbona? - zapytał.
- Oczywiście, że mam. Z lodem?
- Poproszę.

Nalałam drinka i podałam Montanie, po czym zajęłam się przygotowywaniem kolejnego dla siebie. Wybrałam cosmo, polubiłam je po pierwszym razie w Le Gavroche. Potrząsnęłam energicznie srebrnym shakerem, nalałam sobie drinka do kieliszka od martini, dodałam serpentynkę z cytryny.

Montana obserwował mnie z rozbawioną miną.

- Dziewczyński cosmopolitan - powiedział. - Spodziewałem się po pani czegoś więcej.

Najeżyłam się na tę zakamuflowaną krytykę.

- Na przykład?
- Och, może słodowej whisky, rzadkiej rosyjskiej wódki...
- Dlaczego pan myśli, że lubię mocne alkohole? Taka jestem twarda? - Podsunęłam mu domowe paluszki serowe, dzieło pani Wainwright, jeszcze ciepłe.
- Nie twarda. Może raczej... twarda na pokaz. Dobre.
- Pani Wainwright świetnie gotuje.

Poczułam się nagle trochę niezręcznie w towarzystwie tego obcego człowieka. W atmosferę wkradł się wyraźny chłód. Pomyślałam ze znużeniem, że to może być długi wieczór. Spojrzałam na Ratsa, który leżał na brzuchu przy og-

niu. Odstawiłam swojego drinka i miskę z paluszkami na stolik i siadłam na wygniecionej, starej kanapie.

- Chodź tu, piesku - zawołałam. Rats posłał mi drugie, smutne spojrzenie, ale w końcu wstał, podszedł powoli i wdrapał się na moje kolana.

Polizał mnie wylewnie w podbródek. Otarłam twarz grzbietem dłoni.

- Jacki Russelle uważają się za małe, kanapowe pieski - poinformowałam Montanę, który usiadł naprzeciw mnie.

- Przynajmniej jakaś oznaka życia - odparł.

Popijał w milczeniu swojego drinka. Ja popijałam swojego.

- Więc mieszka pan w Dallas, panie Montana? - zapytałam w końcu.

- Między innymi.

Najwyraźniej nie miał zamiaru opowiadać o sobie.

- Ale nie na ranchu swojego taty? - naciskałam.

- Rancho zbankrutowało tuż przed jego śmiercią. Miałem wtedy dwanaście lat. Nie byłem tam od tego czasu.

- Przepraszam. - Zmieszła mnie jego nagła szczerość. - Nie chciałam być wścibska.

- Nie mam żadnych tajemnic - odparł spokojnie. - Po śmierci taty zostałem umieszczony w rodzinie zastępczej. To byli przyzwoici ludzie, po prostu brakowało w tym wszystkim miłości. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Może dlatego od dziecka wciąż jej szukałem.

- I znalazł ją pan?

- Kilka razy. - Zmrużył oczy i spojrzał na mnie. Poczułam, że robi mi się gorąco w miejscu, gdzie włosy opadały mi na kark. Zauważyłam, że jego tęczołki były ciemnoszare jak kamień z Yorkshire.

- Czy którakolwiek z tych miłości trwała dłużej? - Zabiłabym go, gdyby zadał mi tak osobiste pytanie, ale on nie wyglądał na zmieszanego.

- Ani jedna. Prawdopodobnie patrzy pani na jedyne heteroseksualnego nieżonatego czterdziestoczterolatka, jaki został w Teksasie.

Roześmiałam się.

- Przynajmniej tę jedną kwestię mamy wyjaśnioną - powiedziałam.

Znow flirtowałam. Co we mnie wstąpiło? Przecież nawet mi się nie podobał. W każdym razie nie bardzo, choć na swój sposób był atrakcyjny. Z całą pewnością różnił się od mężczyzn, z którymi wiązałam swoje plany przez kilka ostatnich lat. Jak zawsze szukałam miłości w nieodpowiednich miejscach. Leżało to w mojej naturze, jak powiedział kiedyś Bob.

- Jeszcze jednego bourbona, panie Montana? - Staralam się, najlepiej jak umiałam, wcielić w rolę angielskiej lady.

- Nie sądzi pani, że wystarczyłoby Harry? W końcu utknęliśmy tu razem na noc, w śnieżycy.

- Jeszcze jednego drinka, Harry?

- Nie, dziękuję, pani Keane.

- Okej, okej, niech będzie Daisy.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu Montana zapytał:

- Więc jak właściwie wygląda twoja historia, Daisy Keane? Skąd pochodzisz i jak to się stało, że się tu znalazłaś?

- Jesteś prywatnym detektywem. Myślałam, że już to wiesz. - Posłał mi spojone spojrzenie, które mówiło, że jestem śmieszna. Wzruszyłam ramionami. - Pochodzę z Chicago. Wylądowałam na przedmieściu w Illinois z niewiernym mężem, który sprzedał nasz dom i uciekł z dwudziestoletnią blondynką. Pewnie nie dobrze znasz takie historie.

- Nie zajmuję się tego typu sprawami.

- Ajakimi? - Mój ton był lodowaty, nie wiedziałam dlaczego. Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Wykończona tym długim, okropnym, smutnym dniem, wykończona trzymaniem emocji na wodzy, wykończona płaczem w obecności obcego człowieka. Chciałam tylko znaleźć się w łóżku, ze zgaszonym światłem, przykryta kołdrą po szyję, z Ratsem smacznie śpiącym na moich stopach. Sama ze wspomnieniami.

- Kryminalnymi.

Spojrzałam na niego, osłupiała. Co taki człowiek miał wspólnego z Bobem?

- Zajmuję się kradzieżami, oszustwami, wyłudzeniami - zamilkł na chwilę - i morderstwami.

Zerwałam się na równe nogi. Rats, protestując, zsunął się z moich kolan na kanapę. Montana spojrzał mi znacząco w oczy.

- Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że Bob został zamordowany?

- Być może. - Moje serce zatrzepotało niespokojnie, a potem wpadło do żołądka jak ołowiany ciężar. -A więc, Daisy - powiedział Montana - co konkretnie dostaniesz z majątku Boba?

Zagapiłam się na niego.

- Mówiłam ci, jestem tylko pracownicą. Niczego się nie spodziewam. A już z pewnością nie spodziewałam się, że zginie!

- Byłaś też najbliższą mu osobą, wiesz o nim wszystko, znasz wszystkie jego sekrety. Na pewno musiałaś czasem o tym myśleć? W końcu na liście „Forbesa”, najbogatszych ludzi świata, Bob znajdował się w pierwszej setce.

Wreszcie dotarło do mnie, do czego zmierza. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

- Chyba nie sugerujesz, że to ja zabiłam Boba?

Pokazał mi zęby w tym swoim zimnym uśmiechu.

- A co? Zabiłaś?

Rozdział 8

Daisy

Rozległo się pukanie do drzwi i pani Wainwright wsunęła głowę do pokoju.

- Kolacja gotowa, pani Keane. Zaraz będę wyjmować puddingi z piekarni

ka, więc jeśli zechcą państwo usiąść do stołu...

- Tak. Oczywiście, pani Wainwright. - Wzięłam się w garść. Wstałam z kanapy i poszłam do jadalni z człowiekiem, który podejrzewał, że zabiłam swego pracodawcę.

Pani Wainwright nakryła miejsca naprzeciwko siebie przy jednym z końców długiego stołu. Montana odsunął mi ciężkie krzesło; klapnęłam na nie, zanim kolana odmówiły mi posłuszeństwa. Na srebrnej tacy czekała butelka bordeaux. Nalał mi kieliszek.

- Przepraszam, że cię zszokowałem, ale byłaś przyjaciółką Boba. Musiałem ci powiedzieć. A poza tym to tylko przecucie. Nie mam dowodu.

Kiwnęłam głową.

- Teraz rozumiem. To dlatego tu jesteś.

Usiadł naprzeciwko. W tej samej chwili weszła pani Wainwright, niosąc blachę ze skwierczącymi puddingami.

- Tak je podajemy w tych stronach, sir, gorące i świeżutkie - poinformowała Montanę, nakładając puszysty pudding na jego talerz. - Tradycyjnie serwujemy je na pierwsze danie, z porządnym sosem. Może od razu dwa, sir. Na pewno panu posmakują. Jestem słynna z moich puddingów.

- Pani Wainwright robi najlepsze - zapewniłam Montanę, podając mu sośnię. Bob lubił prostą zastawę, zwyczajne, białe talerze i srebra. Kieliszki były z pięknego, cienkiego kryształu, ale też niewymyślne. Bob nie cierpiał pić dobrego wina z grubego szkła. Dlaczego rozmyślałam o zastawie stołuwej? Chyba traciłam rozum.

Poczułam, jak Rats klapnął na moje stopy pod stołem. Schyliłam się, by go pogłaskać, patrząc, jak Montana pożera puddingi.

- Są fantastyczne - powiedział, zerkając na mnie. - Przedtem puddingi ja dałem tylko w restauracjach w Ameryce. Przypominały twarde, stare naleśniki.

- Tutaj jest ich ojczyzna, jesz oryginał, nie podróbkę. Chcesz jeszcze jeden?

Pokręcił głową.

- Ty też powinnaś coś zjeść. Nie możesz przeżyć wieczoru na jednym kawałku biszkoitu.

Upiłam łyk dobrego wina. Spojrzałam na etykietkę. To wino Bob podawał zawsze do rostbefu. Pani Wainwright pamiętała, by otworzyć je wcześniej. Teraz weszła do jadalni razem ze swoją córką, Brendą, która była mniej więcej w moim wieku, miała jasne włosy z pasemkami, różową cerę dziewczyny ze wsi i niebieskie oczy po matce. Jej dwie córki były już nastolatkami, a mąż pracował w supermarkecie w pobliskim miasteczku. Zapytałam Brendę, czy udało mu się dotrzeć do domu. Odparła, że nie, musiał zostać na noc u kuzyna, bo nic nie było w stanie przejechać przez ten śnieg. Brenda mieszkała kilka domów od bramy Hali, ale stwierdziła, że mimo zasp bez problemu wróci do siebie.

Ustawily półmiski na stole, zebrały puste talerze, podały nowe i zostawiły nas samych. Jak automat zaoferowałam Montanie rostbef, podałam młode ziemniaczki z masłem i pietruszką, pieczony pasternak, brukselkę. Sobie nałożyłam niewielką porcję, ale nie byłam w stanie niczego tknąć. Wypiłam za to wino. Harry nalał mi więcej.

- To dobrzy ludzie - stwierdził.

- Tutaj są sami dobrzy ludzie - powiedziałam. - A najlepszy z nich był Bob. Ci ludzie mają powody, by o tym pamiętać. Troszczył się o nich jak prawdziwy wiejski szlachcic z dawnych czasów.

Na Montanie nie zrobiło to wielkiego wrażenia.

- Coś ci powiem - rzuciłam z gniewem, podsycanym winem i strachem. - Może wyda ci się to dziwne, ale Bob Hardwick był człowiekiem nieskończonej dobroci. Zapytaj kogokolwiek w okolicy. Zawsze był gotów dawać i nie robił przy tym zamieszania, nie prosił o uznanie i pochwały. Jeśli ktoś był w potrzebie, a on się o tym dowiedział, pomagał po cichu. Zawsze powtarzał, że on też był kiedyś na uczuciowym i finansowym dnie. I dlatego mnie rozumiał. Wiedział, przez co przeszłam, co przeżywałam w tym fatalnym momencie mojego życia, kiedy go poznałam. Pomógł mi, nie pytając o nic. On po

prostu... rozumiał. Właśnie taki był prawdziwy Bob Hardwick. - Spojrzałam mu twardo w oczy. - Nikt nie chciałby zabić Boba - dodałam. - Nikt!

- Mam nadzieję, że masz rację.

Otworzyły się drzwi i weszła Brenda, by sprzątnąć nasze talerze. Przyniosła półmisek pełen serów, krakersów i winogron, wyjęła też z kredensu butelkę porto.

- Mama za chwilę przyniesie kawę, pani Keane. Ja muszę już wracać do moich dziewczynek.

- Dziękuję, Brendo. - Spojrzałam na śnieg wciąż wirujący za szybami. - I proszę na siebie uważać. Na dworze nie jest ani trochę lepiej.

Usłyszałam, jak drzwi zamykają się za nią. Francuski emaliowany zegar z małymi nimfami z brązu, które podtrzymywały kryształową tarczę, tykał głośno. Rats ułożył się wygodniej na moich stopach. Jadalnia była przytulna i cicha, wypełniał ją zapach pieczeni i dobrego wina. Ciepła, z przyćmionym światłem, była miejscem, w którym miło było przebywać w burzliwą, zimową noc - a przynajmniej byłoby miło, gdyby to Bob nalewał porto, a nie Montana. Ogarnęła mnie fala niechęci. Dlaczego ten obcy musiał tu przyjechać ze swoimi koszmarnymi wątpliwościami na temat śmierci Boba? Dlaczego musiał padać śnieg, więząc mnie tu z nim? Każdego innego dnia mogłabym mu powiedzieć, żeby się wynosił, ale tego wieczoru to było niemożliwe.

Odmówiłam porto; zamiast tego drżącą ręką nalałam sobie kolejny kieliszek wina. Już trzeci, liczyłam. Plus cosmopolitan. A to wszystko na pusty żołądek. Pomyślałam, że powinnam coś zjeść. Wzięłam krakersa i kawałek kruszącego się, miejscowego sera Wensleydale. Nie mówiłam nic, czekając na kolejny ruch Montany. Teraz byłam już pewna, że wpuściłam do domu wroga.

Weszła pani Wainwright z serwisem do kawy. Powiedziała dobranoc i znów zostawiła nas samych.

Czułam na sobie wzrok Montany. Skruszyłam ser w palcach. Byłam pewna, że jeśli włożę kawałek do ust, udławię się. Rats wylazł spod stołu. Podeszedł do drzwi, oglądając się na mnie.

- Muszę wypuścić Ratsa na dwór - powiedziałam, wstając.

Montana ruszył za mną.

- Nieduży z niego koleś, a zasy są głębokie - powiedział. - Lepiej odgarnę mu trochę śniegu łopatą.

Kiwnęłam głową w podziękowaniu, zastanawiając się, jak może być odporny na bijące ode mnie fale wrogości, tak wyraźne jak rysunkowa chmura kurzu wokół Pigpena z Fistaszków. Domyślałam się, że był do tego przyzwyczajony. Ważny pan detektyw, wzywany na pomoc przez miliarderów i bez

wątpienia zbijający na nich fortunę. Bóg wie, ile Bob mu zapłacił. I za co? O ile wiedziałam, Bob nie miał przede mną tajemnic, biznesowych ani żadnych innych. Równie otwarcie mówił o swoich wadach i porażkach, jak o swoich triumfach.

Rats stał, drżąc, na kuchennych schodkach, a tymczasem Montana, bez płaszcza, oczyścił mu szuflę placyk w śniegu. W końcu oparł szuflę o ścianę, wziął psa i postawił go w jego własnej lodowatej „toaletce”.

Rats poniuchał żałośnie, zrobił najszybsze siku w psiej historii i z podwinętym kikutem ogonka śmignął z powrotem po schodkach do ciepłej kuchni. Mimo fatalnego humoru musiałam się roześmiać.

Zatrzymaliśmy się, by popatrzeć, jak pies przyciągnął sobie stary sweter, który dostał od Boba, na swoje zwykłe miejsce przed piecem. Obrócił się kilka razy w kółko i w końcu klapnął na posłanie. Ten gazowy piec był wspaniałym urządzeniem. Masywny, z kobaltowoniebieskiego żeliwa, emanował łagodnym ciepłem i był jedną z najlepszych rzeczy, jakie odkryłam, wiodąc wiejskie życie w Anglii. Jego palniki nigdy nie gasły i jakimś cudem utrzymywały stałą, równą temperaturę, odpowiednią do pieczenia sufletów, powolnego duszenia zapiekaneł czy pieczenia mięs, a jego fajerki z błyszczącymi, stalowymi pokrywami zawsze były gorące. Piec częściowo zaopatrywał też Hali w gorącą wodę i sprawiał, że kuchnia była najprzytulniejszym pomieszczeniem w całym domu.

Ja, Bob i jego goście często kończyliśmy tu przyjęcia, popijając wino i skubiąc wspaniałe imbirowe ciasteczka pani Wainwright, stłoczeni wokół wielkiego, sosnowego stołu, który znajdował się tutaj od czasu, gdy zbudowano dom. Kilka najlepszych wieczorów mojego życia spędziłam właśnie tutaj, w wesołym towarzystwie, przy tym stole. Teraz jednak kuchnia była nieskazitelna. Zmywarka mruczała cicho, a drewniana podłoga błyszczała od wiecznego froterowania. Gospodyni była dumna ze swojego królestwa.

- Pani Wainwright skończyła na dzisiaj - powiedziałam do Montany, który wciąż stał przy drzwiach, obserwując mnie. Wytrącało mnie to z równowagi; zupełnie jakby czyhał na jakiś mój fałszywy ruch. No więc, do licha, jeśli chodziło o moje ruchy, zamierzałam już tylko posprzątać resztę naczyń ze stołu w jadalni, a potem iść do łóżka.

Kiedy powiedziałam to Montanie, stwierdził natychmiast, że mi pomoże. Ustawił talerze jeden na drugim, przytrzymując sztucce kciukiem, żeby nie pospadały.

- Nieźle ci idzie sprzątanie ze stołu - powiedziałam.
- Jako dziecko byłem posługaczem w jadłodajni w Galveston.

- Może powinieneś się tego trzymać - rzuciłam złośliwie. Nie skomentował tego. Po prostu poszedł za mną do kuchni z talerzami. Nalałam wody do zlewu, wcisnęłam trochę płynu, umyłam naczynia, spłukałam je i ustawiłam na drewnianej suszarce. Nie zaproponował, że je powyciera, co z jakiegoś powodu mnie wkurzyło. Wzięłam papierowe ręczniki i ostentacyjnie zaczęłam wycierać kieliszki, polerując je powoli do połysku. Odstawiłam je do oszklonej szafki, razem z tuzinami innych. Odwróciłam się, by spojrzeć na mojego milczącego, czujnego gościa.

- Pora spać - powiedziałam, przechodząc obok niego w stronę korytarza prowadzącego z kuchni do głównego holu.

- Czekaj!

To nie była prośba, to był rozkaz. Obróciłam się na pięcie.

- Na co mam czekać? Aż rozwiniesz tę swoją głupią teorię, że Bob został zamordowany? No więc, przykro mi, ale nie chcę tego słuchać. - Stał teraz tuż

obok mnie, ale odwróciłam się gniewnie.

Tym razem złapał mnie za ramię.

- Proszę cię, Daisy Keane, poczekaj chwilkę. Nie dla mnie, ale dla Boba. Dał mi coś dla ciebie. Proszę, usiądź tutaj. Zaraz to przyniosę.

Wyciągnął krzesło, posadził mnie na nim, po czym ruszył korytarzem do holu. Czekałam, nadąsana. Po chwili wrócił, trzymając pękata, szarą kopertę, którą mi wręczył.

- Wiesz, co tu jest? - zapytałam.

Pokręcił głową.

- Bob poprosił mnie, żebym to przechował. I miałem ci to dać „gdyby za szła potrzeba”. Cytuję jego słowa.

Odsunął sobie krzesło naprzeciwko i usiadł, z łokciami na stole, z dłońmi splecionymi przed sobą, patrząc na mnie. Znów zauważyłam tę dziwną, nabijaną turkusami bransoletkę i przez głowę przemknęło mi pytanie, dlaczego taki ewidentny macho nosi coś takiego.

Obracałam kopertę w dłoniach. Z jakiegoś powodu nie chciałam jej otwierać. Nie chciałam wiedzieć, co Bob miał mi do powiedzenia z za grobu, chciałam tylko, żeby wszystko było jak dawniej. Dlaczego, och, dlaczego nie mogłam zwyczajnie cofnąć zegara i zacząć od nowa? Nie złapać grypy, nie zostać w łóżku, nie pozwolić Bobowi na samotną jazdę? Ale nagle przypomniałam sobie, co powiedział Montana - że gdyby tak było, ja też bym nie żyła.

Rozdział 9

Daisy

Przycisnęłam kopertę do piersi. Cokolwiek zawierała, było osobiste, od Boba dla mnie. Nie miało nic wspólnego z tym człowiekiem; on był tylko posłańcem. Znużenie, które czułam wcześniej, powróciło, wysysając ze mnie siłę.

- Nie uporam się z tym teraz - powiedziałam, wstając z krzesła. - Idę do łóżka.

- Myślę, że to rozsądne. To był długi, pełen emocji dzień.

Przypominając sobie, że Montana mimo wszystko jest moim gościem, zaproponowałam, by częstował się, czym chce. Wyjaśniłam, że w jego pokoju jest bourbon i woda mineralna, a w lodówce resztki z kolacji, gdyby zgłodniał. W puszcze na tamtej półce znajdzie ciastka, herbatę...

- Dziękuję - przerwał mi. - Nic mi nie trzeba.

Zatrzymałam się nieporadnie przy drzwiach.

- W takim razie mam nadzieję, że będzie ci wygodnie w Czerwonym Pokoju.

- Na pewno - przytaknął.

Schody nigdy nie wydawały mi się tak długie jak teraz, kiedy pędziłam z powrotem do mojego pokoju. Słyszałam pazury Ratsa klekoczące o podłogę za mną. Słyszałam też kroki Montany na schodach; potem stłumił je stary chodnik z chińskiego jedwabiu, kiedy szedł do swojego pokoju po przeciwległej stronie domu. Odczekałam, aż usłyszę, że zamknął drzwi, i szybko zrobiłam to samo. Po raz pierwszy odkąd tu mieszkałam, przekręciłam klucz w zamku.

Odetchnęłam głęboko, z ulgą. Czułam się bezpieczniejsza z daleka od zło-wróźbnego, wszystkowiedzącego wzroku Harry'ego Montany, wiecznie szukającego tajemnic lub odpowiedzi na pytania, o których nie miałam i nie chciałam mieć pojęcia.

Lampy były zapalone, ich złocone abażury rzucały miły blask. Łóżko było zaścielone, poduszki poprawione, a dodatkowy koc leżał, złożony, w nogach, bo Brenda, która zajmowała się tym wszystkim, wiedziała o moich wiecznie zmarzniętych stopach. Położyłam szarą kopertę na łóżku, poszłam do łazienki i umyłam twarz. Potem usiadłam przy mojej ślicznej, małej toaletce, wmasowałam krem w skórę i powoli wyszczotkowałam długie włosy, przyglądając się swojej żalostnej minie, spuchniętym powiekom i zaciśniętym ustom. Odkładałam moment, w którym będę musiała otworzyć kopertę. Wiedziałałam, że

gdyby Bob mógł mnie teraz zobaczyć, powiedziałaby mi prosto z mostu, że wyglądam koszmarnie.

Niemal słyszałam, jak na mnie warczy: „Weź się w garść! Jutro idź do salonu piękności, do spa, czy gdzie tam wy dziewczyny chodzicie, żeby się zrobić. Tylko nie łaź mi tutaj i nie patrz na mnie z tą smętną miną”.

Wyszczrzyłam zęby, ćwicząc uśmiech w lustrze. Wyglądałam jak brzydka, zmęczona kobieta. Zgasiałam srebrne kinkieciki, zsunęłam buty, zdjęłam ubranie i powiesiłam je starannie w szafie. Założyłam białą, bawełnianą koszulę nocną z długimi rękawami, długą aż do kostek i zapinaną pod samą szyję. Narzuciłam na nią różowy szlafrok, stary i wygodny, a na stopy wsunęłam wielkie, różowe, puchate kaptcie. W końcu położyłam się na łóżku.

Rats czekał cierpliwie na ten moment. Wskoczył za mną i usiadł na moich stopach. Był ciężki i było mi z nim bardzo niewygodnie, ale nie miałam zamiaru go ruszać. Potrzebowałam go tak samo, jak on mnie.

Przez chwilę na wpół leżałam oparta o poduszki, z zamkniętymi oczami, analizując na nowo dzisiejszy dzień. Wydawało się, że minęły wieki, od kiedy staliśmy na ostrym wietrze, żegnając Boba. Słyszałam ciche tykanie małego, wysadzanego klejnotami zegarka, który Bob dał mi na urodziny. W tym domu było mnóstwo zegarów, Bob je uwielbiał. Pies śmiesznie sapał przez sen, wiatr z cichym pac, pac zacinął śniegiem w zasłonięte okna.

Nie mogłam tego odkładać. Usiadłam prosto, wzięłam kopertę i rozdarłam ją. W środku znalazłam trzy kolejne koperty. Na największej napisane było: *Nie otwierać*. Dwie pozostałe miały wielkość zwykłego listu. Na jednej widniał napis: *Otworzyć we właściwym momencie. Będiesz wiedziała, kiedy*. Na drugiej: *Otworzyć teraz*.

Rozdarłam ją ostrożnie i rozłożyłam arkusiki żółtego papieru w linie, wy-darte z dużego notesu. *Daisy, Kochanie,*

Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała tego czytać, bo będzie to oznaczać, że nie żyję. Ale jeśli to czytasz, to wiem, że jestem w dobrych rękach. Przez te lata, od kiedy poznaliśmy się na tamtym przyjęciu, stałaś się dla mnie ważniejsza niż niemal wszystkie inne kobiety. Piszę „niemal”, bo choć nigdy o tym nie mówiłem, była pewna kobieta, którą głęboko kochałem, wiele lat temu, na długo zanim poznałem Ciebie.

Pamiętasz, jak tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, powiedziałem Ci, że ja też byłem na samym dnie rozpaczony? No więc, mówiłem o Rosa-ii Alonso Ybarra. Pamiętasz, jak zadawałem sobie pytanie, czy chciałbym być znów młody, ambitny czy zakochany? Myślałem o Rosalii.

Kiedy byliśmy razem, byłem właśnie taki: młody, bez grosza i zakochany. Ja miałem dwadzieścia lat, ona osiemnaście. Godziła się z biedą i nie było wątpliwości, że mnie kochała, a ja kochałem ją, ale nie mogła znieść innej mojej cechy: mojej palącej ambicji, potrzeby wygrywania za wszelką cenę. Zostawiła mnie z tego powodu. Ona pragnęła tylko zwyczajnego, rodzinnego życia z mężem, który przychodzi wieczorem do domu, i z gromadką dzieci. Mówię Ci teraz całą prawdę - nigdy nikomu się z tego nie zwierzałem. Nigdy więcej jej nie widziałem i nigdy nie przestałem jej kochać. Poświęciłem ją dla tej części mojego życia, która wtedy wydawała mi się ważniejsza. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, jaki byłem samolubny.

Jak widzisz, dziewczyno, kiedy tamtego wieczoru na przyjęciu zobaczyłem Cię samotną i wystraszoną, coś we mnie - coś z przeszłości - wyciągnęło do Ciebie rękę. To było tak, jakbym czuł, że ratując Cię, wynagradzam swoją winę, i że może dzięki Tobie znajdę swego rodzaju szczęście. I tak się stało, moja słodka Daisy. (Twoją Mamę, niech spoczywa w spokoju, powinno się rozstrzelać za nadanie Ci takiego imienia. O wiele więcej w Tobie z Eleonory czy Izabeli, a nawet Julii, bo jesteś prawdziwą romantyczką, choć próbujesz to ukrywać sama przed sobą). No ale zbyt daleko odbiegłem od tematu, a poza tym „dziewczyna” doskonale do Ciebie pasuje. A tak przy okazji, nawet nie widząc Cię, wiem, że powinnaś sobie zrobić porządek z włosami, bo latają na wszystkie strony jak zawsze. Idź do fryzjera, do masażysty, do kosmetyczki i, do diabła, rozchmurz się! Nie ma sensu chodzić z nosem na kwintę. Już po wszystkim.

Podejrzewam, że nigdy nie byłem dobrym człowiekiem w najlepszym znaczeniu tego słowa, i każdy, kto nazwał mnie sukinsynem, prawdopodobnie miał słuszny powód. Ale starałem się i troszczyłem o ludzi. Z czasem pieniądze znaczyły dla mnie coraz mniej. Zarabianie więcej i więcej stało się czysto odruchowym działaniem. A skoro już mowa o pieniądzach, człowiekowi wystarczy, by miał ich „dość”.

Jeśli przydarzy mi się najgorsze - coś innego niż śmierć we własnym łóżku z naturalnych przyczyn, z kieliszkiem dobrego bordeaux i z Tobą u boku - możesz być pewna, że zostałem zamordowany.

Serce przestało mi bić. Miałam to tutaj, czarno na białym, napisane ręką Boba. Przetykając łązy strachu i zdumienia czytałam dalej.

Wyobrażam sobie, jak to czytasz i zdaję sobie sprawę, że będzie to dla Ciebie szokiem, ale taki człowiek jak ja nie może dożyć mojego wieku -

sześćdziesięciu czterech lat, gdybyś zapomniała - nie robiąc sobie wrogów. I bez wątpienia niektórzy z nich woleliby mnie widzieć pod ziemią, a nie pławiącego się w luksusach na słonecznym południu Francji z moim najnowszym - i najbardziej uroczym - Rudzielcem. Czyli z Tobą. Od jakiegoś czasu dręczy mnie przeczucie, że ktoś z mojej przeszłości postanowił mnie wykończyć. Z początku myślałem, że to tylko żart, jakiś wariat z obsesją na punkcie sławnego bogacza. Ale teraz nie jestem już taki pewny. Kto, mogłabyś zapytać. Nie mam pojęcia. Cały czas mam nadzieję, że to tylko wytwór mojej bujnej wyobraźni, choć Bóg wie, że pewnie obraziłem w życiu niejednego człowieka (i to łagodnie mówiąc) i niejednego wygryzłem z dobrego interesu albo pobitem w grze o wysoką stawkę. Pewnie byłoby ich dość, by wypełnić spory bar na Manhattanie, gdzie o szóstej wieczorem z pewnością wszyscy radośnie wypiją za mój zgon. Dałem Harry'emu Montanie listę możliwych podejrzanych, którym na-depnałem na odcisk, choć nie mogę być pewien, że to rzeczywiście ktoś z nich. Ostatecznie w świecie wielkiej finansjery jest wielu nieobliczalnych ludzi, mężczyzn i kobiet. Tak czy inaczej Montana wie, co jest grane i jak do tego doszło, i z pewnością wprowadzi Cię w szczegóły.

Na tej liście jest sześć osób, którym swego czasu próbowałem pomóc, choć ośmieliłem się twierdzić, że nikt z nich tego nie przyzna ani nawet nie uwierzy w moje dobre intencje. Czy ktoś z nich jest moim mordercą? (Pi-sze „morderca”, bo skoro to czytasz, najwidoczniej już nie żyję). Kto to może wiedzieć? Choć osobiście jestem przekonany, że w każdym z nich siedzi coś więcej, niż to widać na pierwszy rzut oka, gdyby popatrzeć na ich obecne życie.

Przemysł też to, co teraz napiszę. Daisy, według moich przekonań, jeśli wyrwie się ludzi z ich normalnego środowiska i umieści w nieznanym miejscu, z nieznanymi ludźmi, stają się kimś innym, a raczej pokazują swoje prawdziwe oblicze. Wymyśliłem genialny sposób przetestowania tej teorii.

Uważam, że skoro zostałem zamordowany dla pieniędzy, to przynajmniej możemy mieć z tego trochę frajdy. Więc zamierzam zagrać w pewną grę, a Ty wykonasz mój plan.

Pamiętasz te stare filmy, gdzie wszyscy podejrzani gromadzą się w wielkim domu na wsi? Zawsze szaleje wtedy burza z piorunami, światła gasną i zapalają się, jest posepny, stary lokaj, skrzypiące podłogi, zatrute wino, połyskujące noże, twarze w oknie i ciemne postacie przemykające po mrocznych korytarzach. No więc, moja gra będzie podobna, tyle że

zamiast ponurego wiejskiego domu, moja Daisy, wszystko odbędzie się na luksusowym jachcie, a konkretnie na słynnej „Blue Boat” i w willi Belki ss.

Wysyłam Ciebie i wszystkich sześcioro podejrzanych w rejs po Morzu Śródziemnym. Powiedz im, że to będzie coś w rodzaju stypy, „hołdu, jaki złożycie mojej pamięci”, jak uparcie nazywają to nadęci przedsiębiorcy pogrzebowi, choć wolałbym celebrować swoje życie, będąc wśród żywych i mogąc się nim cieszyć osobiście. To jednak nie jest prawdziwy powód, dla którego ich zapraszam. Wmieszałem się w losy tych ludzi. Teraz chcę, by wyznali prawdę o sobie, zdradzili innym swoje najskrytsze uczucia. Chcę, żebyś się dowiedziała, po co żyją i w jaki sposób moje uczynki wpłynęły na ich losy. Może wtedy wreszcie pogodzą się z tym, kim są. A jeśli tak się stanie, może mnie zaskoczą. I może dostaną drugą szansę.

To interesujący pomysł i świetny sposób, by dowiedzieć się prawdy, zanim wreszcie wysłuchają mojego testamentu i przekonają się, czy jest w nim coś dla nich.

Zapytasz pewnie, jak ich ściągnąć na pokład jachtu? Pieniędźmi, oczywiście. To przynęta, która skusi każdego szczura. I znów, Montana zna wszystkie szczegóły.

Jak widzisz, oczekuję, że Ty i Montana rozwiążecie tajemnicę mojego morderstwa. Montana zagwarantuje też, abyś nie była narażona na żadne niebezpieczeństwo. I uwierz mi, Daisy, że gdziekolwiek jesteś... i gdziekolwiek ja jestem... zawsze będę przy Tobie i będę miał na Ciebie oko.

Duża zapieczętowana koperta zawiera kopię mojego testamentu, w całości podyktowanego i podpisanego przeze mnie w obecności moich prawników, którzy przechowują oryginał w swoim sejfie. Testament ma zostać odczytany przez Montanę na Capri, ostatniego dnia rejsu. Gwarantuję Ci, że jest pełen niespodzianek.

Nie czytaj testamentu teraz, choćby Cię nie wiem jak kusilo. To ma być niespodzianka dla wszystkich. A tak przy okazji, ci ludzie będą Twoimi gośćmi na tym jachcie, więc nie pozwól, by któreś z tych nadętych snobów traktowało Cię z góry. Pamiętaj, mógłbym kupić i sprzedać ich wszystkich, i oni o tym wiedzą. Przecież właśnie dlatego tam będą.

Trzecią kopertę masz otworzyć, kiedy „gra” będzie zakończona, a zagadka rozwiązana. To osobista sprawa, dziewczyno, wyłącznie między mną i Tobą. Nigdy nie powiedziałem Ci tego za życia, więc muszę powiedzieć teraz. Kocham Cię, Daisy Keane. Jesteś dobrym człowiekiem, choć czasem zdarza Ci się drobne kłamstwo. Nie miałaś planów wobec

moich pieniędzy. I z pewnością nie miałaś planów wobec tego wielkiego pospolitego brzydala. Nie mogę mieć o to pretensji, choć muszę przyznać, że kiedy patrzyłem na te Twoje rude włosy i piegowaty nos, parę razy przeszło mi to przez myśl. Żartuję, żartuję. Czysta miłość jest czystą miłością, i taką pozostanie, za życia czy po śmierci.

Wiem, że zaopiekujesz się Ratsem. I proszę Cię, dziewczyno, zaopiekuj się też sobą. Poszukaj trochę szczęścia dla siebie - wiem, że ono gdzieś tam na Ciebie czeka. Gwarantuję Ci to.

Bob podpisał swoją epistołę tak, jak zawsze podpisywał listy do mnie - gigantycznym BH.

Przez kilka minut siedziałam osłupiała. W końcu, zepchnąwszy Ratsa, wstałam i zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju. Dlaczego Bob mi się nie zwie-

rzył? Dlaczego nie powiedział mi, kogo podejrzewa i dlaczego ktoś chciałby go zabić? A teraz musiałam zabrać tych „potencjalnych morderców” w jakiś wariacki rejs.

Odsunęłam zasłony i zapatrzyłam się w noc. Śnieg przestał padać, a szyby miały zaokrąglone, białe rogi. Kiedy byłam dzieckiem, w Boże Narodzenie nasze okna wyglądały tak samo, tyle że my uzyskiwaliśmy ten efekt za pomocą sztucznego śniegu w sprayu. Na zewnątrz wszystko było jak z cudownej, śnieżnej krainy - gładka, biała kołdra, która tłumiała zwykłe odgłosy wsi. Cisza była tak absolutna, że aż dzwoniło mi w uszach.

List, który ścisnęłam w dłoni, zatrzepotał, poruszony nagłym powiewem. Zagapiłam się nań, zaskoczona. Poczułam mrowienie na karku. Czyżby to Bob wracał, by mieć na mnie oko, jak obiecał w liście? Obróciłam się gwałtownie, na wpół spodziewając się go zobaczyć. Jednocześnie wydało mi się, że usłyszałam szelest zasłony i szybko odwróciłam się z powrotem, ale materiał wisiał całkowicie nieruchomo.

Z łomoczącym sercem przebiegłam przez pokój, zapaliłam wszystkie lampy i klapnęłam na szezlong.

- O Boże! Nie rób mi tego, Bobie Hardwick! - powiedziałam drżącym głosem. - Po prostu tego nie rób. - Z zamkniętymi oczami wyobraziłam sobie, jak stoi przede mną z cieniem uśmiechu na wielkiej twarzy ogra. Nabijał się ze mnie. - Okej. Wszystko jest okej - powiedziałam do siebie na głos. - Po prostu coś mi się roi. Teraz już będzie dobrze. Wszystko jest w porządku.

Rats zeskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. Stał pod nimi, skomląc. On wie, że ktoś tam jest, pomyślałam. Zmusiłam się, by przejść przez pokój i otworzyć je.

Jezu Chryste! - wrzasnęłam, podskakując ze strachu. W cieniu stał mężczyzna. Patrzył na mnie.

Rozdział 10

Daisy

Z otwartymi ustami, przyciskając dłonią falującą pierś, gapiłam się tępo na Montanę. Miał na sobie biały frotowy szlafrok; w rękach trzymał tacę z niebieskim, kuchennym czajniczkiem do herbaty, dwoma pasiastymi kubkami i talerzem imbirowych ciasteczek.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - powiedział grzecznie. - Właśnie miałem zapukać. Wiedziałem, że nie będziesz mogła spać, kiedy przeczytasz list, więc zaparzyłem herbatę. Zobaczyłem światło pod drzwiami...

- Wystraszyłeś mnie na śmierć. - Mój głos brzmiał szorstko i nieprzyjemnie.

- Przepraszam.

Miał tak skruszoną minę, że niemal mu wybaczyłam. Był boso, i oszołomiona stwierdziłam, że istnie z niego ciasteczko - krótko ostrzyżony, wytatuowany twardziel.

Dopadło mnie znużenie i nagle pomyślałam, że filiżanka dobrej angielskiej herbaty to właśnie to, czego mi potrzeba, a towarzystwo Montany było lepsze niż żadne. Odsunęłam się, by go przepuścić, i pokazałam, gdzie ma postawić tacę - na szklanym stoliku obok szezlongu.

Rats oparł łapy o blat, by powąchać ciastka. Dałam mu jedno, a potem nalałam nam herbaty. Szezlong był jedynym sprzętem do siedzenia w pokoju oprócz małego stołeczka przy toalecie, a że nie chciałam, by Montana siedział tak blisko mnie, wskazałam mu siedzisko pod oknem. Wziął kubek, który mu podałam i, wciąż stojąc, wyjrzał przez okno na bożonarodzeniowe śnieżne dekoracje.

- To niesamowite - powiedział. - Po śnieżycy zawsze przychodzi taki spokój. Nie wiem, czy to dlatego, że chwilowo jesteśmy odcięci od reszty świata, czy przez tę ciszę. - Zamknął oczy, nasłuchując. - Nie słyhać już nawet wia ta..

- Pewnie ci to przypomina dzieciństwo - powiedziałam.

- W całym moim dzieciństwie nie było nigdy ani odrobiny spokoju.

Pomyślałam, że lepiej się w to nie zagłębiać, ale nagle przyszło mi do głowy, że przez tę dyskrecję, do której tak przywykłam, przegapiłam mnóstwo spraw. Na przykład gdybym natrętniej pytała Boba o przeszłość, może opowiedziałby mi o kobiecie, którą kochał, i o tym, dlaczego nigdy do niej nie wrócił.

- Więc co się działo w twoim dzieciństwie?

Montana usiadł pod oknem. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Otoczył kubek obiema dłońmi. Znów poczułam to lekkie trzepotanie w rejonach, o których nawet nie chciałam myśleć. Wyglądał nieprawdopodobnie męsko w moim bardzo kobiecym, pełnym jedwabiu buduarze.

- Mój ojciec był szorstkim człowiekiem - powiedział. - Rzadko się odzywał, chyba żeby wydać rozkaz. Wyjeżdżał z kowbojami, czasem na całe tygodnie, i zostawiał mnie z tym staruszką, który miał się zajmować domem. Ale kiedy papy nie było, stary zaczynał pić, a ja musiałem sam się o siebie troszczyć. Miałem tylko konia. Kochałem tę klacz. Wierz albo nie, ale każde go ranka jeździłem na niej trzydzieści kilometrów do szkoły, a potem z powrotem, na takim pustkowiu mieszkaliśmy. Przywiązywałem ją do słupka, dawałem worek z obrokiem i wchodziłem do małej, wiejskiej szkółki. Tylko jedna sala i siedmioro niechętnych dzieciaków w różnym wieku, i wszyscy zjawialiśmy się tam, by się uczyć. I uczyliśmy się, a jakże. Potrafiłem odmieniać czasowniki po łacinie, jeszcze zanim się nauczyłem, jak poprawnie mówić po angielsku.

Upiłam łyk herbaty, chwilowo zapominając o Bobie.

Grafitowe oczy Montany spojrzały badawczo na moją twarz.

- Wyglądasz trochę lepiej - powiedział. - Wrócił ci kolor na policzki.

Zawstydzona schowałam stopy pod siebie. W starym różowym szlafroku

i ogromnych puchatych kapciach czułam się jak przerośnięty podłotek z gimnazjum, nocujący u koleżanki. Pies zwędził drugie ciastko i schrupał je głośno, zostawiając okruchy na dywanie. Miałam to gdzieś.

- Myślę, że powinienes to przeczytać. - Podałam mu list Boba.

Poczułam, jak nasze palce się stykają, kiedy wziął go ode mnie. Zauważyłam, że wciąż miał na sobie tę indiańską bransoletkę z turkusami. Domyśliłam się, że nigdy jej nie zdejmował.

Uważnie przeczytał list, studiując każde słowo, jakby potrafił w nich znaleźć podwójne znaczenie czy ukryte aluzje, które ja przegapiłam. Wątpiłam, by jakieś były, gdyż Bob zawsze mówił dokładnie to, co miał na myśli. Montana uniósł wzrok.

- Wierzysz mi? - zapytał.

- Bob nigdy nie kłamał.
 - Domyślasz się, kto chciałby go zabić?
 - Nikt mi nie przychodzi do głowy.
- Montana złożył list i oddał mi go.
- Pamiętasz dziesięć przykazań, danych Mojżeszowi? Pamiętałam.
 - Nie będziesz cudzołożył - powiedziałam. - Nie będziesz kradł. Jako świadek nie będziesz mówił przeciw bliźniemu twemu kłamstwa. Nie będziesz pożądał żony swojego bliźniego, ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która należy do twojego bliźniego.
 - Umieść to w kontekście — powiedział Montana - i co masz? Seks, pieniądze, zawiść, zazdrość. Dostyc powodów, by zabić.
 - Ale Bob był dobrym człowiekiem. Nigdy nie skrzywdziłby nikogo z rozmysłem. Już ci mówiłam, że zawsze pomagał ludziom.
 - Hardwick był twardym człowiekiem, biznesmenem żyjącym w świecie, gdzie wszyscy pozerają się nawzajem. Myślisz, że jak osiągnął sukces? Takie bogactwo? Robił to, co musiał, i był tak samo bezwzględny, jak każdy inny, kiedy to było konieczne.
 - Nie odpowiedziałam, ale w głębi duszy czułam, że ma rację.
 - Montana wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.
 - Pieniądze, władza. To motyw numer jeden. - Odwrócił się, by znów wyrzeć przez okno. Stojąc plecami do mnie, ciągnął: - Motyw numer dwa to: na miętność i seks.
 - Nic nie wiem o tej sferze życia Boba - stwierdziłam sztywno, bo wiedziałam, że Montana zastanawia się, czy byliśmy kochankami.
 - Obrócił się na pięcie i spojrzał mi w oczy.
 - Jak to?
 - Bob powiedział mi, że mnie nie chce - odparłam, żałując własnych słów, zanim jeszcze na dobre wyszły z moich ust.
 - Montana uniósł brwi.
 - No proszę - powiedział z półuśmiechem. - Jednak mnie zaskoczyłaś.
 - Nie o to chodziło. Dopiero co się spotkaliśmy, zaoferował mi pracę, a ja pomyślałam, że to innego rodzaju propozycja. Powiedział mi więc bardzo jasno i wyraźnie, że może mieć każdą kobietę, jaką zechce i że z pewnością nie chce mnie. Nie zamierzał mnie obrazić - dodałam. - Po prostu jasno zazna czył, że proponuje mi tylko pracę.
 - I to całkiem niezłą, jak na kobietę praktycznie bez kwalifikacji.

- Gniew rozpałił się we mnie, kiedy zorientowałam się, że znów muszę się bronić.
- Bobowi nie chodziło o kwalifikacje. Chciał mi pomóc. Czytałeś jego list. A poza tym, jak może zauważyłeś, szybko się wszystkiego nauczyłam.
- Powiedział, że jestem mu niezbędna, powiedział, że nie mógłby zorganizować sobie życia beze mnie.
- Twierdzisz więc, że w żaden sposób nie można cię podejrzewać o zamordowanie go?
- Teraz już wściekła, zerwałam się na nogi.
- Dość — warknęłam. — Po prostu dość tego. Nie, nie sypiałam z Bobem Hardwickiem. Nie polowałam na jego pieniądze. Nie „pożądałam” niczego, co posiadał, z wyjątkiem czasu, jaki ze mną spędzał. Był moim pracodawcą, najlepszym przyjacielem i... i... - Zabrakło mi słów i rozpędu.
 - Tak się tylko zastanawiałem — odparł potulnie Montana.
- Spojrzałam na niego ze złością.
- Wiesz co? Gdybym kiedykolwiek miała kogoś zabić, byłbyś to ty.
 - Właśnie tak się to odbywa. W chwili, kiedy uczucia biorą nad nami górę. Wściekła, rzuciłam się tyłem na łóżko, zakrywając rękami głowę i wierząc w powietrze puchatymi kapturkami.
 - Ooooch - wrzasnęłam. - Dlaczego ja cię musiałam poznać?
 - Bo Bob tak to urządził. Dał nam obojgu zadanie do wykonania. I musimy to zrobić, niezależnie od osobistych animozji.
 - Usiadłam i wbiłam w niego lodowate spojrzenie.
 - Nie wiem, czy potrafię - powiedziałam sztywno.
 - Mówi się trudno - odparł chłodno. - Otrzymaliśmy konkretne polecenia. Poza tym nie robisz tego dla mnie, tylko dla człowieka, na którym ci naprawdę zależało. - Podeszedł do stolika i podniósł imbryk. - Jeszcze herbaty?
 - Nie, dziękuję.
 - Napełnił swój kubek. Ubrany w szlafrok, w mojej sypialni najwyraźniej czuł się jak w domu. Rats przy dreptał do niego i ułożył się na jego stopach. Zdrajca, pomyślałam.
 - Wstałam, zrzuciłam kapturkę i szlafrok.
 - Idę spać - powiedziałam, ponieważ przypominając sobie babciną kołuszulę nocną, zapiętą pod samą szyję i sięgającą do kostek. Pospiesznie wlałam do łóżka i podciągnęłam kołdrę pod brode.
 - No dobrze, porozmawiamy jeszcze i zaplanujemy coś jutro rano, koło dziesiątej - powiedział Montana. Obszedł pokój, sprawdzając okna, zaciągając zasłony i gasząc światła. W końcu, idąc do wyjścia, poklepał Ratsa.

- A tak przy okazji... ładna koszula- powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Mogłabym przysiąc, że słyszę jego śmiech.

Odwrociłam się twarzą do poduszki i zasnąłam w kilka sekund.

Rozdział 1 1

Montana

Nie spał. Długo leżał na łóżku z dłońmi splecionymi pod głową, zagubiony we własnych myślach, wpatrując się w plisowany baldachim z czerwonego jedwabiu.

Poznał Boba Hardwicka dziesięć lat temu, kiedy potentat wezwał go, żeby sprawdził kilku aplikantów na wysokie stanowisko kierownicze w jego firmie. Montana zajął się sprawą szybko i sprawnie, i poszedł na spotkanie z Bobem. Hardwick rozparł się w ogromnym, skórzanym fotelu za swoim imponującym biurkiem z drewna różanego w przestronnym biurze na Manhattanie. Spojrzał na niego wyczekująco. Sekretarze wpadali i wypadali z papierami do podpisania, co czynił, ledwie na nie zerkając. Najróżniejsi asystenci przychodzili przypomnieć mu o zbliżającym się spotkaniu podczas lunchu w Four Seasons i żeby go poinformować, że krawiec właśnie jedzie na górę z nowymi garniturami do przymiarki, i że kobieta - o robiącym wrażenie nazwisku - chciałaaby z nim porozmawiać. Odganiał ich, machając swoją wielką dłonią, jak chmurę natrętnych much.

- Będę, kiedy będę - mówił tylko, a asystenci przewracali oczami i szli uspokajając ludzi, którym kazano czekać. Wyglądał jak dzikus w pomietym garniturze, z rozczochranymi siwymi włosami i tymi swoimi kamiennymi niebieskimi oczami, które kryły się pod krzaczastymi brwiami. Różowa twarz wskazywała na nadciśnienie. Był imponujący ze swoją ogromną postacią i swoją brzydota.

Uniesione brwi Montany wyrażały powątpiewanie, że Hardwick w ogóle słucha, skoro ciągle ktoś im przerywa.

- Nie martw się, chłopcze, ja słucham. - Hardwick oparł się o biurko, po raz pierwszy spoglądając wprost na niego.

Montana przedstawił mu fakty na temat kandydatów do pracy i swoje obawy co do jednego, który na papierze wyglądał najlepiej.

- Mówię, kierując się instynktem, ale radzę panu nie zatrudniać go.
- Lubię ludzi z instynktem. Dotarłem na szczyt, kierując się dokładnie tym samym. Więc lubi pan swoje zajęcie? Śledztwa, węszenie i całą tę resztę?

- Moja praca to coś więcej niż tylko sprawdzanie przeszłości potencjalnych pracowników, czy dowiadywanie się, co planują międzynarodowe firmy i jakie mają kłopoty. Zajmujemy się też ochroną. Zapewniamy bezpieczeństwo naszym klientom.

- To znaczy ludziom takim, jak ja? - Hardwick wydawał się zainteresowany.

- Ludziom takim, jak pan, sir. Miliarderom, członkom rodzin królewskich, sławom.

- Gwiazdom z Hollywood?

- Między innymi, owszem.

Hardwick zaczął kręcić pióro między palcami, patrząc w biurko, zastanawiając się.

- A skąd człowiek może wiedzieć, że ktoś mu zagraża... powiedzmy szanowny panu?

- Najlepiej zatrudnić kogoś takiego, jak ja, zanim do tego dojdzie.

Wciąż bawiąc się piórem, Hardwick westchnął.

- Nie mógłbym znieść tego pilnowania, tego śledzenia każdego mojego kroku. Co to za życie? Nie, ja jestem człowiekiem, który ceni sobie wolność. I, choć to dziwne, człowiekiem, który ceni sobie samotność. - Posłał Montanie długie, badawcze spojrzenie. - Człowiekiem podobnym do pana, jak sądzę.

Montana musiał przyznać mu rację.

Hardwick wziął aplikację, nad którą się zastanawiał. Przeczytał ją uważnie, myśląc o tym, co Montana właśnie powiedział mu o swoim instynkcie.

- Wie pan co, może zamiast niego zaproponuję tę posadę panu? Zapłacę panu dwa razy tyle, ile zarabia pan teraz. - Stosował tę samą taktykę przekupstwa, której używał zawsze, kiedy czegoś bardzo chciał. - Nie ma pan do świadczenia, ale szybko pan załapie, o co chodzi, widzę to na pierwszy rzut oka. A tego, czego pan nie wie o przejściach i dźwigniach finansowych, na ucę pana osobiście. Co pan na to, Montana?

- Dlaczego ja?

- Podoba mi się pan. Instynkt, tak?

- To wspaniała propozycja, ale przykro mi, nie mogę jej przyjąć.

Hardwick przyjrzał się Montanie uważnie, a w końcu powiedział:

- Oczywiście, teraz widzę, że człowiek taki, jak pan, nie mógłby przywyknąć do normalnych biurowych godzin, do działania według grafiku, powtarzania

tych samych obowiązków dzień po dniu. Pan jest wolnym strzelcem, Montana. A poza tym, gdyby pan pracował u mnie, musiałby pan zmienić fryzurę i pozbyć się tej cholernej bransoletki. Asystent wetknął głowę przez drzwi.

- Four Seasons, sir... lunch... - wyszeptał bezgłośnie.
- Proszę wyjść. — Hardwick odesłał asystenta. Montana *zdążył* już wstać, gotów się pożegnać. -A pan niech siada, Montana. Jest pan zbyt interesujący, żebym pana tak łatwo wypuścił. Ile pan ma w ogóle lat? Trzydzieści cztery? Młody i wciąż plastyczny, tak? Potrzebuję wokół siebie młodych ludzi jak pan, ludzi, którzy nie zawsze mi potakują i są uczciwi. Jest pan pewien, że nie mogę zaproponować panu pracy? Podnoszę stawkę. Proponuję trzy razy tyle, ile pan zarabia.

Z brodą uniesioną do góry, Montana spojrział Hardwickowi prosto w oczy.

- Panie Hardwick, jestem do dyspozycji, kiedy pan zechce, w ramach moich kompetencji jako detektyw lub specjalista od ochrony. Lubię swoją pracę i nie ma mowy, żebym ją kiedykolwiek zmienił.

- Nawet jeśli znajdzie pan odpowiednią kobietę i się zakocha?
- Nawet wtedy. Będzie mnie musiała wziąć takim, jakim jestem.
- Próbowałem tego raz, kiedy byłem młody, biedny i ambitny. Nie udało mi się. - Hardwick cierpko się uśmiechnął. - Kochała mnie, ale w końcu odeszła. Nie chodziło o pieniądze, czy raczej o ich brak. Chodziło o moją cholerną, egoistyczną ambicję. „Weź mnie takim, jaki jestem”, powiedziałem jej, a ona mnie odrzuciła. Tak więc widzi pan, Montana, to ryzykowne z kobietami. Ale szanuję pańskie uczucia i myślę, że jest pan bardzo dobry w swoim zawodzie.

Wstał. Montana zrobił to samo. Ucisnęli sobie dłonie i Hardwick odprowadził go do drzwi.

- Jeśli kiedyś zmieni pan zdanie, proszę dać mi znać - powiedział.

W ciągu następnego dziesięciu lat Hardwick często wzywał Montanę. Nie raz i nie dwa jedli lunch w knajpce na East Forty Ninth Street - Bob przepadał za tamtejszymi hamburgerami i cieniutkimi frytkami. Rozmawiali o rozwijającej się firmie Montany, o nowych biurach, które zamierzał otworzyć w Londynie, o francuskiej żonie Boba, z którą wkrótce miał się rozwieść, o pełnej temperamencie włoskiej kochance, z którą również się rozstał, o tym, że nigdy nie miał czasu choćby zajrzeć do swojej willi na Capri, i o tym, że zawsze marzył, by pożeglować wokół wyspy, bo jego zdaniem jeszcze piękniejsza będzie widziana z wody.

- To moje marzenie - wyznał Montanie - i dlatego kupiłem ten dom, nawet go nie oglądając. Należał do Vassiliya Belkissa, sławnego baletmistrza. Kiedy

Belkiss zmarł, dom stał opuszczony przez trzy lata. To jedyna rzecz, za którą mogę podziękować mojej Włoszce. Znalazła ten dom i przekonała mnie, że bym go kupił. Powiedziała, że to dobra inwestycja. Nie jestem pewien, czy miała w tej sprawie rację, ale zakochałem się w zdjęciach i całej tej romantycznej otoczce. Pewnie któregoś dnia znajdę czas, żeby tam pojechać. Teraz to jedynie piękne marzenie. Może przyjedziesz mnie tam odwiedzić? Co ty na to, Montana?

- Kiedy tylko zechcesz - odparł i na razie na tym stanęło, bo w kolejnym zdaniu Bob opowiadał mu już o drobnym problemie, który zaczynał go irytować.

- Chodzi o cholerny e-mail - powiedział. - Natychmiastowa komunikacja, która wdziera się w prywatność człowieka o każdej porze dnia i nocy. Wciąż dostaję liściki z pogroźkami, niewymyślne, wręcz szczeniackie, na przykład: „Wiem, gdzie teraz jesteś. Pamiętaj, że cię obserwuję”. Albo: „Wiem, z kim byłeś tej nocy. Moje oczy śledzą cię cały czas”. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście idiotyzmem byłoby zakładać, że ktoś naprawdę jest w stanie śledzić mój każdy ruch, tak żebym tego nie zauważył.

- Ja bym potrafił - odparł Montana.

Bob spojrział na niego zaskoczony.

- To aż takie proste?

- Nie, ale moi ludzie są dobrzy w swoim fachu.

- A ten wariat... też może być taki dobry?

- To może być kobieta.

- Zazdrosna dama, he?

Montana wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Znasz kogoś takiego? - zapytał. Bob odpowiedział uśmiechem i stwierdził, że kilka by się znalazło.

Montana powiedział mu, że będzie monitorował jego maile i że natychmiast przydzieli mu dwudziestoczterogodzinną ochronę, ale Bob kategorycznie odmówił.

- Już ci kiedyś mówiłem, nie zniósłbym tego - stwierdził. - To nie leży w mojej naturze, tak jak i w twojej, Harry. Żaden z nas nie mógłby żyć jak zwierzę w klatce. - Powiedziawszy to, wręczył Montanie listę sześciu na zwisk i poprosił, żeby sprawdził tych ludzi. - Swego czasu każde z nich było ze mną związane, na gruncie osobistym lub poprzez interesy. Każde z nich ma pewną wadę. I wszyscy mnie nie cierpią, choć zrobiłem to, co uważałem dla nich za najlepsze. Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie teraz żyją, co robią i z kim. Chcę wiedzieć, czy zasługują na moją pomoc.

Kiedy Montana zapytał dlaczego, Bob znów wzruszył ramionami i odparł: — Instynkt. Każde z nich może chcieć mnie zabić. — Śmiał się, mówiąc to. — Żartuję - dodał. Dwa dni później już nie żył.

Śmierci sir Roberta Hardwicka nie uznano za morderstwo. Wręcz przeciwnie. Był to wypadek — kierowca źle ocenił zakręt, samochód wypadł z drogi i stanął w płomieniach. Jakimś cudem Hardwick nie spłonął, wyrzuciło go z samochodu.

Stwierdzono zgon w wyniku wypadku i sir Robert Hardwick po raz ostatni poleciał do domu, do Yorkshire. Miejscowa ekipa ratunkowa wyciągnęła resztki samochodu na górę i Montana dostał pozwolenie na przetransportowanie zwęglonej kupy żelastwa do warsztatu, z którego korzystał, w New Jersey. Tam samochód czekał w skrzyni na jego kolejny ruch. Ale najpierw Montana musiał sprawdzić, czy przecucia Boba, że ktoś chce go zamordować, były słuszne. A tymczasem czekała go bezsenna noc w Czerwonym Pokoju.

Rozdział 12

Daisy

Następnego ranka wzięłam się w garść i napisałam odpowiedzi na niektóre listy z kondolencjami od ludzi ze świata wielkiej finansjery, dwóch przywódców państw, a nawet od pewnego młodego członka rodziny królewskiej, z którym Bob zaprzyjaźnił się na meczu polo i z którym korespondował regularnie i od czasu do czasu jadał lunch.

Godzinę później, kiedy wyszłam z biblioteki, Montana czekał w holu. Opierał się o kominek, z rękami w kieszeniach starej, wełnianej kurtki Boba. Z Ratssem rozciągniętym u stóp wyglądał niemal jak wiejski dzentelmen, choć wątpiłam, by słowo „dzentelmen” pasowało do tego pragmatycznego amerykańskiego detektywa.

- Miło widzieć, że jesteś punktualna - powiedział z tym swoim uśmiechem, który mrużył jego szare oczy i który, byłam pewna, nadawał podwójne znaczenie jego słowom.

Pobiegłam do szatni zarzucić coś ciepłego. Niezbyt ładnie, ale solidnie opatulona, wróciłam do holu. Montana odepchnął swoje długie ciało od kominka, przy którym grzał kości.

- Chodź, piesku - powiedział do Ratsa, który dźwignął się na łapy i spojrział na niego wyczekująco. Jakby Montana był jego nowym panem, pomyślałam gorzko. Na dworze było lodowato. Mimo to wciągnęłam głęboko powietrze, myśląc to wiośnie, krokusach i przebiśniegach, nie mówiąc już o falach żonkili, które powinny już zabarwiać łagodne stoki wokół Hali optymistyczną żółcią.

Poczułam, że Montana złapał mnie za ramię, pomagając mi utrzymać równowagę, kiedy schodziliśmy po stopniach. Szybko jednak odsunęłam się od niego na wąskiej ścieżce wyciętej w śniegu na podjeździe. Pies ożywił się, widząc, że drugi spacer nastąpił tak szybko po pierwszym. Popędził naprzód, skręcając w prawo za bramą, jakby wiedział, że idziemy do Baraniej Głowy, Rats spędzał dużo czasu z Bobem w tym pubie i wszyscy skakali tam wokół niego. Bob kupował mu angielską kiełbasę, którą pies pożerał w dwóch szybkich kęsach, i błagalnie spoglądał w górę, czekając na więcej.

- Musimy porozmawiać o liście podejrzanych Boba - zaczął Montana, zanim jeszcze zdążyliśmy wyjść z podjazdu. - Chcę, żebyś mi opowiedziała

o tych ludziach. Kim są i co o nich wiesz.

- Czy nie powinienesz wiedzieć tego wszystkiego? W końcu jesteś detektywem

- Detektywi dowiadują się wszystkiego, zadając pytania - wyjaśnił cierpliwie, jakby mówił do rozpieszczonego dziecka.

- No dobra, więc co chcesz wiedzieć? - zapytałam nadąsanym tonem.

Posłał mi nieufne spojrzenie, które wychwyciłam kątem oka, ale uparcie wpatrywałam się w odśnieżoną ścieżkę biegnącą środkiem ulicy. Nie chciałam nic wiedzieć o tym morderstwie. Nie chciałam słyszeć o żadnych „podejrzanych”, a już z pewnością nie chciałam płynąć z nimi w rejs. Chciałam, żeby wszystko było jak dawniej. Jak Bob mógł mi to zrobić?

- Pamiętaj, to dla Boba - powiedział Montana, jakby czytał mi w myślach. - Spójrz na to, jak na ostatnie zlecenie, jakie dla niego wykonujesz.

- Oczywiście - odparłam zawstydzona. - Zrobię wszystko, żeby pomóc. Kiedy dotarliśmy do pubu, Rats siedział już przy drzwiach. Zanurkował

w nie przed nami, kręcąc ogonem, i usłyszałam, jak Ginny zza baru mówi:

- Hej, Rats, kochany, świetnie cię znowu widzieć. Zaraz przygotuję ci kiełbasę, ani się obejrzysz.

Weszliśmy za psem do siedemnastowiecznej gospody i natychmiast pochłonął nas przyjemny zaduch - efekt połączonych wysiłków kaloryferów i potężnego ognia w ogromnym kominku. Zapach jabłoniowych polan mieszał się z dymem tytoniowym i owocowym aromatem piwa z beczki, rywalizującym

z silną wonią mięsnego sosu. Pomachałam do Ginny i zdjęłam kurtkę, idąc przez niską izbę do zniszczonego, drewnianego kontuaru. Strop przecinały poczerniałe belki, a ściany miały kolor nikotyny. Wisiały na nich drewniane kinikiety o czerwonych kloszach, na szerokich, drewnianych parapetach stały lampki z czerwonymi abażurami, a okna ze skośnymi szybami były zaparowane z powodu upału panującego w środku i gryzącego zimna na dworze. Kilku starszych mężczyzn siedziało nad piwem przy stolikach, zarzuconych podkładkami z reklamą piwa Tetley. Drewniane krzesła, na których siedzieli, miały wysokie oparcia i były twarde, ale oni spędzili na nich całe życie i czuli się tu jak w domu.

Ztrzymałam się, by się przywitać i przedstawić Montanę jako przyjaciela sir Roberta. Reg Blunt wyszedł zza baru, by uściśnąć nam dłonie. Powiedziałam mu, że zajmiemy stół w „dziupli”, małej bocznej salce, gdzie było cicho i gdzie mogliśmy pogadać.

- Polecam placek pasterski - powiedział Reg. - Chyba że ma pan ochotę na stek z frytkami, panie Montana?

- On jest z Teksasu-ostrzegłam.

- To lepiej niech pan zapomni o steku. Bardziej panu posmakuje placek pasterski albo kiełbaski z ziemniakami. I oczywiście zawsze jest wiejski lunch albo placek wieprzowy.

Przypomniałam sobie, że wczoraj nic nie jadłam. Byłam głodna jak wilk. Zamówiłam placek wieprzowy i wiejski lunch, który w tych stronach składał się z cheddara i miejscowego sera Wensleydale, z wielką pajdą chleba i ciemnobrązowym dodatkiem, który bardzo polubiłam, zwanym branstońską marynatą. Montana zdecydował się na placek pasterski. Oboje zamówiliśmy po kufel jasnego piwa Tetley.

Weszła Ginny z kiełbaską dla Ratsa, pokrojoną już na kawałki.

- Jeśli jej nie pokroję, to połyka ją w całości - wyjaśniła z uśmiechem, puszczając do Montany oko. - Pamiętam pana z wczoraj, z kościoła - powie działa. - Miło znów pana widzieć. To najlepsza gospoda we wsi, wie pan.

Montana odpowiedział, że to jedyna gospoda we wsi, a ona roześmiała się, odchodząc na swoich wysokich obcasach, kotłując obfitymi biodrami w czerwonej spódnicy.

Montana spojrział mi prosto w oczy i uniósł kufel w toaście.

- Za nas, Daisy Keane - powiedział. - Bo coś czuję, że bardzo dobrze się poznamy.

Pociągnęłam łyk gorzkiego piwa, które piłam tylko, kiedy przychodziłam do Baraniej Głowy, i spjrzałam na Ratsa, który pożarł swoją kiełbaskę i gapił

się na mnie w nadziei na dokładkę. Moje spojrzenie prześlizgnęło się z powrotem na Montanę. On wciąż patrzył na mnie, zapewne oczekując jakiejś reakcji na swój toast. Odstawiłam kufel.

- A to dlaczego?

- Płyniemy razem w rejs - odparł z półuśmiechem igrającym na wargach.

- Czemu sądzisz, że ty też popłyniesz? Ja cię nie zapraszam.

- Nie, ale Bob mnie zaprosił.

Wzajemna antypatia zaiskrzyła między nami. Podniosłam kufel, upiłam porządny łyk i otarłam pianę z ust grzbietem dłoni. Zobaczyłam, że się uśmiechnął, ale za późno było na udawanie damy. Bóg jeden wie, dlaczego Bob go zatrudnił, a co gorsza dlaczego poprosił go, by popłynął ze mną w ten idiotyczny rejs. Ale jeśli ktokolwiek wiedział coś o Bobie i jego życiu, byłam to ja. Mogłam się założyć, że Montana orientował się wyłącznie w jego interesach.

Przyszedł Reg, niosąc kamionkową miskę z plackiem pasterskim. Danie pachniało tak apetycznie, że niemal pożałowałam, iż nie zamówiłam go dla siebie, ale po chwili Ginny postawiła przede mną mój placek wieprzowy, ser i chleb. Życzyła mi smacznego, dodając, że mogłabym wreszcie nabrać trochę ciała. Jadłam w milczeniu, kontemplując swoją przyszłość - rejs z Montana.

- Skąd mogę wiedzieć, że Bob cię zaprosił? - zapytałam w końcu.

Odłożył widelec i wyjął z kieszeni złożoną żółtą kartkę. Wręczył mi ją, po czym zajął się na powrót plackiem.

Był to list od Boba.

Montana,

Pracujemy razem już niemal od dziesięciu lat i wiem, że mogę Ci ufać. Dałem Ci już listę osób, z którymi kiedyś byłem blisko i które zapewne wierzą, że w taki czy inny sposób skorzystają na mojej śmierci. Nie upieram się przy tym, ale jeśli okaże się prawdą, że któraś z tych osób chciała mojej śmierci, to właśnie ona jest winna. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał użyć tej listy, ale jeśli zajdzie taka konieczność, wiem, że mnie nie zawiedziesz.

A oto, co masz zrobić. Przekonasz Daisy, by zaprosiła te wszystkie osoby w rejs po Morzu Śródziemnym, by „oddalił hołd mojej pamięci”. Coś w rodzaju pływającej stypy, można powiedzieć. Trzeba będzie jakoś ich zachęcić i założyć się, że wymyśliłem skuteczny argument. Zaproponujecie każdemu z nich sto tysięcy dolarów w zamian za to, że przepłyną się na luksusowym jachcie. Wszystko na mój koszt. Powiecie im też, że mój

testament zostanie odczytany w willi Belkiss na Capri w dniu, kiedy jacht zawinie na wyspę, i że niektórzy z nich mogą się spodziewać czegoś dla siebie. Nie zepsuj tego, Montana, każdy z tych ludzi ma myśleć, że jest wymieniony w moim testamencie.

Powiedz im, że chciałem ich zaprosić osobiście i że gdybym żył, przyłączyłbym się do nich jako gospodarz. Będą umierali z ciekawości, co cho-wam dla nich w zanadrzu. Tak czy inaczej, zawsze chciałem wyruszyć w rejs i nigdy nie miałem na to czasu, więc myślę sobie, dlaczego nie zaprosić paru przyjaciół? A raczej, ustawić podejrzanych w szeregu, że tak powiem. A ponieważ w tego rodzaju kryminałach zawsze jest kilka wątków ubocznych, pozostałych gości użyjemy właśnie w takim charakterze. Dam Ci oddzielną listę nazwisk albo sam kogoś wybierz.

Nazwij mnie starym, ekscentrycznym durniem, jeśli chcesz, ale zawsze lubiłem te filmy, w których „zrobił to lokaj”, i pomyślałem, że to dobry sposób, by dowiedzieć się, kto był moim „lokajem”.

„Blue Boat” to jacht, który wybrałem. Jest własnością mojej przyjaciółki i proponuję, żebyś skontaktował się z nią jak najszybciej. To Ritz--Carlton wśród luksusowych jachtów- wielki, elegancki, z klasą i doskonałą załogą, jak mówi moja przyjaciółka. Żałuję, że nie mogę popłynąć z Wami, ale może i tak będę się wszystkiemu przyglądał. Nigdy nie wiadomo. W każdym razie chcę, by wszyscy doskonale się bawili. Z wyjątkiem mordercy, oczywiście.

Jesteś dobry w swoim fachu, powiedziałbym nawet, że najlepszy, i wiem, że wykonasz to zlecenie perfekcyjnie, tak jak wszystkie inne. Jwoim wynagrodzeniem, jak zawsze, już się zająłem, podobnie jak wszystkimi wydatkami. Moi prawnicy, Grady, Marshall, Levin i Frost, którzy mają biuro na Moorgate w Londynie, zostali szczegółowo wprowadzeni w sytuację i będą wypełniać Twoje polecenia.

Jeszcze jedno. Powierzam Twojej opiece mój największy skarb. Używam słowa „mój” wyłącznie jako figury stylistycznej, bo Daisy Keane nigdy nie była moją własnością. Mimo to jest moją jedyną rodziną. Kocham ją, choć zapewne już wiesz, że potrafi być denerwująca jak żadna inna kobieta na świecie. Twoim zadaniem, Montana, będzie zapewnienie jej bezpieczeństwa. Stawiając Ciebie u jej boku, wiem, że nie narażam jej na żadne ryzyko, a kto wie, może nawet będziecie się dobrze bawić w swoim towarzystwie.

Życzę Ci powodzenia w Twojej misji. A kiedy już będzie po wszystkim j schwyta cie mordercę, z pewnością będę już mógł spoczywać w spokoju. Ale tymczasem, nie licz na to!

Choć napisałem to wszystko, na razie nigdzie się nie wybieram i cały ten scenariusz być może nigdy nie zostanie wprowadzony w życie. Ale jeśli tak się stanie, powodzenia. I miłego rejsu. Szczerze oddany, Bob Hardwick

Moje serce zaczęło tajać. Bob nazwał mnie swoją „rodziną” i napisał, że mnie kocha. Ale napisał też, że mogę być w niebezpieczeństwie i potrzebuję ochrony Montany. Po raz pierwszy poczułem ukłucie strachu.

Spojrzałam na mężczyznę naprzeciw mnie, jedzącego ze smakiem lunch i obojętą na niebezpieczeństwo, które być może mi zagrażało. Mój los był w jego rękach. Dzięki Bobowi miałam wyruszyć w rejs po Morzu Śródziemnym na luksusowym jachcie z człowiekiem, którego ledwie znałam — i z pewnością nie chciałam go poznać lepiej - a do tego z pół tuzinem podejrzanych o morderstwo, których miałam zabawiać. Taki właśnie pomysł na pożegnalną fetę miał Bob.

— Okej — westchnęłam, poddając się z rezygnacją losowi. — To gdzie ta lista?

Rozdział 13

Daisy

Montana wyjął z kieszeni kolejny żółty arkusik. Nie patrząc, podał mi go, i jądł dalej.

- Dzięki - syknęłam jadowicie, ale sarkazm spłynął po nim jak po kacze. Rzeczywiście, było to pismo Boba. Z jednym wyjątkiem znałam wszystkich ludzi z tej listy. Była żona, lady Dianę Hardwick, widniała na pierwszym miejscu. - Wiem, jaki byłby motyw morderstwa w przypadku Dianę - powiedzia-łam. - Chciwość. Bob powiedział mi, że biorąc ją za żonę, ożenił się z „klasą”. Dokładnie tak to ujął. To jakaś francuska arystokratka, choć Bob nigdy nie poznał jej rodziny. Ale pamiętam jej panięskie nazwisko. De Valentinois... Diane de Valentinois. Bardzo romantyczne. Bob poznał ją na festiwalu w Cannes. Rozdawała ulotki informacyjne. Opowiadał, że miała na sobie seksowną, czerwona suknię, która idealnie eksponowała jej boskie ciało. „Jedno spojrzenie, i było po mnie”, powiedział. „Zrobiłbym wszystko, żeby była moja”. To było dziesięć lat temu. Dianę musi być teraz mniej więcej w moim wieku, może trochę starsza. Spotkałam ją parę razy. Po prostu spadała na nas jak jastrząb, w Paryżu czy na Ruderze, zawsze gotowa do awantur. Jest piękna, mimo rudych włosów, trochę jaśniejszych niż moje, i ma szmaragdowozielone oczy.

I bajeczne nogi. Bob powiedział, że najpierw zakochał się w tych nogach, a potem we włosach. Czasem się zastanawiałam, czy to nie przez nostalgię za Dianę i za jej rudymi włosami poderwał mnie na tym okropnym przyjęciu w Londynie, choć on się zarzekał, że tak nie było. Tak czy inaczej, ich małżeństwo było burzliwe i trwało tylko rok, ale Dianę uparła się, by zachować tytuł. Postawiła taki warunek przy rozwodzie, i teraz wciąż jest lady Hardwick. Bob był też hojny. Jak zawsze zachował się po dżentelmeńsku i podarował jej ogromną sumę. „W końcu była moją żoną”, powiedział.

- Więc kiedy Dianę „spadała” na Boba w Paryżu czy na południu Francji, chodziło jej o więcej pieniędzy.

Kiwnęłam głową.

- Bóg wie, na co ich potrzebowała. Dał jej fortunę, ale ona należy do tych, co zawsze chcą więcej. Teraz mieszka w Nicei.

Przeszłam do kolejnego nazwiska na liście.

- Filomena Algardi była kochanką Boba. Współczesna Brigitte Bardot we włoskim wydaniu; wydęte wargi, blond kucyk, bikini... seksowna jak wszyscy diabli. Ich związek trwał z przerwami przez kilka lat, ale była chciwa i w końcu Bob nie mógł już znieść żądań ani napadów złości, kiedy nie dostawała tego, czego chciała. Łatwo znaleźć motywy w jej przypadku. Co powiesz na chciwość plus zazdrość? Nigdy tego Bobowi nie mówiłam - dodałam cicho - ale było mi go żal. Tak bardzo chciał wierzyć, że Filomena go kocha, naprawdę kocha za to, jakim jest człowiekiem, a nie tylko za jego pieniądze. Tyle razy chciałam powiedzieć: „Tak nie jest, nie rób tego, Bob, pozbądź się jej, jesteś wart milion razy więcej niż ona”, i nie chodziło mi tylko o pieniądze. Chciałam mu powiedzieć, że szuka miłości nie tam, gdzie trzeba, i u nieodpowiednich kobiet. Tutaj, na wsi w Yorkshire były miłe kobiety, atrakcyjne, takie, które by rozu miał, bo były ludźmi jego pokroju. Zaprosiłam jedną czy dwie na kolację, ale Bob zawsze leciał na blichtr i olśniewające cizie. „Chciałem się popisywać Filomena uwieszoną na moim ramieniu”, powiedział mi pewnego wieczoru, kiedy wypił za dużo porto do kolacji. „Chciałem, by oni wszyscy wiedzieli, że ten paskudny Bob Hardwick jest tak samo dobry jak oni”. - Westchnęłam, przypominając to sobie. - Jak widzisz, mimo sukcesu i bogactwa, wciąż był biednym chłopakiem z tej gorszej strony miasta. Filomenę widziałam tylko raz - dodałam. - Wpadła jak burza do londyńskiego biura Boba, wyzywając go od skąpych gnojek i wrzeszcząc, że jeszcze się na nim odegra, niech no tylko poczeka. Zajął się nią ochrona, ale to była wstrętna scena. Filomena chciała zawstydzić Boba i pokazać mu, gdzie jego miejsce. Zawsze czułam, że po niej można się spodziewać wszystkiego, i aż nazbyt często miałam rację.

Upiłam drugi łyk piwa, zanim przeczytałam kolejne nazwisko.

- Davis Farrell. Amerykanin. Nie miałam okazji go poznać. On i Bob przez kilka ładnych lat byli partnerami w jakimś przedsięwzięciu, zanim jeszcze spotkałam Boba. Nie wiem, co to było, wiem tylko, że nie odniosło sukcesu. Sądzę, że Farrell zwyczajnie zajął się czymś innym.

Następny na liście był Charles Clement.

- Po pięćdziesiątce, szpaner, ale w tym ulizanym, angielskim stylu. Pamiętam, że spędził kilka weekendów w Sneadley; grali w golfa i w tenisa. Był też

na sierpniowym polowaniu na kuropatwy na wrzosowiskach. To były bardzo męskie weekendy, żadnych kobiet, mnóstwo alkoholu i jedzenia, i męskie gadki przy porto po kolacji. Absolutnie mnie tam nie chcieli. Ja tylko miałam dopilnować, czy wszystko jest zorganizowane jak trzeba, a potem wracałam do Londynu, żeby zejść im z drogi. — Masz jakichś znajomych w Londynie?

- Jasne, znam kilka osób. Pracujące dziewczyny jak ja, uwiązane przez zachcianki, spotkania i podróże swoich szefów. To nie zostawia wiele miejsca na życie prywatne, ale spotykałyśmy się od czasu do czasu... lunch, zakupy, takie tam.

- Więc żadnego bliskiego przyjaciela?

- Bob był moim bliskim przyjacielem. I jest jeszcze Bordelaise, oczywiście.

Montana uniósł brwi, słysząc to zabawne imię, więc opowiedziałam mu, skąd się wzięło.

Roześmiał się.

- A czy w takim razie Bordelaise jest smaczkowa?

- Paluszki lizać. Oczarowałyby cię w pół minuty. Zakochałbyś się w niej.

Wszyscy się zakochują.

- Jest samotna i wolna?

- Dwóch mężów z głowy, jeden na wylocie. Łatwo się nudzi.

Montana pochylił się do mnie, z łokciami opartymi o kolana i dłońmi zwisającymi swobodnie. Jego oczy spoglądały tak przenikliwie, że poczułam się zmieszana i szybko przeszłam do kolejnego nazwiska.

- Marius Dopplemann. - Znow podniosłam wzrok. Montana na pewno znał to nazwisko. Wszyscy je znali. Dopplemann był geniuszem, Niemcem, który przyjął amerykańskie obywatelstwo i został sławną i wpływową figurą, najpierw w programie lotów kosmicznych, potem w innych supertajnych projektach. - Ten niemiecki naukowiec? - zdziwiłam się. - Nigdy go nie spotkałam, a Bob nigdy o nim nie mówił, raz tylko wspomniał, że podziwia jego prace. Nie mam pojęcia, jaki mógłby mieć motyw.

- A ostatnie nazwisko?
- Rosalia Alonzo Ybarra. Po raz pierwszy zetknęłam się z nią w liście Boba. To jego dawno utracona, pierwsza miłość.
- Nie ma jej adresu ani Dopplemanna - powiedział Montana. - Ani Clementa i Farrella.

Wzruszyłam ramionami.

- Mogą być w osobistych notatnikach Boba.

Musieliśmy już iść. Montana pomógł mi włożyć kurtkę; uniósł mi włosy z karku i poprawił kołnierz. Poczułam, że robi mi się gorąco i odwróciłam twarz, by nie zobaczył, że się czerwienię. Idiotycznie było reagować w ten sposób na zwykły dotyk. Pomyślałam, że naprawdę powinnam częściej przebywać w towarzystwie mężczyzn.

Montana podszedł do baru, żeby zapłacić i zatrzymał się, by pogawędzić z Ginny i Regem, a ja tymczasem poszłam zabrać Ratsa z jego ulubionego miejsca przy ogniu.

Pomachałam wszystkim na pożegnanie i wyszłam. Wołałam poczekać na Montanę na dworze. Zimno ukuło mnie w nos i wkradło się do gardła; o mało nie zawróciłam z powrotem do środka, ale w tym momencie Montana wyszedł za drzwi, zapinając kurtkę Boba. Pomyślałam, że właściwie mógłby ją zatrzymać, ale drogi płaszcz z czarnego kaszmiru bardziej pasował do jego miejskiego stylu. Przecież sam powiedział, że jest mieszcuchem. Zdałam sobie sprawę, że nie wiem nawet, w którym kraju mieszka. Może był po prostu „obywatelem świata”.

Wróciliśmy do Hali, pogrążeni we własnych myślach. Zastanawiałam się, jak sobie poradzę z tym przerażającym rejssem. Montana pewnie rozmyślał o tym, jak odnaleźć tych wszystkich ludzi i przekonać ich, by zechcieli popłynąć.

- Jeśli to okaże się konieczne, sama będziesz musiała ich przekonywać - powiedział.

Znów czytał mi w myślach.

- Ja? — zapytałam głosem piskliwym ze zdenerwowania.
- To ty jesteś osobą najbliższą związaną z Bobem. A poza tym jesteś też go spodynią, osobą, która zaprasza ich na ten pamiątkowy rejs.
- Na stypę - rzuciłam ponuro, pociągając nosem i naciągając głębiej na uszy wełnianą czapkę dla ochrony przed lodowatym wiatrem.
- Dokładnie tak. Zadzwonią do ciebie, oczywiście, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Powiedz im, że będzie wesoło, że Bob chciał im sprawić przyjemność. Że było to jego ostatnie życzenie i zostawił list, w którym prosił cię, żebyś to dla niego urządziła. To twoje ostatnie zadanie.

- Okej. - Nadąsana, czubkiem różowego śniegowca kopnęłam zaspę przy bramie Hali. Stanley, ogrodnik, stał przed stróżówką, w której mieszkał z żoną i trzema czarnymi kotami. Dwa z kocurów wystartowały do Ratsa, prychając. Rats z podwiniętym ogonem pognał do Hali, a koty, które Stanley skrzyczał za złe zachowanie, usadowiły się na zamarznętej kałuży i zaczęły sobie myć wąsy, zadowolone z wygranej bitwy.

- Dzień dobry, pani Keane, panie Montana. - Stanley dotknął daszka myśliwskiej czapki. — Później może jeszcze padać, ale słyszałem, że pługi ruszają dzisiaj w naszą stronę, więc jest szansa, że pan się stąd wydostanie.

- Miło mi to słyszeć, panie Stanley. Pani Keane też się pewnie cieszy.

- W takim razie będę pana informował na bieżąco - powiedział Stanley i poszliśmy dalej.

Rats czekał już przy tylnych drzwiach. Weszliśmy do szatni, w milczeniu rozebraliśmy się z kurtek i wysokich butów. Montana poszedł za mną, kiedy w samych skarpetkach ruszyłam korytarzem koło kuchni do frontowego holu. Rats natychmiast zajął swoje miejsce przy ogniu, a my przeszliśmy do biblioteki, której Bob używał jako swojego gabinetu. Pokazałam Montanie trzy wielkie notatniki i zostawiłam go, by poszukał adresów podejrzanych, zapowiadając mu, że zobaczymy się przy kolacji.

Rats uniósł głowę, kiedy go mijałam, ale nie poszedł za mną; lekko urażona zrozumiałam, że wołał zostać z Montana.

Kiedy byłam już znów bezpieczna w swoim pokoju, rozebrałam się i założyłam szlafrok. Wtarłam wazelinę w zaognione od mrozu plamki wokół czerwonego nosa, po czym położyłam się na szezlongu i przykryłam miękkim kocem. Z zamkniętymi oczami myślałam o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin. Moje życie nagle popłynęło innym kursem, którego nie miałam ochoty obierać. Bałam się, ale nie mogłam zawieść Boba Hardwicka.

Rozdział 14

Daisy

Kiedy tego wieczoru zesłam na dół, Montany nie było, a Rats siedział przy stoliku w holu, wskazując nosem kopertę z moim nazwiskiem. Nie wiem, skąd pies wiedział, że to od Montany, i czy myślał, że jego nowy ulubieniec

wyszedł na chwilę i zaraz wróci, aleja osobiście poczułam ulgę, widząc, że to list pożegnalny.

Daisy,

(Pamiętasz, że ustaliliśmy, bym nazywał Cię Daisy, a nie panią Keane? Tylko Ci przypominam, żebyś nie poczytała mi tego za bezczelność!). Dowiedziałem się, że drogi są przejezdne i jeśli się pośpieszę, zdążę wrócić do Londynu przed następną śnieżycą. Nie chciałem Cię budzić, więc żegnam się teraz. Będę Cię informował na bieżąco, jak postępują sprawy, a spodziewam się, że szybko ruszą z miejsca. Zajmę się też rozsyłaniem zaproszeń i załatwieniem spraw z adwokatami Boba.

Miło było Cię poznać, Daisy Keane, nawet jeśli, jak to stwierdził Bob, potrafisz być „trudna i denerwująca”. Odpuść mi trochę, co? Ja tylko wykonuję swoją pracę. Czy nie możemy zostać przyjaciółmi?

A tymczasem lepiej zacznij kompletować żeglarskie ciuszki! Odezwę się niedługo.

Harry C. Montana

Byłam ciekawa, co oznacza C. I co to znaczy, że jestem „trudna”? Czy nie uratowałam go przed burzą, nie udzieliłam mu schronienia? Czego więcej chce ten człowiek?

Na dworze było ciemno, ale jeszcze nie padało. Poszłam do kuchni. Pani Wainwright miała wolny wieczór, ale w piekarniku zostawiła dla mnie półmisek wczorajszej pieczeni i jarzyn. Wlałam resztkę bordeaux do kieliszka i upiłam łyżeczek. Dałam Ratsowi kolację, wzięłam swój talerz i usiadłam przy kuchennym stole. Popijałam wino, słuchając tykania ściennego zegara w kształcie kota Feliksa, postaci ze starej kreskówki. Tutaj w każdym pomieszczeniu słychać było tykanie odmierzające upływ czasu, przez co jeszcze bardziej doskwierały mi cisza i samotność.

Odgrzewana pieczeń wciąż była smaczna. Dopiliśmy wino, znalazłam kolejną butelkę, otworzyłam ją, napełniłam na nowo kieliszek i klapnęłam z powrotem na krzesło. Byłam rozpaczliwie samotna. Zagapiłam się na list od Montany, leżący na stole,

„Czy nie możemy zostać przyjaciółmi?” - napisał. Naprawdę chciał zostać moim przyjacielem czy raczej miał zamiar być nim tylko do czasu, kiedy „sprawa” zostanie rozwiązana i pozbędzie się wreszcie zobowiązań wobec Boba? Wspominałam jego pociągłą, twardą twarz, kształtną, ciemną głowę, wąskie, szare oczy i ten uśmiech, który ciągle wzbudzał we mnie irytujące wrażenie, że Montana śmieje się ze mnie. I choć wiedziałam, że to głupie, nagle zapragnęłam, by był tutaj, by siedział ze mną przy tej butelce wina.

„Lepiej zacznij kompletować żeglarskie ciuszki”, napisał kpiąco. Wstałam i zaczęłam chodzić po kuchni, dumając nad moją dziwną sytuacją.

Rats dźwignął się ze swetra przy piecu i zaczął za mną łazić w nadziei na spacer, ale było za zimno. Wpuściłam go tylko tylnymi drzwiami i poczekałam - trzęsąc się z zimna, z kieliszkiem w dłoni - aż skończył swoje sprawy. Oboje pośpieszyliśmy z powrotem do domu.

Znów popatrzyłam na list Montany. „Odezwę się, niedługo”. Włożyłam koportę do kieszeni, splukałam swój talerz i kieliszek, wsadziłam je do zmywarki i wytarłam stół. Rats podreptał za mną, kiedy ruszyłam na górę, ale zamiast iść do siebie, skręciłam w lewo ze schodów i poszłam do Czerwonego Pokoju. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Jeśli spodziewałam się znaleźć jakiś ślad po Montanie, oznakę życia, jakąś pozostałość twardej męskiej osobowości unoszącej się w powietrzu, to się zawiodłam.

Czyś ty zwiariowała? - zapytałam samej siebie, pośpiesznie idąc korytarzem do mojego pokoju. Spotykasz człowieka, który z całą pewnością doprowadza cię do szału, i zachowujesz się, jakbyś za nim tęskniła? Zapomnij, mała, on tylko udaje cywilizowanego. Taką ma pracę.

Trzasnęłam za sobą drzwiami. Dokładnie w tej samej chwili zadzwonił telefon. Rzuciłam się do aparatu.

- Halo? - powiedziałam.

- Tak sobie pomyślałem, że pewnie chciałabyś wiedzieć, że dojechałem bezpiecznie.

Wciągnęłam głośno powietrze, uszczęśliwiona, że słyszę głos Montany.

- Martwiłam się - przyznałam miękko i zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście tak było. - Drogi są bardzo śliskie.

- A więc tęsknisz za mną?

- Ani trochę. - Mój głos natychmiast stał się zimny jak lód. - To po prostu wrodzona troska o bliźniego.

Roześmiał się. Miły, głęboki dźwięk sprawił, że i ja się uśmiechnęłam.

- No dobra, więc ten bliźni jutro wieczorem może mieć dla ciebie jakieś wieści. Zadzwonię.

- Wracam do Londynu - powiedziałam. Nie byłam w stanie ani chwili dłużej znieść ciszy w Sneadley. - Masz mój londyński numer?

- Mam. I tym razem ja się będę martwić, że jeździsz po śliskich drogach.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie powiedziałam nic.

- Mówię poważnie - rzucił łagodnie.

- Dziękuję.

- Do usłyszenia jutro.

Rozłączył się, a ja siedziałam ze słuchawką w ręce. Nagle Londyn wydał mi się doskonałym pomysłem.

Popędziłam do szafy i wyjęłam czarną sukienkę, która bardzo mi się podobała i nadawała się na randkę z kolacją. Tak na wszelki wypadek. Potem włączyłam telewizor, rzuciłam się na szezlong i z Ratsem na kolanach półprzytomnie gapiłam się na jakiś reality show, aż zasnęłam. Jutro będzie nowy dzień. A zaproszenia wkrótce dotrą do podejrzanych.

Część 2

Podejrzani

Prawda rzadko jest szczerą, a nigdy prostą

. Oscar Wilde *Bądźmy poważni na serio*

Rozdział 15

Lady Dianę Hardwick

BYŁA ŻONA, PODEJRZANA NR 1

Kiedy Diane Hardwick była żoną sir Roberta, mieszkała w przepysznym apartamencie w jednym z najwspanialszych domów w Monte Carlo, miała lokaja w białej marynarce, osobistą pokojówkę, szefa kuchni i majordomusa, a do tego cały tabun dochodzących pracowników, którzy dbali, by mieszkanie było wypolerowane, odkurzone i wolne od zarazków. Diane miała zarazkową fobię. Choć każda klamka, każdy kurek i każda łazienka były czyszczone dwa razy dziennie, i tak nosiła w domu rękawiczki, ale ponieważ nie chciała, żeby ktoś dowiedział się o jej „problemie”, nigdy nie wkładała ich poza domem. Zamiast tego ukradkiem przecierała wszystko odświeżającymi chusteczkami, zanim czeokolwiek dotknęła. Oczywiście z wyjątkiem żetonów w kasynie.

Zresztą i tak nie pozwoliliby jej grać w rękawiczkach, choć było nie do pomyślenia, żeby podejrzewali o cokolwiek kobietę o jej pozycji. I oczywiście nie oszukiwała. Zwyczajnie przegrywała. To dlatego teraz żyła sama w małym mieszkaniu na Place Charles-Felix w starej części Nicei, w pobliżu domu, w którym mieszkał kiedyś Matisse. Niedaleko znajdował się jeden z najstarszych placów w mieście, Cours Saleya, ze słynnym targiem na wolnym powietrzu.

Jako że Diane nie lubiła jeść, nie była zachwycona jego sąsiedztwem, tymi wszystkimi owocami i warzywami. Zapachy gotowanego jedzenia dolatujące

do jej mieszkania z budek sprzedających *socca* - miejscowe naleśniki z grochowej mąki - i aromaty z licznych restauracji otaczających plac przyprawiały ją o mdłości. Tylko wspaniałe ekspozycje kwiatów na targu sprawiały jej przyjemność. Nieważne jak krucho było z pieniędzmi, a zawsze było krucho, Diane wypełniała swoje czteropokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze zapachem tuberoz i bzu, jaśminu i frezji, byle tylko rozproszyć wonie dochodzące z ulicy.

To nie było brzydkie mieszkanie. Prawdę mówiąc każdy, poza Diane, uznałby je za urocze. Owszem, stropy były trochę niskie, ale wąskie francuskie okna sięgały aż pod sam sufit i były ozdobione małymi balkonikami, które Dianę zapchała mnóstwem roślin, by sąsiedzi z drugiej strony ulicy nie mogli jej podglądać. Rośliny przesłaniały niemal całe słońce, które mogłoby wpadać do wnętrza, ale jej podobała się ta podwodna, zielona poświata sącząca się przez paprocie. To było trochę jak mieszkanie w akwarium.

Jeden pokój był przeznaczony na jej ubrania - sięgającą od ściany do ściany i od podłogi do sufitu wystawę haute couture z ostatnich piętnastu lat - a do tego setki par markowych butów i równie wiele torebek. Jak powiedział jej kiedyś złośliwie sir Robert, nigdy nie będzie musiała chodzić po tym świecie nago. I rzeczywiście, wciąż potrafiła być ozdobą każdego przyjęcia i wyglądać na milion dolarów, choć już od dawna osiemnastokaratowy, cięty w kwadrat szmaragd otoczony brylantami był tylko kopią prawdziwego Cartiera, którego dał jej Bob, podobnie zresztą, jak większość pozostałej biżuterii.

Jednak kilku drobiazgowców trzymała się kurczowo, nawet kiedy nie było co do garnka włożyć. Były to jej „klejnoty codzienne”, zwane tak z tego prostego powodu, że nosiła je każdego dnia. Komplet ten składał się z kolczyków z czterokaratowymi brylantami i cienkiego sznurka brylantów na szyję. To były jej pierwsze prawdziwe klejnoty, dostała je na długo przedtem, zanim Bob Hardwick pojawił się w jej życiu. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy podarowała swoją młodość, wraz z dziewictwem, starszemu mężczyźnie w zamian za parę miesięcy luksusu w pewnym karaibskim kurorcie, brylanty i dobrą zabawę. Uważała, że była to uczciwa wymiana.

Ściany jej salonu przesłaniał usztywniany srebrzysty brokat. Nie mogąc znieść nijakich, nierówno otynkowanych murów, które przypominały jej wiejską chałupę, zastawiła bransoletkę i kupiła drogi materiał. Osobiście przybiła gwoździem kilka szerokich listew, owinęła je grubą fizeliną i przypięła materiał. Wyglądało to obłędnie.

Kiedy zachodziła taka konieczność, Diane potrafiła sobie radzić. Ciągle jeszcze umiała odegrać niezłe przedstawienie, tak jak musiała to robić na po-

czątku. Zawsze chodziło o to, by robić dobre wrażenie. Z porządnymi meblami art deco, ocalonymi z wyprzedaży jej dawnego mieszkania w Monte Carlo, z wielkimi lustrami, kryształowymi lampami i białymi dywanami na wypolerowanych, drewnianych podłogach, jej salon był naprawdę piękny. Podobnie jak sypialnia. Była małeńka i niemal całkowicie wypełniało ją gigantyczne łóżko z białą, szydełkową narzutą, którą - choć wydawało się to nieprawdopodobnie - zrobiła sama Diane w chwilach beczynności, wplatając złość w każde oczko.

Obiektem tej złości był Bob Hardwick, były mąż, który zostawił ją w tym smutnym położeniu.

- Co? Znowu? - skomentował złośliwie, kiedy dopadła go w Hotel du Cap, gdzie spędzał weekend z tą rudą, która, jak twierdził, była jego asystentką. Znała te bajki. Tylko że tym razem była już rozwiedziona i nie mogła urządzić awantury o kochankę. Mogła tylko udawać pokrzywdzoną przez los, co odniosło dokładnie zerowy skutek.

Nauczyła się szydełkować od swojej babki, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Nie przyznałaby się nawet do posiadania babki, chyba że mogłaby sobie w ten sposób przypisać arystokratyczne korzenie. Nigdy nie mówiła Orodzynie ani o przeszłości, bo i o jednej, i o drugiej wolałaby zapomnieć. Mówiła tylko o czasach, kiedy była żoną światowego potentata Boba Hardwicka. I oczywiście dzięki temu, że wciąż była lady Hardwick, zapraszano ją w różne miejsca, mimo iż nie była już w stanie rewanżować się za te zaproszenia.

Nie mogłaby zaprosić gości do tej klitki na Place Charles-Felix i przyznać się do tak skromnego życia. Zdawała sobie sprawę, że towarzystwo zaczyna to już komentować, gadać o niej, spekulując na temat jej finansów. Denerwowało ją to. Denerwował ją Bob Hardwick, ale teraz umarł, a jego była - i jedyna - żona wiedziała, że odziedziczy cały majątek. Ostatecznie nie miał innej „rodziny”.

Wydzwaniała do adwokatów Boba od chwili, kiedy dowiedziała się o jego śmierci, chcąc wiedzieć, kiedy będzie mogła otrzymać zaliczkę ze spadku. I pokazała się na pogrzebie, zmarznięta i wściekła, bo włoska kochanka też tam była, razem z kilkoma sztywnymi biznesmenami, którzy - poza uściśnięciem dłoni i wymamrotaniem paru słów kondolencji - ignorowali ją. Tak samo jak kochanka i Arnie Levin, prawnik, który dopiero zapytany wprost, powiedział jej, że testament będzie odczytany w późniejszym terminie. Co on chciał przez to powiedzieć? Ile jeszcze miała czekać? Prawnicy milczeli jak mumie i Diane zaczęła się niepokoić, że coś poszło nie tak. A przecież rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy.

Był kwadrans po dziesiątej rano. Przez otwarte okna Dianę słyszała gwar dobiegający z targu. Zapach jedzenia niósł się do środka. Musiała zostawić otwarte okna, bo dzień był gorący, a w mieszkaniu nie było klimatyzacji. Ze zmarszczonymi brwiami psiknęła w powietrze odświeżaczem o zapachu tuberozy, by zamaskować niechciane wonie.

Wciąż ubrana w błękitną, satynową piżamę z koronkowymi wykończeniami, poszła do kuchni, by zaparzyć sobie kawę. Nie zmieniła tu nawet jednej rzeczy. Kuchnia wyglądała tak samo od dziesięcioleci. Było to ponure, wąskie pomieszczenie wyłożone brązowymi kafelkami, ze zniszczonymi, kraciastymi zasłonkami rozciągniętymi na drutach w szafkach pod zlewem i koło kuchenki. Na otwartych półkach stało kilka talerzy i filiżanek, w kącie rzucała mała lodówka. Kuchnie nie należały do świata Diane.

Puszka na kawę była pusta. Zirytowana, podeszła do okna w salonie i przez liście roślin wyjrzała na ruchliwą ulicę. Jakieś dzieci przebiegły z tupotem, wrzeszcząc ile sił w płucach i ciągnąc za sobą tornistry. Diane nigdy nie chciała dzieci. Nie rozumiała ich. O własnym dzieciństwie wołałaby raczej zapomnieć. W żaden sposób nie chciała do tego wracać.

Dwa domy dalej, po drugiej stronie ulicy, w szkole baletowej już od dawna trwały zajęcia. Zgarbiona staruszka, która grała na fortepianie, bezlitośnie katowała utwór Czajkowskiego. Nie rozpoznałby go sam kompozytor. Małe dziewczynki w różowych *tutu* przemknęły przed oczami Diane, wyobrażając sobie zapewne, że są wielkimi balerinkami, sławnymi na cały świat. Diane nie była taką optymistką. Nie podzielała ich wizji.

Ulicą biegł duży brązowy pies. Zatrzymał się w bramie naprzeciwko, obwąchał ją i nonszalancko podniósł nogę. Zadowolony z pozostawionego znaku potruczał dalej. Diane westchnęła z goryczą. Kto by pomyślał, że będzie kiedyś mieszkała w miejscu, gdzie psy sikają w bramach?

Przeszła do sypialni i usiadła przy toalecie z pięknym weneckim lustrem. Dostała ją od Boba. „By już zawsze odbijało twoją urodę”, powiedział, kiedy sprezentował jej ten mebel na początku ich związku. Ale teraz Dianę nie widziała w lustrze urody. To nie była już pierwsza młodość, kiedy budziła się i patrząc w lustro, widziała różaną idealną cerę, oczy błyszczące jak szmaragd na jej palcu, i ciało, które nigdy nie zawodziło. Mogła założyć cokolwiek albo rozebrać się do naga w pełnym świetle, robić wszystko, być kimkolwiek. Dopóki nie odkryła hazardu.

Ze znużeniem spojrzała na maleńki, złoty budzik podróżny stojący na szklanym blacie. Pokazywał dziesiątą trzydzieści. Do licha, była spóźniona.

Pospiesznie narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy na piżamę, wsunęła stopy w płócienne espadryle na koturnie i zawiązała troczki wokół kostek. Ściągnę-

ła do tyłu swoje długie, rude włosy, nasunęła głęboko na czoło słomiany kapelusz i dorzuciła ciemne okulary w stylu Jackie Onassis. W końcu zbiegła po wąskich schodach na brukowaną ulicę. Ciężkie, drewniane drzwi huknęły za nią, kiedy pospieszyła w kierunku Cours Saleya i targu.

Ten człowiek umówił się z nią punktualnie o dziesiątą trzydzieści. Dianę wiedziała, że nie będzie czekał, a przez to, co się stało, po prostu nie mogła sobie pozwolić na spóźnienie. Inaczej przeszłość ją dogoni. I choć rezygnacja z pewnych rzeczy była bardzo bolesna, Dianę potrzebowała pieniędzy.

Ekscentryczny wygląd sprawiał, że ludzie oglądali się za nią, ale Dianę ignorowała spojrzenia i zdumione uśmiechy. Nie obchodziło jej, jak wygląda. Nikt jej tu nie znał- nikt, kto by się liczył. Ludzie z jej sfery nie chodzili po targach. Ona zresztą też tu nie bywała, z wyjątkiem tego ranka. Przygnało ją tu rozpaczliwe pragnienie gorącej mocnej kawy i umówione spotkanie, na które była już spóźniona.

Nie zauważyła „ogona” — nijakiego mężczyzny w koszulce, szortach i tenisówkach, który szedł za nią. Była zajęta czym innym.

Usiadła na kawiarnianym tarasie po zaciętej stronie placu, wytarła stolik, zamówiła espresso i ostrożnie rozejrzała się wokoło. Mężczyzny, z którym miała się spotkać, nie było. Jej serce ścisnął lęk. Gdzie on jest? Była od niego zależna. Nie mógł jej tego zrobić. Po tych wszystkich długich miesiącach planowania nie mogła teraz przegrać! Tysiące myśli przemknęło jej przez głowę, jedna gorsza od drugiej. Zdenerwowana zdjęła kapelusz, przesunęła okulary na włosy, wypiła jednym haustem słodkie espresso i zamówiła następne. Przyjdzie, była tego pewna. Nie mógł jej teraz zawieść, nie mógł wydać jej sekretu. Pokręciła głową. Bo przecież jakby mógł? On też brał w tym udział.

Śledzący ją detektyw, przysłany przez Montanę, siedział kilka stolików dalej. Widział jej drżącą dłoń, nieustanne, nerwowe kiwanie nogą, spojrzenie śledzące przechodniów. Zastanawiał się, czy Dianę bierze narkotyki.

Kilka minut później zobaczył, że wstaje z krzesła. Na jej twarzy odmalowała się ulga, kiedy jakiś mężczyzna precyzyjnie się między stolikami do miejsca, gdzie siedziała. Był młodszy od Dianę, ani przystojny, ani brzydki - przeciętny młody człowiek w białych szortach, koszulce i ciemnych okularach. Miał ze sobą niewielką torebkę. Taką na męskie drobiazgi - portfel, klucze i tym podobne.

Detektyw wyjął z kieszeni komórkę, wycelował w nich obiektyw i zrobił serię szybkich zdjęć. Młody człowiek gestem odprawił kelnera. Najwyraźniej był tu w interesach i zamierzał załatwić je szybko. Po kilku minutach Diane,

z twarzą ściągniętą gniewem, wyjęła brylanty z uszu i położyła je na wysuniętej w oczekiwaniu dłoni młodego mężczyzny. Ten przyjrzał się im uważnie i powiedział coś, co wywołało gniewny okrzyk kobiety. Niestety zbyt cichy, by detektyw go usłyszał.

Młody człowiek odsunął swoje krzesło i wstał. Dianę też zerwała się na nogi. Założyła z powrotem okulary, kryjąc oczy, tak że detektyw nie mógł już określić wyrazu jej twarzy. Młodzieniec powiedział coś, odwrócił się i przeszedł między stolikami, wtapiając się w tłum na targu.

Swoją małą torebkę zostawił na stole. Detektyw zobaczył, jak Dianę podnosi ją, otwiera, wyciąga plik banknotów i liczy. Mimo to wyglądała tak, jakby odniosła porażkę. Rzuciła kilka monet na spodeczek dla kelnera i w końcu ona też odeszła w pośpiechu.

Detektyw poszedł za młodym człowiekiem.

Dianę, ze łzami w oczach, szła szybko przez Place Charles-Felix, kiedy nagle rozległ się dźwięk przypominający wystrzał. Przestraszona krzyknęła i szybko schowała się w bramie. Wyrzawszy na zewnątrz, zobaczyła, że to tylko kurier na motocyklu, który zatrzymał się przy jej kamienicy i teraz naciska dzwonek. Przebiegła resztę drogi.

- Czy pan szuka lady Hardwick? - zapytała zdyszana. Nie przywykła do wysiłku fizycznego.

- To pani, madame?

Kiwnęła głową, wyjmując klucz i otwierając drzwi, by udowodnić, że naprawdę tutaj mieszka.

- Tak, jestem lady Hardwick - powiedziała na wszelki wypadek, gdyby były jeszcze jakieś wątpliwości. Poza tym zawsze lubiła dźwięk tych słów.

- Proszę tutaj podpisać.

Podpisała mu pokwitowanie, a on podał jej kopertę. Sądząc z wielkości, kształtu i pięknej kaligrafii było to zaproszenie. Dianę pobiegła po schodach, rozdzierając kopertę i wyjmując wytłaczaną, białą kartę.

Daisy Keane ma przyjemność zaprosić Panią na rejs po Morzu Śródziemnym, zorganizowany, by uczcić pamięć sir Roberta Hardwicka.

Dianę ścisnęła dłonią gardło. Rejs? Czy oni powariowali? Dlaczego zaprasza ją ta Daisy Keane?

Ostatnim życzeniem sir Roberta było, aby jego przyjaciele zgromadzili się na jachcie „Blue Boat”, wypływającym z Monte Carlo w dniu 25 maja, i wyruszyli w pięciodniowy rejs na Capri, odwiedzając po drodze Saint-Tropez i Sorrento. Z pokładu jachtu zejdziemy w Neapolu w dniu 30

maja. Wszystkie wydatki zostaną pokryte z funduszy pozostawionych przez sir Roberta.

Po potwierdzeniu swojego udziału otrzyma Pani czek na sumę stu tysięcy dolarów, który będzie na Panią czekał na pokładzie.

Ostatniego wieczoru w willi Belkiss na Capri zostanie odczytana ostatnia wola sir Roberta.

Linijka RSVP podawała numer telefonu i adres biura sir Roberta w Londynie.

Sto tysięcy dolarów. Zera zatańczyły przed oczami Dianę jak baloniki na dziecięcym urodzinowym przyjęciu. Sto tysięcy dolarów! Mój Boże, pomyślała, jestem uratowana. No i kolczyki - chciała je z powrotem!

Przeczytała list jeszcze raz, i jeszcze raz. W końcu dotarła do wersu: *Ostatniego wieczoru w willi Belkiss na Capri zostanie odczytana ostatnia wola sir Roberta.* Pierwszy uśmiech tego dnia rozjaśnił jej śliczną twarz. Jednak wszystko się udało, miała dostać spadek. To dlatego ją zaproszono. Nareszcie miała dostać to, co jej się należało.

Oczywiście, że pojedzie. W myślach już przeglądała garderobę. Wzięła słuchawkę i zadzwoniła do Daisy Keane.

Było po wszystkim. Na szczęście to, kim i czym naprawdę była i co zrobiła, pozostanie tajemnicą na zawsze.

Rozdział 16

Filomena Algardi

BYŁA KOCHANKA, PODEJRZANA NR 2

W Wenecji padało. Był to przenikliwy ulewny deszcz, który w połączeniu z wyjątkowo wysokim przypiływem zalał Piazza San Marco. Woda przekroczyła już głębokość trzydziestu centymetrów i wciąż się podnosiła. Kopuły bazyliki ginęły we mgle, a sławne nadbrzeżne kawiarnie, Florian i Quadri, gdzie Filomena wydawała majątek na filizankę kawy, były zamknięte naглуcho. Markizy poskładano, krzesła i stoliki upchnięto w środku, zniknął kwartet smyczkowy. Nie było dziś turystów, mogących rozkoszować się słodką muzyką.

Ponad wezbraną wodą ułożono wąskie deski, udające chodniki. Przyzwyczajeni do nich od urodzenia weneccjanie pewnym krokiem przechodzili przez plac, podczas gdy niedoświadczeni i ryzykanci potykali się i wpadali po kolana w oleistą wodę.

Na nieszczęście Filomena mogła dotrzeć do swojego mieszkania tylko po tych deskach albo drugą, okrężną drogą, wymagającą pokonania mnóstwa małych uliczek i spędzenia co najmniej pół godziny więcej w ulewnym deszczu. Szpilki nie były idealnym obuwiem na tego rodzaju przeprawę, szła więc powoli, stawiając ostrożnie jedną stopę przed drugą jak modelki na światowych pokazach, paradyżące po wybiegu. Miała na sobie modny biały trench, który niezbyt skutecznie chronił ją od deszczu. Schowała swoją drogą torebkę z alligatora pod połę płaszcza, żeby nie zmokła i naciągnęła plastikową torebkę na blond włosy. Jasne włosy i niebieskie oczy odziedziczyła po matce, Włoszce z północy. Kobieta, którą Montana przydzielił do obserwacji Filomeny, nie była już tak wprawna. Ześlizgnęła się z deski i stała, marszcząc się ze złością, prawie po kolana w wodzie, gdy obiekt jej zainteresowania zniknął w półmroku i deszczu.

Filomena zostawiła za sobą plac i ruszyła boczną uliczką, brodząc przez kałuże. Dawno straciła nadzieję, że uratuje swoje drogie buty. Jej mieszkanie znajdowało się w starym *palazzo* stojącym przy szerokim kanale. W taką pogodę jak ta parter nieuchronnie zalewało, a jej mieszkanie na piętrze stawało się najbardziej wilgotnym miejscem w całej Wenecji. Zresztą, mieszkanie to była zbyt szumna nazwa dla pojedynczego, wielkiego pokoju z małą łazienką wykrojoną w jednym z rogów. Filomena wynajęła je tylko dlatego, że adres - *Palazzo Brea* - był dobry, nawet jeśli w czasie letnich upałów mieszkanie cuchnęło kanałami, a w zimie było lodowate. I z jakiegoś powodu wiecznie wilgotne. Na korzyść tego starego budynku przemawiała jego swoista elegancja i urok oraz fakt, że widok rozciągający się z jej okien - ponad kanałem, na złożone kopuły kościołów i tajemne, zielone patia - był naprawdę magiczny.

Filomena brodziła wąskimi uliczkami, aż dotarła pod drzwi *Palazzo Brea*, te od strony ulicy. Zrędliva gospodyni przywitała ją kwaśno, informując, że wytarła większość wody z holu, ale od strony kanału sień i tak jest zatopiona. Trzęsąc się z zimna, Filomena weszła po marmurowych schodach, wyżłobionych na środku przez wieki używania, z rzeźbioną, równie zużytą balustradą. Freski na suficie wciąż były urocze, choć zasmolone kopciem i brudem wielu dziesięcioleci. Chłód bił od pokrytych boazerią ścian, które kiedyś pomalowane były na ładną, wiosenną zieleń, ale - od dawna zaniedbane - miały teraz kolor gdzieś pomiędzy smętnym beżem i szarością.

Filomena kochała słońce, uwielbiała upał i tropikalny klimat, plaże Rio i Saint-Tropez. Ze swoimi lśniącymi, złotymi włosami, seksownie pełnymi wargami, sprężystym ciałem i własnym, niepowtarzalnym stylem wciąż mogła stanowić ozdobę każdej plaży. Problem w tym, że była coraz starsza. Miała dwadzieścia osiem lat, a w jej świecie osiemnaście to był jedyny dopuszczalny wiek. Nawet dwudziestopięciolatki uważano za osoby, które mają już z górki. Jak mogło być inaczej, jeśli wszędzie pełno było apetycznych, młodych piękności, chciwych złota i wystawnego życia, na które nie było je stać? Ona była kiedyś taka sama.

Otworzyła drzwi i weszła do swojego jednopokojowego świata. Co za degradacja, pomyślała, rzucając na podłogę przemoczony płaszcz. Wierzgnęła nogami, zrzucając zniszczone szpilki i ściągnęła z włosów ociekającą wodą torebkę. Wyglądała jak stara żebraczka. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie spojrzalby na nią. Spódnice też miała mokrą. Rozpięła ją, opuściła na podłogę i została tam, gdzie upadła. Owinięta w koc i wciąż drżąca z zimna, podeszła do okna i wyjrzała na zacinający deszcz i wściekle fale pędzące od miotanej sztormem laguny, zamieniające przepelnione kanary w pełne wirów górskie rzeki.

Był koniec kwietnia i pogoda nie powinna już robić takich dowcipów. Dla Filomeny maj z jego bladym słońcem był najpiękniejszym miesiącem w Wenecji. Bardziej kochała jedynie listopad, kiedy uliczki i mosty ginęły tajemniczo w gęstej, wełnistej mgłę, płynącej szybko przez miasto, tłumiącej kroki i spowijającej ludzi tajemnicą. W Wenecji w listopadzie człowiek mógł być anonimowy, a to czasami było jej bardzo na rękę.

Wychowała się w Veneto, regionie pełnym wzgórz i winnic, niedaleko Wenecji. Mieszkała w małej wiosce, gdzie jej ojciec był piekarzem. Żyli z dala od miejskiego blichtru. Choć rodzina była biedna, Filomena miała szczęśliwe dzieciństwo. Do szkoły chodziła w pobliskim miasteczku i była dobrą uczennicą. Niezadowolony ojciec ciągle powtarzał, że córka ma mózg, jest tylko zbyt leniwa, by go używać.

To nie było jedynie lenistwo. Filomena odkryła, że jest piękna. Wtedy jeszcze wierzyła, że te dwa walory - mózg i uroda - są niezwykłą kombinacją. Teraz nie była już tego taka pewna. Proszę, gdzie wylądowała. Sama, w byle jakiej kawalerce, sprzedając kreacje, na które nie było jej już stać, i czekając na spełnienie swoich nadziei i planów - to znaczy na spadek po Bobbie Hardwicku, który nareszcie kopnął w kalendarz. Liczyła na to, że zostawił jej choć kilka ze swoich cholernych milionów.

Oczywiście pojechała na pogrzeb, by upomnieć się o swoje od razu, nad jego grobem, i uświadomić prawnikom i całej reszcie, że jest kimś, z kim

trzeba się liczyć. Włącznie z tą suką, jego była żoną z jej krokodylami łzami, które ściekały czarnymi kuleczkami tuszu po policzkach. Filomena miała dość rozumu, by nie malować oczu, a już z pewnością nie nakładać różu. Chciała wyglądać blado i interesująco; udało jej się nawet ściągnąć pełne podziwu spojrzenie kilku żałobników. Dwóch z nich wcisnęło jej w dłoń swoje wizytówki przy pożegnaniu, ale wiedziała, że są żonaci. Nie miała zamiaru znów tego przerabiać. Marzyła, że kiedy już dostanie od Boba to, co jej się należało — zawsze jej przyrzekał, że wymieni ją w testamencie; inaczej nie zrobiłaby tego, co zrobiła - będzie miała wolną rękę i sama wybierze sobie mężczyznę spośród najlepszych tego świata. I tym razem będzie nalegać na małżeństwo.

Jak na razie nic nie wskazywało na to, żeby jej marzenia miały się spełnić. Nie odczytano testamentu po pogrzebie, jak się spodziewała, i nie powiedziano ani słowa, kiedy to może nastąpić. Jej wspaniałe plany rozplynęły się w deszczu zalewającym Wenecję.

Gapiąc się przez okno, rozmyślała ponuro, czy ojciec nie miał przypadkiem racji. Może powinna była siedzieć w domu i zostać nauczycielką, zamiast kochanką bogaczy. Uczyłaby dzieci abecadła, zamiast pokazywać starszym mężczyznom, jak cieszyć się życiem. Może powinna wyjść za miejscowego przedsiębiorcę budowlanego albo kogoś w tym stylu, mieć ładny, ciepły dom i trzech synów, którzy zaopiekowaliby się nią na starość.

No i proszę, znów powracała kwestia wieku. Była za stara na modelkę, chociaż jako nastolatka brała udział w kilku pokazach i sesjach zdjęciowych. Przed kamerą nie wykazała się wrodzonym talentem i nie umiała grać, choć i tego próbowała. No i było już za późno, żeby zostać nauczycielką. Zadrzała, otulając się szczelniej kocem. Prawda była taka, że żaden mężczyzna, nawet wiejski budowlaniec, nigdy nie poprosił jej o rękę. Filomena nadawała się tylko na kochankę.

Łzy zapiekły ją pod powiekami i popłynęły po delikatnych kościach policzkowych, po jej ślicznej twarzy, aż poczuła sól na wargach.

- Co się ze mną stało? Gdzie popełniłam błąd? - zapytała cztery nagie ściany. - Co ze mną będzie?

Rozległo się pukanie do drzwi. Pospieszenie ocierając łzy, poszła otworzyć. W korytarzu stała gospodyni, stara, brązowa i zaszuszona, opatulona w wełniane szale, w rozdeptanych trepach i pomarszczonych rajstopach. Pograżona we własnym nieszczęściu, Filomena pomyślała, że któregoś dnia też będzie tak wyglądać. Zostanie żoną stróża, ignorowaną przez wszystkich, szpiegującą życie innych ludzi i żywiącą się cudzymi nieszczęściami.

- List do pani, posłaniec przyniósł - powiedziała kobieta, podając jej dużą, kwadratową kopertę. — Jak się tu dostał w taką pogodę, nie mam pojęcia.

Filomena wzięła kopertę, podziękowała i zatrzasnęła kobiecie drzwi przed nosem. Widać było, że wścibska starucha umiera z ciekawości, jakież to wieści były na tyle pilne, aby musiano dostarczyć je przez kuriera. A to na pewno nie był jej interes.

Usiadłszy na niskim łóżku, które swego czasu udawało sofę, Filomena uważnie obejrzała kopertę. Papeteria wysokiej klasy, wymiary w sam raz na zaproszenie. Rozdarła kopertę i wyjęła wyflaczaną kartkę. Oczy otworzyły jej się szerzej. To było zaproszenie, choć nie takie, którego się spodziewała. Osobista asystentka Boba zapraszała ją w rejs po Morzu Śródziemnym, aby uczcić jego pamięć. Jeśli Filomena przyjmie zaproszenie, otrzyma sto tysięcy dolarów. Jeśli przyjmie? Czy oni zwariowali? Czy Daisy Keane naprawdę sądziła, że Filomena odmówi? Na dodatek ostatniego wieczoru odczytają testament Boba.

Bystry umysł Filomeny rozważył nieskończone możliwości, jakie stawały przed nią otworem, jeśli pojawi się na jachcie. Było oczywiste, że cały jej misterny plan, cała kampania nie poszła na marne.

Uśmiechała się po raz pierwszy od wielu dni, pisząc odpowiedź. Oczywiście, że przyjmuje zaproszenie! Dla pewności zadzwoniła też do Daisy Keane do Londynu. Odebrano po pierwszym sygnale.

- Halo, pani Keane? Mówi Filomena Algardi. - Wręcz mruzczała do słuchawki. - Dzwonię w sprawie zaproszenia na stypę po naszym biednym Bobie. Tak, oczywiście, zamierzam przyjechać. Nie darowałabym sobie tego za

skarby świata. Do zobaczenia na miejscu, pani Keane.

Opatulona w koc na łóżku, Filomena zaczęła planować resztę swojego życia.

Rozdział 17

Charles Clement

BYŁY PRZYJACIEL, PODEJRZANY NR 3

Charlie Clement roześmiał się, kiedy przeczytał zaproszenie, i natychmiast wyrzucił je do kosza. Musiał przyznać temu staremu draniowi, Bobowi Hardwickowi, że nawet zza grobu potrafił dopaść człowieka. Ten facet zawsze dostawał, czego chciał. A jednak Charlie czuł niepokój. Był pewien, że w tym zaproszeniu i łapówce kryło się coś więcej.

Rozparł się w skórzanym fotelu za matową stalową płytą, która była jego modernistyczną wersją biurka, i splótł palce. Wciąż się uśmiechał, choć nie z zadowolenia. Był wysokim, masywnym, ale przystojnym mężczyzną po pięćdziesiątce, z długimi, przylizanymi do tyłu ciemnymi włosami, które podwijały się odrobinę na karku. Jego niespokojne ciemne oczy niczego nie przepały, usta tworzyły wąską, zmysłową kreskę. Jak zawsze był nienagannie ubrany w ciemny prążkowany garnitur i szytą na miarę koszulę, oczywiście z monogramem na mankietach - zamawiał je tuzinami u Ascota Changa. Na nogach buty marki Lobb, na nadgarstku wielki złoty rolex. Wyglądał na to, kim był — na wysokiej klasy kombinatora.

Charlie Clement od początku do końca pozował na Brytyjczyka z wyższych sfer. Ostatecznie czyż nie chodził do najlepszych szkół, czyż nie dorastał wśród członków najlepszych rodzin? Tyle że z całą pewnością nie był arystokratą ani nawet ziemianinem. Ojciec Charliego zarobił sporo na akcjach, po czym utopił wszystko w nietrafionych, długoterminowych inwestycjach. Charlie w wieku osiemnastu lat został na lodzie, liczył bowiem, że wypchany portfel taty pozwoli mu prowadzić życie playboya, jakie najbardziej mu odpowiadało.

Mówi się, że każdy powinien robić to, na czym zna się najlepiej. Charlie wiedział, na czym się zna, i co jest dla niego najlepsze. Otworzył firmę, którą rozreklamował jako najwyższej klasy usługi towarzyskie, wynajmującą podróżującym biznesmenom i turystom „osoby towarzyszące” na wieczór. Dzięki koneksjom Charliego firma świetnie prosperowała od samego początku i nigdy nie brakowało jej klientów ani chętnych pracowników obojga płci. Mimo plotek nigdy nie było mowy o seksie. Ludziom, którzy z uśmiechem wypytywali o charakter usług jego firmy, Charlie powtarzał zawsze, że samotność to potrzeba rynkowa jak inne; wystarczy ją zaspokoić i robi się pieniądze. Nie wszyscy wierzyli, że Charlie sprzedaje wyłącznie antidotum na samotność, ale był dość sprytny, żeby nie można było zarzucić mu stręczycielstwa. Jego dziewczyny, jak je nazywał, były bajeczne. Świetnie się ubierały, potrafiły rozmawiać, można się było doskonale bawić w ich towarzystwie. Zarabiały niezłe pieniądze, jadały w najlepszych restauracjach, tańczyły w najlepszych klubach. I niczego więcej od nich nie wymagano.

Charlie poznał Boba Hardwicka na prośzonej kolacji. Zauważywszy, jak sądził, potencjalnego klienta, zaczął z nim rozmawiać o samotności. Hardwick zaprosił go kilka razy do Snedley Hali, a potem na doroczne sierpniowe polowanie na kuropatwy. Charlie pojechał, oczywiście, ale był zmuszony wyjechać wcześniej z powodu pewnego drobnego nieporozumienia. A przynaj-

mniej Charlie uważał je za drobne, bo Hardwick zwyczajnie dał mu w gębę. Po czym doprowadził do zamknięcia jego agencji i zagroził dalszymi konsekwencjami.

Bob Hardwick miał ogromne wpływy wśród ludzi sprawujących władzę i jego groźba zasiała niepokój w umyśle Charliego. Przez wiele miesięcy czuł się jak Damokles z mieczem wiszącym nad głową na włosku, gotowym spaść w każdej chwili. Nawet później nie wyglądało na to, że jest naprawdę bezpieczny, dopóki Bob Hardwick nie spoczął w grobie. A teraz wracał, by go prześladować. I do tego Daisy Keane ma czelność zapraszać go na jakiś zwiariowany rejs po Morzu Śródziemnym, by uczcić jego pamięć.

Charlie wyłowił zaproszenie z kosza i przeczytał jeszcze raz. *Sto tysięcy dolarów*. Stary Bob wiedział, jaką przynętę wyłożyć do tej pułapki, pomyślał z krzywym uśmiechem. I jeszcze to: *Ostatniego wieczoru w willi Belkiss na Capri zostanie odczytana ostatnia wola sir Roberta*. To dopiero było interesujące.

Pomyślał jeszcze chwilę, po czym, wciąż trochę nerwowo, podniósł słuchawkę i wystukał numer podany na zaproszeniu.

- Charles Clement do Daisy Keane - powiedział, kiedy zgłosiła się centralka. Kazano mu czekać. Po chwili Keane odezwała się w słuchawce.
- Pan Clement? Zapewne dzwoni pan w odpowiedzi na moje zaproszenie?
- Owszem. I zadaję sobie pytanie, dlaczego Bob Hardwick miałby sobie życzyć mojej obecności na swojej stypie.

Roześmiała się. To był miły śmiech i natychmiast przypomniał sobie, że poznał ją kiedyś - wysoka, ruda, seksowne usta i kompletny brak gustu.

- Sir Robert życzył sobie przed śmiercią, abym urządziła coś w rodzaju uroczystości z udziałem jego przyjaciół. A tak naprawdę chodziło po prostu o to, żeby wszyscy dobrze się zabawili na jego koszt. To ostatni raz, rozumie pan. I proszę mi uwierzyć, gdyby Bob mógł być tam z nami, na pewno ucieczyłaby go obecność znajomych.

- Wierzę - powiedział Charlie. I nagle się zdecydował. - Zjawię się, pani Keane.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Pora na lunch. Na dworze wciąż było zimno, zarzucił płaszcz i zszedł po schodach na ulicę. Londyńskie Soho wyglądało jak zwykle; za dużo samochodów i zbyt wielu ludzi sfoczonych na zbyt wąskich ulicach.

Już wcześniej zauważył tego człowieka, sterczącego naprzeciwko jego biura i czytającego gazetę. Widząc, że facet ruszył za nim, Charlie poczuł, że dostał gęsiej skórki. Policja? Detektyw w cywilu? Rzucił szybkie spojrzenie za

siebie. Mężczyzna wciąż tam był. Charlie przyspieszył kroku. Zatrzymał się, zapalił papierosa i znów zerknął przez ramię. Mężczyzna zniknął. Charlie odetchnął z ulgą. Przez to zaproszenie zza grobu zrobił się nerwowy. A już myślał, że raz na zawsze posłał Boba Hardwicka pod ziemię. Z uśmiechem poszedł dalej. Nie zauważył drugiego mężczyzny, który ruszył za nim, nie zwracając na siebie uwagi.

Charlie szedł szybko, arogancko przepychając się przez tłum, aż dotarł do niewielkiego klubu z fotosami skąpo odzianych dziewcząt. Szyld nad granatowymi drzwiami głosił: U MARILYN. Niechlujny odzwierny w białoniebiskim uniformie i w czapce ze złotym otokiem odepchnął się pospiesznie od ściany, pod którą palił papierosa i kontemplował wyniki wyścigów. Clement dał mu ostrą reprimendę i przepchnął się obok niego do wnętrza.

W porze lunchu zawsze było tu pełno ludzi. Mężczyźni przychodzili popatrzyć, jak dziewczyny się rozbierają i tańczą przy rurach albo na kolanach klienta, jeśli było go na to stać. Choć oczywiście naprawdę dochodowe „przedstawienie” odbywało się gdzie indziej, w ekskluzywnym dworku w Paryżu, dokąd Charlie właśnie się udawał. W jego pojęciu nic nie mogło przebić Ecole de Nuit.

Złapał pociąg do Paryża z dworca Waterloo, dziękując Bogu za Chunnel - tunel, dzięki któremu między Londynem a Paryżem można było podróżować koleją. Za parę godzin będzie na miejscu.

A razem z nim człowiek Montany, który go śledził.

Rozdział 18

Davis Farrell

BYŁY PARTNER W INTERESACH, PODEJRZANY NR 4

W Queens w Nowym Jorku był przyjemny dzień, ale słońce, przebijające się przez powłokę chmur, tylko podkreślało nędzny wygląd zaśmieconych, szarych ulic i pozamykanych na głucho witryn sklepowych biedniejszej części miasta. Mieszkały tu rodziny imigrantów, często niemające kart stałego pobytu i żyjące niemal poza społeczeństwem. Okna poczerniałych, ceglanych kamienic czynszowych, poprzecinanych zygzakami żelaznych schodków przeciwpożarowych, wychodziły na pozbawione drzew ulice, które dalej prowadziły w odrobinę zamożniejsze obszary szeregowców. Jeszcze dalej były

małe, jednorodzinne domki - szczyt osiągnięć imigrantów, w większości Latynosów z Ameryki Środkowej. Pod warunkiem, że zdołali znaleźć pracę na tyle dobrze płatną, by starczało na coś więcej niż życie z dnia na dzień, bo bez wymarzonej zielonej karty nie mieli szans na godziwy zarobek.

Kobiety pracowały jako gosposie na przedmieściach, a nawet na Manhattanie i przynosiły do domu opowieści o życiu, o jakim nikt z nich nawet nie śnił. Mężczyźni zbierali się na rogach ulic i czekali, aż ktoś zaproponuje im jakąś fuchę przy przeprowadzce, dźwiganiu sprzętu czy pielęgnacji ogrodu. Brali każdą ciężką, fizyczną robotę i dostawali za nią dniówkę poniżej minimalnej płacy.

Posyłali swoje dzieci - a mieli ich wiele - do szkoły pod fałszywymi nazwiskami. A kiedy zajęcia na to pozwalały, starsze dzieciaki biegły do pracy u drobnych lokalnych sklepikarzy; w piekarni, u rzeźnika, w sklepie żelaznym. W rzeczywistości ich życie niewiele różniło się od tego, jakie wiedli w kraju, z którego wyjechali; w kraju, który wciąż nazywali domem, choć nigdy nie chcieli do niego wrócić. Stany były ziemią obiecaną, a oni chcieli skorzystać z tej obietnicy, odbić się od dna. Jedyną alternatywą było kłamstwo, oszustwo i chwywanie się każdej możliwości, jaka się nadarzyła: handlu narkotykami, wymuszeń, napadów z bronią w rękę. Ostatecznie przecież nikt nie jest święty, a każdy musi coś jeść.

Davis Farrell na pozór niewiele się od nich różnił. Wyglądał może odrobinę bardziej ekscentrycznie. Miał długie ciemne włosy opadające na ramiona, oliwkową cerę i brązowe oczy. Broda zakrywała mu połowę twarzy. Miał na sobie szarą koszulkę, dzinsy i znoszone adidasy. Zatrzymał się przed witryną, chronioną żelaznymi prętami, podobnie jak drzwi, które otworzył kluczem.

Na tabliczce w witrynie wypisano po hiszpańsku D. FARRELLISTA. SEGUROS. ESPECIALISTA EN IMMIGRACION. Ubezpieczenia. Specjalista od imigracji. Ale Davis był kimś więcej niż tylko agentem ubezpieczeniowym; pomagał imigrantom w zdobywaniu wiz i znalezieniu mieszkania.

Nie był zaskoczony, widząc tłumek czekający pod jego drzwiami. Zmarłwieni ludzie przychodzili do niego, szukając rozwiązania nierozwiązywalnych problemów. Davis Farrell czuł się, jakby znał ich wszystkich. Mieszkał tam, gdzie oni, w tych samych czynszówkach. Ubierał się jak oni. Mówił po hiszpańsku jak oni. Tutaj czuł się bardziej Latynosem niż w Connecticut, skąd pochodził.

Otworzył drzwi i wpuścił petentów. Mówiąc im, by poczekali i że zaraz się nimi zajmie, podciągnął żaluzje w oknie, usiadł za drewnianym biurkiem, które pamiętało dużo lepsze czasy, na krzesła z poręczami i siedziskiem wypolerowanym

od wielu lat używania. Wcisnął guzik automatycznej sekretarki, by odsłuchać rozpaczliwe wiadomości od swoich hiszpańskojęzycznych klientów. Słuchając, otwierał jednocześnie pocztę.

Uniósł głowę, kiedy zabrzączał dzwonek. Drzwi cały czas trzymał zamknięte na klucz. W tych stronach nie było wiadomo, kto może za nimi stać. Tym razem był to kurier na rowerze. Farrell wcisnął guzik, by go wpuścić, pokwitował odbiór koperty i nadstawił ucha, by mieć pewność, że drzwi zatrzasnęły się porządnie za posłańcem. Zaskoczony obejrzał przesyłkę z obu stron. Gruba, biała koperta z wykaligrafowanym nazwiskiem i adresem. Od wielu lat nie widział niczego tej klasy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Może dostał zaproszenie na kolację w Białym Domu.

Odłożył kopertę na bok, by załatwić czekających petentów, rozmawiając z nimi w ich własnym języku. Jednego z tych ludzi dobrze znał. Dwa lata temu pomógł mu dostać wizę. Mężczyzna piął się w górę. Miał stałą pracę, właśnie kupił stary samochód i chciał wykupić ubezpieczenie. Farrell ubił z nim uczciwy interes. Drugi w kolejności był młodzieniec, najwyżej siedemnastoletni, jak domyślał się Farrell. Nielegalnie przekroczył granicę, przybył tu prosto ze statku i był przerażony jak diabli. Nie miał dokąd pójść. Farrell wykonał kilka telefonów i kazał mu czekać, obiecując, że osobiście odprowadzi go do domu, gdzie dadzą mu schronienie i gdzie spróbują mu pomóc. Było to lepsze niż zostawić go na ulicy na pastwę narkotyków, gangów i strzelanin.

Następna kobieta rozpaczliwie potrzebowała pożyczki. Farrell wiedział, że to niemożliwe. Nie mógł jej pomóc, ale wysupłał dwie dwudziestki. Przynajmniej ona i jej dzieci zjedzą dziś coś porządnego. Obiecał porozmawiać ze stowarzyszeniem imigrantów i zobaczyć, co będą mogli dla niej zrobić. Była to tylko jedna z wielu próśb o pieniądze, jakie miał usłyszeć tego dnia, a każdy dzień był podobny.

Kiedy został sam z czekającym na niego chłopakiem, podniósł list i przyjrzał się adresowi, wypisanemu obcą ręką. Zaciekawiony rozciął kopertę i wyjął białą kartę.

Roześmiał się gromko, kiedy ją przeczytał. Oczywiście dużo myślał o Bobie Hardwicku przez te ostatnie lata. Hardwick zawsze był żartownisiem, ale tym razem to z niego można się było pośmiać.

Pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, Hardwick złamał Davidowi Farrellowi życie. W jednej chwili Farrell był młodym, przebojowym biznesmenem z Wall Street; w następnej znalazł się na ulicy i nikt - ale to nikt ze znanych mu ludzi — nie chciał go zatrudnić. Nienawidził za to Hardwicka, nienawidził go z pasją, która miała umrzeć dopiero razem z nim.

Kiedy odprawił już młodego, wystraszonego imigranta, pozamykał biuro. Pojechał metrem na Manhattan i poszedł na parking, gdzie czekało bmw. Zmienił koszulę, założył ciemną, dobrze skrojoną kaszmirową marynarkę i porządne mokasyny. Zamienił zszarganą torbę na walizeczkę z laptopem i poszedł na Lexington. W parę minut znalazł się w innym świecie; w nowoczesnym, minimalistycznie urządzonej biurze ze skórzanymi i stalowymi meblami. W recepcji siedziała dobrze ubrana młoda kobieta. Uśmiechnęła się na powitanie, mówiąc, że nie spodziewała się go dzisiaj.

W swoim dużym gabinecie wyjął laptopa i zadzwonił do sekretarki, by przyniosła mu kawy - czarnej i mocnej - z delikatesów na dole. Dopiero teraz, kiedy Bob nie żył i nie mógł nic powiedzieć, Farrell pracował otwarcie, nie kryjąc się.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Daisy Keane, do Londynu. Ogarnięty nagłym niepokojem pomyślał, że lepiej będzie, jeśli przyjmie zaproszenie i dowie się, co jest grane.

Rozdział 19

Daisy

Kiedy wróciłam do Londynu, zjawił się posłaniec z kopią zaproszenia na rejs i listem od Montany, w którym zawiadamiał mnie, że zaproszenia zostały rozesłane i że lada moment powinnam się spodziewać odpowiedzi. Pisał też, że sam jest w drodze do Nowego Jorku i skontaktuje się ze mną później. List był krótki i rzeczowy. Nie wspominał o naszej nocy wspólnie spędzonej w Sneadley, dziękował mi tylko, że miał się gdzie schronić przed śnieżycą.

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Niespokojnie przemierzałam ogromny apartament Boba przy Park Lane, przystając, by wyjrzeć przez okna na szare niebo wiszące nad Hyde Parkiem. Na drzewach właśnie pokazywały się pierwsze ślady zieleni jak mech na wilgotnym kamieniu i żonkile przebijały się już przez poszarzały od brudu śnieg. Wiosna była tuż-tuż.

Czekając na wieści od podejrzanych i Montany, wypełniałam sobie czas, przeglądając papiery Boba i odkładając na bok te, które moim zdaniem powinien obejrzeć jego prawnik. Nigdy wcześniej nie miałam dostępu do prywatnego sejfu Boba, ale teraz dostałam klucz i moim zadaniem było sprawdzić, co jest w środku. Był to niewielki, ścienny sejf, przesłonięty szyną z marynarkami w garderobie przy sypialni Boba. Kiedy go otworzyłam, okazało się, że

kryje w sobie bardzo niewiele -jeszcze jedną z tych szarych kopert, które służyły mojemu pracodawcy do przechowywania szpargałów.

Na kopercie nie było żadnego nazwiska. Żadnej wskazówki, co jest w środku. Nie chcąc grzebać w prywatnych sprawach Boba, wahałam się, czy ją otworzyć, ale w końcu uznałam, że lepiej, bym zrobiła to ja niż ktokolwiek inny. Postanowiłam, że jeśli zawartość okaże się zbyt osobista i nieprzeznaczona dla cudzych oczu, po prostu ją zniszczę.

Bob zalepił kopertę paskami taśmy klejącej. Oderwałam je i wyjęłam ściągniętą gumką paczkę listów w cieniutkich kopertach lotniczych. Wszystkie były adresowane do Rosalii Alonzo Ybarra, zamieszkałej w Maladze, w Hiszpanii. I wszystkie były zapieczętowane i opatrzone napisem *Zwrot do nadawcy*.

Wiedziałam, że to listy Boba do Rosalii, w których błagał, by do niego wróciła. A ona ich nawet nie otworzyła. Ze smutkiem wyobrażałam sobie, jaki musiał być zdesperowany, skoro pisał do niej mimo to. Daty na pieczętkach pochodziły sprzed czterdziestu lat. Bob pisał do niej przez trzy lata. Trzy lata nadziei i czekania.

Włożyłam te listy z powrotem na miejsce i zamknęłam sejf. Nie zamierzałam czytać miłosnych, rozpaczliwych wynurzeń Boba. Były przeznaczone wyłącznie dla oczu Rosalii.

Ale teraz przynajmniej miałam adres, który mógł sprawdzić Montana, choć było wątpliwe, by po tylu latach Rosalia wciąż tam mieszkała.

Tymczasem wyrzuciłam ją ze swoich myśli, opróżniłam swoje biurko i ruszyłam do swojej części mieszkania.

Bob przeznaczył dla mnie najdalszą część apartamentu. „Dla przyzwoitości”, powiedział z tym swoim psotnym uśmiechem, który rozjaśniał jego wielką twarz i zapalał iskry w oczach jak świece w ciemną noc. „Przecież nie chcemy, żeby ktoś odniósł mylne wrażenie, prawda?”

I znów, jak w Sneadley Hali, urządziłam moje pokoje tak, by czuć się jak w domu. Niełatwo było mi teraz przygotowywać się do odejścia, pakować wszystkie pamiątki i prezenty.

Rats snuł się za mną powoli, kiedy zajmowałam się pakowaniem. Widziałam, że niepokoją go zmiany i często zabierałam go na spacer po parku, starając się uczynić jego życie trochę bardziej normalnym. Nie wiedziałam jeszcze, gdzie wyląduję, ale gdziekolwiek to miało być, byłam pewna, że zabiorę go ze sobą. Trzy dni minęły w ślimaczym tempie. Zastanawiałam się*, co się stało z Montaną, ale nie zadzwoniłam do niego z informacją o Rosalii. W końcu ta kobieta nie mogła być w żaden sposób sprawcą tego domniemanego morderstwa. A jeśli już nie żyła? W końcu nie mogłam już dłużej znieść cze-

kania, aż zadzwonił telefon. Skoro i tak byłam skazana na ten rejs, równie dobrze mogłam pójść za radą Montany i kupić sobie parę rzeczy. Wybrałam się więc pieszo przez Hyde Park na Knightsbridge do Harveya Nicholasa.

Dwie godziny później klapnęłam na krzesło w restauracji nad sklepem, otoczona torbami pełnymi ubrań, jakich nigdy przedtem nie nosiłam. Były tam zwiewne fatałaszkę w ładnych kolorach, szyfonowe sukienki, sandały z błyszczącymi ozdobami, miękkie szale z frędzlami i cała masa brzęczących złotych bransoletek, a do tego wielkie kolczyki koła do kompletu.

Wmawiałam sobie, że oczywiście wcale nie myślę o tym, jak moje nowe wcielenie może odebrać Montana. Po prostu chciałam wyglądać dobrze, kiedy stanę twarzą w twarz z Dianą i Filomeną. Wyglądniała, zjadłam lunch co do okruszka i wypłam chyba z litr kawy, po czym zamówiłam sobie taksówkę, by wrócić do mieszkania. Ożywiona od całej tej kofeiny, zabrałam Ratsa na kolejny spacer po parku. Z pewnością było to lepsze niż siedzenie i czekanie na telefon od Montany.

Rozdział 20

Daisy

Dzwonek telefonu zabrzączał, kiedy wchodziłam do apartamentu. Od razu wiedziałam, że to Montana. Nogi zamieniły mi się w galaretę na dźwięk jego głosu, ale powiedziałam sobie, że to z ulgi, że nareszcie się odezwał.

- Daisy.
- Montana — odparłam i usłyszałam jego westchnienie. — Myślałam, że już o mnie zapomniałeś - dodałam.

Wiedziałam, że szczerzy zęby do słuchawki, kiedy powiedział:

- Tęskniłaś za mną, co?
- I niby co mam ci na to odpowiedzieć?
- „Tak” byłoby miłe.
- Więc nie jestem miła.
- Oczywiście, że jesteś, wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy cię po znałem. Zbyt miła, żebyś była zamieszana w morderstwo z premedytacją, tak sobie wtedy pomyślałem.
- Morderstwo z premedytacją? - powtórzyłam jak niespokojne wystraszone echo, zastanawiając się, co on chce mi przez to powiedzieć.

- Jestem w Nowym Jorku - powiedział. - Jutro będę w Londynie. Możemy się spotkać?

- Tak, och, tak. - Tym razem nie udało mi się zamaskować ulgi w moim głosie. - I mam nadzieję usłyszeć od ciebie, że to wszystko było żartem i nie muszę płynąć w żaden rejs.

W słuchawce rozległ się jego śmiech.

- Więc dlaczego kupiłaś dzisiaj te wszystkie olśniewające wycieczkowe ciuchy?

Oślupiałam.

- Szpiegujesz mnie.

- Po prostu mam na ciebie oko. Zdalnie, można powiedzieć. W końcu Bob zostawił cię pod moją opieką.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. W końcu pokornym, wdzięcznym głosem odparłam:

- Dziękuję - choć wciąż nie wierzyłam, by mógł na mnie czyhać jakiś morderca.

- To wszystko należy do moich obowiązków - odparł żywo Montana. - Co powiesz na kolację jutro wieczorem? Wpadnę po ciebie koło ósmej. Okej?

- A dokąd pójdziemy? - Dlaczego mówiłam te wszystkie rzeczy? Facet za prasał mnie na kolację, a ja myślałam tylko o tym, dokąd mnie zabierze.

- Do McDonalda - rzucił. - Do zobaczenia o ósmej. - Śmiał się, odkładając słuchawkę.

Telefon odezwał się znowu niemal natychmiast. Oczywiście, Montana dzwonił jeszcze raz, bo jak mógł mnie zostawić z czymś takim?

- To ja chcę BigMaca i duże frytki — powiedziałam.

- Doprawdy? - odezwał się obcy głos.

- Och, och... przepraszam... spodziewałam się kogoś innego...

- Nie ma nic złego w BigMacu - stwierdził nieznajomy. - Czy rozmawiam może z Daisy Keane?

- Tak.

- No więc, witam panią, Daisy. Nazywam się Davis Farrell.

- Och! Tak, oczywiście... — Zaskoczył mnie, nie wiedziałam, co powie dzieć.

- Chcę podziękować za pani zaproszenie. Przeczytałem nekrolog Boba w „New York Timesie”. Tragedia, straszna tragedia. Bob i ja znaleźliśmy się od wielu lat... wiele wody przepłynęło pod naszymi mostami, można by powiedzieć. Bob zawsze chętnie pomagał innym, jeśli tylko tego potrzebowali... jeśli on sam uważał to za usprawiedliwione, oczywiście. I Bóg mi świadkiem,

pani Keane, hojna oferta stu tysięcy dolarów, w zamian za obecność na tej nietypowej stypie, to nie jedyny powód, dla którego się tam wybieram, ale z pewnością pomogła podjąć decyzję. Mówię to, by nie pomyślała pani sobie, że jadę z niewłaściwych pobudek.

Poczułam sympatię do Davisa Farrella. Tak ciepło mówił o Bobie. Przynajmniej on wybierał się w rejs z właściwych powodów. Pieniądze były tylko na osłodę.

- W takim razie bardzo się cieszę, że pana poznam, panie Farrell - odparłam.

- Davis, bardzo proszę. Ja też będę czekał na dzień, kiedy się spotkamy, Daisy. Mogę do pani mówić po imieniu?

Niemal mogłam go sobie wyobrazić: granatowy blezer, spodnie khaki, mokasy, niebieska koszula, prążkowany krawat, dobre maniery. Prawdziwy dżentelmen. Wreszcie jakaś odmiana, powiedziałam sobie w duchu, zgadzając się, by nazywał mnie Daisy. Naprawdę czułam, że chętnie go poznam. Powiedzieliśmy sobie do widzenia czy też *hasta la vista*, jak on to ujął.

Siedziałam zapatrzona w wysokie okna wychodzące na ruchliwą ulicę i park za nią, przymglony w gęstniejącym zmroku. Myślałam o Bobie i dniach, które tu spędziliśmy. Przyjęcia, kameralne kolacje, dyskusje o mojej przyszłości, która była wieczną troską Boba.

- Ktoś musi się z tobą wreszcie ożenić i zabrać cię ode mnie - burknął kiedyś po wyjątkowo ostrej kłótni. Już nie pamiętam, o co wtedy poszło; chyba o jakieś spotkanie, na które nie dotarł na czas i zwałił winę na mnie, na co ja powiedziałam mu, że jest leniwym draniem i powinien sam dbać o swoje cholerne sprawy. - Robisz się bardzo angielska - narzekał. - Myślałam, że biorę sobie jedną z tych miłych, uległych kobiet, które zrobią wszystko dla faceta z pieniędzmi, a nie jakąś zadziorną dziewczuchę, która nie wie, jak traktować bogacza i spodziewa się równych praw, czy czego tam jeszcze.

Powiedziałam mu wtedy, zdaje się, że moje prawa są bardziej niż równe i że mogę sobie znaleźć dowolną liczbę mężczyzn, którzy mnie od niego zabrają, jeśli tylko zechcą. A nie chcę, bo jestem niezależna i w moich okazjonalnych związkach chodzi o seks, a nie miłość i małżeństwo.

- Seks? Jesteś pewna, że wiesz, co to jest? - wyśmiał mnie Bob, co rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. - Wyjdzie na to, że to ja w końcu będę mu siał ci kogoś znaleźć - dodał, ignorując moje łzy wściekłości, z zamyśloną miną gapiąc się w przestrzeń. - I do licha, zdaje się, że mam faceta w sam raz.

Powiedziałam mu wtedy, że nie chcę i nie potrzebuję żadnego faceta, że jest mi dobrze tak, jak jest, i dziękuję bardzo. Teraz uśmiechnęłam się, przypominając sobie jego odpowiedź.

- Daisy, kochanie moje, ty należysz do tych kobiet, które nigdy nie będą kompletne bez mężczyzny. Teraz masz mnie, ale co zrobisz potem? Pewnie, jak zwykle, będę musiał się o ciebie zatroszczyć.

Moja gosposia już sobie poszła i zostałam sama w wielkim apartamencie. Było ciemno. Na Park Lane błyskały światła samochodów, a w Hyde Parku okrągłe klosze latarni jarzyły się złoto na tle drzew. Nagle silny powiew przemknął przez nieoświetlony pokój, a siedzący na ławie pod oknem Rats uniósł głowę, kierując bystre, pełne nadziei oczy gdzieś poza mnie.

Z sercem w gardle obróciłam się błyskawicznie i zapatrzyłam w ciemny pokój, ale oczywiście nikogo tam nie było.

- Tylko ty i ja, Rats- powiedziałam na głos i pospiesznie wstałam, żeby pozapalać lampy. Rozglądałam się nerwowo wokół siebie, bo to by było podobne do Boba: wrócić zza grobu, by pośmiać się ostatni raz. Chociaż oczywiście nawet on nie potrafiłby tego dokonać.

Rozdział 2 1

Daisy

Kiedy Rats wreszcie usnął na moich kolanach i smacznie zachrapał, moje myśli popłynęły ku Bordelaise. Ciągle jeszcze nie powiedziałam jej o Montanie ani o rejsie. Wybrałam jej numer. Odebrała natychmiast, choć mocno zaspana.

- Cześć - powiedziałam.
- Nawzajem - odparła, ziewając. - Co tam?
- Obudziłam cię?
- Nie... no, niezupełnie...

Wyobrażałam ją sobie, jak siedzi na łóżku, jak odgarnia do tyłu krótkie, jasne włosy i sięga po okulary. Była ślepa jak kret i zawsze wkładała okulary, rozmawiając przez telefon, jakby dzięki temu mogła też lepiej słyszeć.

- Przeszkadzam ci w czymś? - zapytałam z uśmiechem, zastanawiając się, co za mężczyzna leży w jej łóżku.

- W niczym ważnym - zapewniła mnie z westchnieniem. - A szkoda - do dała płaczliwie, co mnie rozśmieszyło, bo mimo trzech małżeństw w dalszym ciągu „na poważnie” szukała prawdziwej miłości. - Więc jak leci? - zapytała.

Wiedziałam, że zapala papierosa; słyszałam jej kaszel, choć odsunęła słuchawkę w nadziei, że go nie usłyszę i nie każę jej z tym skończyć. Tym razem ja westchnęłam. Często jej powtarzałam, żeby nie paliła, ale ona zawsze odpowiadała: „A co u licha można zrobić po wszystkim, jeśli nie zapalić papierosa?”

- Chcesz popłynąć w rejs? - rzuciłam jej z zaskoczenia.
- Żartujesz? Żeby płynąć w rejs, trzeba mieć skończone sześćdziesiąt pięć lat. Taka jest zasada.

Znów ziewnęła głośno, ale ucichła, kiedy zaczęłam jej wyjaśniać, co się dzieje, i że chodzi o prywatny rejs na bardzo luksusowym jachcie. Potem przeczytałam jej list od Boba.

- On chyba zwariował - rzuciła bez ogródek, kiedy skończyłam. - Co mu przyszło do głowy, żeby wysyłać cię w rejs z tymi wariatami?

- Montana tam będzie, żeby mnie chronić.
- Montana?

- Harry Montana... zjawił się na pogrzebie Boba. Prywatny detektyw, którego Bob zatrudnił do sprawdzenia tych wszystkich podejrzanych, żeby się przekonać, co kombinują i czy ktoś z nich może chcieć go zabić.

- Nie wygląda na specjalnie skutecznego, jeśli któreś z nich rzeczywiście wykończyło twojego szefa. Jesteś pewna, że ten Montana jest po właściwej stronie?

Zastanowiłam się nad tym. Przecież nie wiedziałam, kim on tak naprawdę jest, wiedziałam tylko to, co mi o sobie powiedział. A jednak był opłacany przez Boba, współpracował z jego prawnikiem, najwyraźniej znał wszystkich i wiedział o wszystkim, co się wydarzyło.

- Raczej tak - odparłam trochę niepewnie. - W każdym razie na to wygląda.
- To lepiej wybiorę się jednak w ten rejs - odparła Bordelaise z troską i znów się rozkaszała. - Przyślij mi mail'em termin. Spotkamy się w Londynie, okej?
- Okej - powiedziałam z ulgą. - Bordelaise... dzięki.
- Za co? - spytała, wciąż kaszląc. - Jestem twoją przyjaciółką, nie?

Rozdział 22

Montana

Kiedy Montana przyjeżdżał służbowo do Londynu, mieszkał w Soho i śniadanie jadał w Patisserie Valerie, niedaleko swojego mieszkania — zawsze takie samo: croissant i mocna kawa. Lunch jadł tam, gdzie akurat był, kiedy dopadał go głód, a kolację przeważnie w jakiejś okolicznej knajpce, najlepiej hinduskiej lub chińskiej. Dziś postanowił zabrać Daisy do Red Fort na Dean Street.

Nie było taksówek, postanowił więc pójść Piccadilly i bocznymi uliczkami przedostać się na Park Lane. Był spóźniony dziesięć minut, kiedy podał nazwisko odźwiernemu. Począł, aż portier zadzwonił do Daisy domofonem. Dostawszy pozwolenie, odprowadził go do windy i wcisnął guzik przywołania.

Drzwi windy otwierały się wprost do apartamentu. Stała w nich Daisy z rękami założonymi na piersi. Miała na sobie wąską, czarną suknię z długimi rękawami i głębokim, spiczastym dekoltem, który zapinał się na rząd maleńkich guziczków. Spódnica do kolan odsłaniała jej smukłe nogi, a wokół długiej szyi owinięty był sznur szmaragdowych paciorków, których zieleń podkreślała kolor jej oczu. Jej długie ciemnorude włosy gęstą falą opadały na ramiona. Wyglądała rewelacyjnie, uznał zachwycony. Rats siedział obok niej, z przechyloną pytająco głową.

- Spóźniłeś się — rzuciła zamiast powitania.
- A ty pięknie dziś wyglądasz - odparł, dodając, że bardzo przeprasza.
- Przepraszasz za komplement czy za spóźnienie?
- Twój wybór - powiedział znużony. Po kilku prawie albo wcale nieprzespanych nocach nie był w nastroju na bitwy słowne.

Ku jego zaskoczeniu Daisy się uśmiechnęła.

- Tylko cię sprawdzałam. Postanowiłam, że dziś potraktuję cię łagodnie.

Montana znów był zaskoczony, widząc jej rumieniec. Było w niej coś, co chwyciło za serce, mimo jej uszczypliwości. Słyszał od Boba historię jej małżeństwa i rozumiał dlaczego przyjęła taką postawę wobec mężczyzn. Nie miał jej tego za złe, ale myślał, że najwyższy czas odłożyć to wszystko na bok i pójść o krok dalej.

- Wejdz, zrobię ci drinka. - Jej głos miał niskie, słodkie brzmienie. Poprowadziła go do ogromnego salonu. Z okien, zajmujących całą ścianę, rozciągał się widok na czubki drzew, przymglone w świetle księżyca i podszyte czerwonym blaskiem tylnych świateł samochodów z ulicy poniżej.

Na ścianie wisiły cztery ogromne obrazy artystów, których Montana nie znał. Łód zadzwonił w szklance, kiedy Daisy podała mu jego ulubionego bourbona.

- Chciałem cię zapytać o Rosalie.
- Ach, kobieta, która chciała normalnego życia, rodziny i męża, który wracałby na noc do domu - odparła. - Zdaje się, że ją znalazłam. - Opowiedziała mu o listach odesłanych z Hiszpanii.

- Więc dlaczego od razu nie zadzwoniłaś do mnie z tą informacją? - zapytał gniewnie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie sądziłam, że to aż takie ważne. Poza tym nie powinniśmy grzebać w życiu osobistym Boba i przecież ona nie jest podejrzana. Kochała go.

- Więc nie sądzisz, że Bob mógł wspomnieć o niej w testamencie?

- Może i tak, ale chyba nie myślisz, że Rosalia wróciła, by się mścić? Że zabiła Boba? Przecież to ona go zostawiła.

- Tego nie wiemy na pewno. Znamy tylko wersję Boba. Kto może wie dzieć, co się naprawdę dzieje między mężczyzną i kobietą oprócz nich samych? Nie widzę tu motywu morderstwa, ale nie rozmawiałem jeszcze z Rosalią. Nie mam pojęcia, jaka jest i do czego jest zdolna.

- Znalazłeś za to Davisa Farrella. Dzwonił wczoraj, by powiedzieć, że przyjmuje moje zaproszenie. Polubiłam go. On jeden mówił o Bobie.

- Farrell potrafi być czarujący, szczególnie gdy ma do czynienia z kobietami. Znaleźliśmy go w Queens, gdzie sprzedawał ubezpieczenia latynoskim imigrantom.

- O!

Daisy miała tak zaskoczona minę, że Montana się uśmiechnął.

- Chodź, zjedźmy tę kolację.

Pies patrzył smutnym wzrokiem, kiedy drzwi windy zamykały się za nimi. Montana odwrócił się, by go poklepać i obiecał spacer, jak tylko wrócą.

Rozdział 23

Montana

Montana wziął Daisy pod ramię. Poszli w stronę zamglonego krańca Park Lane, gdzie wreszcie udało im się złapać taksówkę. Wiatr rozrzucił Daisy włosy po twarzy, więc Montana odgarnął je delikatnie. Pasemka były

jedwabiste i ciężkie, kiedy przesunął po nich dłoń. Daisy posłała mu nerwowe spojrzenie z ukosa. Siedzieli w milczeniu, dopóki taksówka nie zatrzymała się przed restauracją. Kiedy pomagał Daisy wysiąść z samochodu, poczuł, że ma zimne dłonie.

- Zimne ręce, gorące serce - rzuciła żartobliwie Daisy, ale widział, że na tychmiast pożałowała tych słów. - Chociaż tak naprawdę to stopy mam wiecz nie zimne - dodała. Roześmiał się, gdy znów zrobiła skonsternowaną minę. - Potrzebujesz ostrego, hinduskiego jedzenia, żeby ci poprawiło krążenie. Chodź, kotku, zjedzmy coś.

Tak dawno nikt nie nazywał Daisy „kotkiem”, że terazomal się nie rozplynęła.

- Chcę *roganjosh* i *keema nan* - powiedziała wygłodniałym tonem.

- I kurczaka tandoori i jagnię masala...

- Wszystko! - zgodziła się. Usiedli przy stoliku w rogu.

- Wino? - zapytał Montana.

- Piwo. Kingfisher,

Znała się na rzeczy.

Montana podał kelnerowi zamówienie i sięgnął przez stół po jej dłoń.

- Nie kłóćmy się - powiedział cicho.

- Okej - powiedziała, ale wyglądała na przestraszoną, kiedy uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Dłoń, która jeszcze parę minut temu była zimna, rozgrzała się od fali gorącej krwi, która popłynęła w żyłach Daisy.

- Myślisz, że powinieneś to robić? - zapytała. - To znaczy, całować mnie w rękę.

- Ten pocałunek był na przeprosiny. A teraz chcę pogadać o naszych sprawach.

- Oczywiście — odparła zawiedziona.

- Jak na razie mamy cztery potwierdzenia - powiedział żywo Montana. - Eks-zona, eks-kochanka, eks-przyjaciel i eks-wspólnik. Wciąż brakuje nam eks-naukowca i eks-ukochanej.

- Tyle tych eks. - Daisy ponuro skubała kurczaka tandoori. - Dlaczego u licha Bob musiał ich wywlec spod ziemi? Dlaczego nie dał im wszystkim spokoju?

- Znasz powód. A my musimy sprawdzić, czy podejrzenia Boba były słuszne, czy nie.

Kelner przyniósł *keema naan*, ciabatę nadzianą ostrą, mieloną jagnięciną. Montana nałożył trochę na talerz Daisy.

- Jutro wyjeżdżam do Monachium - powiedział. - Mam trop dotyczący Mariusa Dopplemanna. Muszę przyznać, że ten człowiek jest dla mnie zagad-

ką. Wygląda na to, że pewnego dnia po prostu rzucił swoją niezwykle ważną pracę przy jakimś supertajnym projekcie, spakował walizkę i nigdy więcej o nim nie słyszano. FBI twierdzi, że nic nie wie, tak samo jak wszystkie inne

oficjalne organa, z którymi się skontaktowałem. Ciągłe nic nie mam i zacząłem się już zastanawiać, co takiego Bob o nim wiedział, czego ja nie wiem, i dlaczego, u diabła, nie powiedział mi tego.

- Bob uwielbiał takie szarady.

- Muszę zobaczyć te listy, które pisał do Rosalii. Może wrócę z tobą po kolacji i rzucę na nie okiem?

Daisy westchnęła, ale się zgodziła. Montana uśmiechnął się do niej.

- No więc? Co sobie kupiłaś na ten rejs?

- Naprawdę posłałeś kogoś, żeby mnie śledził?

- Nie zauważyłaś kobiety przeglądającej wieszaki obok ciebie? Ani męża czyżny przy sąsiednim stoliku w restauracji? Trzymali się tuż za tobą, kiedy wróciłaś do domu.

Daisy była zszokowana.

- Nigdy nie sądziłam, że takie rzeczy naprawdę się zdarzają!

- Za to mi płacą. Pamiętaj, mam na ciebie uważać, jesteś największym skarbem Boba.

- Nigdy nie byłam jego własnością - rzuciła gniewnie.

Montana był ciekaw, czy Daisy kiedykolwiek pozbedzie się tego odruchu obronnego.

- I z pewnością nigdy nie będziesz niczyją własnością - powiedział miękko.

- Zaprośiłam Bordelaise, żeby popłynęła ze mną.

- Świetnie. Dobrze będzie mieć przy sobie przyjaciółkę. Aja zaproszę paru znajomych Boba i do tego dwójkę moich agentów, by mieli na wszystkich oko. Będą częścią załogi. I lepiej, żebyś nie wiedziała, kto to, bo inaczej ciągle będziesz na nich zerkać.

- Zapowiada się niezła zabawa - odparła Daisy z goryczą.

Po kolacji wrócili taksówką na Park Lane, gdzie Daisy dała Montanie paczkę z listami do Rosalii.

- Nie czytałam ich - powiedziała. - To nie w porządku czytać cudze listy miłosne.

Montana kiwnął głową. Przypomniawszy sobie, że obiecał Ratsowi spacer, zwiózł psa na dół windą i przebiegł się z nim po mokrym parku. Kiedy wrócili na górę, pożegnał się z Daisy.

- Zadzwoń do ciebie - obiecał. A potem, nie mogąc się oprzeć jej miękkiemu, ciepłemu wargom, pocałował je delikatnie.

Kiedy drzwi windy zamykały się za nim, widział Daisy stojącą w progu, z dłonią przyciśniętą do ust. Miał nadzieję, że nie żałowała tego pocałunku.

Rozdział 24

Marius Dopplemann

BYŁY PRZYJACIEL, PODEJRZANY NR 5

Najpiękniejsze miasto w Niemczech znajduje się w Bawarii, niedaleko okrytych śniegiem Alp Austriackich. Jednak tego dnia nad Monachium wisała ciężka kołdra chmur, z których mżył drobny, zimny deszcz, powracający nieprzyjemnymi falami. Ledwie ludzie poskładali parasole, a już musieli je rozkładać z powrotem. Męskie twarze chmurzyły się, a kobietom smętnie opadały fryzury. Mieszkańcy miasta żałośnie podążali do domów w wieczornym tłoku. Pogoda zagnała wiele osób do przytulnych kafejek z tarasami, gdzie goście, osłonięci od deszczu plastikowymi ściankami, popijali dobre, monachijskie piwo, wino albo sznapsa, odkładając chwilę, kiedy znów będą musieli stawić czoło pogodzie.

Wśród tych ludzi był Marius Dopplemann, alias Marcus Mann. Niski, potwornie chudy, odziany w stary beżowy płaszcz przeciwdeszczowy, bez kapełusza, który osłoniłby jego przeredzone brązowe włosy, wślizgnął się do najbliższej kawiarni. Zamiast na miły, gwarny taras, skierował się do sali i usiadł przy barze. Jego okulary bez oprawek natychmiast zaparowały. Dopplemann zdjął je i wytarł serwetką. Szkła były bardzo grube. Bez nich widać było, że jego oczy miały kolor zimnej, butelkowej zieleni, i mniej więcej tyle samo wyrazu, co kawałek szkła.

Założywszy okulary z powrotem na haczykowany nos, Dopplemann przecesał dłonią rzadkie mokre włosy i zamówił kieliszek czerwonego wina.

- Bordeaux - powiedział pełnym wahania, powściągliwym głosem, choć doskonale wiedział, czego chce. Barman pokazał mu butelkę. Dopplemann starannie przestudiował etykietkę i kiwnął z aprobatą głową. Nie był to bynajmniej żaden wyrafinowany trunek, po prostu smaczne czerwone wino z dobrze regionu, ale dzięki temu, że zamówił bordeaux, znów poczuł się bogaty.

Nauczył się mnóstwo o winach od Boba Hardwicka, kiedy pracował w Stanach. Od tego pierwszego spotkania minęło dziesięć lat. Wtedy Marius był

tylko nieśmiałym, młodym naukowcem, żółtodziobem, jeśli chodzi o sztukę życia na szczycie. Ale uczył się szybko i równie szybko się przekonał, że mu się to podoba. Lubił dobre wino, interesujące potrawy, szybkie samochody i pewną szczególną kobietę. O tej kobiecie nie myślał od dawna i nie miał zamiaru wspominać jej teraz. Zamiast tego wyjął z wewnętrznej kieszeni poskładany gazetowy wycinek, rozprostował go na marmurowym kontuarze i przeczytał - po raz kolejny - żałobny pean na cześć zmarłego sir Roberta Waldo Hardwicka.

Usiadłszy wygodniej, w zamyśleniu upił łyk wina, przypominając sobie, jak to było kiedyś, kiedy był młodym człowiekiem i nazywano go geniuszem, choć on uważał, że jest po prostu dobry w tym, co robi. Był naukowcem i inżynierem, miał umysł, który nie znał granic, który pozwalał mu rozwiązywać problem za problemem i odkrywać nowe drogi w swoich badaniach nad podróżami kosmicznymi. Powiedzonko: „Zapytajcie Dopplemanna”, stało się obiegowym żartem w jego kręgach, i choć był małym, nic nieznaczącym człowiekiem w każdej innej dziedzinie życia, pławił się w promieniach uznania wśród ludzi ze swego otoczenia.

Nazwisko Dopplemanna nie padło w nekrologu Boba, choć było tam wiele innych nazwisk ludzi ze świata biznesu, nauki i sztuk pięknych. Poniekąd był zadowolony, że nikt już o nim nie wspominał. Był zapomnianym człowiekiem, przebrzmiałą sensacją, i to mu odpowiadało. Nie chciał wracać do przeszłości, a przyszłość prawie dla niego nie istniała. Szamotał się z terażniejszością, z codzienną, mozolną wędrówką przez życie, które niczego mu już nie obiecywało.

Marcus Mann, dawny Marius Dopplemann, jeden z najpotężniejszych umysłów tego świata, uczył teraz w małej prywatnej szkółce na przedmieściach Monachium, próbując wbić podstawowe elementy nauk ścisłych w obojętne umysły - i co dzień ponosił porażkę. Nie tak wyobrażał sobie swoje życie, ale biorąc pod uwagę straszliwą tajemnicę kryjącą się w jego przeszłości, był wdzięczny za tę podrzędną posadę.

Złożył wycinek i schował go z powrotem do kieszeni, popijając wino i wbijając zamyślony wzrok w upstrzone, stare lustro za barem. Ale nie swoje odbicie w nim widział; patrzył na Boba Hardwicka. W jego szeroką, srogą twarz z tymi kamiennymi oczami, które dosłownie potrafiły zedrzyć z człowieka skórę, kiedy się gniewał. Dopplemann dobrze o tym wiedział.

Dopił wino i zapłacił rachunek, starannie odliczając monety i dorzucając dokładnie tyle napiwku, ile należało. Biedny czy nie, nigdy nie oszukiwałby w takich sprawach jak napiwki. Wyrósł z klasy pracującej i doskonale wiedział,

ile znaczy napiwek. Postawił kołnierz, otworzył ciężkie drzwi z grawerowanego szkła i wyszedł na dwór, by znów stawić czoło deszczowi.

Żwawo ruszył na stację i szczęśliwie zdążył na pociąg, który właśnie miał odjechać. Wskoczył do wagonu w ostatniej chwili, omal nie przewracając agenta Montany, który dopadł drzwi tuż za nim. Przez chwilę stali chwiejnie, szepieni kurczowo, aż Dopplemann odzyskał równowagę, przeprosił nieznanego i poszedł usiąść w przedziale. Zagapił się w okno na przemijający krajobraz, ani razu nie rozglądając się wokół siebie.

Człowiek Montany zajął miejsce za nim i starannie omijał wzrokiem oczy Dopplemanna odbite w szybie. Udawał zajętego gazetą. Kiedy pociąg dojechał do końca trasy, wysiadł za Dopplemannem. Patrzył, jak ten podchodzi do roweru, przypiętego łańcuchem do barierki, odpina go i odjeżdża w deszczu. Na szczęście jakiś przechodzień wiedział, gdzie mieszka Dopplemann. Agent szybko zadzwonił do Montany, do jego hotelu w Monachium, i przekazał mu informację.

Jazda rowerem do domu zawsze sprawiała przyjemność Dopplemannowi niezależnie od pogody. Wiejskimi drózkami okrążył wzgórze, obok osady składającej się z trzech małych domków i dwóch stodół, a potem przejechał jeszcze parę kilometrów do miejsca, gdzie droga kończyła się przy zrujnowanym parterowym domku z zapadniętym dachem i mocnymi, drewnianymi drzwiami, niegdyś pomalowanymi na zielono, ale teraz wyszarzałymi od wiatru, deszczu i śniegu. Jedno z okien zabite było płytą paździerzową, a drugie było tak małe, że ledwie wpuszczało trochę światła. Chwiejny komin przechylał się na wschód jak drzewo przygięte wiatrem.

Duży pies, mieszaniec owczarka i Bóg wie czego jeszcze, wybiegł się przywitać. Dopplemann oparł rower o niegdyś białą ścianę i przeciągnął dłonią po mokrych włosach. Schylił się, by pogłaskać psa, uspokajając brykające zwierzę. Ten pies był jedynym promykiem słońca w jego ponurym świecie. Miał go od trzech lat; owczarek strzegł walącego się domku, jakby to był pałac królewski. Nie żeby było tu co ukraść, ale przynajmniej włóczędzy trzymali się z daleka.

Człowiek i pies zniknęli w środku. Po chwili smużka dymu wysnuła się z komina, a powietrze przesycał zapach jajek smażonych na zjełczałym tłuszczu. Dopplemann wrócił do domu.

Montana szybko i sprawnie prowadził wynajęty samochód przez zatłoczone ulice Monachium, aż wyjechał na przedmieścia i dalej, poza miasto, na wciąż jeszcze dzikie tereny. Droga stała się węższa i żwir ustąpił miejsca rozjeżdżonemu błotowi. W końcu przez zasłonę gęstego deszczu siekącego las Montana

ujrzał domek Dopplemanna. Wyglądał jak ilustracja do *Jasia i Matgosi*. Brakowało tylko drwała w skórzanych gatkach i kapeluszu z piórkiem, i sceneria byłaby jak żywcem wyjęta z bajki braci Grimm.

Kiedy parkował, drzwi domu otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich z warkotem wielki pies. Jego odwinęte wargi odsłoniły parę zdrowych kłów. Montana został w samochodzie, dopóki za psem nie wyszedł Dopplemann.

- Kim pan jest? - zawołał Dopplemann, kiedy był już dość blisko.

Montana opuścił okienko na parę centymetrów.

- Jestem posłańcem od Boba Hardwicka, panie Dopplemann.

Dopplemann stanął jak wryty. Jego syczący głos zniżył się do psiego warkotu, kiedy powiedział:

- Bob Hardwick nie żyje.

- To wiadomość z za grobu. - Montana poczekał na reakcję. Nie doczekał się. Twarz Dopplemanna była nieodgadniona. - Mam coś dla pana od Boba. Prezent. Zaproszenie.

Dopplemann zawahał się, najwyraźniej rozdarty między chęcią przegonienia go i ciekawością. W końcu, prosząc Montanę, by poczekał, odprowadził psa do domku i zamknął go w środku.

Ruszył powoli z powrotem jak człowiek idący na szubienicę, niechętny i przestraszony, ale niezdolny do ucieczki.

Montana wysiadł z samochodu.

- Proszę się nie martwić - powiedział po niemiecku. - To gest dobrej woli ze strony Boba. Mam nadzieję, że i pan tak to oceni.

Wydawało się, że Dopplemann odzyskał kontrolę nad emocjami. Wziął kopertę, otworzył ją i uważnie przeczytał zaproszenie. Na jego twarzy nie pojawił się żaden przebłysk zaskoczenia, niepokoju czy strachu. Montana pomyślał, że byłby z niego świetny pokerzysta.

- Bob Hardwick zawsze potrafił rozpoznać ludzkie słabości - powiedział w końcu Dopplemann. - Wiedział, że będę musiał się zgodzić.

Montana skinął głową. Nie znał jeszcze historii Dopplemanna, ale była to kwestia czasu.

- Zapewne będzie pan potrzebował finansowej pomocy, by móc się dostać do Monte Carlo. Poproszę prawników, by przesłali panu zaliczkę.

- Dziękuję - odparł cicho Dopplemann. Po czym odwrócił się na pięcie, wrócił do domu i zamknął drzwi.

Montana

Jadąc z powrotem do Monachium, Montana zastanawiał się, co takiego wydarzyło się w przeszłości Dopplemanna, że jeden z najlepszych naukowych umysłów mieszkał na odludziu, ledwie wiążąc koniec z końcem. Zadzwonił do swojego monachijskiego współpracownika i umówił się z nim na kolację w restauracji, która ze swoim obfitym, wykwintnym menu i elegancją była oddalona o lata świetlne od dopplemannowej jajecznicy na starym smalcu i jego rozwalającej się chaty. Człowiek, z którym się umówił, miał mu powiedzieć coś więcej o Dopplemannie. Jutro Montana chciał złapać samolot do Malagi na hiszpańskim Costa del Soi. Miał tam znaleźć ostatnie ogniwo w łańcuszku podejrzanych.

Rozdział 25

Rosalia Alonzo Ybarra

PIERWSZA WIELKA MIŁOŚĆ BOBA, PODEJRZANA NR 6

Rosalia siedziała spokojnie w popołudniowej ciszy swojego domu na *wzgórza*. Oczy miała przymknięte, ale czuła zapachy gwiaździstego jaśminu bujnie porastającego białe ściany i grządki lawendy poniżej. Dostrzegła kolibrę, unoszącego się nad pomarańczowym kwiatem hibiskusa, widziała wodę rozpryskującą się z fontanny, kiedy inny mały ptaszek zażył szybkiej kąpieli dla ochłody. Widziała i czuła te wszystkie rzeczy, ale nie słyszała ich. Była głucha.

Choroba spadła na nią nagle. Jednego miesiąca słyszała całkiem dobrze, w następnym dźwięki dochodziły do niej jakby z wielkiej odległości. „Jak z końca długiego tunelu”, powiedziała swojemu lekarzowi, nic nie rozumiejąc i spodziewając się usłyszeć, że to tylko jakiś rodzaj wirusa, który zniknie z czasem. Ale to nie był wirus i nie zniknął. Po roku była już kompletnie głucha. Nauczyła się żyć ze swoim kalectwem, choć coraz rzadziej wychodziła z domu. Najbardziej smuciło ją, że mimo aparatu słuchowego nie mogła już wyraźnie usłyszeć głosów swojej rodziny. Przechowywała je tylko w pamięci. Nauczyła się za to doskonale czytać z ust. Ale największą tragedią była całkowita niemożność usłyszenia czteroletniej wnuczki, której głos był zbyt wyso-

ki, by mogła go wychwycić. Mimo to babcia i wnuczka szybko nauczyły się ze sobą komunikować i doskonale się rozumiały.

Rosalia najbardziej lubiła przebywać w domu, gdzie czuła się bezpieczna i szczęśliwa; gdzie wszyscy wiedzieli o jej głuchocie i gdzie mogła spokojnie wyjaśnić wszystko gościom swojego małego, uroczego hotelu, zwanego La Finca de los Pastores - Pasterską Hacjendą.

Finca należała do rodziny Rosalii od pokoleń. Była to biedna chata, niewiele porządniejsza od stodoły. Na dole trzymano zwierzęta, u góry znajdowała się niewielka przestrzeń mieszkalna. W tych dawnych czasach pasterze gotowali jedzenie w żelaznym kociołku nad wielkim, kamiennym paleniskiem. W tej samej izbie trzymano też w ciepłe i karmiono z ręki wczesnowiosenne, porzucone jagnięta, by uchronić je od pewnej śmierci. Do gospodarstwa należała też ziemia: sady migdałowców, drzew cytrusowych i kasztanów, a daleko w dole, u stóp gór, rozciągały się lasy dębów korkowych. Wszystko to było uważane za bezwartościowe, kiedy rodzina ledwie zarabiała na życie, na grzbietach osłów przewożąc ciężkie kosze migdałów i pomarańczy, by sprzedać je na miejscowym targu.

Oczywiście te dni dawno minęły, ale Rosalia wciąż pamiętała te zmęczone osiołki i sakwy wypełnione świeżymi migdałami w zielonych łupinach. Pamiętała wszechogarniający zapach kwitnących migdałowców, tak silny, że zapierał dech. I aromat kwiatów pomarańczy, pobudzający do marzeń o ślubnym wieńcu na włosach, gdyby miało się to szczęście i wychodziło za mąż na wiosnę. Ale *finca* popadła w kompletną ruinę. Nie nadawała się już do zamieszkania i pasterze odeszli. Rok po roku niszczała coraz bardziej, aż w końcu dach się zapadł, a w środku zamieszkały zimowe deszcze i dzikie zwierzęta.

Kiedy Rosalia miała siedemnaście lat, opuściła wioskę i przeniosła się na wybrzeże, do Malagi, gdzie została uczennicą szefa kuchni w najlepszym hotelu i gdzie poznała Boba Hardwicka i zakochała się w nim. Ale nawet prawdziwa miłość nie mogła pokonać różnic między nimi, i kiedy Bob wyjechał szukać szczęścia gdzie indziej, ona została w Maladze. Był to jej wybór i wiedziała, że tak będzie dla niej lepiej.

Poznała starszego mężczyznę, Juana Delgado, który prowadził małą kawiarnię. Wysłała za niego i urodziła trójkę dzieci. Pomagała też w kawiarni. Juan umarł nagle, zostawiając ją bez pieniędzy i bez własnego domu. Rosalia nie miała innego wyjścia, jak zabrać dzieci i przeprowadzić się z powrotem do swojej wsi, do starej Finca de los Pastores, którą odziedziczyła po rodzicach.

Na samym początku, z pomocą sąsiadów, odbudowała niewielką część - ledwie dwa pokoje. Wraz z dziećmi dźwigała, murowała, tynkowała. Była to

ciężka, trudna praca, ale nareszcie mieli dach nad głową. W wolnych chwilach pracowała w wiejskiej kawiarni, zarabiając ledwie na wyżywienie swojej małej rodziny. Z wdzięcznością przyjmowała pomoc miłosiernych mieszkańców wioski. Dostawała od nich ubrania, z których wyrosły ich dzieci.

Kiedy dobudowała jeszcze dwa pokoje, zaczęła przyjmować na nocleg nielicznych przyjezdnych, gotując dla nich wieczorami. Z upływem lat stała się słynna ze swej kuchni. Zachęcona przez gości, dzięki ciężkiej pracy i pożyczkom, które z trudem wywalczyła w banku, zamieniła pasterską chatę w perfekcyjny, andaluzyjski wiejski dom. Jej zrujnowane dziedzictwo było teraz uroczym hotelikiem, utrzymującym się z ludzi, którym podobała się jego elegancka prostota. Tak jak Rosalia kochali ogrody i lesiste wzgórza u stóp wielkich gór, kochali absolutny spokój i ciszę, kochali dobre wina z Rioja i świetną sherry z Jerez, a szczególnie chłodne amontillado, i wspaniałe jedzenie, które Rosalia wciąż gotowała. Wielu z nich wracało rok po roku. Witła ich najstarsza córka Rosalii, Magdalena, która teraz prowadziła hotel. Rosalia mieszkała we własnym domu, połączonym z hotelem arkadowym przejściem. Dom otoczony był przez mur. W środku, jak to zwykle w Hiszpanii, znajdowało się cieniste, kolumnowe patio z ogrodem, gdzie Rosalia rozkoszowała się spokojem. Jej myśli wciąż powracały do Roberta Hardwicka. Jej Roberto.

Dowiedziała się o jego śmierci z gazety, zaledwie dwa tygodnie temu. Kiedy o niej przeczytała, poczuła się tak, jakby wraz z jego odejściem umarła część jej życia. Zawsze fantazjowała, że mogłaby go jeszcze kiedyś zobaczyć, że pewnego dnia on znów wkroczy w jej życie- wielki i arogancki, przytłaczający ją swoją obecnością. Ona pokaże mu swój świat, a on opowie jej o swoim. Westchnęła. To by się nigdy nie udało. Roberto nie rozumiałby, dlaczego pozostała na wsi, choć zapewne podziwiałby jej przedsiębiorczość, dzięki której prowadziła tak doskonały hotel. A ona nigdy nie rozumiałaby jego świata, tego całego latania prywatnym samolotem na spotkania w Nowym Jorku, Caracas czy Sydney.

Ciężka, żelazna furtka otworzyła się z impetem i wnuczka Rosalii, Isabella - zawsze nazywana Bellą - w podskokach wbiegła na patio. Miała na sobie suknię flamenco, cukierkoworóżową w czarne kropki. Sztywne falbany spódnicy obrzeżone były czarną koronką, a na nogach dziewczynka miała czarne buciki na maleńkich obcasach, takie, jakie nosiły prawdziwe tancerki flamenco. Chmura ciemnych, kręconych włosów fruwała wokół jej ładnej buzi, brązowe oczy błyszczały radością.

- *Abuelita*, babciu - zawołała. - To moja nowa sukienka na zabawę. - Zakręciła się na obcasach, aż wydeły się taftowe spódnice. - Podoba ci się?

Odczytując słowa z ust dziewczynki, Rosalia pospiesznie otarła łzy koronkową chusteczką, która, podobnie jak pościel w hotelu, pachniała lawendą.

- Jest śliczna, *guapa*, tak jak i ty. Będiesz królową parady. Pojedziesz w wozie naszej *finca*, ciągniętym przez dwa woły z wieńcami kwiatów na rogach, a mama i tato będą jechali obok ciebie na swoich kasztankach, wyszcotkowanych do połysku. Pomożesz je szcótkować, prawda?

- Och, pomogę, pomogę, obiecuję i wypoleruję srebrne strzemiona i wszystkie ozdoby na uzdę...

Bella była tak podekscytowana, że rzuciła się na kolana babci, uśmiechając się do niej promiennie. Nagle na jej twarzy odmalowała się troska.

- *Abuelita*, ty płaczesz? - zapytała zdumiona. Nigdy nie widziała płaczącej babci. Nikt nie płakał w *finca*, co najwyżej ona, kiedy się przewróciła albo kiedy nie mogła postawić na swoim, co, trzeba przyznać, zdarzało się rzadko. Delikatnie pogłaskała policzek Rosalii. W jej brązowych oczach błyszczały niepokój.

- Nic się nie stało, Bello - odparła Rosalia z uśmiechem. - To były łzy za starym przyjacielem, który zmarł. Płaczę, bo mi przez niego smutno.

- Rozumiem - powiedziała Bella, choć wcale nie rozumiała, bo śmierć nie zagościła jeszcze w jej życiu. Usłyszała wołanie matki i cmoknąwszy babcię na pożegnanie, w podskokach ruszyła z powrotem, zatrząskując za sobą furtkę jak zawsze. Rosalia się roześmiała. Wnuczka zawsze poprawiała jej samopoczucie. Szkoda, że Roberto jej nie poznał.

Rozdział 26

Montana

Montana wyszedł miejsce pobytu Rosalii dzięki starym listom. Teraz jechał na zachód małym, wynajętym renault, z portu lotniczego w Maladze na słonecznym andaluzyjskim wybrzeżu. Zatłoczona droga łączyła turystyczne miasta tak już rozbudowane, że niemal zlewały się w jedno. Torremolinos... Fuengirola... Marbella...

Skreślił z trasy, zanim dojechał do Marbelli, i ruszył zakurzoną drogą przez błyszczące puebla z białymi domami o czerwonych dachach, świeżo zbudowane dla turystów z zimnych północnych krajów, którzy przyjeżdżali tu szukać słońca, taniego wina i słodkiego życia. I dalej, przez jeszcze mniejsze wioski,

tym razem już autentyczne, z brukowanymi uliczkami, między białymi domkami o zakratowanych oknach i masywnych, drewnianych drzwiach, prowadzących na patia, wokół których toczyło się życie w Hiszpanii.

Było południe, kiedy Montana nareszcie zatrzymał samochód, naprzeciw baru w sennej wsi. Psy leniuchowały na progach, ludzie popijali w cieniu zimne piwo San Miguel, by jakoś zabić najgorętsze godziny.

Bar był prosty jak chyba wszystkie bary w hiszpańskich wioskach. Podłoga *terrazzo* zaśmiecona była łupinami bobu, orzechów i kwadratami papieru, które służyły za serwetki. Na cynkowym kontuarze stała cała kolekcja *tapas*, przekąsek, typowych dla Hiszpanii. Montana zamówił małą miszkę *boquerones* - maleńkich, białych rybek marynowanych w oliwie i occie - a do tego wieprzowinę z czerwoną papryką, duszoną do miękkości, i krewetki *pil pil*, małe, ostre i mocno pachnące czosnkiem. Do tego wszystkiego wielki kawał chleba z chrupiącą skórką, którym można było wytrzeć resztki sosu z talerza, i chłodne san miguel. Niebo w gębie.

Stał przy barze razem z sześcioma innymi mężczyznami, podsłuchując, co mówili na jego temat i co sądzą o jego tatuażu. Nie wiedzieli, że zna hiszpański, a on na razie nie zamierzał się z tym zdradzać. Zawsze go bawiło podsłuchiwanie, kiedy ktoś go oplotkował w ten sposób. „Tajemniczy facet”, mówili, zerkając na niego ukradkiem.

Montana dopił piwo, zapłacił rachunek, po czym zapytał perfekcyjną hiszpańszczyzną, czy mogą mu wskazać drogę do La Finca de los Pastores. To niedaleko sąsiedniej wsi, powiedzieli mu, zdumieni. Powinien skręcić w lewo za cmentarzem, a potem wjechać na wzgórze. Na pewno trafi.

Montana pojechał drogą, która okrążyła wzgórze. Minął wielki billboard przedstawiający byka i reklamujący brandy Soberano. Dalej były gaje cytrusowe, winnice i kępy kasztanowców, niżej przebłyskiwały lasy potężnych dębów korkowych. I nagle ukazała się La Finca de los Pastores, błyszcząca w słońcu na szczycie kolejnego wzgórza.

Posiadłość otaczał masywny, jaskrawobiały mur. Po obu stronach wysokich na trzy metry drewnianych wrót szmerły fontanny, wyłożone — na andaluzyjską modłę - mozaiką w kolorach kobaltowego błękitu i żółci - barwach morza i słońca.

Montana zaparkował w cieniu pergoli i wszedł na dziedziniec. Powietrze przesycił zapach kwiatów, cykały świerszcze, a kolejna okrągła fontanna szmerła cicho. Dookoła panował spokój, jakby cały świat zażywał sjęsty. Uśmiechnął się i pomyślał, że jeśli mu się poszczęści, znajdzie tu Śpiącą Królową i obudzi ją pocałunkiem. Zamiast niej dostrzegł śliczną dziewczynkę

w różowej sukni flamenco. Mała wybiegła zza rogu i wpadła wprost na niego.

- Och! - Spojrzała na niego błyszczącymi brązowymi oczami, kiedy przytrzymał ją za ramiona, by pomóc jej odzyskać równowagę. - Przepraszam - dodała po hiszpańsku. - Przygotowuję się do parady i się spieszę. *Mamaita* chce, żebym zdjęła sukienkę, mówi, że jest za wcześnie, ale ja chcę iść teraz.

- Domyślam się, a poza tym bardzo ładnie wyglądasz - odparł szarmancko Montana.

- Bella, gdzie jesteś? - zirytowany głos poprzedził jego właścicielkę, ale w następnej chwili i ona wpadła do holu. - Och! - powiedziała, zatrzymując się gwałtownie na widok Montany. - Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

- Przyjechałem przed chwilą - wyjaśnił Montana. - I przywitała mnie pani córeczka, która właśnie biegnie na paradę.

Kobieta roześmiała się, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką.

- Marzenia ściętej głowy - odparła. - Parada jest dopiero w przyszłym tygodniu, więc można powiedzieć, że mała trochę się pospieszyła. Witam, jestem Magdalena Ruiz, menedżer Finca de los Pastores. Nie jestem pewna, czy spodziewaliśmy się pana, señor...?

- Harry Montana. - Uścisnął jej dłoń. - I nie, nie spodziewaliście się mnie. Zajrzałem tu w nadziei, że macie przypadkiem wolny pokój.

- Więc ma pan szczęście. Ktoś odwołał dziś przyjazd i jeden z naszych najładniejszych pokoi jest do wzięcia.

Kiedy szli chłodnymi korytarzami do bujnie zarośniętego ogrodu, Magdalena Ruiz opowiedziała mu historię powstania Finca de los Pastores.

- I dofia Rosalia wciąż tu mieszka? - zapytał od niechcenia Montana.

- Owszem. - Magdalena otworzyła drzwi domku gościnnego, którego okna wychodziły na chłodny, zielony basen. - Kolację podajemy od ósmej trzydzieści - poinformowała go. - Bar jest otwarty cały czas. Na pewno łatwo się pan zorientuje, gdzie co jest.

Głównym meblem w domku Montany było wielkie łożo koloru hebanu, z muślinowym baldachimem. Podłogi z klasycznej hiszpańskiej terakoty zdobiły tradycyjne andaluzyjskie dywaniki. Pod jedynym oknem stało rustykalne, białe biurko, a tarasowe drzwi prowadziły na patio pełne zapachu wisterii.

Uśmiechając się, Montana wybrał na komórce londyński numer Daisy. Odebrała po pierwszym sygnale i bez tchu rzuciła do słuchawki „halo”.

- Złapałem cię w biegu, co? - zapytał, wyobrażając sobie błysk jej zielonych oczu, kiedy odpowiedziała mu wyniośle, że nic podobnego. - Jestem

w Andaluzji - powiedział. - W pięknej starej hacjendzie zamienionej na hotel, i jest tu tak cicho, że chyba słyszę nawet bicie własnego serca.

- Nie sądziłam, że je masz - odparła Daisy. Roześmiał się.

- Tania riposta - rzucił. - Szczególnie, kiedy zamierzałem powiedzieć, że to wspaniałe miejsce na miesiąc miodowy. Może warto będzie o tym pamiętać, kiedy przyjdzie na ciebie czas.

- Montana - odparła zimno - ja nie myślę o małżeństwie i miodowym miesiącu, a poza tym zdawało mi się, że Rosalia mieszka w Maladze.

- Kiedyś tak było. Miała tam męża i prowadziła małą kawiarnię, w której sama gotowała, choć miała trójkę dzieci.

- Miała trójkę dzieci? Och, Montana, sądzisz, że to mogą być dzieci Boba?

- Sprawdziliśmy. Daty nie pasują, a poza tym wszystkie akty urodzenia stwierdzają, że ojcem dzieci był Juan Delgado. Kiedy umarł, Rosalia przeprowadziła się tutaj, na wieś. Razem z dziećmi odbudowała to miejsce. Teraz to bardzo dochodowy mały hotel. Nie żałujesz, że nie jesteś tu ze mną? - Wy szczyrzył zęby w uśmiechu. Wiedział, jak ją zirytować.

Daisy zignorowała go.

- A co z Rosalia?

- Mam nadzieję, że zobaczę ją dziś wieczorem.

- Będzie w szoku, kiedy usłyszysz o Bobie i dostanie zaproszenie na jego... no wiesz, stypę. - Daisy mówiła przerażonym szeptem. - Pierwszej miłości się nie zapomina - dodała.

- A ty zapomniałaś swoją?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała, wzięta z zaskoczenia. Roześmiała się, przypominając sobie dawne czasy. - Miałam szesnaście lat, a on był moim partnerem na balu na zakończenie szkoły. Dał mi orchideę na nadgarstek. Miałaś seledynową jedwabną suknię, która szeleściła, kiedy chodziłam. Był blondynem i miał niebieskie oczy, wyglądał jak kalifornijski surfer wyrzucony przypadkiem na brzegi jeziora Michigan i był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego w życiu widziałam. Przetanńczyliśmy razem wszystkie tańce, a potem całowaliśmy się na tylnym siedzeniu czyjegoś buicka monte carlo. Myślałam, że umrę ze szczęścia po tym pierwszym pocałunku.

- I jak długo trwała ta wielka miłość?

- Jakieś trzy tygodnie - przyznała z chichotem. - A z tobą jak było?

- Nie powiem - odparł Montana, budząc jej protesty. - Wracam do Londynu za dwa dni - dodał. - Będiesz tam jeszcze? - Daisy odpowiedziała, że owszem i że Bordelaise przylatuje, by dotrzymać jej towarzystwa.

Kiedy się pożegnali, Montana był zaskoczony, jak bardzo Daisy zapadła mu w pamięć. Jakby chcąc ją wypędzić ze swoich myśli, wyszedł na dwór i przepłynął pięćdziesiąt długości seledynowego basenu. W końcu wziął prysznic i poszedł zwiedzić świat Rosalii.

Bar był cieniastym, sklepionym pomieszczeniem z półokrągłym marmurowym kontuarem. Ściany do połowy wyłożone były kafelkami w kolorowe andaluzyjskie wzory, które wiele zawdzięczały marokańskiemu dziedzictwu. Stoliki z ceramicznymi blatami były wystawione na kolejne śliczne patio, na którym bulgotała jeszcze jedna fontanna. W tle grały świerszcze, a małe, bezczelne ptaszki ćwierkały na oparciach krzeseł, zebrząc o okruszki.

Montana usiadł w białym wiklinowym fotelu z wysokim oparciem. Popijał zimne, różowe amontillado i jadł słodkie ciastka, kontemplując ciemniejący błękit nieba. La Finca de los Pastores była jednym z tych miejsc, gdzie człowiek czuł się jak w domu. To był idealny świat, nawet jeśli można było w nim zamieszkać tylko na chwilę.

Zaczęli się schodzić inni goście. Uśmiechali się i kiwali głowami na powitanie. Jakiś młodzieniec bardzo cichutko grał niesamowity *Concierto de Aranjuez* Rodriga.

Na patio weszła kobieta, wysoka, wyprostowana, dostojna w ten typowy, hiszpański sposób. Lśniące włosy ściągnięte miała w węzeł na karku. Miała na sobie długą do kostek, czerwoną spódnicę, bardzo cygańską, a do tego białą bluzkę, ciężki naszyjnik z koralami i frędzlisty szal z czerwonego jedwabiu, zarzucony na ramiona.

Montana natychmiast zrozumiał, że to musi być Rosalia. Wyglądała w każdym calu na hiszpańską arystokratkę, kiedy się uśmiechała i witała ze swoimi gośćmi.

U jej boku szedł mężczyzna o kwadratowej szczęce i przesywających czarnych oczach, z czarnym wąsem i czarnymi, błyszczącymi włosami. Montana dostrzegł, że towarzysz Rosalii ubrany był w koszulę szytą na zamówienie. Miał na sobie wąskie czarne spodnie, wpuszczone w wysokie, hiszpańskie buty do konnej jazdy. Wyglądał jak elegancki Cygan.

Kobieta i mężczyzna podeszli do Montany.

- Senor Montana, jestem dona Rosalia. Witamy w La Finca de los Pastores - powiedziała dama, obdarzając go uśmiechem tak słodkim, że zrozumiał, dlaczego Bob był w niej zadurzony tyle lat. Rosalia nie była piękną, ale miała niepowtarzalny urok. I choć Montana wiedział, że musiała mieć koło sześćdziesiątki, na jej twarzy było niewiele zmarszczek. Ze swoimi wielkimi, ciemnymi oczami pod idealnym łukiem brwi, ostro zarysowanym nosem

i bardzo wysokim, krągłym ciałem przypominała portrety hiszpańskich grandów w Prado, a jej odrobinę staroświecki styl i łagodne obejście sprawiały, że każdy z gości czuł się jak jej dobry znajomy. -To mój przyjaciel, Hector Gonzalez - przedstawiła Rosalia mężczyznę. - Hector prowadzi moje interesy - powiedziała. I dodała z ciepłym uśmiechem: - Jest także moim tłumaczem. Bo widzi pan, jestem głucha. - Westchnęła. - To dziwne, jak świat traktuje niesłyszącą osobę. Jeśli ktoś jest niewidomy, wszyscy to rozumieją, ale głuchota jest ukryta i ludzie myślą, że jest się głupim, skoro się nie odpowiada. Więc teraz Hector się mną opiekuje. Umie czytać z ust, ale Hector przekazuje mi każde słowo, jakie pan wypowie, więc lepiej proszę uważać - dodała ze śmiechem i, przeprosiwszy go, poszła przywitać kolejnych nadchodzących gości.

Zanim udał się na kolację, Montana napisał do Rosalii liścik z zapytaniem, czy zechce się z nim spotkać - sam na sam - po kolacji. Napisał, by się nie niepokoiła, ale ma dla niej ważną wiadomość. Poprosił jedną z kelnerek, elegancką i nieskazitelną w błękitnej bawełnianej sukience, by dostarczyła Rosalii list do rąk własnych, po czym zjadł jeden z najlepszych posiłków w życiu, sam pod gwiazdami przy stoliku dla dwojga.

Rozdział 27

Montana

Rosalia czekała na niego na swoim patiu, w rzeźbionym drewnianym fotelu.

- Miło znów pana widzieć, senor Montana - powiedziała.

Podszedł bliżej.

- Czy pani mnie rozumie, senora? Czy może wołałaby pani, bym napisał to, co mam do powiedzenia?

- Posługuje się pan dobrym kastylijskim hiszpańskim, doskonale rozumiem, co pan mówi.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, senora Ybarra.

Ybarra Delgado - poprawiła go - choć mam przecucie, że pan to doskonale wie.

Jej brązowe oczy spojrzały w oczy Montany; zobaczył, że jest zdenerwowana.

- Jestem posłańcem od człowieka, którego pani kiedyś znała- powiedział. — Człowieka, który gorąco panią kochał. Człowieka, który tęsknił za panią do końca swoich dni.

- Oczywiście chodzi panu o Roberto.

- Sir Roberta Hardwicka. Tak.

- Czytałam o wypadku - powiedziała cicho. - Wiem, że zginął.

- Bardzo mi przykro.

- To już drugi raz, kiedy tracę Roberto - powiedziała. -1 tym razem wcale nie jest łatwiej, co dowodzi tylko, że stare powiedzenie „czas leczy rany" jest nieprawdziwe.

- Bob był wyjątkowym człowiekiem.

- Dobrze go pan znał?

- Przez ponad dziesięć lat. Podziwiałem go i szanowałem jego uczciwość.

- Urodził się w Yorkshire i zawsze był wierny swoim korzeniom i kodeksowi honorowemu. - Spojrzała spokojnie na Montanę. - Byliśmy bardzo zakochani, wtedy, przed laty. Takie uczucie do mężczyzny nie przemija, nawet kiedy jest się starszą panią jak ja. Ale nie mogliśmy być razem. Roberto był zbyt ambitny, a ja byłam prostą dziewczyną z andaluzyjskiej górskiej wioski. Pragnęłam tylko tego, czego pragnęły wszystkie dziewczęta, jakie znałam. Kochającego męża, dzieci... rodziny. - Rosalia westchnęła. - To było oczywiste, że nam się nigdy nie uda.

- Może to zabrzmiało dziwnie - powiedział Montana - ale przynoszę pani za prośbą od Roberta. - Wręczył jej kopertę. - Miał nadzieję, że weźmie pani udział w rejsie na prywatnym jachcie. To ma być hołd dla niego. Robert zaprosił tylko osoby, na których życie miał osobisty wpływ. Pani nazwisko było najważniejsze na tej krótkiej liście.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Na jachcie? Hołd dla Roberto?

- Zostawił list, w którym pisze, że żałuje, iż nie będzie mógł tam być, ale chce, by wszyscy świetnie się bawili i dobrze go wspominali.

Pokręciła głową i westchnęła.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem, czy mogę...

- Chciał, by była pani przy odczytaniu testamentu w jego willi na Capri - dodał Montana. - I daje pani w prezencie sto tysięcy dolarów, jeśli wybierze się pani w rejs, by go wspominać.

Wstała z fotela, wyraźnie poruszona.

- Muszę to przemyśleć- powiedziała.- Już późno... - Podała mu rękę i Montana skłonił się nad nią z szacunkiem.

- Dziękuję, że mnie pani wysłuchała, senora - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- Słuchałam Roberto - odparła, odwracając się i idąc do domu.

Rozdział 28

Daisy

Bordelaise miała się zjawić wczoraj. Wysłałam po nią samochód na lotnisko, ale kierowca powiedział, że nie przyleciała. I od tamtej pory nie odezwała się słowem. Chodziłam niespokojnie po apartamencie, zastanawiając się, gdzie się mogła podziać. Kiedy zadzwonił domofon, złapałam słuchawkę wściekła jak osa.

- Trzeba było chociaż zadzwonić! - wrzasnęłam.

- Aż tak się za mną stęskniłaś? - zapytał Montana. Przeprosiłam go, wzdychając, i powiedziałam, żeby wjechał na górę.

- Przepraszam - powiedziałam jeszcze raz, kiedy wyszedł z windy. - Myślałam, że to Bordelaise. Miała przylecieć wczoraj linią Continental, ale za wieruszyła się gdzieś po drodze między Chicago i Londynem. Nie odbiera ani komórki, ani stacjonarnego.

- Robiła tak już wcześniej?

Potwierdziłam.

- To impulsywne stworzenie, działa pod wpływem chwili. Jeśli przydarzy się coś ciekawszego, korzysta z okazji. Nie zwracając uwagi na nic.

- Chcesz, żebym coś zrobił w tej sprawie?

- Zjawi się - odparłam. Miałam nadzieję, że się nie mylę.

Usiedliśmy obok siebie na białej sofie, stojącej frontem do wysokich okien, za którymi rozciągał się szary park. Było późne popołudnie. Zapytałam Montanę, czy chce herbaty, kawy albo drinka. Pokręcił głową, mówiąc, że wolałby od razu przejść do rzeczy.

- Spotkałem się z Dopplemannem - rzucił.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia.

- Rany, ty naprawdę jesteś dobry - powiedziałam. - Jednak go znalazłeś.

Opowiedział mi o szczegółach spotkania.

- Ale dlaczego uciekł?

Tego muszę się dowiedzieć. Jutro mam w Waszyngtonie spotkanie z człowiekiem, który utrzymuje, że dobrze go znał.

- Stary przyjaciel?

- Wątpię. Dopplemann to człowiek bardzo zamknięty w sobie, trudno było by się z nim „zaprzyjaźnić”.

- A co z Rosalią i andaluzyjskim hotelem w sam raz na miesiąc miodowy?

- Zapewniam cię, można robić w życiu gorsze rzeczy, niż spędzić tam miesiąc miodowy.

- Nie mogłabym zrobić nic gorszego, niż pojechać na jeszcze jeden miesiąc miodowy. Pierwszy był piekłem. Dziesięć dni na Hawajach z połową Los Angeles, ich wścibskimi dzieciakami i moim świeżo upieczonym mężem, wiszącym non stop na telefonie i dzwoniącym Bóg wie do kogo. Pewnie do jakiejś innej dwudziestoletniej blondyny, z którą wolałby wtedy być. A do tego zatrudniłam się nieświeżymi krewetkami i dwa z tych dziesięciu dni spędziłam w łóżku, sama, kiedy on pojechał sobie na ryby z chłopakami. A przynajmniej tak mi powiedział. Teraz mam wątpliwości.

- Nie możesz całe życie truć się złymi wspomnieniami. Daj sobie z tym spokój.

- Problem w tym, że ja wciąż nie wiem, co zrobiłam nie tak.

- Nie zrobiłaś nic złego poza tym, że wyszłaś za nieodpowiedniego człowieka.

Spojrzałam mu w oczy.

- Tak na serio, Montana - powiedziałam. - Naprawdę sądzisz, że to nie moja wina, że mąż mnie zostawił?

- Podejrzewam, że to był po prostu taki „zostawiający” facet. I założyłbym się, że zostawił już tę dwudziestolatkę, do której odszedł od ciebie. Pewnie przerabia już następną, a może nawet kolejną.

- Palant - powiedziałam.

Montana przyznał mi rację, i nagle, ku mojemu zdziwieniu, ujął moją rękę w obie dłonie i musnął ją wargami. Fala żaru popłynęła wzdłuż mojego ramienia. Powiedziałam sobie, że to tylko mały pocałunek w rękę i że oczywiście to nic nie znaczy. Że między nami nie ma nic prócz mojego nieudanego małżeństwa i jego samotnego dzieciństwa.

- Oboje jesteśmy poranieni - powiedziałam drżącym głosem, kiedy puścił moją dłoń.

- Więc zawrzyjmy układ. Ja obiecuję cię bronić przed złymi facetami tego świata, a ty obiecaj dotrzymać mi towarzystwa, żebym nie czuł się samotny.

- Umowa stoi. - Patrzyliśmy sobie poważnie w oczy przez długą chwilę, aż nagle on ujął mój podbródek, przechylił moją twarz ku swojej i tym razem dał mi prawdziwego, choć lekkiego całusa. Chciałam przyciągnąć go do siebie,

pocałować go inaczej, mocniej, ale wzięłam się w garść i odsunęłam od niego ze spuszczonym wzrokiem i zaróżowionymi policzkami. Montana znów był zajęty wyłącznie zawodowymi sprawami.

- Namierzyliśmy już wszystkich podejrzanych z listy Boba i mamy motyw dla każdego z nich. Zaprosiłem też statystów. Popłynię z nami niejaki Brandon van Zelder, znajomy Boba, po czterdziestce, przystojny, zna wszystkich, którzy się liczą, świetnie gra w triktraka, kobiety go uwielbiają. Weźmie ze sobą młodą piosenkarkę. Dobrze jąznam. Myślę, że będzie świetnie odwracać uwagę i zabawi nas, kiedy atmosfera stanie się napięta. No i jest jeszcze Reg Blunt.

- Reg? Z Baraniej Głowy?

- Bob chciał go zaprosić. Powiedział mi, że to prawdziwy przyjaciel, a wierzę mi, Bob nie miał ich wielu. Chciał też zaprosić Ginny Bunn. Więc tak wygląda nasza mała załoga - powiedział.

Zanim zdążyłam to skomentować, odezwał się domofon. Bordelaise była na dole.

Wpadła do mieszkania w obcisłych jak druga skóra dzinsach, w szpilkach i tweedowym zakiecie Chanel, rozkosznie pachnąca Arpege, perfumami, których używała od czasów, kiedy obie miałyśmy po kilkanaście lat.

- Skarbie! - wrzasnęła. Cisnęła torebkę Chanel i ślizgając się po parkiecie, rzuciła się, żeby mnie uściskać, przy czym omal mnie nie wywróciła. - Stęskniłam się za tobą- dodała, odsuwając się na wyciągnięcie ręki i przyglądając mi ciekawie spod gęstej, jasnej grzywki.

- U mnie wszystko w porządku. - Nie zabrzmiało to zbyt pewnie. - Gdzieś ty była?

Wyszczrzyła do mnie zęby w znajomym uśmiechu, który rozjaśnił jej chochlikowatą twarz.

- Zboczyłam na chwilę do Paryża, kochana, z kimś, kogo poznałam w poczekalni na O'Hare. Był młody, seksowny i - wzruszyła ramionami - no wiesz, ja nigdy nie potrafiłam się oprzeć pokusie.

Westchnęłam.

- Bordelaise, to jest Harry Montana. Opowiadałam ci o nim.

Zmierzyła wzrokiem jego wysoką postać. Kątem ust szepnęła:

- Twój czy mój, skarbie, powiedz od razu. - Po czym podeszła do Montany, który stał przy oknie i wyglądał prawie jak Darth Vader w tym swoim czarnym ubraniu, złowrogi i tajemniczy, co na kobiety typu Bordelaise działało jak lep na muchy.

- Harry. - Wyciągnęła rękę i posłała mu wyzywający uśmiech.

Uścisnął jej dłoń i uklonił się lekko.

- Daisy mnóstwo mi o tobie opowiadała.

Bordelaise spojrzała na mnie przez ramię.

- Mam nadzieję, że nie wszystko!

- Mówiłam mu, że płyniesz z nami w rejs.

Bordelaise otworzyła szerzej oczy i uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Zawsze chciałam pożegłować.

- Więc na pewno spodoba ci się na „Blue Boat”. - Montana spojrzął na mnie. - Macie mnóstwo do nadrobienia. Bardzo miło cię było poznać, Bordelaise.

- I nawzajem - odparła, z aprobatą oglądając sobie jego zgrabny tyłek, kiedy odchodził. - Do zobaczenia na pokładzie, Harry - zawołała, posyłając za nim szelmowski uśmieszek. - No proszę. - Rozpromieniła się, kiedy drzwi zamknęły się za nim. - Trzymałaś go w tajemnicy, co, moja droga? Jest coś między wami, jeśli mogę zapytać?

- Zupełnie nic - odparłam stanowczo. - I jestem pewna, że on nigdy nawet o tym nie pomyślał. Nie jest zainteresowany, i ja też nie.

- Więc rzeczywiście straciłaś swój kobiecy instynkt, skarbie. Zobaczmy, co się da zrobić, żebyś go odzyskała.

- Wszystko nadrobimy - odparłam, prowadząc ją do mojego pokoju, w którym oczywiście miałyśmy spać razem jak zawsze. - I chcę usłyszeć wszystko o tej paryskiej przygodzie. - Wciąż mając przed oczami ją i Montanę, odkryłam, że muszę siłą tłumić irytujące uczucie, które było chyba... zwyczajną zazdrością.

Rozdział 29

Daisy

Czas szybko mijał, kiedy Bordelaise dotrzymywała mi towarzystwa. Przez tych kilka dni przed wyjazdem chodziłyśmy na zakupy, jadałyśmy w restauracjach, zrobiłyśmy sobie włosy i paznokcie. Zachowywałyśmy się jak para nastoletnich psiapsiółek i świetnie się bawiłyśmy. Zabierałyśmy Ratsa na długie wędrówki po Hampstead Heath w deszczu i wietrze, a potem, szczękające zębami, lądowałyśmy w pubie, by się uraczyć wzmacniającym drinkiem i chipsami z solą i octem. Lunche jadałyśmy w Le Gavroche, na pamiątkę

Boba, a kolacje w Bombay Brasserie, gdzie zapoznałam Bordelaise z porząd-
ną hinduską kuchnią. Smażyliśmy sobie naleśniki na śniadania i zalewałyśmy
je truskawkowym dżemem roboty pani Wainwright, dodając wielkie porcje
tłustej śmietany, i popijałyśmy to wszystko litrami gorącej kawy. Wieczór
przed wyjazdem spędziłyśmy, siedząc we dwie na łózkach w moim pokoju,
Bordelaise w niespodziewanie dziecięcej flanelowej piżamce z błyszczącym
napisem VICTORIA'S SECRET na biuście, a ja w mojej dziewiczej babcinej ko-
szuli i w skarpetach na wiecznie zimnych stopach. Walizki były już spakowane
i ustawione w przedpokoju. Rano miałyśmy polecieć do Nicei, a potem
wsiąść na pokład „Blue Boat” w Monte Carlo.

- Więc jak to naprawdę jest z tobą i Montaną? - Bordelaise trzymała w obu
dłoniach kubek z kakao i dmuchała, by je ostudzić. Spojrzała na mnie znad
okularów. - Jesteście sobą zainteresowani czy jak?

- Nie wiem - zbyłam pytanie, które wciąż zadawała przez ostatnie dwa dni.
Wzruszyłam ramionami, wcierając krem w dłonie i oglądając moje francuskie tip-
sy ze ślicznymi, białymi koniuszkami. - On jest inny - przyznałam. - Jest trochę
poharatany jak ja, tylko w jego przypadku chodziło o ciężkie dzieciństwo.

- A co właściwie znaczy ten chiński tatuaż?

- Nigdy nie pytałam.

Bordelaise przewróciła oczami.

- Boże, ja bym zapytała na pierwszej randce.

- Nigdy nie mieliśmy randki. To zawsze były robocze spotkania.

Posłała mi długie spojrzenie pod tytułem: „nie wciskaj mi kitu”.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze rozmawialiście o Bobie, podejrzanych,
rejsie i czy naprawdę zrobił to lokaj?

- Mniej więcej.

- W takim razie, skarbie, naprawdę straciłaś swój kobiecy instynkt. Gdzie
ta kobieta, którą kiedyś znałam? Kiedyś wiedziałaś, czego i kogo chcesz od
życia, i sama go sobie brałaś, nawet jeśli faktycznie miał cię później rzucić. -
Marszcząc brwi, niecierpliwie siorbnęła kakao. - Montana jest seksowny jak
sam diabeł, Daisy. I jest wolny. Założę się o co chcesz, że jest tobą zaintereso-
wany.

- Myślałam, że to wy dwoje macie się ku sobie - odparłam, unikając jej
wzroku.

- Ha! Jak długo mnie znasz, Daisy Keane? Trzydzieści lat? Dłużej? Jeszcze
się nie przekonałaś, że nigdy nie biorę się do facetów moich przyjaciółek?
I nigdy nie umawiam się z czymś mężem. Nie żeby twój nie próbował - do
dała, wypijając kolejny łyk kakao.

Zagapiłam się na nią.

- No coś ty!

- Oczywiście, że próbował, złamas jeden. I usłyszał ode mnie parę słów
prawdy na swój temat, których nigdy nie zapomni. - Spojrzała na mnie poje-
d nawczo. - Nie mówiłam ci wcześniej, bo nie chciałam cię ranić, ale jeśli wciąż
jesteś mu wierna, to najwyższa pora, żebyś poznała prawdę.

Z zamkniętymi oczami zsunęłam się pod kołdrę.

- Jak on mógł? - jęknęłam.

- Taki już jest. Ale nie każdy mężczyzna go przypomina. Na litość boską,
zapomnij o nim, daj sobie szansę!

- No dobra. Więc Montana mnie pocałował - przyznałam.

Bordelaise natychmiast się ożywiła; usiadła prosto i popatrzyła na mnie
z zaciekawieniem.

- No i?

- Było przyjemnie.

Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła.

- Jesteś niemożliwa. Ile razy cię pocałował?

Zastanowiłam się nad tym.

- No, jeśli oprócz ust liczyć też dłonie i policzki, to chyba cztery albo pięć.

- Hm, to z całą pewnością zainteresowanie. Więc co zamierzasz z tym dalej
zrobić?

- Pociąga mnie - przyznałam. - Jest podniecający...

- Hura, hura. Co za ulga, jednak jesteś kobietą.

- Ale niczego nie planowałam, jeśli o to ci chodzi.

- A on?

- Oczywiście, że nie. - Wszelkie myśli w tym kierunku były czystą fanta-
zją. - On jest jak ty. Mówi mi, że powinnam sobie dać spokój, ruszyć naprzód.
Powiedział, że będzie mnie chronił przed złymi facetami, jeśli ja dotrzymam
mu towarzystwa, żeby nie czuł się samotny. Choć mam wrażenie, że do tej
pory ta samotność mu nie przeszkadzała — dodałam zamyślona.

- No więc widzisz. - Bordelaise triumfalnie przeczesła palcami swoje roz-
czochrane włosy. - Jest zainteresowany, jeszcze jak. Zobaczysz w czasie rej-
su: światło księżycy na wodzie, szampan, ciepłe śródziemnomorskie noce...

Niemal widziałam, jak kombinuje. Mimo to jej scenariusz wydawał się cał-
kiem romantyczny, nawet mnie.

- Może - odparłam, ostrożna jak zwykle. Bordelaise znów jęknęła. Rats,
który leżał rozciągnięty na moim łóżku, podbiegł do niej zaniepokojony, by
sprawdzić, czy nic jej nie jest.

Przyklapała mu uszy do tyłu i spojrzała przez okulary w jego smutne brązowe oczy.

- Ależ z ciebie kochany piesek.

Ale Rats odwrócił się i uważnie patrzył w drzwi. Były przymknięte, a mimo to poczułam, jak owiewa mnie nagły, chłodny prąd powietrza.

- Poczułaś to? - zapytałam.

- Co miałam poczuć?

- Ten niby wietrzyk, który właśnie przeleciał przez pokój.

Bordelaise wzruszyła ramionami.

- Niczego nie czułam.

- Nie wiem, co to jest — powiedziałam — ale ostatnio dość często się to zdarza. Jakby owiewał mnie wiatr, ale drzwi i okna są zawsze zamknięte. Pomyślałam sobie, że to może być Bob... no wiesz, że wraca, by sprawdzić, jak się miewamy z Ratsem...

Bordelaise wybałuszyła oczy.

- Zwariowałaś. - Popatrzyła nerwowo na drzwi i w pusty korytarz za nimi. - Nie mów mi, że wierzysz w duchy.

- Może - odparłam, bo sama zaczynałam myśleć, że może jednak wierzę.

Bordelaise kazała mi wstać i sprawdzić mieszkanie, a potem zamknąć drzwi sypialni na klucz, zanim poszłyśmy spać. Ale ja wiedziałam, że wszystko jest w porządku, bo Rats wrócił do mojego łóżka i smacznie chrapał. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby Bob był w pobliżu. Mimo wszystko tej nocy obie długo nie mogłyśmy zasnąć.

Część 3

Dzień pierwszy,
podejrzani przybywają
na pokład „Blue Boat”

*Wiele kobiet ma przeszłość, ale ja słyszałem,
że ona ma ich przynajmniej z tuzin, i wszystkie pasują.*

Oscar Wilde *Wachlarz lady Windermere*

Rozdział 30

Daisy

Długa na dziewięćdziesiąt i szeroka na czternaście metrów „Blue Boat” była jednym z większych współcześnie pływających jachtów. Zbudowana w bremeńskiej stoczni słynnego projektanta jachtów Lurssena, mogła spokojnie zostać nazwana megajachtem. Z technicznej strony patrząc, ze swoim zgrabnym kadłubem i dwoma potężnymi dieslowskimi silnikami marki KHD-MWM, mogła rozwinąć prędkość dwudziestu węzłów przy zasięgu sześciu tysięcy mil morskich. Z łatwością przepłynęłaby Atlantyk, ale najczęściej żeglowała po wodach Morza Śródziemnego, gdzie jej właścicielka, przyjaciółka Boba i dziedziczka naftowej fortuny, lubiła spędzać letnie miesiące.

Kadłub mieścił w sobie pięć pokładów. Górny był bardzo przestronny, z sze-rokimi półpokładami. Dziesięciometrową szalupę upchnięto w nierzucającym się w oczy miejscu przy bakburcie, na pokładzie ładunkowym, dwie klasyczne łódki towarzyszące marki Chris-Craft kryły się przy sterburcie, nic więc nie psuło pięknej linii jachtu - nawet ośmiomiejscowy, srebrnoniebieski śmigłowiec, usadowiony na górze.

Rufowa platforma do pływania była opuszczana hydraulicznie. Zgromadzo-no na niej najróżniejszy sprzęt: skutery, narty wodne, ekwipunek do nurkowa-nia z butlą i z rurką.

Ponad najniższym pokładem - ładunkowym - znajdowały się pomieszcze-nia dla trzydziestu sześciu członków załogi, z oddzielną mesą i salonem. Na

kolejnym pokładzie były pokoje dla gości - cztery luksusowe apartamenty i dziewięć mniejszych kajut. Wyżej był główny pokład ze strzelistym centralnym atrium, marmurowymi podłogami, miękkimi kanapami w kolorze kości słoniowej, hebanowymi stolikami, przybrzanymi kwiatami oraz przeszkloną windą i kryształowymi schodami za nią. Były tam wygodne saloniki, biblioteka, sala multimedialna i przestronna jadalnia. Salon fryzjerski, małą siłownię¹ spa umieszczono na wspornikach ponad górnym pokładem.

Duży pokład rufowy wyposażony był w sprzęt do opalania - wielkie, wysciewane leżaki, niewielki basen ze zjeżdżalnią i długi, owalny stół, przy którym kolację pod gwiazdami mogło zjeść dwadzieścia osób. Na pokładzie dziobowym znajdował się barze stolikami i zacienione miejsca do siedzenia, gdzie można było porozmawiać albo poczytać.

Na samej górze, za mostkiem (oczywiście wyposażonym we wszelkie techniczne nowinki) znajdował się oszklony piano-bar, który obracał się powoli, by można było podziwiać widoki.

Przepyszna sypialnia w apartamencie właścicielki miała olbrzymie okna i kominek na chłodne, a może raczej na romantyczne noce. Przylegający salonik wyłożony był ciemnym orzechem, dopasowanym do belek stropowych, kontrastujących z sufitem koloru kości słoniowej, kremową wykładziną i obiciami mebli.

Kolor jachtu osobiście wybrała właścicielka, kobieta zakochana w Morzu Śródziemnym. Zamiast typowego dla większości jednostek tego typu błękitu, była to najbledsza akwamaryna, idealnie imitująca odcień najpłytszej części morza wspinającego się na brzeg, tuż przed miejscem, gdzie drobne fale liżą piasek. Ten schemat kolorystyczny zachowano na całym jachcie - blade akwamaryny, płowe odcienie piasku, kości słoniowej i sjeny. Miękkie meble i markizy na pokładzie były niebieskie, i nawet ręczniki były w tym samym kolorze akwamaryny, z haftowanymi muszelkami koloru piasku.

Nie zapomniano o żadnym szczególe, ani w samej konstrukcji jachtu - którego budowa kosztowała podobno milion dolarów - ani w wystroju wnętrza, który był dziełem jednego z najlepszych projektantów w branży morskiej. Inie trzeba chyba mówić, że „Blue Boat” była oczkiem w głowie nie tylko właścicielki, ale też jej kapitana.

Kapitan Jurgen Anders był Norwegiem i całe życie mieszkał w pobliżu wody lub na wodzie. Skończył akademię morską i odsłużył praktyki najpierw w marynarce wojennej, a potem na pasażerskich liniowcach. Był dumny, że dowodzi jednym z najpiękniejszych pływających jachtów, dumny, że pracuje dla kobiety, którą podziwiał i która uważała go za przyjaciela, i z dumą popi-

sywał się statkiem przed tymi, którzy mieli szczęście go wyczarterować, co podobno kosztowało prawie pół miliona dolarów za tydzień. Ale, oczywiście, jeśli ktoś musiał pytać o cenę, na pewno nie było go stać na taki luksus.

Dziś kapitan dokonał osobistej inspekcji jachtu, by się upewnić, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a teraz ustawił oficerów i załogę na pokładzie, by czekała na przybycie gości.

Słońce zalewało żarem Monte Carlo, powietrze pachniało mimozą i benzyną do motorówek. Zgrabna, mahoniowo-stalowa łódka czekała, by zabrać nas na jacht. Jej załogę stanowiło dwóch przystojnych oficerów, którzy zasalutowali nam i pomogli wsiąść. Nasz bagaż załadowano na drugą łódkę i wyruszyliśmy szybko w poprzek przystani do miejsca, gdzie stała na kotwicy „Blue Boat”.

Kapitan, oficerowie i załoga stali w powitalnym szeregu.

- Królowe muszą się tak czuć na co dzień - szepnęłam do Bordelaise.

Kapitan Anders był jasnowłosy i przystojny. Zauważyłam pełne aprobaty spojrzenia, które rzuciła na niego Bordelaise, kiedy pokazywał nam serce statku, mostek pełen świecących ekranów, dziwnych urządzeń, radarów i wszelkich tych morskich gadżetów, o których nie miałam pojęcia.

Poznałyśmy szefa kuchni i obejrzałyśmy jego nieskazitelne, stalowe królestwo, a także „piwniczkę” z winami, zawierającą wszelkie ważniejsze chateau i, moje ulubione, zwykle *rosé* z Saint-Tropez. Kucharz zapewnił nas, że w każdym porcie, do jakiego zawijamy, kupuje na lokalnych targach najświeższe i najlepsze produkty, a miejscowi rybacy wpadają do niego z ostatnim połowem.

Zaprowadzono nas do wypełnionego kwiatami apartamentu właścicielki. Przestronny salonik był przeszklony naokoło, a przy sypialni znajdowały się dwie garderoby i dwie łazienki. Zauważyłam jakąś goliźnę Picassa na jednej ze ścian i Matisse'a na innej, ale kiedy powiedziano mi, że ten apartament jest dla mnie, odparłam, że Bob chciałby raczej, by zajęła go Rosalia.

Zjechaliśmy szklaną windą na pokład dla gości, gdzie dostałam apartament dziobowy, nieco mniejszy, ale równie uroczy, z wielkim oknem tarasowym, prowadzącym na pokład. Apartament pełen był róż i lilii, a na ścianie tym razem wisiał Klimt - portret wysokiej kobiety w czymś, co wyglądało jak patchworkowa suknia ze skrawków koronek, jedwabi i aksamitów.

Bordelaise dostała kajutę dalej w korytarzu, mniejszą, ale także idealną. Meble z jasnego drewna były wbudowane lub przymocowane pod ścianami. Nie było tu żadnych kantów i rogów, wszystko było zaokrąglone.

Zostawiłam ją, by się rozpakowała z pomocą ładnej skandynawskiej stewardesy o imieniu Camille, a sama poszłam do siebie, uczesałam włosy, nałożyłam szminkę i przyglądałam mocno wymiętą sukienkę z żółtego lnu. W końcu pojechałam windą na górny pokład, by poszukać Montany, z którym miałam witać gości.

Stał tam, spokojny, w czarnych spodniach i białej lnianej koszuli, rozpiętej pod szyją, z rękawami podwiniętymi prawie do łokci i ukazującymi tajemniczy tatuaż. Trochę groźny ze swoim jastrzębim profilem i ogoloną głową. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi się podobał.

Przyglądając sukienkę, pożałowałam, że się nie przebrałam, ale teraz było już za późno; zobaczył mnie w przeszklonej windzie.

- Wyglądasz jak anioł - stwierdził drwiąco, ale nagle ujął moją twarz w obie dłonie i wycisnął mi całusa na ustach. - Miło cię widzieć - powiedział. - Nie wiem jak ty, ale ja tęskniłem.

- Zawsze będziesz mieszał komplementy z docinkami?

- Nie zawsze. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - W każdym razie wyglądasz całkiem nieźle jak na detektywa.

- Daisy Keane, kobieta detektyw. To by było prawdziwe święto.

- Uwierz mi, skarbie, to święto właśnie nadeszło. A raczej nadejdzie wraz z naszym pierwszym gościem.

Nie musieliśmy czekać długo. Jako pierwsza zjawiała się lady Dianę Hardwick.

Rozdział 3 I

Diane

Diane stała na pirsie, sokolim wzrokiem śledząc tragarzy, bezceremonialnie siłujących się z jej bagażem od Vuittona. Jęknęła, kiedy upuścili najcięższą walizę. Nie omieszkała powiedzieć im, co o nich myśli, posługując się tym samym kolokwialnym francuskim klasy pracującej, jakim rozmawiali między sobą robotnicy.

Z aprobatą przyglądała się „Blue Boat”, kiedy łódka niosła ją ku przeznaczeniu. Szkoda, że to miała być stypa po Bobie i że trzeba się będzie zadawać z tą

Keane, która - jak podejrzewała - była kochanką jej eks-męża. Nie miała zamiaru spędzać z nią więcej czasu, niż to będzie absolutnie konieczne. No bo, jak by to wyglądało? Zastanawiała się, kim będą współpasażerowie. Jeśli to przyjaciele Boba, to zapewne są bogaci, a to jej jak najbardziej odpowiadało.

Starannie dobrała strój na tę okazję. Wyglądała bardzo odpowiednio w białym lnianym kostiumie, słomianym kapeluszu, w espadrylach na słomianej podeszwie i z drogą torebką z Bottega Veneta. Kiedy wyszła z łódki na pokład, uśmiechnięty kapitan powitał ją jak królową. Odprowadził ją do atrium, gdzie, jak powiedział, czekała pani Keane. Kapitan Anders był prawdziwym przystojniakiem. Diane posłała mu czarujący uśmiech. Poczuli zadowolenie na myśl, że wreszcie znalazła się tam, gdzie jej miejsce.

Daisy

Przepiękne atrium było pełne światła i pachniało liliami, poustawianymi w wazonach dookoła pomieszczenia. Stałam na samym środku, kiedy weszła Diane. Wiedziałam, że mnie poznała. Spotkałyśmy się tamtego żenującego wieczoru, kiedy osaczyła Iwa - czyli Boba - w jego jaskini i zażądała, by dał jej więcej pieniędzy. Teraz próbowała zyskać nade mną przewagę, mówiąc po francusku.

- Pani Keane, *comment ca va?*

- *Bien, merci, et vous*, lady Hardwick? - odpowiedziałam. - Witam na pokładzie „Blue Boat” i dziękuję, że zgodziła się pani wziąć udział w naszym małym rejsie. Wiem, jaką przyjemność sprawiłoby to Bobowi.

- Bobowi bardzo trudno było sprawić przyjemność - odpowiedziała, wciąż po francusku, Diane.

- Pani pozwoli, że przedstawię Harry'ego Montanę - odparłam. - On też był przyjacielem Boba i będzie dzielił ze mną obowiązki gospodarza tego rejsu.

Montana pochylił się szarmancko nad dłonią Diane.

- Szampana, lady Hardwick? - zapytał, przywołując stewarda.

Nagle za ich plecami dały się słyszeć szybkie kroki i głośny kobiecy głos wykrzyknął po włosku:

- *Dio mio*, tu jest bosko. Czy Bob Hardwick kupił sobie cały ten statek?

Dianę obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z Filomeną Algardii.

- Ty! - prychnęła oskarżycielsko.

- Ty! - odprychnęła Filomeną.

Obie odwróciły się do mnie.

- Co ona tutaj robi? - zapytały piskliwym chórem.
- To rejs Boba, a on zaprosił obie panie - odpowiedziałam szybko, ale twarz Dianę poczerwieniała z gniewu.
- Jak on śmiał! Jak mój mąż mógł zaprosić kochankę na tę uroczystość. Jak śmiał!
- Lady Hardwick - odparłam spokojnie. - Takie było ostatnie życzenie Boba. Musi pani to uszanować. Albo zrezygnować z udziału w tym rejsie.
Zagrałam atutową kartą i Diane to wiedziała. Czekają na nią sto tysięcy dolarów, a ona nie miała zamiaru zejść z jachtu bez nich ani opuścić nas, dopóki nie zostanie odczytany testament, który ogłosi ją spadkobierczynią fortuny.
Ignorując Filomenę, kiwnęła na stewarda.
- Zaprowadź mnie do mojego apartamentu, młody człowieku - powiedziała ła wyniośle i ruszyła do wyjścia.
- Kolacja zostanie podana o ósmej trzydzieści, lady Hardwick - zawołał za nią Montana.
Odwróciła się i spojrzała na niego.
- Oczywiście - odparła z westchnieniem, bo wiedziała, że nie ma wyboru.
Filomena miała na sobie jedwabną sukienkę, która przylegała do jej smukłego ciała jak druga skóra. Turkusy i błękity idealnie podkreślały kolor jej niebieskich oczu i złocistą karnację. Jasne włosy miała ściągnięte w luźny węzeł poprządkany bursztynowymi szpilkami, a na nogach złote sandały z rzemyków, ozdobione turkusowymi kamykami. W ręce trzymała ciemnopomarańczową torbę z miękkiej skóry, „pożyczoną” z butik, w którym pracowała.
- Nie wiedziałam, że biedna stara lady Hardwick też jest zaproszona - rzuciła nadąsanym tonem, oglądając mnie uważnie od stóp do głów. Było jasne, że wiedziała co do euro, ile kosztowała moja lniana sukienka, i nie zrobiło to na niej większego wrażenia.
- Bob zaprosił wielu dawnych przyjaciół - powiedziałam. - W tym również pana Montanę, który pomoże mi pełnić obowiązki gospodarza podczas rejsu.
Filomena przeniosła wzrok na Montanę. Uśmiech miała perłowy; z małymi, ostrymi kłami wyglądała jak piękna kotka.
- Ależ oczywiście, każdy przyjaciel Boba jest moim przyjacielem - zamruczała, kiedy wziął ją za rękę. - Czy dobrze słyszałam, że będziemy jeść razem kolację, Harry?
- O ósmej trzydzieści, signorina. Nie mogę się już doczekać.
Filomena pochyliła się ku niemu.
- Może więc, Harry, wyjaśnisz mi, dlaczego Bob zaprosił tylu innych „przyjaciół”? - powiedziała namiętnym szeptem, czego miałam nie słyszeć. - Prze-

cięż chyba nie przyszło mu do głowy zapisać czegoś im wszystkim? - Wzruszyła lekko ramionami i dodała: - Jestem w stanie zrozumieć, że jest tu Dianę. Ostatecznie była kiedyś jego żoną. A ja oczywiście jestem w niemal identycznej sytuacji. Wiesz, Bob i ja bardzo się kochaliśmy, był ze mną przez tyle lat, o wiele dłużej niż z Dianę. Gdyby okoliczności nie zmusiły nas do rozstania, byłibyśmy razem do dziś. Oczywiście gdyby żył. - Przeżegnała się.

Montana nie musiał udzielić odpowiedzi, tylko dzięki temu, że właśnie przybył Reg Blunt. Wszedł do atrium, namierzył mnie jak pocisk samonaprowadzający i ruszył z wyciągniętymi ramionami, by mnie uściskać. Jego granatowy blezer zdobił herb Klubu Krykietowego w Sneadley, szare flanelowe spodnie były pięknie odprasowane, a kwadratowa twarz marszczyła się od uśmiechu.

- Daisy, dziewczyno, tupani jest!

Depcząc mu po piętach, do atrium wpadła Ginny Bunn, z złotymi włosami upchniętymi pod zawadiacką żeglarską czapeczkę. W spodniach z białego stretchu, kłapkach i biało-granatowej pasiastej koszulce jaśniała jak promień słońca.

- Ten jacht jest niewiarygodny, co? - rozplywała się, zaraz po Regu biorąc mnie w potężny uścisk. - Jest po prostu cudny, nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem. - Przerwała, by obejrzeć sobie Filomenę, po czym złapała jej dłoń i uścisnęła entuzjastycznie. - Filomena, zgadza się? Pamięta mnie pani? Jestem Ginny, barmanka z Baraniej Głowy w Sneadley. Była tam pani kilka razy z Bobem.

Filomena uśmiechnęła się do niej ostrożnie, najwyraźniej zdziwiona. Zastanawiała się, co Ginny robi na pokładzie i czy ona też była kochanką Boba. Pewnie to samo myślała o mnie. *Dio mio*, to zaczynało przypominać jakiś koszmar.

Reg właśnie mówił mi, jak się cieszy na mój widok.

- Szofer odwiózł starego Ratsa do Sneadley Hali - dodał. - Biedne psisko nie wiedziało, co się dzieje, strasznie jest zamotany i bardzo tęskni za panią i za Bobem. Ale proszę się nie martwić, przejdzie mu. Pani Wainwright przyprowadza go do pubu na kielbasę. I powiedzieliśmy mu, że niedługo pani do niego wróci.

Uścisnął dłoń Montany i poklepał go serdecznie po ramieniu.

- Pana też miło widzieć, panie Montana. Miałem nadzieję, że ściągniemy pana z powrotem do Sneadley i wcielimy do naszej drużyny krykietowej. Założę się, że byłby z pana dobry pałkarz.

- Mam na imię Harry i umiem machać tylko kijem bejsbolowym.

- Niewielka różnica, chłopcze. Przyjeżdż kiedyś i sam spróbuj.
Reg, wciąż rozpromieniony, odwrócił się do Filomeny.
- Panno Filomeno, jak się pani miewa? Pamiętam, jak Bob przyprowadził panią do mojego pubu.
Filomena ominęła go wzrokiem.
- Doprawdy? - powiedziała obojętnie, spekulując zapewne, ilu jeszcze dziwnych „przyjaciół” zaprosił Bob i kim dla niego byli.
- Szampana, Ginny? - Montana wziął kieliszek i podał go barmance. Oczy Ginny zamigotały jak bąbelki w szampanie. Spojrzała na Montanę z zalotnym uśmiechem.
- Mm, dobre. Niech no pan powie, czy cały czas tak będzie?
- Tyle szampana, ile pani zapragnie - obiecał Montana. - Bob chciał mieć pewność, że jego przyjaciele będą się dobrze bawić.
Ginny westchnęła ciężko.
- Przykro mi tylko, że biedny stary drań nie może tu być i popijając go z na mi - powiedziała. - Ups! - zreflektowała się. - Oczywiście nie miałam nic złego na myśli z tym „biednym starym draniem”! To tylko takie pieścizotliwe określenie, wiecie, o co mi chodzi.
Montana roześmiał się i przekazał Ginny i Rega stewardowi, który miał ich zaprowadzić do kajut.
W tej samej chwili wszedł Charlie Clement, kwintesencja bogatego biznesmena na wakacjach, w białej koszuli i beżowych jedwabnych spodniach, bez skarpetek, w miękkich zamszowych mokasynach, z blezerem w ręce.
- Za gorąco tam, cholera - burknął na powitanie. - A na dodatek kazali mi czekać. Nieładnie, po prostu nieładnie.
- Witamy na pokładzie „Blue Boat”, panie Clement. - Nie byłam w stanie ukryć nuty sarkazmu w swoim głosie. - Jestem pewna, że Bob bardzo by się ucieszył, widząc pana tutaj, wśród swoich przyjaciół, niezależnie od temperatury.
- A tak w ogóle, ilu dokładnie przyjaciół Boba ma być na jachcie?
- Około tuzina. Pozwoli pan przedstawić sobie jednego z nich. To jest Harry Montana, pomaga mi przy organizacji tego rejsu.
Charlie uściśnił mu dłoń, oglądając go sobie od stóp do głów.
- Pójdę już, jeśli pozwolicie - powiedział, odsuwając się. - Muszę się ochłodzić pod prysznicem.
- Kolacja o ósmej trzydzieści, Clement - zawołał Montana, kiedy tamten odwrócił się już, by odejść.
Chiirlic zawrócił na pięcie.

- Chce pan powiedzieć, wszyscy? Razem? Jezu, co to za rejs? Ja sobie wy bieram towarzystwo przy kolacji.
- Takie były warunki Boba. I życzył sobie, byście się do nich stosowali. Je śli pan się nie zgadza, droga wolna.
Clement patrzył na niego długą chwilę. W końcu powiedział:
- Ha. Do diabła, niech wam będzie. — I odszedł rozniewany.
Następny zjawił się Brandon van Zelder, stary znajomy Boba, jak szepnął mi pospiesznie Montana, podobnie jak jego towarzyszka. Wysoki i przystojny, z gęstymi, ciemnymi włosami i przeszywającymi czarnymi oczami, nieskazit elnie elegancki w blezerze od Brioniego i szykownych bermudach. Pomachał wesoło do Montany. Kobieta była niemal równie wysoka. Na plecy sphywała jej kaskada jasnych włosów, a oczy błyszczały niczym dziesięciokaratowe szafiry. Szczupła jak modelka, z nogami do samego nieba i złocistą opalenizną wyglądała zjawiskowo w prostej, szarej garsonce. Spódnica kończyła się wy- soko nad ślicznymi kolanami.
- Pomyślałem sobie, że dodam trochę pieprzyku do tej całej zabawy - rzu cił mi Montana przez ramię, po czym objął blondynkę, a ta pocałowała go mocno w usta.
Moje wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Z rozmysłem odwróciłam wzrok.
- Cześć, Brandon van Zelder - zwrócił się do mnie elegancki arystokrata. - Domyślam się, że pani jest tu gospodynią. Dziękuję za zaproszenie. Uwiel biam takie wypady, dają mi okazję znalezienia dobrych kompanów do triktra- ka. Jestem w tym całkiem niezły, a przynajmniej tak sobie wmawiam. Pani gra?
- Witam, i owszem, gram, a raczej czasem grywałam z Bobem...
- Brandon, jak się masz, stary? - Montana podszedł do niego i uściaskali się, klepiąc po plecach i szczerząc zęby. Montana zwrócił się do mnie: - Pozwól sobie przedstawić Texas Jones.
Jęknęłam w duchu. Oczywiście, ślicznotka wczepiająca pazury w Montanę musiała mieć jakieś dzikie imię w rodzaju „Texas”.
- Miło cię poznać, Daisy. - Texas mówiła z urzekającym, południowym za- śpiewem. - I dzięki, że mnie zaprosiłaś. Rzadko mam okazję wziąć udział w czymś takim, chyba że pracuję. No wiesz, śpiewam. Jestem artystką kaba retową. Dorabiam okazyjnie na liniowcach, ale nie byłam jeszcze na tak cu downym jachcie. I po raz pierwszy jestem gościem.
- Więc mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić - odparłam, spogląda jąc na nią odrobinę ciepłej.

Montana powiedział im o kolacji. Kiedy poszli do swoich kajut, zjawił się Davis Farrell.

Ubrany był jak hipis. Wymięte szorty, koszulka, dzinsowa kurtka i brązowe skórzane sandały. Długie włosy miał ściągnięte w kucyk, na podbródku rosła mu niechlujna, kłująca broda. Mimo to nie dało się ukryć, że jest przystojnym mężczyzną.

Obrzucił wzrokiem superluksusowe marmurowe atrium, mozaikowe podłogi, stewardów w białych uniformach, srebrne tace z szampanem, ogromne bukiety kwiatów. Przez chwilę chłonał tę atmosferę bogactwa i władzy. Było oczywiste, że czuje się tu jak u siebie.

- Pani pewnie jest Daisy Keane - powiedział, przyglądając się mojej wymiętej sukience. Zapewne i on się zastanawiał, czy byłam kochanką Boba. - Davis Farrell - przedstawił się, ściskając moją dłoń.

- Witamy na „Blue Boat” - odparłam bardzo oficjalnie. - Przykro mi tylko, że Boba nie ma tu z nami, by mógł pana osobiście serdecznie powitać.

- Wątpię, by to zrobił. Mimo wszystko miło byłoby tak myśleć.

Zbita z tropu szybko przedstawiłam Montanę.

- Jeszcze jeden przyjaciel Boba - wyjaśniłam.

- Więc ilu dokładnie „przyjaciół” bierze udział w tej stypie? - zapytał Davis, marszcząc brwi.

- Około tuzina - poinformował go Montana.

Davis zaśmiał się gorzko.

- Kto by pomyślał, że stary Hardwick ma aż tylu „przyjaciół”.

Montana poinformował go o kolacji. Davis wruszył z niezadowolonym ramionami.

- Jak mus, to mus - mruknął, odchodząc w poszukiwaniu swojej kajuty.

Tuż za nim zjawili się Rosalia i Hector, a także Magdalena z małą Bellą i jej nianią.

Rosalia

Patrząc na Rosalię, nikt by się nie zorientował, że była zdenerwowana. Już dawno wyćwiczyła do perfekcji uśmiech, który skrywał tysiące ran. I zawsze zachowywała tę postawę królowej albo tancerki, która zwabiła do niej Roberta. Lśniące włosy miała dziś upięte jak zwykle w węzeł na karku. Ubrana była w śnieżnobiałą bawełnianą bluzkę z długimi rękawami, która stała się niemal jej znakiem firmowym, a do tego niebieską lnianą spódnicę i pantofle na wy-

godnym obcasie. W dłoni trzymała słomiany kapeluszyk i plecioną, słomianą torebkę, kupioną w wiejskim sklepiku. Rosalia już dawno odnalazła własny styl. Nie czuła potrzeby popisywania się metkami znanych projektantów, nie musiała na nikim robić wrażenia.

Zastanawiała się za to - nie po raz pierwszy zresztą - dlaczego w ogóle się na to zgodziła. Nie była w stanie zatrzymać przy sobie Roberto, kiedy żył, i z pewnością nie miała nadziei sprowadzić go z grobu, biorąc udział w tym rejsie.

Z westchnieniem odwróciła się, by poszukać wzrokiem swojego małego orszaku. Jej córka i wnuczka rozmawiały jeszcze z kapitanem Andersem, a Hector, kochany Hector, szedł w jej stronę, uśmiechem dodając jej odwagi. Z przyjemnością skonstatowała, jak bardzo jest „hiszpański”. Podobnie jak ona, Hector nigdy się nie zmieniał. Był, kim był, i to jej się w nim podobało. Czuła się przy nim pewnie, choć nigdy nie był jej kochankiem. Rosalia nie należała do kobiet, które pozwalały sobie na wiele. Miała tylko dwóch kochanków. Pierwszym był Roberto, a ostatnim jej mąż.

Zgodziła się na ten pożegnalny rejs tylko dlatego, że Hector nalegał. -

Roberto cię kochał - przekonywał ją. - Przez tyle lat nie chciałaś się z nim widzieć. Teraz poprosił cię o jedną, ostatnią przy słudze. A poza tym musisz zobaczyć, co zapisał ci w testamencie. Był bardzo bogatym człowiekiem.

Możesz otrzymać dużo pieniędzy.

Była zdumiona, kiedy to usłyszała. Dla niej oczywiste było, że Roberto nic jej nie zostawił; była tylko ukochaną, którą pamiętał z dawnych czasów.

Zauważywszy Montanę, pomyślała, jaki jest atrakcyjny, jaki... *masculino*.

Widziała w nim siłę, podobną do tej, jaką miał w sobie Roberto. Była pewna, że podobnie jak on, Montana był człowiekiem z zasadami. Ujął jej rękę w obie dłonie, uśmiechając się do niej ciepło. - Tak się cieszę, że zdecydowała się pani przyjechać - powiedział. - Wiem, jaką przyjemność sprawiłoby to Bobowi.

Daisy

Stojąc z tyłu, myślałam sobie, jak urocza jest Rosalia. Dobrze wybrałaś, Bob. Oto prawdziwa dama. Gdybyś tylko ty był inny, zostałyaby z tobą, dałaby ci dzieci i prawdziwą rodzinę. Jestem pewna, że uczyniłaby cię bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Cygański, krzykliwy styl Hectora trochę mnie zaskoczył, ale zauważyłam, jak troskliwy był wobec Rosalii, jak dbał, by nie poczuła się niezręcznie z powodu

swojej głuchoty. Mimo to Rosalia nie mogła chyba wybrać mężczyzny bardziej różniącego się od Boba. Magdalena, jej córka, była wysoka i smukła, i miała ujmujący uśmiech po matce. Mała wnuczka była czarująca. Ucisnęłam wszystkim dłonie na powitanie. W mojej głowie wciąż tknęło się pytanie „co by było, gdyby”, ale nie da się przecież cofnąć czasu. Kiedy steward zaprowadził ich do kajut, powiedziałam do Montany:

- Teraz wiem, dlaczego Bob nie mógł zapomnieć o Rosalii. I nawet nie próbuj mi sugerować, że to ona mogła go zabić, bo w to nie uwierzę. Ja cały czas stawiam na Dopplemanna. Gdzie on jest? - Spojrzałam na zegarek. - Już piąta, a my mamy wypłynąć o szóstej. Myślisz, że się zjawi?

- Dotarł do Nowego Jorku wtedy, kiedy zginął Bob, więc na pewno dotrze i tutaj z Monachium.

- Co takiego? - Wybałuszyłam oczy i opadłam na najbliższą kanapę. - Te raz już jestem przekonana, że to on. A ty musisz to tylko udowodnić.

- Nie bądź taka pewna. Charlie Clement też był w Nowym Jorku, podobnie jak Davis Farrell.

Jęknęłam na myśl o luksusowym jachcie pełnym potencjalnych morderców.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Na razie dopiero zbieramy informacje. A to wymaga czasu.

- A co z kobietami?

- Nic na nie nie mam. Na razie.

- Co to znaczy?

Montana wzruszył ramionami.

- Myślę, że będziemy musieli się tego dowiedzieć - powiedział. W tym samym momencie do atrium wszedł Dopplemann.

Rozdział 32

Dopplemann

Szłyśmy potem. Nie pomyślał, że będzie tu tak gorąco i miał na sobie węższą zieloną marynarkę ze szlucem i paskiem na plecach. Odsuwając nowiutki kapelusz Panama ze spoczonego czoła, rozejrzał się wokół siebie. Nigdy nie widział tak oszałamiającego luksusu i przeszło mu przez myśl, że gdyby Bob nie zrobił mu tego, co zrobił, on sam też mógłby mieć taki jacht.

Jego grube okulary zaparowały, zdjął je więc i przetarł nową bawełnianą chusteczką, ledwie widząc mężczyznę i kobietę, którzy stali przed nim. Kiedy założył okulary z powrotem na nos, zobaczył ich wyraźniej.

Daisy

- Witamy na „Blue Boat” - powiedziałam do Dopplemanna. - Jestem Daisy Keane, przyjaciółka Boba. Pełnię tu obowiązki gospodyni. A Harry'ego Montanę już pan, zdaje się, zna. - Za żadne skarby nie podałamby mu dłoni. Wpatrywałam się osłupiała w tego bladego, spoczonego człowieczka, a on gapił się na mnie przez swoje grube szkła. - Baliśmy się, że pan nie zdąży.

- Wsiadłem w zły autobus - wyjaśnił Dopplemann dziwnym, syczącym głosem. - Zawiózł mnie parę kilometrów za daleko i musiałem wracać pieszo.

- Trzeba było wziąć taksówkę - powiedział Montana. - Mało brakowało a opóźniłby pan rejs.

Dopplemann tylko wzruszył ramionami.

- Przepraszam - wymamrotał i zdjawszy okulary, znów je przetarł. Rzucił mi szybkie spojrzenie swoich zimnych wodniście zielonych oczu, po czym strzelił obcasami i skłonił się sztywno na pożegnanie, kiedy podszedł do niego steward, by wskazać mu drogę do kajuty.

- Kolacja jest o ósmej trzydzieści - zawołał za nim Montana. - Proszę się nie spóźnić.

Znów opadłam na kanapę. Ten dziwak był niewiarygodny.

- Wygląda jak Dirk Bogarde w ostatnich scenach *Śmierci w Wenecji* - powiedziałam. - Brakuje tylko spływającego tuszu do rzęs. Biedny człowieczek - dodałam, ogarnięta nagłą litością.

- Ten „biedny człowieczek” to jeden z najsprawniejszych naukowych umyślników świata - przypomniał mi Montana. - Sondy kosmiczne pewnie nie latałyby na Marsa, gdyby nie on. Jest w pełni zdolny do zaplanowania morderstwa.

- Boże - powiedziałam. - Obiecuj mi, że nie będę musiała siedzieć koło niego przy kolacji.

Montana uśmiechnął się szeroko, biorąc mnie za rękę.

- Wszystko już zaplanowałam. Siedzisz koło mnie. Co powiesz na spotkanie w barze o wpół do ósmej?

- Postawię ci drinka - zakpiłam i, cmoknąwszy go impulsywnie w policzek, popędziłam do swojego apartamentu. Czułam ogromną ulgę, że nie muszę już

rozmawiać z żadnymi potencjalnymi mordercami - przynajmniej przez dwie godziny, które postanowiłam wykorzystać na drzemkę.

Część 4

Na pokładzie, wieczór pierwszy

Księga Życia zaczyna się od mężczyzny i kobiety w ogrodzie.

Kończy się Apokalipsą.

Oscar Wilde *Kobieta bez znaczenia*

Rozdział 33

Daisy

Obudził mnie pomruk silników. Wstałam i otworzyłam okno, by popatrzeć, jak palmy i pałac księcia Rainiera maleją oddali, aż moim oczom ukazała się długa, zielona, postrzępiona od sosen linia Lazurowego Wybrzeża. Jacht prześlizgiwał się gładko po wodzie, zostawiając kremowy kilwater, z którego wyskakiwały delfiny. Starłam się na trwałe zapisać ten widok w pamięci, by potem móc zamknąć oczy i przeżyć to wszystko od nowa. Znów ogarnął mnie żal, kiedy pomyślałam o Bobie, i zdałam sobie sprawę, jak ważne jest, bym strzegła wspomnień z tych chwil, które spędziliśmy razem. Wiedziałam, jak bardzo cieszyłby go ten rejs i willa Belkiss. Ale Bob nie spodziewał się śmierci, myślał, że ma czas do końca świata.

Rozejrzałam się po moim zacisznym apartamencie, pełnym kwiatów i rozjaśnionym różanym światłem zachodu. W pewnym sensie ten rejs był ostatnim prezentem, jaki dał mi Bob, a moim ostatnim podarunkiem miało być zdemaskowanie zabójcy Boba. Z pomocą Montany, oczywiście.

Wzięłam prysznic i ubrałam się w plisowaną bluzkę z jasnozielonego szyfonu i kremowe jedwabne spodnie. Założyłam też korale, kolczyki i pierścionek z krzykliwym żółtym diamentem, który dostałam od Boba na ostatnią Gwiazdkę i którego prawie nie nosiłam. Całość uzupełniłam złotymi sandałami i odrobiną perfum Hermes Rouges, które kupiłam, bo sądziłam - błędnie, jak się okazało - że przeznaczone są dla rudzielców. Poszłam do baru na spotkanie z Montaną.

Przyszłam pierwsza. W sali był tylko barman i pewien miły człowiek, Melvyn - Amerykanin z Oklahomy, jak zdążył mi się pochwalić - który grał standardy na białym fortepianie.

Bar był miękko oświetlony, a za oknami ostatnia poświata zachodzącego słońca malowała na niebie różowe i bladozielone smugi. Głębokie, faliste kanapy zarzucone były stertami poduszek; ściany wyłożono ciemnym drewnem intarsjowanym w zawile wzory. Wspięłam się na barowy stółek i zamówiłam cosmo. W tej samej chwili, jak wyczarowany, zjawił się steward z gorącymi przystawkami. A tuż za nim wszedł Montana.

- Przyszłaś za wcześnie - powiedział, dotykając lekko mojego ramienia i posyłając mi ten swój półuśmiech.

- A ty się spóźniłeś. Zawsze każesz kobietom czekać?

- Nie, jeśli mogę temu zapobiec, a już na pewno nie, jeśli wyglądają tak jak ty. Czy obrazisz się, jeśli ci powiem, że wyglądasz pięknie?

Zmierzyłam go nieufnym spojrzeniem, nie wiedząc, czy sobie ze mnie przypadkiem nie żartuje.

- Niech ci będzie - zgodziłam się niechętnie. - Choć to nieprawda.

- Kto ci dał ten diament? - Uniósł moją dłoń, by obejrzeć kamień.

- Uwierzysz mi, jak ci powiem, że sama go sobie kupiłam?

Puścił moją dłoń i spojrzał mi w oczy.

- Nie.

Wbrew sobie, a może z powodu cosmo, którego zdążyłam już wypić kilka dobrych łyków, zachichotałam.

- Oczywiście, że nie, to gwiazdkowy prezent od Boba.

- Hojny człowiek.

- Owszem, między innymi wspaniałymi zaletami, posiadał również i tę. - Zamknęłam oczy i zobaczyłam przed sobą twarz Boba, mojego ogra, Shreka, kochanego przyjaciela i mentora. Nagle spoważniałam. - Posłuchaj, Montana - powiedziałam. - Obiecuję, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ci pomóc dopaść mordercę Boba. Powiedz tylko co, a ja to zrobię.

- Okej, świetnie... doceniam twoją chęć współpracy. To łatwiejsze niż wieczne kłótnie. A zresztą, oto nadchodzą- dodał cicho.

Filomena w mandarynkowej obcisłej sukience z jedwabiu wyglądała jak rodowita Francuzka z południa. Przywitała się i usiadła przy barze. Po chwili miała przed sobą martini i talerzyk oliwek, i gawędziła z barmanem. Texas była seksowna jak diabli w kolejnej dżersejowej garsonce, tym razem lawendowej. Odrzuciwszy na jedną stronę swoje długie jasne włosy, rozmawiała o muzyce z Melvynem przy fortepianie.

Do sali przemknął się Dopplemann, wciąż w tej swojej grubej lodenowej marynarce, tyle że teraz miał spodnie do kompletu i koszulę w szarą kratę. Wyglądał jak zbiegły skazaniec. Kiwnął nam głową na powitanie i skierował się prosto do baru, gdzie zamówił kieliszek dobrego bordeaux. Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o wina, miał dobry gust.

Zajął stółek obok Filomeny, rzucając jej burkliwie: „*Guten Tag*”. Filomena spojrzała na niego przestraszona i rozejrzała się, gdzie by tu uciec. Podeszła do nas.

- *Amici*, ratujcie mnie przed tym dziwakiem - powiedziała nerwowo. - Co on robi na tym statku?

- Jest jednym z gości jak pani - powiedział Montana i wyjaśnił, kim jest Dopplemann. Filomena posłała mu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, usiłując udawać, że jest pod wrażeniem, ale jej nie wyszło.

Tymczasem Melvyn grał *Body and Soul*, co wydało mi się bardzo stosowne. W końcu była to stypa.

Przyszedł kapitan Anders w eleganckim białym mundurze. Chyba wszyscy oficerowie i załoga wyglądali tak, jakby byli dobierani nie tylko pod kątem umiejętności, ale i urody.

- Przyszedłem sprawdzić, czy wszystkim jest wygodnie - powiedział kapitan. - Mam nadzieję, że podziwialiście państwo zachód słońca. Był dziś na prawdę piękny.

Montana odszedł porozmawiać z nim sam na sam, a ja próbowałam podtrzymać konwersację z Filomeną. Powiedziałam, że podoba mi się jej sukienka - uznałam to za bezpieczny temat. Odpowiedziała mi, swoim łamanym angielskim, że to Roberto Cavalli, jej ulubiony projektant w tym momencie. Zapytała, „kogo” ja mam na sobie, a ja przyznałam, że nie mam pojęcia. To po prostu coś, co kupiłam w pośpiechu u Harveya Nicholasa.

- Dobry sklep - powiedziała z aprobatą. - Ja też tam wpadałam, kiedy byłam z Bobem.

Byłam ciekawa, co miała na myśli, mówiąc „też”. Czy zaliczała mnie do kategorii kochanek? Nagle zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie wszyscy podejrzani uważają mnie za kochankę Boba, więc pospiesznie wyjaśniłam Filomenie, że byłam tylko jego pracownicą.

- I przyjaciółką-dodałam.

Posłała mi długie, przenikliwe spojrzenie.

- Wierzę, że pani mówi prawdę - odparła zaskoczona.

- Oczywiście, że mówię prawdę! - Zaczerwieniłam się z oburzenia, a ona się roześmiała.

W tej chwili do baru wpadła Bordelaise. Miała błyszczące oczy, a grzywka podskakiwała jej przy każdym kroku. Założyła dyskretny, kremowy garnitur i chyba z tuzin sznurków pereł. Po piętach deptał jej Brandon van Zelder, przystojny jak gwiazdor filmowy w białej wieczorowej marynarce.

- *Dio mio* - mruknęła Filomena, przyciskając dłoń do dekoltu. - Kto to jest? — Nie czekając na odpowiedź, zsunęła się z barowego stołka i ruszyła w jego stronę.

- Wyglądasz bosko - powiedziałam do Bordelaise.

- Ty też nie jesteś taka ostatnia... jak się trochę postarasz- odparła. Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Montana stał przy drugim końcu baru i rozmawiał z Dopplemannem. Poruszył brwiami, dając mi znak, żebym się przyłączyła. Nie potrafiłam być miła dla tego człowieka, przywitałam się tylko sztywno i wyraziłam nadzieję, że smakuje mu wino.

- Proszę mi mówić Marius - wysyczał. - A to wino jest bardzo dobre. To Haut-Brion. Za każdym razem mnie zadziwia, że tak doskonałe wino pochodzi z marnych dwóch hektarów, położonych w samym środku dość nędznego przedmieścia Bordeaux. Wiele z tego, co wiem o winach, nauczyłem się od Boba, pani Keane. Był świetnym nauczycielem sztuki wykwiśniętego życia - dodał.

Zdumiona, że powiedział tak wiele, zdobyłam się na uśmiech. Montana uściśnął moją dłoń dla zachęty. W tej chwili pojawił się Charlie Clement.

Podszedł prosto do baru, oparł się o blat zjedną ręką w kieszeni i zamówił podwójnego jacka danielsa z lodem. Kiwnął nam sztywno głową na powitanie.

- Dobry wieczór, Clement - powiedział Montana, który, jak mi się wydało, postanowił być dziś miły dla wszystkich. Melvyn przeszedł do Lennona i McCartneya. - Pozwoli pan, że przedstawię Mariusa Dopplemanna.

Na twarzy Clementa odmalowało się zaskoczenie, a potem zdumienie, kiedy obejrzał od góry do dołu małego człowieczka.

- Pan jest tym naukowcem? - zapytał, ale Dopplemann odwrócił wzrok i nie odpowiedział.

Clement spojrzał pytająco na Montanę, ale ten kiwnął tylko na kelnera, prosząc o więcej kanapeczek. Dopplemann wziął sobie sześć i zjadł je błyskawicznie. Pomyślałam, że musi być naprawdę głodny. Dopiłam swojego cosmo i się zamyśliłam. Zapowiadał się długi wieczór.

- Cześć wszystkim! - rozległ się w barze entuzjastyczny głos. Ginny torowała sobie drogę łokciami, wystrojona w czarne spodnie, czarny top bez ra-

mion i szpilki, z pęczkiem czarnych piórek wetkniętym w żółte włosy. Szeroko uśmiechnięta, zajęła stołek obok Montany i zamówiła dżin z tonikiem i lodem. - Lubię drinki z klasą, tak jak i mężczyzn - oznajmiła z frywolnym mrugnięciem, jednocześnie przyglądając się Charliemu elementowi. - A pan to kto? - zapytała, niezrażona jego ponurą miną.

- Charles Clement - odparł sztywno i kiwnął jej głową, co zdawało się być jego stałym powitaniem.

- Jestem Ginny Bunn. Więc pan jest przyjacielem Boba?

- Byłym przyjacielem.

Pomyślałam, że trafił w samo sedno.

Ginny nie zrażało jego zachowanie.

- Zaraz, zaraz, ja pana pamiętam. Przyjeżdżał pan parę razy do Sneadley, do Baraniej Głowy. Jestem tam barmanką. - Spróbowała swojego dżinu z tonikiem i z zawodową aprobatą kiwnęła głową barmanowi. - Zawsze pamiętam tam twarz - dodała, patrząc z namysłem na Charliego. I nagle zamilkła, spochmurniała. Odwróciła się i zaczęła rozmawiać z Montana.

Rozejrzałam się, by sprawdzić, kto jeszcze się pokazał. Wciąż nie było Diane, Rosalii ani Davisa Farrella.

Patrzyłam przez chwilę, jak Dopplemann pochłania kolejny tuzin zakąsek, aż w końcu wzięłam swojego drugiego cosmo i podeszłam do Bordelaise i Texas, które gawędziły w najlepsze.

- I co myślicie, dziewczyny? - zapytałam, parkując siedzenie na stołku obok.

- Jak dla mnie jest nieźle, szczególnie że nie muszę za nic płacić - powiedziała Texas ze swoim południowym akcentem. - Wiecie, jestem tylko pracującą dziewczyną. Nie stać mnie na wycieczki jachtami.

- Ty nie musisz pracować. Możesz mieć każdego faceta, jakiego zechcesz. Każdego faceta na południu Francji - stwierdziła Bordelaise. - Oczywiście chodzi mi o tych bogatych.

Texas łyknęła swoją wódkę.

- To nie w moim stylu, kotku. Ja jestem z tych, co to zakochują się po uszy, jeszcze zanim się dowiedzą, czy gość jest bogaty, czy biedny. Jak na razie za wsze okazywali się biedni. - Roześmiała się cicho. - Takie już moje szczęście.

Texas wcale nie była wyrachowaną cizią, jakiej spodziewałam się, sądząc po jej wyglądzie. Wydawała się naprawdę miła. Po prostu była piękna i dlatego można ją było wziąć za pozeraczkę męskich serc. Myśl o mężczyznach

kazała mi spojrzeć na Montanę. Wciąż rozmawiał z Ginny. Zadałam sobie pytanie, czy kiedykolwiek przejdzie mi ta głupia zazdrość o faceta, który chciał być tylko moim kumplem. Który chciał, bym dotrzymywała mu towarzysztwa, żeby nie czuł się samotny, i obiecał odpędzać ode mnie złych mężczyzn.

Zaczynałam się już zastanawiać, czy ten wieczór kiedykolwiek się skończy, kiedy wreszcie steward oznajmił, że zaraz zostanie podana kolacja.

Rozdział 34

Daisy

Długi stół w owalnej jadalni wyglądał przepięknie. Srebrne wazony z błękitnozielonymi hortensjami ustawiono wzdłuż środka stołu, kinkiety na ścianach rozsiewały idealne, różowawe światło i wszędzie było pełno świec. Stewardzi już czekali, by nas obsłużyć. Szampan i wina chłodziły się w kryształowych wiaderkach.

Do jadalni weszli Rosalia, Hector i Magdalena, a zaraz za nimi Reg Blunt. Brakowało tylko Diane i Davisa Farrella.

Montana rozplanował miejsca dla gości, więc wszyscy zaczęli się kłębic wokół stołu, spoglądając na kartoniki z nazwiskami, by sprawdzić, kto siedzi obok nich. Montana i ja siedzieliśmy u szczytu stołu, a Diane i Reg na drugim końcu. Obok Montany usiadła Rosalia, a dalej było miejsce Charliego Clementa, Ginny i puste krzesło nieobecnego Davisa. Za nim siedzieli Filomena i Brandon. Po lewej od Rega usiadła Texas, a dalej Dopplemann, Bordelaise, Magdalena i Hector. Szkoda, że brakowało nam jednego mężczyzny i musieliśmy posadzić dwie kobiety obok siebie i że biedna Bordelaise wylosowała Dopplemanna.

Dianę przysła wreszcie i przystanęła, upozowana w drzwiach, na tyle długo, byśmy wszyscy ją zauważyli - wdowę w żałobnym czarnym szyfonie. Włosy miała zaczesane do góry, jej gładką szyję otaczał cienki sznurek bardzo błyszczących brylantów, a w uszach miała kolczyki do kompletu. Musiałam przyznać, że wyglądała uroczo na swój zimny sposób. Twarz ściągnęła jej się jednak, kiedy okazało się, że siedzi obok Rega, który zajął się już opróżnianiem butelki piwa Kronenbourg.

- Myślałem, że to ja się zjawię ostatni - powitał ją jowialnie Reg, wstając z krzesła. - Mam trochę zwolnione obroty po podróży samolotem. Niewiele w życiu latałem, wie pani, i żaden ze mnie podróżnik. A już na pewno nie podróżowałem w takim stylu. Ten jacht jest wspaniały, nieprawdaż? - Uśmiechnął się do nas. - Lady Hardwick dotrzyma mi towarzysztwa, prawda, kochana? - Przyjaźnie trącił ją łokciem. - Trochę się już znamy, wiecie. Bob przywoził ją do Sneadley, kiedy jeszcze byli narzeczeństwem. A to było już kawałek czasu temu, co nie, dziewczyno? Sporo wody przepłynęło pod tym starym mostem, można powiedzieć.

Diane skrzywiła się i ignorowała go dalej.

Kelnerzy rozłożyli nam serwetki na kolanach i nalali różowego szampana. Podano *amuses bouches*, jak nazywał je Bob. Wciąż jeszcze nie dołączył do nas Davis Farrell. Zastanawiałam się z niepokojem, czy nie postanowił jednak wysiąść i wrócić jutro do domu.

Filomenie go nie brakowało. Przylepiła się do Brandona van Zeldera, zalewając go potokiem brzmiącej z włoska angielszczyzny, tak cichej, że musiał pochylić ku niej głowę, co oczywiście było jej celem.

Ginny nie wyglądała na szczęśliwą. Ostentacyjnie odwróciła się od Charliego i tęsknie spoglądała na puste krzesło Davisa. Nie miała z kim pogadać, a uwierzcie mi, Ginny uwielbiała gadać. Siedząca obok Dopplemanna Bordelaise przewróciła oczami, patrząc na mnie rozpaczliwie.

Hector zapytał siedzącego naprzeciwko Charliego, jak zarabia na życie, co odniosło skutek w postaci lekceważącego spojrzenia i burkliwej odpowiedzi, że pracuje w przemyśle rozrywkowym. Napięcie powodowało niemal iskrzenie w powietrzu. Zastanawiałam się niespokojnie, jak przetrwamy następne pięć dni.

Davis Farrell zjawił się w końcu razem z pierwszym daniem. Trochę się ogarnął do kolacji. Założył porządną marynarkę i drogą koszulę, i mimo kuczka nagle zaczął wyglądać jak bogaty biznesmen z Wall Street. Przeprosił i wyjaśnił, że miał pilny telefon z Nowego Jorku i musiał załatwić tę sprawę od razu.

- Nie przywykli do mojej nieobecności - dodał.
 - Kto taki? - zapytała Ginny, kiedy zajął miejsce obok niej. Była zaskoczona, kiedy opowiedział jej o młodych imigrantach, swoich klientach. - Zabawne, myślałam, że wszyscy tutaj będą bogaci i ważni — powiedziała.
 - Skąd pani wie, że ja nie jestem?
- Obejrzała go sobie z góry na dół.

- Marynarka jest w porządku. Tylko ta broda i kucyk robią nieodpowiednie wrażenie.

Davis się roześmiał. Zapytał, skąd pochodzi Ginny. Zaczęli rozmawiać o Sneadley i Baraniej Głowie. Bordelaise starała się, jak umiała, nawiązać rozmowę z Dopplemannem.

- Jak panu minął lot, herr Dopplemann? - usłyszałam jej pytanie.

Spojrzał na nią z ukosa i światło zagrało dziwnie w jego grubych okularach.

- Przyleciałem tu bez problemu, mimo ogromnych środków ostrożności, jakie teraz wprowadzono - odparł.

Bordelaise wzięła głęboki oddech. Ciężko to szło.

Nagle, ni z tego, ni z owego, Dopplemann oznajmił:

- Podobają mi się pani włosy, Fraulein Maguiere. Są bardzo blond, bar dzo. .. — zdawał się szukać odpowiedniego słowa — bardzo urocze.

Przyjmując ten niezgrabny komplement, Bordelaise obdarzyła go swoim najbardziej promiennym uśmiechem i poprosiła, by mówił jej po imieniu.

Rosalia wyjaśniała Charliemu Clementowi swoje problemy ze słuchem, wyrażając nadzieję, że jej wybaczy, jeśli nie od razu zrozumie, co do niej mówi. Mówiła niepewną angielszczyzną i Charlie wyglądał na zniecierpliwionego, ale odnosiło się wrażenie, że tę niecierpliwość uczynił częścią swojej osobowości, sposobem, by ustawić innych w pozycji defensywnej i zmusić ich, aby mówili szybciej. Z Rosalią mu się to nie udało. Zapytała go, co myśli o jachtach, a potem zaczęła się rozwodzić nad tym, jakie to było miłe ze strony Roberto Hardwicka, że zafundował swoim starym przyjaciółom taki wspaniały rejs. Charlie pochrząkał trochę i odparł mętnie, że chyba tak. I na tym skończyła się ich rozmowa.

Unosząc ze zdziwieniem brwi, Rosalia uśmiechnęła się przez stół do Hectora i zapytała go po hiszpańsku, jak się miewa. Hector przyglądał swoje zbyt długie włosy, błyszczące jak wyglancowane wojskowe buty, musnął się po wąsach i oznajmił wyniośle, że ma się dobrze.

Ewidentnie nadeszła moja kolej, by coś powiedzieć.

- Panie Hectorze, tyle słyszałam o La Finca de los Pastores, podobno jest bardzo piękna. Na pewno wspaniale się tam mieszka.

Hector skłonił z gracją głowę.

- W rzeczy samej, senorita. Nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej.

- Och, proszę mi mówić Daisy - zaproponowałam i zaczęłam go wypytywać o hotel.

Podano kolację; po sałatce z homarów dostaliśmy wołowinę Wellington. Zamówiliśmy smaczne, tradycyjne potrawy, jakie podobałyby się Bobowi. Nalano wina, a mimo to konwersacja kulała i napięcie rosło. Były sery, sałatki i pół tuzina deserów, do których podano specjalnego szampana, Cuvee Winston Churchill Pola Rogera.

Montana prawie się do mnie nie odezwał przez cały wieczór. Teraz szepnął mi, że pora na toast. Dzwoniąc widelcem o kieliszek, poprosił o uwagę.

- Daisy ma wam wszystkim coś do powiedzenia.

Spojrzał na mnie wyczekująco, kiedy wstawałam z krzesła. Już wcześniej ułożyłam sobie małą przemowę. Odchrząknęłam nerwowo, rozglądając się po twarzach gości.

- Przede wszystkim chciałabym wszystkim państwa powitać w imieniu Boba. Wiecie już, że wybrał właśnie was i że chciał, abyście wszyscy znaleźli się tu, by oddać hołd jego pamięci. „Chcę, żeby wszyscy świetnie się bawili”, dosłownie tak się wyraził. Ale jest jeszcze jedna sprawa, którą powinniście przemyśleć. Bob wierzył, że kiedy znajdziecie się tu razem, być może oceni cie na nowo, jaki wpływ miał na wasze życie. „Jeśli to zrobią”, powiedział, „mogą zaskoczyć samych siebie”.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Twarz Charliego nie wyrażała nic, na ustach Davisa igrał krzywy, ironiczny uśmiešek. Dianę wyglądała na wściekłą, Filomena na zdziwioną. Dopplemann, ignorując szampana, w dalszym ciągu popijał swoje bordeaux, wpatrując się we wnętrze kieliszka, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź. Tylko Rosalia, której Montana przetłumaczył, co powiedziałam, zdobyła się na komentarz.

- Roberto zawsze był mądrym człowiekiem - powiedziała cicho.

- Owszem - zgodziłam się. - A teraz wnieśmy za niego toast ulubionym szampanem Winstona Churchilla, który właśnie z tego powodu nosi jego imię. Churchill był też bohaterem Boba, „prawdziwym człowiekiem pośród ludzi”, „Iwim sercem”, jak Bob go nazywał. Chciał być taki jak on, i pod wieloma względami, a mówię tu o odwadze, uczciwości i sile, taki był. - Uniosłam kieliszek. - Wypijmy więc za sir Roberta Waldo Hardwicka, mądrego człowieka i naszego dobrego przyjaciela.

- Dobrze mówi. - Reg pierwszy uniósł kieliszek. Reszta poszła w jego ślady.

- Za Boba - rozległy się ponure pomruki.

Twarz Diane zamieniła się w kamienną maskę. Była żona Boba piorunowała wzrokiem Filomenę.

- Ta Włoszka nie powinna tu być. To zwykła dziwka.

- *Dio mio*. - Filomena zerwała się z krzesła. - Jak śmiesz mnie tak nazywać! Bob cię zostawił, bo byłaś suką, i teraz widzę, że to prawda. Sam mi powiedział, że nie zasługiwałaś na jego nazwisko. To mnie kochał, nie ciebie... to ja go uszczęśliwiłam.

Zapanowała niezręczna cisza. Przemykając między nami, stewardzi zaczęli zbierać naczynia.

- Zobaczmy, jak cię kochał, kiedy zostanie odczytany testament - wyszczała Dianę. - Wtedy się dowiesz, gdzie kończą być kochanki. W śmietniku. Nie zapominaj, że byłam jego żoną...

- Proszę was, Dianę, Filomeno - wtrąciłam się pospiesznie - to miała być kulturalna kolacja. Bob chciał, żebyśmy wszyscy dobrze się bawili.

- A skoro już jesteśmy przy testamencie, to czy mogę zapytać, dlaczego właściwie tu jesteśmy? - powiedział Charlie, wciąż popijający Jacka Daniela. - Nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas mógłby się nazwać przyjacielem Boba. - Wskazał Dopplemanna. - Mój Boże, ten człowiek wygląda jak robotnik rolny. Nikt o nim nie słyszał od lat. Dlaczego, na litość boską, Bob go zaprosił?

Gapił się na Dopplemanna jak na insekta pod lupą.

- No dalej, Herr Dopplemann, proszę nam opowiedzieć, jak pan poznał wspaniałego sir Roberta Hardwicka. Jak to naprawdę było, co?

- Przestań, Clement - warknął Montana. Dopplemann ugiął się pod ciosa mi Charliego, skulił nad kieliszkiem wina z pochyloną głową. Po chwili wy mamrotał coś, wstał i wyszedł.

Montana ruszył za nim. Złapał go za ramię, ale Dopplemann strząsnął jego rękę i poszedł dalej. Montana patrzył za nim przez chwilę z troską, w końcu wrócił do stołu.

- Myślę, że chyba mamy dość na dzisiaj - powiedział zimno. - Dianę, zo stała pani zaproszona, bo była pani żoną Boba. Nie wiem co i czy w ogóle co kolwiek zapisał pani w testamencie, ale proszę, żeby zachowywała się pani poprawnie przez pamięć dla niego. Co do pana, Clement, jeśli nie chce pan brać udziału w tej podróży, może pan jutro wyjechać. Będziemy w Saint-Tropez około siódmej, wybór należy do pana. Ale ostrzegam, jeszcze jeden taki obraźliwy wyskok, a sam pana stąd usunę. Czy jasno się wyraziłem?

- A kim pan jest, do diabła, żeby mówić, co mi wolno, a czego nie? - Charlie odsunął krzesło od stołu i poszedł w ślady Dopplemanna. - Pieprzę was wszystkich - usłyszelśmy, kiedy wychodził.

Spojrzałam na osłupiałych gości. Po chwili Dianę wstała i opuściła nas bez słowa. Filomena odprowadziła ją wzrokiem.

- To prawda, że byłam kochanką Boba - powiedziała - ale kochaliśmy się, naprawdę się kochaliśmy. I zasmuciła mnie jego śmierć. - Zwróciła żalosne spojrzenie na Brandona. - Jak Dianę mogła powiedzieć coś tak paskudnego? - Wielkie łzy popłynęły po jej policzkach, Brandon wyciągnął jedwabną chusteczkę z kieszonki marynarki i zaczął je wycierać.

- Już dobrze. Nic się nie stało - powiedział pocieszająco.

Przeżona spojrzałam Montanie w oczy.

- Chyba powinniśmy uznać ten dzień za zakończony - powiedział. - Mam nadzieję, że jutrzejszy będzie lepszy.

- Jezu - szepnęła Bordelaise. - Idę do baru! I mam szczerą nadzieję, że nie będzie tam Dianę ani Charliego.

- Martwię się o Dopplemanna - rzucił Montana, kiedy wszyscy wyszli. - Lepiej pójdę go poszukać. Spotkamy się później w barze.

- Biedny Dopplemann - powiedziała Bordelaise, kiedy usiadłyśmy z wie czornym kieliszkiem szampana. - Ten Charlie to prawdziwy drań, wiedziałam to od chwili, kiedy go zobaczyłam. Tacy faceci jak on przeważnie mają coś do ukrycia, wierz mi.

Kilku młodych oficerów zjawilo się w barze, by towarzyszyć gościom i Bordelaise była w swoim żywiole. Melvyn grał *Smoke Gets in Your Eyes*, a Texas wtórowała mu niskim, seksownym głosem, który urzekł wszystkich. Nawet Filomena, której łzy już obeschły, uśmiechała się dzielnie, siedząc bardzo blisko Brandona.

Piętnaście minut później zjawił się Montana.

- Nigdzie nie ma śladu po Dopplemannie - powiedział z niepokojem. - Po prosiłem stewarda, żeby sprawdził kabinę, ale nie ma go tam. Przeszukałem też pokłady, i nic. Mam nadzieję, że nie zrobił jakiegoś głupstwa przez Clementa.

Bordelaise i ja spojrzaliśmy na niego przerażone, kiedy zrozumialiśmy, co ma na myśli.

- Z takim człowiekiem nigdy nic nie wiadomo - stwierdził Montana. - Jest zdolny do wszystkiego. Będę musiał zawiadomić kapitana Andersa. - Przy wołał jednego z młodych oficerów i wyszli razem. Kilka minut później jacht zaczął zwalniać, po czym zatoczył półkole i powoli ruszył w przeciwnym kierunku.

- Boże - jęknęłam. - On naprawdę myśli, że Dopplemann mógł wyskończyć.

Zapadła cisza. Przez chwilę wszyscy siedzieliśmy osłupiali i nagle wybiegliśmy na pokład. Przewieszając się przez reling, zaczęliśmy przeszukiwać wzrokiem czarnogranatowe morze, oświetlane potężnym szperaczem. Furta na dolnym pokładzie uniosła się hydraulicznie, spuszczone na wodę łódki i oficerowie rozpoczęli poszukiwania.

^ Och — jęknęła Filomena. — To wina tego okropnego człowieka... ale ten mały Dopplemann jest taki dziwaczny.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam, usiłując zachować pozytywny ton głosu, choć cały czas rozglądałam się za ciałem w wodzie.

- Nie bądź taka pewna - odparła Bordelaise. - Taki człowiek, publicznie upokorzony...

Reszta załogi przeczesywała każdy pokład, przeszukiwała każde pomieszczenie. Barman powiedział nam, że Dopplemann zamówił kolejną butelkę haut-brion i myślał, że gość zabierze ją do swojego pokoju. Montana stwierdził, że w takim razie nie sądzi, by Dopplemann się zabił, skoro miał do wypicia całą butelkę dobrego wina.

Światła szperaczy tańczyły na wodzie, nadając jej kolor ślicznego, mlecznego błękitu. Kiedy patrzyłam na fale, pomyślałam sobie, że dla mordercy to chyba nie najgorszy sposób odejścia z tego świata.

Wszyscy z wyjątkiem Charliego i Dianę byli na pokładzie i wyglądali przez reling. Wiatr oblepiał wieczorowe sukienki na ciałach kobiet. W półświecie, z rozwianymi włosami i uniesionymi twarzami wyglądały niczym piękny, rzeźbiony fryz. Reg, Davis, Brandon i Hector też obserwowali wodę i czekali.

- Obrażliwe słowa nie wystarczą, by posłać człowieka na śmierć - stwierdził Reg. - Clement był wkurzony jak wszyscy diabli, a wszyscy wiedzą, że w takim stanie ludzie mówią rzeczy, których nie powinni mówić.

Hector chodził po pokładzie w tę i z powrotem, a Texas, Filomena i Bordelaise stały zbite w milczącą grupkę.

Montana

Montana wrócił na pokład ładunkowy. Światła lamp połyskiwały na gigantycznych stalowych zbiornikach na paliwo, a pulsowanie silników jachtu wprawiało jednostkę w ledwie wyczuwalne drżenie. Przez hałas maszyn Mon-

tana usłyszał inny dźwięk - zgrzytanie podobne do odgłosu piłki do metalu. Schylając się pod zbiornikami, podążył za dźwiękiem do jego źródła.

Dopplemann leżał rozciągnięty na plecach, ściskając w dłoni pustą butelkę po winie. Był nieprzytomny i chrapał.

Montana poinformował kapitana Andersa, wezwał oficera medycznego i wrócił na pokład zawiadomić resztę pasażerów.

Panika minęła, ale strach pozostał. Goście powoli rozeszli się do kajut, czując ulgę, że nie mają na pokładzie nieboszczyka i że rejs nie zostanie przerwany, a testament - zgodnie z planem - będzie odczytany na Capri.

Część 5

Kocha - nie kocha

*Wszelka miłość, wszelka sympatia, wszelka radość zatonęły wraz z nami
w głębinach bezkresnej nocy.*

Robert Merrick

Rozdział 35

Daisy

Teraz, kiedy zostaliśmy sami, Montana spojrzał na mnie. Mój umysł był zupełnie pusty. Trzymałam się relingu ciągle jeszcze roztrzęsiona. Bryza bawiła się moimi włosami, kiedy patrzyłam na kremowy łuk kilwatu i małe fosforyzujące rybki, które wyskakiwały z wody. Wdychałam zapach morza i aromat sosu docierający z brzegu, wzdłuż którego płynęliśmy w drodze do Saint-Tropez. Pierwszy raz nie miałam nic do powiedzenia.

- Dobrze się nim opiekują- powiedział łagodnie Montana. - Przeżyje.
- Prawie tego żałuję - odparłam z goryczą. - To by było najprostsze wyjście. Moglibyśmy wszyscy po prostu wrócić do domu.
- Jesteś uprzedzona. Dopplemann został upokorzony na oczach nas wszystkich, więc się schował i upił. Ten człowiek tak długo żył sam, że pewnie nie przyszło mu do głowy, że ktokolwiek będzie go szukać.

Wciąż nie chciałam wybaczyć Dopplemannowi tego, na co nas naraził.
- Jak on spojrzy jutro wszystkim w oczy? Wiedząc, że my wszyscy wiemy?

- Jakoś to przełknie i ty też. No już, Daisy, daj temu spokój.

Zdjął moją dłoń z poręczy i przycisnął do ust. Jak za dotknięciem magicznej różdżki Dopplemann zniknął z moich myśli. Nie czułam się tak od czasów, kiedy byłam nastolatką, a już z pewnością nie z moim byłym mężem. Może nieudany seks z nim to była moja wina, aleja i tak uważałam, że to przez niego.

Mimo tego, że pozował na lowelasa, mój mąż nie był dobrym kochankiem. A teraz zastanawiałam się, czy Montana nim jest. To były złe myśli, wiem, ale czasami umysł wymyka się spod kontroli, a zresztą to biło na głowę rozważania na temat Dopplemanna.

Montana puścił moją rękę i zapatrzył się na morze. Byłam ciekawa, o czym myśli. Wyglądał na twardziela ze swoim jastrzębim profilem, ogoloną głową i muskularnym, smukłym ciałem; na człowieka, który zawsze stara się być w najlepszej formie, gotowy na każde niebezpieczeństwo, jakie może się zrazić za rogiem. Więc dlaczego - zadawałam sobie pytanie - tak mi się podoba? Czy chodziło o ten powiew niebezpieczeństwa, który mu towarzyszył, o to twarde, rzeźbione ciało i o to, jak wyglądał w szlafroku wtedy, kiedy przy

szedł do mojego pokoju w Sneadley z herbatą i ciastkami - taki seksowny i rozluźniony? Słyszając moje westchnienie, odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Jesteś tu jeszcze? - zapytał z błyskiem rozbawienia w seksownych, jak diabli, grafitowych oczach.

- Pensa za twoje myśli? - powiedziałam.

- Są warte więcej niż pensa.

- No to ćwierć dolara.

- Więcej.

- Pięćdziesiąt dolców.

Wyciągnął rękę.

- Zgoda. Płać.

- Najpierw musisz mi powiedzieć.

Pokręcił głową.

- To tak nie działa. Musisz zapłacić za towar, zanim go weźmiesz do domu.

Znów westchnęłam, zdesperowana.

- Jesteś irytującym facetem, wiesz o tym?

- Zabawne, zwykle to ja myślę o tobie, że jesteś irytująca.

Nagle poczułam znużenie. Oparłam się bezwładnie o reling. Dotknął mojego policzka i odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Pogładził mnie po kości policzkowej, a potem jego palce powędrowały w dół, do ust, i obwiodły ich kontur. Ujął mój podbródek i uniósł twarz do góry, ku swojej. Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, aż w końcu przymknęłam powieki, kiedy jego usta zamknęły się na moich wargach. To był pocałunek z rodzaju tych, które mogłyby się nigdy nie kończyć i kiedy Montana w końcu się odsunął, dokładnie to mu powiedziałam.

- Nie chcę przestawać - szepnęłam bez tchu. - Od dawna pragnęłam, żebyś mnie tak pocałował.

Znów pogłaskał mnie po twarzy, patrząc mi w oczy. Nasze drżące oddechy mieszały się ze sobą. Kiedy przesunął dłonie na mój kark, dreszcze przemknęły przez moje spragnione ciało.

- Co teraz? - zamruczałam, poruszając szyją pod jego dłońmi jak kotka. - Chcesz iść do mnie? Usłyszałam jego tłumiony śmiech.

- Och, Daisy, być może jesteś jedyną naprawdę szczerą kobietą, jaką po znałem. Zawsze mówisz dokładnie to, co czujesz?

Skinęłam głową.

- I za każdym razem pakuję się przez to w kłopoty. - Zmierzyłam go od stóp do głów pożądlivym spojrzeniem. - Teraz też mam na to nadzieję.

Odsunął się. Wziął mnie za rękę i poprowadził po opustoszałym pokładzie.

- Lepiej odprowadzę cię do kajuty - powiedział, sprawiając mi ogromny zawód.

Milcząc, staliśmy w windzie, a potem, ramię w ramię, ale nie trzymając się już za ręce, poszliśmy korytarzem do mojego apartamentu.

Przed drzwiami odwróciłam się twarzą do niego. Czułam bliskość każdego centymetra jego ciała, każdy mój nerw był pobudzony i niecierpliw.

- Daisy. - Uniósł palcem moją twarz. - Jesteś tego pewna?

Uśmiechnęłam się, rozpląnąłam z radości.

- Chodź, pokażę ci, jaka jestem pewna - powiedziałam i, otworzywszy drzwi, wprowadziłam go za rękę do środka.

Czy wydawało mi się, że potrafię ukraść jego siłę, że mogę dzięki niemu stać się niezwyciężona? A może byłam ciekawa jego ciała i wszystkich sekretów z jego życia, które miał jeszcze przede mną? Na przykład co znaczy ten tatuaż na jego prawym przedramieniu? I co oznacza C przy jego nazwisku. I kim tak naprawdę jest, bo przecież nie wiedziałam prawie nic o tym mężczyźnie, z wyjątkiem paru słów o samotnym dzieciństwie, tego że pracował kiedyś w jadłodajni w Galveston i że był „kimś w rodzaju przyjaciela” Boba Hardwicka.

Montana był dla mnie tajemnicą na sto sposobów. A teraz miałam przynajmniej odkryć sekret jego ciała i tego, jak się kochał. Czy będzie tak, jak sobie wyobrażałam? Czy wpadnę w jego ramiona, wiotka i słaba jak oszalała z miłości dziewczę, i drżąca będąc czekać na jego dotyk? O nie. Nie traciłam czasu. Bezwstydną w swoim pożądaniu w pół sekundy rozpięłam sukienkę, a w kolejnej sekundzie on już pomagał mi ją zdejmować.

- Daisy, Daisy... słodka, doskonała Daisy - powiedział, podziwiając moje piersi sterczące do góry, spragnione jego dotyku. Nagle, jak rycerz w lśniącej zbroi, wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

Spychając na bok wieczorne czekoladki, położyłam się na poduszkach i patrzyłam, jak się rozbiera. W końcu stanął przede mną tak piękny, jak tylko piękny może być mężczyzna. Zaprosiłam go bliżej, siadając, kiedy podszedł do mnie i wziął mnie w ramiona. Przyłgnęłam nagim ciałem do jego nagości, płonąć z pożądania, poddając się drobnym, czułym pieszczotom jego ust, przyciskając się pod jego dłońmi, oddając pocałunki, jakbym już nigdy nie miała wypuścić go z objęć.

- Dotykaj mnie - szeptałam, pijana od wędrówki jego palców po mojej skórze. - Dotykaj mnie - wymruczałam znów... i znów... kiedy pieściły mnie jego usta... - Ach, Montana, Montana...

- Nie sądzisz, że przynajmniej teraz mogłabyś mówić do mnie Harry?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

- Och tak. No tak. Harry. Zrób mi tak jeszcze... Harry...

Długo, długo później, z nogami wciąż oplecionymi wokół niego, z rękami rozrzuconymi na łóżku, leżałam jak wypalony fajerwerk, który wystrzelił w niebo wszystkie migoczące gwiazdy i cekiny.

Pogładziłam tajemniczy tatuaż.

- Co to znaczy? - zapytałam.

- To tybetańskie powiedzenie: „Miłość i dobroć”. Ja i jeszcze dwóch kolegów z Delta Force kazaliśmy sobie to zrobić. To były najlepsze chłopaki, ja kich spotkałem w życiu. Obaj zginęli w Afganistanie. - Umilkł zamyślony. - Brak mi ich - dodał po chwili.

Wyplątał się ze mnie i położył na plecach. Z zamkniętymi oczami powiedział:

- Czas, który z nimi spędziłem, to były najlepsze chwile w moim życiu. Byli jak bracia których nigdy nie miałem.

Twardziel pokazywał swoje miękkie podbrzusze. Nagle zrobił się taki bezbronny, taki ludzki. Delikatnie pogłaskałam tatuaż palcem, żałując, że zapytałam.

- Przykro mi.

Spojrzał na mnie i widząc współczucie w moich oczach powiedział:

- Drugim wspaniałym wydarzeniem w moim życiu było poznanie człowieka, którego nazywałem ojcem. Nie był moim prawdziwym ojcem, oczywiście. Z rodzonym ojcem ani przez chwilę nie czułem się naprawdę związany, od moich narodzin do dnia, kiedy umarł. Ale tamten człowiek uratował mi życie. Wy-

chował mnie, bo zanim go poznałem, byłem tylko jeszcze jednym twardogłowym dzieciakiem na prostej drodze do tego, by wpakować się w kłopoty. Nazywał się Phineas Cloudwalker i był Komanczem. Miał wtedy sześćdziesiąt siedem lat, był chudy jak szczapa i twardy jak żelazo. Zabrał mnie na polnej drodze na teksaskim zadupiu do swojego forda pickupa, tak starego, że wyglądała, jak odziedziczony po dziadku. Łapałem okazję pewnej nocy. Było ciemno i zimno, nikt, kto miał dach nad głową, nie plątałby się po dworze. Lało jak z cebra i byłem przemoczony. Cloudwalker miał chorego psa i właśnie wracał od weterynarza. Płakał, opowiadając mi, jak musieli go uspić, a ja, pamiętam jak dziś, byłem zdziwiony, że dorosły mężczyzna może mieć w sobie tyle odwagi, by płakać. Nigdy przedtem nie widziałem, by ktokolwiek okazywał emocje.

Montana zamilkł, a ja wstrzymałam oddech, czekając, co będzie dalej. Niemal słyszałam, jak skorupa, którą wyhodowałam wokół swojego serca po odejściu męża, pęka z trzaskiem. Montana, ten twardziel, otworzył się przede mną, pokazał mi swoje najgłębsze uczucia, swój smutek po tragicznej stracie towarzyszy i swojego prawdziwego ojca. Pomyślałam, że ten Cloudwalker mógł znaczyć dla niego tyle samo, ile znaczył dla mnie Bob. Był jego ocaleciem. Cloudwalker i Bob, obaj przyjęli nas, połamanych i pokrzywionych, naprawili i posklejali w całość - w żywe, oddychające, czujące ludzkie istoty.

- A teraz jesteś ty - powiedział cicho Montana. - Kobieta, którą mężczyzna pragnie kochać.

Nie śmiałam o to zapytać. „Kochasz mnie?” Za wcześniej było mówić o miłości. W końcu między nami była tylko fizyczna więź. Zapytałam więc tylko:

- A ty rozpląkałbyś się przy mnie, Harry?

- Płakałem na pogrzebie Boba. - Zaskoczył mnie. - Straciłem przyjaciela, wspaniałego człowieka.

- Ja też płakałam - przyznałam. - Od tamtej pory płakałam tyle, że sama nie wiem, skąd się biorą te wszystkie łzy.

Określił sobie kosmyk moich włosów wokół palca.

- Daisy?

- Tak?

- Nie chcę, żebyś się bała.

Co miał na myśli? Czy powinnam się bać, że się w nim zakocham? Czy tego, co może zrobić Dopplemann?

- Ale ja się nie boję, naprawdę nie - powiedziałam o wiele pewniej, niż się faktycznie czułam.

- Grzeczna dziewczynka. - Oplótł mnie ramionami i przyciągnął do siebie. - Jesteś bardzo piękna, wiesz?

- Cóż, ostatnio niezbyt często to słyszałam - odparłam.
- Więc słuchaj mnie teraz. Rób notatki. Wryj to sobie w mózgu. Jesteś piękna. Chcę, żebyś to sobie powtarzała trzydzieści razy dziennie. Obiecujesz?

Roześmiałam się.

- Spróbuję.

Odsunął mnie od siebie, wstał i wyjął butelkę szampana z wiaderka z lodem. Otworzywszy ją, napełnił dwa kieliszki.

- Wypijmy za nas - powiedział z uśmiechem, podając mi kieliszek. Wypiliśmy więc, a potem zjedliśmy wszystkie wieczorne czekoladki, nagle głodni jak wilki.

- Tu jest całodobowy room-service - przypomniał mi.

- Ale co oni sobie pomyślą, kiedy cię zobaczą w moim pokoju? - zapytałam przestraszona.

Pokręcił ze śmiechem głową.

- Chodź tu, ty niemądra, cnotliwa, pruderyjna kobietko. - Podciągnął mnie na swoje kolana. Zapominając o szampanie i room-servisie, znów zaczęłam go całować.

Część 6

Dzień drugi, Saint-Tropez

Życie to obcy język - wszyscy ludzie źle go wymawiają.

Christopher Morley

Rozdział 36

Daisy

Spałam jak anioł, wpasowana w ciało Montany, jak Pan Bóg przykazał. Następnego ranka - półprzytomnie uświadamiając sobie, że za zasłonami jest już dzień - wynurzyłam się nareszcie spod warstw szczęśliwego snu, otworzyłam oczy i się rozejrzałam. Nie było go. Zaczęłam szukać listu, zajrzałam do salonu i do łazienki. Pusto. Osłupiała rozglądałam się wokół. Montana mnie zostawił i nawet się nie pożegnał.

Może to i głupie, ale ból odrzucenia dopadł mnie znowu - ten sam koszmarny ból, który czułam, kiedy odszedł mąż. Te pęknięcia w skorupie wokół stwardniałego serca, które pojawiły się wczoraj, gdy Montana pokazał mi swoje drugie oblicze, zasklepiły się na nowo jak posmarowane superglue. Powiedziałam sobie, że jestem idiotką, a faceci to faceci, chodzi im tylko o seks i nic poza tym. Ale czy to nie ja uwiodłam jego? Przecież zapytał, czy wiem, co robię, a ja bez troski odparłam: „wiem”. I dostałam to, o co prosiłam. Ni mniej, ni więcej. Ale to się już nie powtórzy. Ta historia skończyła się, zanim się jeszcze zaczęła.

Powoli dotarło do mnie, że za wielkim panoramicznym oknem widać magiczny, mały port Saint-Tropez. Widziałam okryte sosnami wzgórza Ramatuelle, łagodnymi krzywiznami zarysowane na czystym błękitnym niebie. Słyszałam krzyki mew, a kiedy otworzyłam okno, dotarł do mnie zapach kwiatów i morza. Potrzebowałam plaży. Chciałam wykapać w słonecznym cieple obojętne od miłości ciało i ostudzić swój ból w tym chłodnym błękitnym morzu.

Pragnęłam z bliska chłonąć odświeżający zapach kwiatów. Miałam ochotę na różowe wino, świeżo złowioną rybę i te maleńkie poziomki, *zwane fraises des bois*. I oczywiście nie potrzebowałam Harry'ego Montany.

Pod prysznicem pozwoliłam, by woda spływała po mnie, zmywając wszelkie ślady miłości. Sterylnie czysta wyszłam z łazienki, owinięta w miękkie frotowy szlafrok, w chwili, kiedy moja stewardesa, Camille, przysłała ze śniadaniem. Nalałam sobie filiżankę kawy i odgryzłam kęs maślanego, łuszczonego się croissanta, upieczonego tak, jak potrafią to tylko Francuzi. W końcu zadzwoniłam do kajuty Bordelaise.

- Co tam? - odebrała.
- Śpisz?
- Teraz już nie.
- Odsłoń okno i wyjrzyj na dwór.

Usłyszałam, jak burczy, wylaząc z łóżka, a potem odgłos rozsuwanych zasłon. I nagle:

- Ooooch! Popatrz tylko na to!
- Obudziłaś się? - zapytałam z uśmiechem.
- Jeszcze jak. Co zaplanowałaś?
- Plażę. Pływanie. Lunch. Picie wina. Patrzanie na ludzi. Może potem drobne zakupy...

- Daj mi pół godzinki i jestem do twojej dyspozycji. Och, czekaj no, a co z podejrzanymi? Pozwolisz im tak po prostu pójść, gdzie chcą?

- A co, chcesz pływać z Dopplemannem? Albo z Charliem Clementem? - Usłyszałam jej jęk. - Oczywiście nie chcesz i ja też nie. Więc do diabła z tym, Bordelaise, niech Montana się z nimi użera.

- Hm. - Niemal słyszałam zgrzyt trybików w jej mózgu. - Tak właściwie to w jakim punkcie stanęłaś z Montaną? Wczoraj wyglądało mi na to, że jesteście na dość poufalej stopie, i nie próbuj mi mówić, że się mylę. Potrafię wy czuć nosem początek romansu z pięćdziesięciu kroków.

- No więc, tym razem się mylisz. Z tym już koniec.
- Koniec? Myślałam, że mi powiesz, że właśnie się zaczęło?

Westchnęłam i streściłam jej wydarzenia ostatnich kilku godzin. Na końcu dodałam:

- Więc jeśli facet zabiera się i wychodzi bez słowa pożegnania, nawet bez liściku czy telefonu, co kobieta ma sobie myśleć?
- Najgorsze - zgodziła się Bordelaise.

Wzdychając, założyłam turkusowe bikini i zwiewną niebieską tunikę - część zakupów dokonanych u Harveya Nicholasa w Londynie. Zadzwoniłam do

Patrice'a de Colomonta, właściciela Le Club 55, zarezerwowałam stolik na lunch na drugą po południu, złapałam słomianą torebkę i poszłam załomotać do drzwi Bordelaise. Otworzyła natychmiast, rozpromieniona.

- Szybko, zwiewamy, zanim znajdzie nas Dopplemann - powiedziała głośnym szeptem. Popędziłyśmy korytarzem, chichocząc jak niegrzeczne dzieci, i truchtem zbiegłyśmy po trapie na nabrzeże.

Pospacerowałyśmy w słońcu, oglądając stragany, na których sprzedawano biżuterię, paski, koszulki, apaszki, okulary przeciwsłoneczne i pamiątki. Złapanie taksówki nie jest łatwe w małym, zatłoczonym Saint-Tropez. Zawsze wydaje się, że w ogóle jest tylko jedna albo dwie, ale ja wiedziałam, gdzie zadzwonić i stanęłyśmy przy wejściu do portu, by poczekać na auto.

Taksówkarz był uroczy, miał na imię Paul. Zagadywał nas po francusku, kiedy przeciskaliśmy się przez wąskie uliczki piętnastowiecznego starego miasta na główną ulicę. Paul skręcił przy znaku z napisem PLAGES, minął niekończące się winnice, źródło przepysznego miejscowego *rosé*, skręcił jeszcze raz przy znaku PAMPELONNE, i dojechał do samego końca drogi, nareszcie dowożąc nas na przepiękną plażę. Powiedział nam, byśmy po niego zadzwoniły, kiedy będziemy chciały wracać, i odjechał, zostawiając nas na parkingu między bentleyami i ferrari.

Mimo swojej klienteli, Le Club 55 to prosty lokal. Wchodzi się doń po molo ocienionym wysokimi bambusami. Prowadzi ono na taras, na którym mieści się restauracja na wolnym powietrzu i popularny bar. Plecione trzcinowe meble, płócienne markizy rozpięte jak żagle nad głową, i wszędzie pełno bugenwili, oleandrów i tamaryszków. A na wprost rozciąga się złota, upstrzona parasolami plaża, morze i całe tłumy ludzi.

Stoliki w ocienionej części restauracyjnej nakryte są bładoniebieskimi obrusami, ozdobione świeżymi kwiatami, a bryza od plaży niesie ze sobą warkot motorówek należących do wspaniałych jachtów zacumowanych na redzie. W motorówkach siedzą bogacze, wystrojeni w ciuchy najlepszych projektantów, i ślicznotki w maciupkich bikini. Wszyscy podążają na lunch w najlepszym i najpopularniejszym plażowym klubie w Saint-Tropez.

Patrice ucałował moją dłoń, składając mi kondolencje z powodu śmierci Boba. Znał go od wielu lat i powiedział, że wszystkim będzie go tu brakowało. Klub był własnością rodziny Patrice'a de Colomonta od 1955 roku, kiedy to jego rodzice kupili szopę na plaży i zaczęli gotować dla Brigitte Bardot i jej ekipy filmowej, kręcącej właśnie *I Bóg stworzył kobietę*. W tym momencie narodziło się Saint-Tropez, a wraz z nim Le Club 55.

Usadowiliśmy się na plażowych materacach pod parasolem, ale nie mogłam się doczekać, by wejść do wody. Opłynęła mnie jak miękka, jedwabna szata, w sam raz chłodna, w sam raz ciepła. Zanurkowałam i wynurzyłam się na powierzchnię, parszkając, strząsając włosy z twarzy. Nie myślałam o Montanie. Nie myślałam o Dopplemannie. Nie myślałam nawet o Bobie. Myślałam wyłącznie o zmysłowej przyjemności, jaką sprawiało mi zanurzenie się w tę mięką, krystaliczną wodę, i o sile własnego ciała, kiedy nurkowałam w falach i płynęłam w stronę horyzontu. Bordelaise dotrzymywała mi kroku. Nie na próżno należałyśmy do szkolnej drużyny pływakiej.

Nareszcie ochłodzone, spokojnie popłynęłyśmy z powrotem do brzegu. Strząsając z siebie krople wody jak dwa labradory, które płynęły obok nas, wyszłyśmy z powrotem na plażę do naszego małego zacisza i siedziałyśmy przez chwilę, pozwalając, by osuszyło nas słońce. W końcu nasmarowałyśmy się kremem do opalania.

Położyłam się na plecach na swoim materacu i zamknęłam oczy. Po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu czułam się odprężona. Na wpół uśpiona pod słomianym parasolem słyszałam śmiechy i brzęk lodu w szklankach, suchy szelest bryzy w tamaryszkach i chlupotanie drobnych fal na brzegu. Żałowałam, że nie mogę tu zostać na zawsze. Nie chciałam stawiać czoła rzeczywistości, Montanie i wszystkim podejrzanym.

- Madame, pani stolik jest gotów. - Uśmiechnięty młody człowiek w niebieskiej koszulce przerwał moje rozmyślenia. Bordelaise i ja zarzuciłyśmy coś na siebie i przeszłyśmy przez labirynt zatłoczonych stolików. Zamówiłam bułkę miejscowego *rose*. Popijałyśmy je w błogim milczeniu, skubiąc chrupiące słodkie rzodkiewki i pasczki czerwonej papryki, świeżej jak poranek, za nurzone w ostrym *aioli*. Uczucie błogostanu spłynęło na mnie jak cisza po burzy.

Leniwie obgadywałyśmy boskie ciała plażowiczów, klejnoty, opalone dziewczyny i brązowych, wytatuowanych chłopaków, pulchnych przemysłowców w szortach i bejsbolówkach z nazwami ich własnych jachtów, sławne modelki i gwiazdy filmowe. Oczywiście byli też inni, zwyczajni ludzie, którzy przyjeżdżali tutaj co roku nie po to, by oglądać i pokazywać się, ale po prostu dlatego, że to uwielbiali.

Skończyłyśmy właśnie jeść pasiastego strzępiela i pyszną sałatkę, i byliśmy w połowie drugiego wina, czekając na poziomki, kiedy Bordelaise szepnęła:

- Nie patrz teraz, ale zgadnij, kto idzie w naszą stronę.

Więc oczywiście spojrzałam. Usłyszałam zirytowane westchnienie.

- Do diabła, Daisy, teraz nas zobaczyła i zaraz podejdzie.

Miała rację. Diane dostrzegła nas i ruszyła w naszą stronę.

Zmierzyła nas oburzonym spojrzeniem.

- A panie co tutaj robią? Przecież nie sposób dostać tu rezerwację.

- A co, odprawili panią? - Bordelaise potrafiła potraktować z góry każdego snoba, jeśli tylko chciała. - Straszna szkoda. Oczywiście my z Daisy zjadłyśmy cudowny lunch i spędziłyśmy wspaniały dzień na plaży.

- Więc nie będziecie miały nic przeciwko temu, jeśli się przysiadę. - Diane usadowiła się na krześle, zanim zdążyłyśmy zaprotestować. Pogrzebała w białej skórzanej torebce, przyglądała włosy, które dziś związała w kok, i poprawiła stanik swojej niebieskiej sukienki bez ramiączek. Nalała sobie kieliszek naszego wina i wypila spory łyk. Jej oczy odnalazły moje nad brzegiem kieliszka.

- Pieprzyłaś mojego byłego męża? - zapytała.

Aż się zachłysnęłam. Bordelaise parsknęła śmiechem.

- Zawsze to podejrzewałam - powiedziała Diane. - Byłaś z nim tak blisko. Zawsze przy nim: odbierałaś telefony, siedziałaś z nim w samolocie, byłaś w tym koszmarnym Sneadley Hall. Nawet tutaj, w Saint-Tropez, i w Hotel du Cap.

- Pamiętam nasze spotkanie w Hotel du Cap - powiedziałam, wiedząc, że ona też, aż za dobrze, pamięta tę scenę, którą urządziła, kiedy Bob powiedział, że nie da jej więcej złamanego grosza.

- Oczywiście, że pamiętasz - odparła znużonym tonem. - Nie wiesz tylko, jak bardzo potrzebowałam tych pieniędzy. I dlaczego. - W jej podłużnych szmaragdowych oczach zabłysło słońce, kiedy spojrzała na mnie. - Ale niby dlaczego miałabyś znać prawdę? Nie wyjawiałam jej wtedy Bobowi, więc dla czego miałabym zwierzać się tobie?

- Jaką prawdę? - zapytałam, ale ona odwróciła głowę, uznawszy widocznie, że już za dużo powiedziała.

Pomachała ręką, brzęcząc złotymi bransoletkami, by przywołać kelnera.

- Bob nie żyje i jestem pewna, że się o mnie dobrze zatroszczył w swoim testamentie. - Jej oczy błysnęły chciwie, kiedy znów na mnie spojrzała. - Prawda?

- Naprawdę nie mam pojęcia, co jest w testamentie Boba - odparłam. - Będziesz musiała poczekać do Capri, żeby się dowiedzieć.

Wydawało mi się, że dostrzegłam rozpacz w jej oczach, ale szybko odwróciła się do kelnera, by zamówić grillowanego turbota i jeszcze jedną butelkę *rose*. Po czym przywołała na twarz pokazowy uśmiech i zaczęła wypytywać Bordelaise, skąd pochodzi i co tu robi oraz jak jej się podoba rejs.

W mgnieniu oka przemieniła się z przestraszonej, zdesperowanej kobiety w idealną damę z towarzystwa, bawiącą się świetnie w najlepszym klubie plażowym w Saint-Tropez. I najwyraźniej tu było jej miejsce, bo ludzie wciąż podchodzili do niej i całowali ją w oba policzki, pytając, dlaczego tak dawno jej nie widzieli.

Odpowiadała każdemu, że niedawno zmarł jej mąż, a ona właśnie dochodzi do siebie.

I może faktycznie była to prawda, pomyślałam zaskoczona. Przekonałam się już, że z Diane nigdy nic nie wiadomo.

Rozdział 37

Daisy

Zadzwończyłyśmy do Paula, taksówkarza, by po nas przyjechał, i zostawiłyśmy Dianę, by w spokoju mogła się rozkoszować lunchem z przyjaciółmi.

Wciąż zastanawiając się, co mogła mieć na myśli, pojechaliśmy z powrotem do Saint-Tropez i wyruszyliśmy na polowanie po butikach, które właśnie otwierano po południowej sjeście. A błądząc po brukowanych uliczkach, natknęliśmy się ni mniej, ni więcej tylko na Filomenę, taszczącą kilka wielkich toreb z napisami HERMES, ERES i BLANC-BLEU. Najwyraźniej zaczęła już powoli nadgryzać swoje sto tysięcy. Nieskazitelna i prześliczna w wykwintnym prostym kostiumie z białego lnu, szła ulicą z taką miną, jakby cały świat należał do niej.

- *Ciao, amiche* - zawołała, machając do nas wolną ręką i uśmiechając się promiennie z drugiej strony ulicy. - Patrzcie, co mam. - Uniosła torby. - Od lat się tak dobrze nie bawiłam. Zakupy zawsze poprawiają mi samopoczucie.

Nie rozglądając się, wparowała na wąską jezdnię, prosto przed maskę niebieskiego mercedesa kabrio, prowadzonego przez przystojnego blondyna. Mężczyzna wściekle zatrąbił, ze sporym opóźnieniem wciskając hamulec. Zatrzymał się.

- O mało pani nie zabiłem - powiedział po francusku, unosząc ręce w geście udawanej desperacji.

- Gdybym miała umrzeć, byłabym bardzo szczęśliwa, że stało się to z pańskich rąk - odkrzyknęła ze śmiechem Filomena.

Facet oparł łokieć o drzwiczki i przyjrzał jej się z zainteresowaniem.

- Co pani robi dziś wieczorem? Wiem, gdzie jest niezła impreza. Na jachcie Paula Allena.

Bordelaise i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Paul Allen był miliarderem z Microsoftu, a jego jacht, „Octopus”, był największy i najwspanialszy w Saint-Tropez, o wiele większy od „Blue Boat”. Wyglądał jak wielka, szaroniebieska góra, zwieńczona dwoma śmigłowcami.

Filomena podeszła do niego, kołysząc biodrami. Nastąpiła wymiana wizytówek i uśmiechów, i długi uścisk dłoni. Tymczasem rozgniewani kierowcy sterowali za mercedesem, trąbiąc i wrzeszcząc. Niezmieszana tym Filomena pomachała mężczyźnie na pożegnanie. Uśmiechnęła się miło do wściekłych kierowców, po czym przeszła przez ulicę do miejsca, gdzie stałyśmy, z otwartymi ustami, podziwiając jej opanowanie.

- Niemądry chłopak — rzuciła lekceważąco. — Myślał, że mi zaimponuje nazwiskiem Paula Allena i jego jachtem.

- No, mnie z pewnością zaimponował - powiedziała Bordelaise.

- On przecież nie zna Paula Allena. On jest jak ja, krąży po obrzeżach, mając nadzieję, że mu się poszczęści i że włamie się do środka, nawiąże kontakty, skubnie parę splendorów ze stołu bogaczy.

Filomenie mieszały się metafory, ale zrozumiałyśmy, o co jej chodziło. I podobnie jak Dianę, zaskoczyła nas, tyle że swoją szczerością.

- Ja wyglądam bogato, on wygląda bogato - powiedziała, wzruszając zgrabnymi, brązowymi ramionami. - Ale oboje tylko udajemy, w nadziei że los się uśmiechnie.

W tej chwili zza rogu wyszła Texas, również z kolekcją reklamówek, choć niekoniecznie od Hermesa.

- Cześć, dziewczyny - krzyknęła. - Wy też robicie zakupy? - Nagle obcas wpadł jej w niewielką szczelinę między brukiem i omal nie upadła. - Och, do licha. - Zaczęła podskakiwać na jednej nodze, trzymając się za kostkę. - Ależ boli.

Za nią zza rogu wyłonił się Brandon. Uśmiechnął się do nas i, zaniepokojony, popatrzył na Texas.

- Co się stało? - Zachwiała się, stojąc na jednej nodze, więc objął ją w tali, by ją podtrzymać, ale Texas jęknęła jeszcze głośniejsze.

- Obcas jej się omsknął - wyjaśniłam. - To pewnie tylko lekkie skręcenie, ale lepiej zabierz ją na jacht, niech doktor to obejrzy.

- Oczywiście. Tak, naturalnie. Na jacht. - Brandon jak zawsze mówił krótkimi, urywanymi zdaniem.

- Ja też pójdę. - Filomena objęła Texas w pasie z drugiej strony.
- No trudno, doktor to doktor -jęknęła Texas. -Ale szkoda mi zakupów.

Kiedy oddalała się, skacząc na jednej nodze, zobaczyłyśmy, że Filomena trzyma Brandona za rękę za jej plecami i się roześmiałyśmy.

Kupiłyśmy sobie po jabłku w cieście i zjadłyśmy je, gapiąc się na witrynę z zabawną sztuczną biżuterią w maleńkim sklepie o nazwie Alix's. Potem Bordelaise kupiła bransoletkę z turkusowymi kwiatkami, a ja szarpnęłam się na wspaniałą naszyjnik, a raczej obrozę, czy też *collier*, jak nazwała go francuska sprzedawczyni, z pięciu sznurków oliwinowych paciorków, nawleczonych na cieniutkie złote ogniwka.

Była już piąta, a my mieliśmy odbijać o szóstej. Wyszłyśmy na nabrzeże tuż obok Cafe Senequier, gdzie dostrzegłyśmy Dopplemanna pijącego wino i gapiącego się pustym wzrokiem na rząd jachtów, stojących, rufa przy rufie, po drugiej stronie ulicy. Bandery powiewały, a załogi w szortach i koszulkach stały w gotowości, by podać drinka albo rozwinąć żagle. Jak zawsze Dopplemann wydawał się nieświadomy upływu czasu, uznałam więc, choć z niechęcią, że powinienam mu przypomnieć, że odpływamy, zanim znów się upije i spóźni na jacht.

Podskoczył, kiedy zawołałam go po nazwisku i zrzucił kieliszek, który roztraskał się na podłodze.

- Fraulein Daisy. I Beaujolais. - Przekręcając imię mojej przyjaciółki, po słał jej niepewny uśmiech i wstał niezgrabnie. Jego cienkie nogi sterczały z szortów jak dwa okorowane patyczki. Miał też na sobie butelkowozieloną koszulkę; był to chyba jego ulubiony kolor. Na szyi miał potężną lornetkę.

- Pora wracać na pokład, wypływamy o szóstej - powiedziałam szorstko.

- Ach tak. Tak, oczywiście. - Szybko podniósł przewodnik ze stolika i do rzucił parę monet na spodeczek z napiwkami. - Tak, lepiej pójdę z paniami.

Człapał w milczeniu obok nas, od czasu do czasu zerkając na galerię obrazów, długą na kilka przecznic. Zatrzymał się przed niewielkim, ale pełnym szczegółów obrazkiem, przedstawiającym rybacką chatę: zbiele ściany, niebieskie dachówki, otwarte okno, żółte zasłony powiewające na wietrze, sterta rybackich sieci i czarny pies drzemący w słońcu.

Dopplemann zdjął i przetarł okulary. Założył je z powrotem i jeszcze bardziej zbliżył nos do obrazu. Spojrzałam na zegarek i na Bordelaise, niecierpliwie unosząc brwi, ale nie mogłyśmy go tak po prostu zostawić.

- Kupię ten obraz - oznajmił głośno. Sprzedawca podał cenę i Dopplemann wyjął zniszczony skórzany portfel, który wyglądał, jakby miał ze sto lat.

- Chyba powinien się pan potargować - powiedziała Bordelaise, ale on po kręcił głową.

- Artysta pracuje, by zarobić na życie. On sprzedaje. Ja kupuję. To uczciwa cena.

Ściskając pod pachą obrazek, najwyraźniej tak cenny dla niego, jak Rembrandt dla muzeum, pospieszył za nami. Za rogiem natknęliśmy się na Davisa Farrella, robiącego panoramiczne zdjęcie jachtów.

- Muszę pstryknąć parę zdjęć, inaczej ludzie nigdy mi nie uwierzą, że tu byłem - powiedział, zrównując się z nami. - Spędziliście miły dzień, kochani?

- Cudowny - powiedziałam, myśląc z żalem, że plaża i uroczy lunch z winem wydają się tak odległe w czasie.

- A ta fryzura to właściwie z jakiej epoki? - zapytała Bordelaise, ze zmarzniętymi brwiami patrząc na jego włosy.

- Późne lata sześćdziesiąte, jak sądzę. - Davis pokiwał swoim rozczochranym kucykiem. - Nie podoba się pani?

- Ujmę to w ten sposób: tak jak stary dywanik, najlepsze dni ma już za sobą.

Roześmiani, z Dopplemannem wlokącym się za nami, weszliśmy na pokład naszego jachtu.

- Pamiętajcie, kolacja o wpół do dziewiątej -przypomniałam im. Po czym zupełnie od niechcienia zapytałam: - A tak przy okazji, widział ktoś Montanę?

Nikt się nie odezwał.

- Wspominasz o nim po raz pierwszy od rana - powiedziała chwilę potem Bordelaise. - Chyba nie dusisz tego wszystkiego w sobie, co?

- Czego wszystkiego?

- Całej tej złości na niego, którą czujesz. To niezdrowe. Złością nigdy się niczego nie osiągnie. Myśl racjonalnie. Montana nie uwiódłby cię tylko po to, żeby zniknąć i więcej cię nie zobaczyć.

- To nie on mnie uwiódł. Ja uwiódłam jego.

- A, no więc... rozumiem... Mimo wszystko powyższe wciąż jest aktualne. - Bordelaise starała się, jak mogła, poprawić mi samopoczucie, ale bez skutku. - Założę się, że będzie o wpół do ósmej w barze, razem z nami wszystkimi - stwierdziła wesoło, kiedy rozstawałyśmy się pod moimi drzwiami.

Część 7

Dzień trzeci,
odkrycia

Rzadko zwieramy się tym, którzy są lepsi od nas.

Albert Camus

Rozdział 38

Montana

W północnej Francji padało. Ulewa zacinała z boku, sprawiając, że jazda wąską wiejską drogą, śliską od błota, przypominała przejażdżkę kolejką górską. Montana pędził wynajętym peugeotem z powrotem na lokalne lotnisko w Tours.

Małe miasteczko koło Le Mans, z którego właśnie wyjechał, wyglądało jak wymarłe, a wrażenie to pogłębiały jeszcze ciężkie chmury i zimny wiatr. Pozamykane na głucho domy z ciemnej cegły nie miały nic wspólnego z uroczymi widokami, jakich cudzoziemiec spodziewa się we Francji, i Montana nie wątpił, że mieszkańcy czują to samo. Prawdopodobnie wszyscy chętnie by uciekli od tych bezdrzewnych dróg i płaskich pól, na których rosła tylko brukiew. I od bezdusznych betonowych pasaży centrum handlowego, które było równie paskudne, jak sam krajobraz.

Nazwisko de Valentinois było wskazówką, która doprowadziła Montanę najpierw do zamków nad Loarą, a następnie do tego miasteczka niedaleko Le Mans. I teraz wiedział już wszystko, co można było wiedzieć o Diane.

Jadąc tak w deszczu, nareszcie miał czas pomyśleć o Daisy. Telefon od swojego zastępcy odebrał o czwartej nad ranem. Nie było czasu do stracenia, jeśli miał zdążyć na spotkanie nad Loarą, potem polecieć do Nowego Jorku, obejrzeć dowody zbrodni i wrócić, zanim jacht dopłynie na Capri. Jeszcze przed świtem poleciał śmigłowcem do Nicei, gdzie czekał odrzutowiec Boba, który

zawiózł go do Tours, a teraz miał lecieć dalej, do Nowego Jorku. Nie zapomniał o Daisy, ale zwyczajnie nie miał czasu się z nią skontaktować, nie miał czasu przedzierzgnąć się z detektywa w kochanka, nie miał czasu ułożyć właściwych słów. Mógł tylko zadzwonić teraz i mieć nadzieję, że ona zrozumie.

Daisy zachwycała go, czarowała, bawiła. Była psotną kokietką w przebraniu pruderyjnej panienki, uwodzicielką, a do tego poranianą i skrzywdzoną kobietą, która skutecznie ukrywała swoje rany. Udało jej się to do czasu, kiedy poznała Boba Hardwicka. Bob szybko przejrzał tę maskę, a teraz przejrzał ją także Montana.

Kiedy dojechał na lotnisko, przekazał samochód parkingowemu i szybko ruszył do samolotu, zatrzymując się po drodze na płycie lotniska, by zadzwonić. Silniki samolotu zwiększały obroty, wciąż lał deszcz. Trudno było cokolwiek usłyszeć, ale Daisy i tak nie odbierała komórki.

Montana spojrział na zegarek i zorientował się, że „Blue Boat” wypłynęła już z Saint-Tropez. Daisy siedziała prawdopodobnie przy kolacji, zabawiając podejrzanych i przeklinając fakt, że musi to robić sama.

Rzeczywiście, zostawił ją razem z mordercą, ale wiedział, że na razie co jest bezpieczna. Stałaby się celem dopiero, gdyby się okazało, że Bob zapisał jej cały swój majątek. A tymczasem dwóch agentów na pokładzie strzegło jej cały czas. Każdy, kto by jej zagroził, natychmiast miałby z nimi do czynienia.

Nagrał się na pocztę głosową.

- Stercę tutaj w deszczowej, smutnej północnej Francji, bez ciebie. Ale możesz się domyślić, gdzie wolałbym być. Przepraszam, ale nie było czasu na żadne tłumaczenia, a zresztą spałaś tak spokojnie, że nie miałem serca cię budzić. Teraz lecę do Nowego Jorku. Zadzwonię stamtąd. A tymczasem, kotku, świetnie się spisujesz i tak trzymaj.

Nie dodał: „Kocham cię”, ani na poważnie, ani tak zwyczajnie, zdawkowo. Nie był pewien, czy by tego chciała. A poza tym jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedział.

Rozdział 39

Montana

Spalona kupa powykręcanego, czarnego żelastwa to było wszystko, co zostało z kanarkowego lamborghini Boba. Samochód wypakowano ze skrzy-

ni i podwieszono na bloczkach w warsztacie w New Jersey, dokąd Montana kazał go przetransportować po wypadku. Sterczała nad nim ekipa dochodzeniowa, badając schemat pęknięć, dziobiąc narzędziami stopioną płataninę, która była kiedyś silnikiem. O dziwo, dwie rzeczy ocalały. Konstrukcja siedzenia kierowcy i jego pas bezpieczeństwa były nietknięte, a pałąk, wzmacniający dach, nie był nawet wgnieciony.

- Zawsze mnie zadziwia, jak się to wszystko dzieje. Przepraszam, że tak długo to trwało - powiedział Len Glazer. Len był ekspertem zajmującym się badaniem wraków samolotów i pojazdów. Wykorzystywał całą swoją rozległą wiedzę do ustalenia, jak doszło do wypadku. - To było bardziej skomplikowane, niż się wydaje. Można by pomyśleć, że on powinien wyjść z tego żywy.

Z rękami w kieszeniach, zamyślony, Montana gapił się na wrak. Gdybyż tak było. Ale Bob zginął, a Len miał mu powiedzieć, jak do tego doszło.

- Pobraliśmy próbki z resztek silnika i posłaliśmy do laboratorium. Wykazały obecność materiału wybuchowego. Nie ma wątpliwości, że tę katastrofę spowodowała bomba, umieszczona bezpośrednio pod silnikiem. Została zdetonowana za pomocą zdalnego urządzenia, najprawdopodobniej telefonu komórkowego, nastawionego na wibrowanie. Morderca musiał tylko wybrać numer. I bingo. Boba powinno rozerwać na kawałki. Ale według mnie było tak: Bob zatrzymał samochód i wysiadł, żeby się odpryskać albo rozprostować nogi. Kiedy szedł poboczem, ktoś wybrał numer tej komórki, umieszczonej pod jego siedzeniem, bomba wybuchła i samochód eksplodował. Bob dostał falę uderzeniową, która zepchnęła go z urwiska. Nie zabił go wybuch. To dla tego nie spalił się na węgiel razem z samochodem.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby odszedł parę metrów dalej, to mógłby jeszcze żyć?

Len kiwnął głową.

- Bardzo możliwe.

Montana uściśnął dłoń starego kumpla. Pracowali razem już wcześniej i dobrze się znali.

- Dzięki, Len. Przepraszam, że nie mogę zostać dłużej i napić się z tobą, ale muszę wracać do roboty. - Poklepał Lena po ramieniu i ruszył do drzwi. Jego asystent czekał za kierownicą czarnego forda pickupa. - Było, jak myśleliśmy - rzucił Montana. I opowiedział, co się stało. - Teraz musimy już tylko sprawdzić wszystkie połączenia, wykonane tego dnia z komórek podejrzanych.

Asystent spojrział na niego sceptycznie.

- Tylko tyle, co?

Montana wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No co, robiłeś to już przedtem, stary. Więc zróbmy to jeszcze raz, choćbyśmy mieli się włamać do biur operatorów. Ale może zaczniemy od domowych pieleszy naszych podejrzanych? Wszyscy są na „Blue Boat”, więc mamy wolną rękę. Biura Farrella są tutaj, w Nowym Jorku, a jego mieszkanie jest niedaleko. Dopplemann też tu był, w Motelu 6, przy lotnisku. A Charlie Clement był w Waldorf Towers. Każdy z nich mógł to zrobić.

- Tak samo jak któraś z kobiet. Z zagranicy też można dzwonić, wiesz.

Montana kiwnął głową. Oczywiście, że to wiedział. Nie wiedział tylko, która z kobiet byłaby w stanie znaleźć kogoś, kto podłożyłby za nią bombę. Ale stare powiedzonko „potrzeba matką wynalazków” można było odnieść również do morderstwa. Wszystko było możliwe.

Przed wypadkiem lamborghini Boba przez tydzień stało w warsztacie, a potem odprowadzono je na parking w jego biurowcu. W garażu przy mieszkaniu nie było miejsca na wszystkie trzy samochody, więc Bob często zostawiał któryś z nich w garażu biura. Ktokolwiek to zrobił, zauważył bagaż zapakowany do samochodu i wiedział, że Bob będzie używał sportowego auta. Do garażu mógł wejść każdy. Na podłożenie bomby i telefonu potrzeba było niecałej minuty. Na wykonanie zabójczego telefonu - sekundy.

Montana westchnął ciężko, zastanawiając się ze smutkiem, co by było gdyby.

- Ty zacznij działać tutaj - powiedział. - Ja się zajmę europejskim końcem. A teraz, staruszkule, muszę zdążyć na samolot.

Odrzutowiec Boba czekał na lotnisku Teterboroh. Montana zadzwonił do pilota i wydał polecenie, by przygotować samolot do startu, bo będzie na lotnisku za dziesięć minut. Rozwiązał pierwszą część zagadki. To już nie było mętne podejrzenie... to z całą pewnością było morderstwo.

Rozdział 40

Daisy

Był następny ranek. Stałam na pokładzie rufowym i wdychałam głębokie hausty czystego słonego powietrza. Ten dzień mieliśmy spędzić na morzu, w drodze do Sorrento. Jacht gładko ślizgał się po falach, równie dobrze mogłabym siedzieć w hotelu na lądzie. Niebo było bezchmurne i niebieskie, świe-

ciło słońce. Montany wciąż nie było. Sprawdziłam komórkę, ale nie było żadnej wiadomości, tylko jakieś niewyraźne brzęczenie.

Wczorajsza kolacja była koszmarem. Filomena i Dianę nie odzywały się do siebie, Charlie Clement cały czas siedział przy barze, a Dopplemann znowu zniknął, tyle że tym razem poszedł do swojego pokoju. Rosalia wyglądała na zmartwioną, a Hector koniecznie chciał wiedzieć, gdzie jest Montana. Davis ograł Brandona w jego ulubionego triktraka i oskubał go z kilkuset dolarów, na co, jak wiedziałam, Brandon nie mógł sobie pozwolić. Texas kuśtykała o kulach z nieszczęśliwą miną i tykała pigułki przeciwbólowe. A Montana wciąż się nie zjawiał.

- Pieprzyć to - powiedziała ponuro Bordelaise po kolacji, zamawiając przy barze kolejnego drinka. - Będę szczęśliwa, kiedy ten rejs się skończy.

Ja też, pomyślałam gniewnie.

Ale teraz Bordelaise ukazała się w kusym, różowym bikini. I muszę przyznać, że wyglądała w nim nieźle. Powiedziała cześć, więc i ja powiedziałam cześć, wciąż wściekła na podejrzanych i Montanę. Bordelaise wyjęła książkę i zaczęła czytać. Rzuciłam się na leżak obok niej, założyłam ręce za głowę i zagapiłam się w niebo. Była to jakaś odmiana po wpatrywaniu się w morze, choć jedno i drugie miało ten sam cholerny, błękitny kolor.

Bordelaise odłożyła książkę. Zauważyłam tytuł: *Kiedy ostatni raz widziałam Paryż*.

- Domyślam się, że nie miałas od niego żadnych wiadomości - powiedziała.

- Nie.

- I to cię dręczy.

- Aha.

- Może kieliszek szampana?

- Za wcześnie.

Bordelaise westchnęła i usiadła prosto.

- Proszę, proszę, ależ z nas rozpieszczony bachor. Można by pomyśleć, że jesteś pierwszą kobietą zostawioną przez faceta. Albo poczekaj na wyjaśnienia, albo przestań się zadrećzać.

Spojrzałam na nią oburzona.

- Myślałam, że jesteś po mojej stronie.

- Nie kiedy jesteś taka marudna.

- Och, dzięki!

- Mogłabym być nieelegancka i powiedzieć „upierdliwa”, ale zauważ, że tego nie zrobiłam - powiedziała Bordelaise.

- Mogłaś. To prawda, wiem. -Nagle skruszona, wzięłam jazarękę. -Prawda jest taka, że mi zależy. Wiem, że nie powinno, wiem, że to miał być tylko przelotny romans i pewnie po tygodniu byłoby po wszystkim, ale wpadłam we własną pułapkę. Ja, która już nigdy nie chciałam się zakochać w żadnym mężczyźnie. A kiedy się zakochałam, widzisz, co się stało. Zostawił mnie nawet bez głupiego: „Dziękuję, miło było cię poznać”.

- Czasami tak jest. Ale myślę, że nie tym razem. Wróci.

Wzięłam jej książkę i zaczęłam przerzucać strony.

- O czym to właściwie jest?

- Mężczyzna spotyka kobietę. Mężczyzna zostawia kobietę. Kobieta zostawia mężczyznę. Tyle że wszystko dzieje się w Paryżu i podczas podróży po Francji. Zatrzymują się w romantycznych małych zajazdach, walczą z burzą, kochają się, nienawidzą i znowu kochają. To o kobiecie, która odnajduje się bie, Daisy. Mogłabyś to przeczytać.

Posłałam jej podejrzliwe spojrzenie.

- Może przeczytam. A tymczasem, wiem, że przysięgałam już nigdy w życiu nic nie zjeść, ale co powiesz na wczesny lunch?

Wetknęłam *Kiedy ostatni raz widziałam Paryż* pod pachę. W barze obzarilyśmy się hamburgerami, frytkami i colą. I rozkoszowałyśmy się poczuciem winy.

O czwartej powlokłam się do spa na górnym pokładzie, zamierzając odświeżyć ducha i wygląd odrobiną masażu. W przebieralni wpadłam na Ginny i uściskałam ją impulsywnie, ucieszona na widok twarzy, której mogłam zaufać.

- Hej, jak się miewasz?

- Świetnie... dobrze... - powiedziała, ale nie wydawała się zbyt pewna. - Nie wiesz, gdzie jest Montana? - zapytała. - Muszę z nim porozmawiać.

Wyglądało na to, że wszyscy nagle muszą porozmawiać z Montaną.

- Wczoraj opuścił jacht. Nie wiem, dokąd pojechał.

Ginny zmarszczyła brwi.

- Prawdę mówiąc to dość pilne.

Zastanowiłam się przez chwilę. Czyżby coś wiedziała?

- A ja nie mogę pomóc? Montana i ja razem pracujemy dla Boba.

Spojrzała na mnie niespokojnie spod posklejanych czarnych rzęs. Wydawało się, że już, już chce mi powiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie.

- Nie, nie mogę tego zrobić, to by było nie w porządku. Muszę porozmawiać z Montaną.

- Okej, więc poczekamy, aż się zjawi. Spodziewam się, że wróci, zanim doflyniemy na Capri. - Chciałabym mieć tę pewność, z jaką to mówiłam. -

A tymczasem, miłego masażu, kochana- powiedziałam, naśladowując gwara z Yorkshire. - Ja też się idę wymasować.

Ginny uśmiechnęła się promiennie, szybko odzyskując swoją żywiołość.

- Ech, Daisy, kochana, gadasz prawie, jakbyś była z Yorkshire - powie działa. - To zabawne, co? - dodała. - Jak to człowiek tęskni. Nawet tutaj na tym wielkim jachcie, oglądając te wszystkie cudne miejsca, ciągle myślę o Sneadley. Że azalie niedługo zaczną kwitnąć w ogrodach Hali i jak bardzo nam będzie brakować w tym roku wiejskiego festynu. Uwielbiam słuchać Orkiestry ze Starych Młynów wieczorem po zabawie, nawet jeśli nie ma już młynów ani kopalń, a chłopaki w orkiestrze są za młodzi, żeby je pamiętać.

Zapewniłam ją, że dopóki Sneadley Hali nie zostanie sprzedany, będziemy urządzić wiejskie festyny na jego trawnikach, a potem osobiście poinformujemy nowych właścicieli o tej tradycji i namówię ich, by ją kontynuowali.

- Więc będziesz miała swój festyn i orkiestrę, i rzucanie koksami, i wyprzedaż staroci, i konkurs na najlepszy biszkopt z dżemem, który i tak zawsze wygra pani Wainwright. I obiecuję, że będę przyjeżdżać co roku, żeby być tam z wami wszystkimi. Kochani przyjaciele - dodałam, z trochę już mokrymi oczami.

Chwilę później, leżąc na stole do masażu i czując, jak silny, uśmiechnięty Szwed wybija ze mnie życie, wciąż zastanawiałam się, co tak ważnego miała do powiedzenia Ginny, i dlaczego mogła to powiedzieć tylko Montanie. Mój masażysta włączył muzykę new age i położył mi na kręgosłupie gorące kamienie, z których wsączyło się we mnie ciepło i błogostan. Zdrzemnęłam się, nie śniąc o niczym, z nareszcie pustym umysłem.

Później zafundowałam sobie maseczkę nawilżającą. Leżałam na plecach, z rozluźnionymi mięśniami, z plasterkami ogórka na powiekach i włosami owiniętymi białym ręcznikiem. Ogarnęły mnie niechęć i lenistwo. Nie chciałam nikogo widzieć, nigdzie iść - a szczególnie na kolejną kolację z podejrzanyymi. Jedyne, na co miałam ochotę, to zjeść kanapkę przed telewizorem, siedząc w szlafroku z Ratsem na kolanach, próbującym ukraść kawałek. Tak bardzo chciałam wrócić do Sneadley. I żeby wszystko było jak dawniej, zanim w ogóle poznałam Harry'ego Montanę.

- Daisy.

Odsunęłam plasterki ogórka i zobaczyłam Filomenę, stojącą nade mną w samym ręczniku.

- Zazdroszczę ci, Daisy, jesteś taka zrelaksowana - powiedziała.

Wyglądała na zmęczoną i zmartwioną. Coś się działo.

Posłała mi długie spojrzenie i wzruszyła ramionami, tak jak potrafią to tylko Włoszki - odrzucając włosy do tyłu, unosząc jedno śliczne ramię, zadzierając podbródek i spoglądając z irytacją spod przymkniętych powiek.

- Jestem taka zmęczona - poskarżyła się. - Wręcz wykończona. Nie miałam pojęcia, że wycieczka może być taka męcząca.

- To pewnie przez te wszystkie atrakcje. I te wszystkie wspólne posiłki, i strojenie się. Ja zaczynam tęsknić za kanapkami, telewizorem i szlafrokiem.

Jej twarz się rozjaśniła. Filomena klasnęła w ręce, narażając na szwank swoją przyzwoitość, gdyby opadł jej ręcznik.

- Daisy, to genialny pomysł. Może tak zrobimy? Przyjdę do ciebie i zjemy kanapki.

Boże, pomyślałam, co ja narobiłam!

- No nie wiem, jestem gospodynią, naprawdę powinnam być na kolacji - odparłam ostrożnie.

- Och, odpuść sobie z tą gospodynią. A wczorajsza kolacja była torturą. Za prosimy same dziewczyny. Faceci raz mogą się sami sobą zająć. Dlaczego nie, Daisy? Będzie zabawnie.

Tak się zapaliła do tego pomysłu, że się poddałam i umówiliśmy się o wpół do ósmej w moim apartamencie, w szlafrokach i bez makijażu.

- Ale będę musiała zaprosić Dianę - ostrzegłam.

- Och, co mi tam Dianę. - Odrzuciła włosy. - Nie muszę z nią rozmawiać.

- A więc dobrze, urządzę to jakoś - powiedziałam.

Rozdział 41

Daisy

Ku mojemu zdziwieniu przyszły wszystkie. W białych bawełnianych szlafrokach i bez makijażu - no, może z wyjątkiem odrobiny różu i ołówka do brwi (Dianę) i samoopalacza (Filomena). Poza tym wszystkie wyglądałyśmy mniej więcej tak, jak nas Pan Bóg stworzył, nie licząc tych paru lat na plus. Zaskoczyła mnie Rosalia; zjawiła się z Magdaleną i Bellą, którą posadziłyśmy przed ściszonego telewizorem z kreskówką Disneya i kawałkiem pizzy, jej ulubionej potrawy. Mała wyglądała tak uroczo w błękitnej piżamce, że przez chwilę myślałam tęsknie, ile straciłam, nie mając dziecka.

Texas przykuśtykała o kulach. Z nieumalowaną twarzą była jeszcze ładniejsza. Ginny też przyszła, oskrobana z tapety, z różowymi policzkami i żółtymi

włosami związanymi na czubku głowy różową wstążką, biuściasta i dorodna w białym szlafroku. Przypominała laleczkę bobaska, jakie czasem widzi się na czubku bożonarodzeniowej choinki. Dianę rozpuściła swoje długie rude włosy i wydawałaby się o parę lat młodsza, gdyby nie oczy. Było w nich to jej wieczne znużenie światem, którego nie potrafiła przegnać nawet myśl o kanapce z szynką.

Ostentacyjnie ignorowała Filomenę, która ze swoim blond kucykiem wyglądała jak Bardotka we wczesnych latach - dziewczyna z reklamówki śródziemnomorskich plaż. Bordelaise wyglądała jak szesnastka, a ja... no cóż, ja wyglądałam dość nędźnie.

Nie brałam udziału w piżamowym przyjęciu od dzieciństwa. To było tak dawno, że pozostały mi tylko mętne wspomnienia. Zresztą tutaj na „Blue Boat” wszystko wyglądało inaczej. Jeden kelner nalewał nam schłodzone rosę, drugi serwował przepyszne zakąski. Były też półmiski kanapek — z szynką i serem, z sałatką jajeczną, z tuńczykiem, z bekonem, sałatką i pomidorem, z włoską kielbasą... Kiedy na „Blue Boat” prosiło się o kanapki, dostawało się coś cudownego. Rzuciliśmy się na nie z okrzykami takiego zachwyty, jakbyśmy nie jadły przez tydzień.

Potem przeszliśmy na pokład i podziwialiśmy zachód słońca, rozciągnięte na leżakach, z talerzykami na kolanach i kieliszkami wina pod ręką. Kiedy Ginny przysiadła w nogach leżaka Dianę, ta posłała jej drugie spojrzenie, po czym wyjęła z torebki odświeżającą chusteczkę i ostentacyjnie wytarła to miejsce. Filomena siedziała tak daleko od Dianę, jak tylko się dało. Nałożyła sobie na talerz górę kanapek i pożerała je z apetytem. Texas stwierdziła, że uwielbia szynkę Serrano i skubała ją bez chleba, przegryzając od czasu do czasu serem. Skomentowałam, że zapewne w ten sposób zachowuje swoją idealną figurę.

- Czasami tak, a czasami głoduję z przymusu - odparła Texas.

Filomena uniosła oczy znad talerzyka.

- Z przymusu? Co masz na myśli?

Texas wzruszyła ramionami.

- Czasem trudno o pracę, brakuje pieniędzy i starcza mi ledwie na hamburgera w McDonalddie. A i to nie zawsze.

Umilkłyśmy, patrząc z poczuciem winy na nasze wyładowane talerze.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała cicho Rosalia. - Byłam biedna w młodości i miałam do wykarmienia trójkę dzieci. - Uśmiechnęła się i spojrzała na Magdalenę, która siedziała na podłodze w kajucie, oglądając film z Bellą. - Całe szczęście, że dzieci tak naprawdę nie rozumieją, że są biedne.

Tam, gdzie żyliśmy, wszyscy żyli tak samo, po prostu tak już było. Wszyscy jedli to samo, ryż i nadpsute warzywa oddawane za darmo wieczorem na targu, czasem trafiała się kość od rzeźnika na zupę. - Uśmiechnęła się. - To wtedy tak naprawdę nauczyłam się gotować, starając się wykorzystać jak najlepiej to, co było.

Zagapiłam się na nią zdumiona. To była kobieta Boba Hardwicka, jego wielka miłość! Wystarczyło, by skinęła, a Bob dałby jej wszystko, czego potrzebowała. Wszystko, czego by zapragnęła. I było tak aż do końca jego dni. Przypomniałam sobie paczkę listów schowaną sejfem mojej kajucie i postanowiłam, że spotkam się z Rosalią sam na sam i oddam je. Jednego byłam pewna. Ta kobieta nie zamordowała Boba.

- Ja też wyrosłam w biedzie - powiedziała Filomena ze swojego kąta przy relingu, gdzie siedziała. - Papa był wiejskim piekarzem, więc nie brakowało nam jedzenia, ale nigdy nie było dość pieniędzy, żeby mama kupiła sobie ładne nowe ubrania i buty. - Westchnęła. - Może dlatego mam ich pełną szafę. Niektórych nawet nie nosiłam. - Znów wzruszyła po włosku ramionami. - Kiedy widzę ładne buty, po prostu muszę je mieć, zwyczajnie nie mogę się oprzeć.

- Freud postawiłby ci piątkę za tę analizę - rzuciła wrednie Dianę.

Filomenie błysnęły oczy.

- A ty skąd pochodzisz, Dianę? No dalej, zdradź nam prawdę, tu są same dziewczyny.

Dianę zmierzyła ją twardym spojrzeniem i rozejrzała się wokół, patrząc na nas, siedzące jak na szpilkach na brzegach leżaków i czekające, co też powie.

- Oczywiście ja miałam to szczęście, że urodziłam się w szlacheckiej rodzinie - zaczęła dumnie. - Byłam jedynaczką i rodzice mnie rozpieszczali, ale... - Westchnęła teatralnie. - Ja chciałam czegoś więcej niż życie w chateau, bale debutantek, przyjęcia. Chciałam być aktorką jak Catherine Deneuve albo piosenkarką prowadzącą życie wśród paryskiej bohemy, z kochankiem, jak Jane Birkin... Ale spotkałam Boba Hardwicka i on zakochał się we mnie do szaleństwa. - Odstawiwszy kieliszek, przeniosła wzrok na Filomenę. - To ja byłam miłością jego życia. Był zdruzgotany, kiedy go zostawiłam. - Westchnęła jeszcze raz, a ja pomyślałam, jak marna byłaby z niej aktorka. - Ale nie mogłam dłużej znieść tego, że traktował mnie, jakbym była częścią jego majątku.

- Więc kim zostałeś, kiedy go zostawiłaś? - Perłowe, kocie zębki Filomeny błysnęły w złym uśmiechu. - Sławną aktorką? Piosenkarką jak Jane Birkin? Żoną innego bogatego człowieka? Czy po prostu rozwódką ze skłonnością do hazardu?

Nagle ze spokojnego, kobaltowego nieba huknął o pokład gwałtowny podmuch wiatru, przewracając kieliszek Dianę i oblewając ją winem. Wiatr ucichł tak samo szybko, jak się zerwał. Dianę aż się zachłysnęła. Przestraszona wyjęła z torebki swoje chusteczki i zaczęła wycierać plamę.

- Idzie sztorm? - zapytała, ale morze było gładkie, a wieczorne niebo błękitne.

Kiwnęłam na stewarda, by posprzątał bałagan, dołał wina i podał wszystkim kanapki. Każda z kobiet wzięła jeszcze co najmniej po dwie.

- No co, są takie małe - usprawiedliwiła się Bordelaise z szerokim uśmiechem. Widziałam, że świetnie się bawi.

- Problem w tym - powiedziała Filomena ze smutną miną - że nie wiem, czy spotkam jeszcze kiedyś bogatego mężczyznę, takiego jak Bob.

Nie mogłam się powstrzymać od pytania, czy właśnie tego chce, znaleźć kolejnego bogatego mężczyznę, by się nią zajmował.

- Tylko to umiem robić - odparła szczerze. - Być dziewczyną bogacza. Miałam dziewiętnaście lat, kiedy poznałam Boba. Nigdy nie studiowałam, nigdy nie pracowałam, nigdy nie miałam okazji nauczyć się robić coś innego. Znam się tylko na ciuchach, zakupach i biżuterii. Nie macie pojęcia, jak żałuję tych straconych lat.

- Ze swoją urodą mogłabyś zostać gwiazdą filmową - powiedziała Bordelaise, ale Filomena pokręciła głową.

- Jestem do niczego przed kamerą. „Beznadziejna”, powiedział jeden reżyser, kiedy poszłam do niego na zdjęcia próbne. - Zmarszczyła brwi. - Myślę, że to było trochę niemiłe.

Przyznałyśmy jej wszystkie racje, z wyjątkiem Dianę, która napiła się tylko więcej wina, wpatrując się nienawistnym wzrokiem w rywalkę.

- W głowie mi się to wszystko nie mieści, jak tak na was patrzę — powiedziała Ginny. - Macie urodę, wspaniałe życie w cudnych miejscach, możliwości. Ja znam tylko proste życie na wsi, ale zaczynam myśleć, że to wy powinnyście mi zazdrościć. Miałam słodkie dzieciństwo. Mieliśmy świnki na polu i złośliwego kucyka w szopie za szklarniami taty. Mieliśmy dwa psy, które spały na kanapie i kilka czarnych kotów, co wszędzie gubiły kłaki. Dom był za mały i wiecznie był bałagan, a moi bracia i siostry wiecznie się tłukli, ale sprali leż szkolnego łobuza, jak się mnie uczeplił, i powiedzieli mu, żeby nigdy więcej nie próhowił, bo pożałuje. Nigdy nie wzięłam pieniędzy od mężczyzny i nigdy nic hylinnę żatką, ale nie dlatego, że mnie nikt nie chciał, tylko z własnego wyhoni. Hcile wiedziała, kiedy spotkam tego jedyne, a jeśli nie, cóż, zawsze hede (i i i m y Bunn, najlepszą barmanką, jaka pracowała w Baraniej (ilowie w Sneulley.

Rosalia, która zdołała zrozumieć większość tej przemowy, powiedziała:

- Brawo, Ginny, masz prawo kochać siebie za to, kim i czym jesteś. I właś nie tak powinna myśleć o sobie każda kobieta. Wielka szkoda, że nie jest nas więcej - dodała. - Nie powinnaś się tak nisko oceniać, Filomeno. Jesteś piękną i ciągle jeszcze młodą, a to nie są twoje jedyne atuty.

Filomena odstłoniła się przed nami. Wiedziałam, że czuje się nic niewarta i myśli, że nie ma nic do zaoferowania. Nagle zrobiło mi się jej żal. Byłam pewna, że nie ona zabiła Boba, choćby nie wiadomo jak bardzo pragnęła jego pieniędzy.

Przyszła Magdalena i powiedziała, że pora położyć Bellę do łóżka. Ucałowałam dziewczynkę na dobranoc i roześmiałam się, kiedy odchodząc, puściła do mnie oczko. Ale kiedy wychodziły, zatrzymałam na chwilę Rosalię. Wyjęłam z sejfów szarą kopertę i wręczyłam jej. Spojrzała na pakiet listów.

- Nawet nie wiesz, jak trudno było mi je odsyłać - powiedziała. - Nie mam do Boba żalu, nigdy nie miałam. Mężczyzna powinien podążać ścieżką, którą wybrał. Ale, moja droga Daisy, kobieta także ma swoją ścieżkę.

Czekałam z nadzieją, aż powie coś więcej, ale ona, ze łzami w oczach, z paczką listów przyciśniętą do piersi, ucałowała mnie w oba policzki.

- Dziękuję, że tak dobrze opiekowałaś się Roberto w jego ostatnich latach. Wiem, że ciebie też musiał kochać.

Rozdział 42

Daisy

Ginny zajrzała do sypialni i widząc, że jestem sama, powiedziała: - Nie mogę dłużej trzymać tego przy sobie. Chciałam powiedzieć Montanie, ale czuję, że pęknę. Po prostu nie mogę dłużej patrzeć na tego człowieka, wiedząc o nim to wszystko. - Usta jej się zacisnęły, oczy błysnęły gniewem. - Co za drań - warknęła.

- Kto?

- Charles Clement. Wszyscy na niego mówią Charlie, jakby miał się od tego zrobić miłszy.

Usiadłam na łóżku i poklepałam miejsce obok siebie.

- Chodź, siadaj, Ginny. I opowiedz mi wszystko.

- Tak naprawdę to historia pani Wainwright, nie moja - powiedziała - ale wszyscy we wsi o tym wiedzieli. Wiesz, jaki był Bob, ciągle kogoś zapraszał do Hali. W niektóre weekendy samych facetów.

- Pamiętam. Urządzałam wszystko, a potem wracałam do Londynu i zostałam chłopców, żeby się bawili w spokoju.

- Ha! Chłopców! - rzuciła gorzko Ginny. - Więc Bob zaprosił tego Charliego Clementa ze dwa razy, na polowanie i takie tam. A potem któregoś razu Charlie przywiózł ze sobą dziewczynę. Pani Wainwright była w holu, kiedy przyjechał, i słyszała, jak ją przedstawiał. Pani Wainwright widziała, że Bob jest niezadowolony, bo myślał, że jest za młoda. Ona zresztą też. No więc, znasz panią Wainwright, czasem bywa wścibska. Później zapytała tę małą, ile ma lat. Dziewczyna powiedziała, że osiemnaście, ale gospodyni jej nie uwierzyła.

- Boże, Ginny - powiedziała. - Chcesz powiedzieć, że była nieletnia? Ginny skinęła głową.

- Gospodyni wspomniała o tym Bobowi, więc on wziął tę małą na bok i za pytał, co też najlepszego wyprawia. A ona się rozplakała i powiedziała, że nie jest prostytutką i że robi to tylko z takimi jak Charlie, którzy lubią młode dziewczynki. Że on dobrze jej płaci. A potem przyznała się, że ma trzynaście lat.

- O... mój... Boże...

- Bob wpadł w szal. Dał Charliemu w gębę, rozciągnął go na podłodze, na oczach tej małej, a ona stała i patrzyła. I chichotała jak dziecko. Pani Wainwright powiedziała, że w życiu nikogo nie było jej tak żal. A potem słyszała, jak Charlie Clement przysięgał, że się Bobowi odpłaci. „Nie myśl, że tylko ja w tym siedzę”, powiedział takim tonem, że obrzydzenie brało. „Jesteś taki sam jak my wszyscy, Bobie Hardwick”. Więc Bob zdzielił go jeszcze raz, i tym razem go znokautował. W dwie minuty spakował jego rzeczy i Charlie, jak niepyszny, pojechał na stację, z podbitym okiem i pewnie z niezłym bólem głowy. Bob dowiedział się, skąd jest ta mała, to znaczy gdzie jest jej prawdziwy dom, a nie gdzie mieszkała w Londynie. Pani Wainwright powiedziała, że ją tam odwiózł i porozmawiał z jej rodzicami. I zdaje się, że zaoferował im pomoc. Mówiła też, że odniosła wrażenie, że ta dziewczynka miała być czymś w rodzaju prezentu dla Boba. Możesz sobie wyobrazić coś takiego?

Pokręciłam głową. Teraz rozumiałam, jaki motyw mógł mieć Charlie. Pragnął zemsty.

Obiecałam powiedzieć wszystko Montanie, kiedy wróci. W tej chwili do pokoju przykużyła Texas.

- Pomyślałyśmy, że pójdziemy do baru - stwierdziła wesoło. - Może nawet dla was zaśpiewam.

Ginny od razu poweselała.

- To ja lecę się ubrać - powiedziała. - Przecież nie mogę iść do tego eleganckiego baru w szlafroku, no nie?

Odprowadziłam gości do drzwi, przypudrowałam nos, uszminkowałam się i założyłam swój stary „mundur” - czarne spodnie, czarny top, czarne baletki.

Bob miał rację. Podejrzani zaczęli się odsłaniać. To było jak zdzieranie warstw cebuli, aż w samym sercu ukaże się prawda.

W barze zobaczyłam, że Texas też przebrała się w coś niezobowiązującego. Tyle że jej niezobowiązujący strój był olśniewający - chłodny, szary szyfon, który połyskiwał srebrem, kiedy się poruszała. Oparta o biały fortepian śpiewała zmysłowe piosenki o miłości i złamanym sercach: *Smoke Gets in Your Eyes*, *My Funny Valentine*, *Spring is Here*. A w końcu *Body and Soul*. Wydało się to odpowiednim akcentem na zakończenie wieczoru.

Rozdział 43

Dopplemann

Było późno. Z baru wyszli już wszyscy z wyjątkiem Dopplemanna. Sam w ciemności, w ciszy zakłócanej jedynie ledwie słyszalnym pulsowaniem silników popychających jacht po falach - bo wczesnym rankiem mieli być w Sorrento - po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego Bob Hardwick zaprosił go w ten pożegnalny rejs. Tym bardziej że on, Dopplemann, zdobył się ostatnio na ogromny wysiłek i wrócił do Nowego Jorku z zamiarem załatwienia tej sprawy raz na zawsze. Ale Bob nie spotkał się z nim. „Sir Robert jest zajęty”, poinformował go asystent. „Cały dzień ma spotkania”.

Dopplemann powiedział, że zaczeka. „Sir Robert ma spotkania do późnej nocy”, odparł szorstko asystent. Najwyraźniej nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale w końcu Dopplemann zniknął dawno temu.

Nie wiedział, czy ten człowiek w ogóle się pofatygował, by powiedzieć Bobowi, kto chce się z nim spotkać. Dla asystenta był tylko ekscentrycznym, byle jak ubranym człowieczkiem, który wyglądał jak nikt. I był nikim, oczywiście, dzięki Bobowi.

Usłyszał kobiece kroki i nerwowo uniósł głowę. Kobieta zawahała się, patrząc w ciemność, jakby kogoś szukała. W końcu zrobiła jeszcze jeden krok i weszła w płamę światła. To była Daisy.

Dopplemann skulił się w swoim ciemnym kącie. Nie zobaczyła go. Podeszła do sofy pod oknem i uklękła na niej. Oparła głowę na rękach, zapatrzona na nocne morze.

- Daisy - powiedział cicho.

Obróciła się gwałtownie.

- Boże święty - szepnęła przestraszona. - Herr Dopplemann.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem - powiedział. - I proszę, mam na imię Marius. Dała mi je moja matka po długich kłótniach. Ojciec narzekał, że jest zbyt romantyczne, mówił, że to imię dla kompozytorów i artystów, a nie zwykłych ludzi. Tak czy inaczej, *Mutti* wygrała i zostałem Mariusem, choć przez większość życia wszyscy zwracali się do mnie po nazwisku.

Gapiała się na niego z wybałuszonymi oczami.

- Nie mogłem spać - wyjaśnił. - I domyślam się, że pani też. - Nieproszone usiadł na sofie obok niej i poczuł, jak się kuli, by jej nie dotknąć. - Czy coś panią gryzie? - zapytał łagodnie.

- Nie... A właściwie tak... Wiele spraw... Bob...

Pokiwał ze współczuciem głową.

- To trudne, celebrować czyjąś śmierć, ale czy nie tego właśnie chciał Bob?

Daisy zapadła się głębiej w poduchy kanapy. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- To nie tylko to...

- Chce mi pani o tym opowiedzieć?

Daisy była zdumiona. Dopplemann zachowywał się jak istota ludzka. Może dlatego, że byli sami, w ciemności, na środku morza, odcięci od rzeczywistości. Postanowiła pociągnąć tę scenę dalej.

- Herr Dopplemann...

- Marius-poprawił ją.

- Marius, czy był pan kiedyś zakochany?

- Tak, byłem zakochany. To był najboleśniejszy okres mojego życia.

- Dlaczego to było takie bolesne?

Dopplemann zdjął okulary i typowym, nerwowym ruchem zaczął je polerować miękką szmatką, którą nosił w kieszeni marynarki.

- Bo mnie zdradziła. - Założył okulary z powrotem i, ku jej zaskoczeniu, uśmiechnął się. - Podobno kobiety czasem takie są, tak słyszałem. Miała na imię Magali i była Węgierką. To namiętny naród, wie pani, wiecznie się biją

albo kochają, zależnie od tego, co im się wyda ważniejsze w danej chwili. - Wzruszył ramionami. - Poprosiłem ją o rękę. Byłem szalony z miłości, byłem gotów oddać jej każdego pensa, wszystko co posiadałem. Ale kiedy mnie poprosiła o to, czego naprawdę chciała, powiedziałem jej, że cena jest za wysoka. Nie mogłem tego zrobić. Prosiła, groziła, przymilała się. Obiecała wyjść za mnie następnego dnia, bylebym tylko dał jej to, o co prosiła. „Będziesz bogaty do końca życia”, powiedziała mi, ale ja odparłem, że nie zależy mi na bogactwach. Znowu zdjął okulary i przetarł je nerwowo.

- Oczywiście powinienem był się zorientować, że pracowała dla innego kraju i że tak naprawdę chciała mojej wiedzy. Chcieli, żebym dla nich szpiegował. Żebym zdradził sekrety Ameryki. - Dopplemann umilkł na chwilę. - W zamian miałem dostać kobietę, której pragnąłem.

Założył okulary z powrotem i zaczął wykręcać splecione dłonie z taką siłą, że wyszły mu żyły.

- Bob zawsze po przyjacielsku miał na mnie oko. Twierdził, że według niego nie jestem praktycznym człowiekiem, byłem zbyt pogrążony w moich na ukowych marzeniach. Poznał Magali i, jak wszyscy, zadał sobie pytanie, dla czego bystra, piękna, światowa kobieta zwróciła na mnie uwagę. - Znowu wzruszył ramionami. - Magali zorganizowała spotkanie z agentem w parku w Waszyngtonie. Jakimś cudem Bob się o tym dowiedział. Poszedł za mną, domyślił się, co się dzieje. „Ty szumowino - powiedział. - Ten kraj był dla ciebie taki dobry, a teraz ty zdradzisz go dla taniej dziwki, która owinęła cię sobie wokół palca i ma cię gdzieś. Dla kobiety, która cię rzuci, jak tylko dosta nie czego chce. Jesteś genialnym naukowcem - powiedział mi - ale jesteś idiotą. Człowiek, który myśli o zdradzie kraju, gdzie znalazł wszelkie zaszczyty, ogromną szansę... nie jest moim przyjacielem. I dopilnuję, żebyś nie był już niczym przyjacielem”.

Szkliste, zielone oczy Dopplemanna spojrzały na osłupiałą Daisy zza okularów.

- Ponieważ nie popełniłem tej zbrodni, Bob dał mi wybór. Miałem wyjechać natychmiast, a on nic nie powie. Znajdź jakąś wymówkę, powiedział, zdrowie, rodzina... cokolwiek. Tylko wyjedź. W przeciwnym razie miał mnie wydać FBI.

- Pan, oczywiście, wyjechał - powiedziała Daisy z westchnieniem ulgi.

Dopplemann uniósł na nią pusty wzrok.

- Poprosiłem Magali, żeby wyjechała ze mną. Wyśmiała mnie, powiedziała, że jestem do niczego, że nie jestem jej już potrzebny. Nikomu nie jestem

potrzebny i równie dobrze mógłbym nie żyć. Przez te wszystkie lata wiele razy modliłem się o siłę, by umieć wybaczyć jej i by wybaczyć Bobowi, bo oni we dwójkę zrujnowali mi życie. Bob mógł przymknąć oko, mógł pozwolić mi zostać, wykonywać moją pracę. Przecież byłem najlepszy na świecie...

- Więc nigdy mu pan nie wybaczył. - Daisy zrozumiała teraz, dlaczego Dopplemann mógł chcieć zamordować Boba.

- Byłem najlepszy. I nagle, przez Boba, stałem się nikim. Czegoś takiego nie da się wybaczyć. - Dopplemann wstał. Obciągnął marynarkę, wyprostował krawat i odkaslnął nerwowo, po raz kolejny poprawiając okulary. - Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Bardzo długo skrywałem to w sobie, ale tu tam, na statku, z dała od wszystkiego, i dlatego, że pani tak dobrze знаła Boba, poczułem, że mogę pani powiedzieć.

Daisy pospiesznie wstała z kanapy.

- Dziękuję, że pan mi się zwierzył - powiedziała, nagle znów ogarnięta strachem. Chciała uciec jak najszybciej i niemal pobiegła do drzwi, ale on ruszył za nią. - Nie będę czekać na windę - rzuciła i popędziła ku schodom. - Dobranoc, Herr Dopplemann.

- Marius - już na schodach usłyszała, jak ją poprawia. Pędem wbiegła na górę i schroniła się w swojej bezpiecznej kajucie.

Zamknęła drzwi i, zdyszana, oparła się o nie plecami. Nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się siedzieć tam z mordercą, słuchając jego zwierzeń o utraczonej miłości i o tym, jak Bob go zdradził. Dopplemann był naprawdę nienormalny.

Usiadła na brzegu łóżka, zrzuciła buty i opadła na poduszki. Na telefonie mrugała czerwona lampka. Wiadomość! Na pewno od Montany. Złapała słuchawkę, ale to tylko Texas prosiła ją, by wpadła do niej z samego rana, bo ma jej do powiedzenia coś ważnego o Clemencie.

Daisy pomyślała, że to się nigdy nie skończy. Było tak, jak przepowiedział Bob w swoim liście. Wszyscy podejrzani zaczęli odsłaniać swoje prawdziwe twarze. I motywy morderstwa.

Nie sposób być zbyt ostrożnym w wyborze własnych wrogów.

Oscar Wilde *Portret Doriana Greya*

Rozdział 44

Montana

Montana pił właśnie trzecie espresso w kawiarni na marinie w Sorrento, kiedy jak letni miraż, „Blue Boat” ukazała się na horyzoncie. Czuł się koszmarnie i rozpaczliwie potrzebował snu. Potarł ze znużeniem zarośniętą szczękę. Był ciekaw, czy Daisy ucieszy się na jego widok, czy była już do tej pory tak wkurzona, że będzie udawać górę lodową, co tak doskonale potrafiły robić kobiety.

Często gościła w jego myślach podczas długich lotów odrzutowcem Boba Hardwicka, kiedy siedział na wysokości dziewięciu tysięcy metrów w fotelu ze srebrnoszarej skóry, z szumem w uszach od tego całego latania raz po raz, z jednego krańca świata na drugi. Był zbyt zmęczony, by jeść czy spać. Zakrywał tylko oczy maseczką, próbując się zrelaksować. Od czasu do czasu wstawał, chodził niespokojnie po kabinie i myślał.

Miał już w rękach prawie wszystkie kawałki układanki i odpowiedzi były zaskakujące, podobnie jak motyw zabójstwa. Jeszcze nie miał dość dowodów, by oskarżyć mordercę, ale w Nowym Jorku, w wyposażonej w najnowsze zdobycze techniki głównej siedzibie firmy, jego ludzie już nad tym pracowali. Szukali w komputerach dokumentów, zeznań podatkowych, transakcji zakupu nieruchomości, aktów urodzenia, danych osobowych i więziennych rejestrów. Montana pomyślał, że życie jest pełne niespodzianek, a niektóre są naprawdę zaskakujące.

Patrzył, jak „Blue Boat” rzuca kotwicę. Widział, że część pasażerów stoi przy relingu, patrząc na białozłote klify Sorrento i wdychając pierwsze powiewy

aromatycznego powietrza, przesyconego zapachem drzew cytrynowych i pomarańczowych. Na wzgórzach rozciągały się winnice, a nad urwiskami, na samym skraju, wznosiły się rokokowe hotele z belle époque. Kolorowe łódki rybackie z warkotem wracały do portu, przywożąc połów - pyszne, świeże owoce morza na lunch. Cała marina brzęczała jak podniecony ul od włoskiej paplaniny.

Każdego innego dnia Montana byłby tym wszystkim oczarowany, ale teraz myślał tylko o Daisy. Postanowił, że dzisiaj ona będzie na pierwszym miejscu, że wynagrodzi jej to, że zniknął bez wyjaśnienia. Miał nadzieję, że odebrała jego wiadomość i zrozumiała, ale nie bardzo na to liczył.

Z pokładu ładunkowego wyłoniła się łódka, do której wsiadło kilku pasażerów. Wybrał numer Daisy.

- To ty? - zapytał, kiedy odebrała.

- Czy to nie ja powinnam zadać to pytanie? - Jej głos było lodowaty jak igloo w zimie.

- Owszem. Ale czy naprawdę chcesz znać odpowiedź?

- Jest mi to doskonale obojętne.

- Pod względem zawodowym czy osobistym?

Nastąpiła chwila ciszy. W końcu Daisy stwierdziła:

- Pracuję dla Boba, więc będę z tobą rozmawiać o pracy. Żaden „wzgląd osobisty” nie istnieje między nami.

- A jeśli przeproszę i powiem, że nie dało się inaczej?

- Nie potrzebuję przeprosin - rzuciła sucho. - Muszę z tobą porozmawiać. Dzieje się tu mnóstwo rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

- Czekam na ciebie na marinie - powiedział. Rozłączyła się.

Zaczął chodzić po pirsie z rękami w kieszeniach. Nie wyglądało to dobrze. Zrobiłby wszystko, by nie ranić Daisy, ale nie miał wyboru. Nigdy nie pozwoli, by kobieta przeszkodziła mu w pracy. Praca była na pierwszym miejscu, teraz i zawsze.

Rozdział 45

Daisy

Wsiadłam do łódki i wyruszyliśmy w stronę nabrzeża. Bordelaise płynęła ze mną w charakterze obstawy. Wiedziałam, że Montana nie powie przy

niej nic osobistego, a poza tym nie zamierzałam mu pozwolić na żadne przeprosiny. Facetom wydawało się, że wszystko im ujdzie na sucho. Zamierzałam udowodnić, że przynajmniej temu jednemu to się nie uda. Od tej pory rozmawiamy tylko o interesach.

Zobaczyłam go, czekającego na pomoście. Do diabła, świetnie wyglądał. Po raz kolejny zadałam sobie pytanie, skąd ma tę opaleniznę - bo na pewno nie od ganiań zabójców po wszystkich kontynentach. Przełknęłam westchnienie. Od tej pory będzie łączyła nas tylko praca, a poza tym zdobyłam tyle nowych informacji o podejrzanych, że musiałam z nim porozmawiać.

- Czy serce nie zmiękło ci nawet odrobinę? - mruknęła mi Bordelaise do ucha, kiedy wysiadłyśmy, a on ruszył w naszą stronę.

- Nie - skłamałam, ale wiedziałam, że nie oszukam mojej najlepszej przyjaciółki. Na użytek Montany przywołałam na twarz zimny uśmiech, ale serce mi łomotało, a w środku wszystko krzyczało z bólu. Kiedy wziął mnie za rękę, to było jak wstrząs elektryczny. Moja lodowata poza stopniała w mgnieniu oka.

- Jak się masz? - zapytałam, wrywając rękę.

- Teraz lepiej, kiedy cię widzę. - Obejrzał mnie sobie. - Ale wyglądasz na zmęczoną.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mogłam spać. Dopplemann też nie mógł. Mieliśmy spotkanie w pustym barze o drugiej nad ranem.

Jego uśmiech zniknął.

- Coś ty robiła poza kajutą, sama, o drugiej nad ranem?

Zagapiłam się na niego.

- Mówiłam ci, nie mogłam spać, więc wyszłam pospacerować...

- Jezu. - Puścił mnie. - Musiałaś zmylić agentów, którzy cię pilnują. Zało żyli, że po prostu poszłaś do łóżka.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o profesjonalny nadzór - powiedziała Bordelaise. - Ja też cię witam, Harry, jak się miewasz?

Odwrócił się do niej.

- Miło cię widzieć, Bordelaise. Jak się bawisz na jachcie?

- Jak na razie wręcz niesamowicie. Nie masz pojęcia, ile mamy atrakcji w postaci podtekstów, intryg, knucia, nie mówiąc już o wyznaniach i nocnych konfrontacjach w barze.

Montana zatrzymał taksówkę. Pojechaliśmy w górę stromego stoku, do miasta, do Albergo Lorelei et Londres, z którego, jak powiedział, był najlepszy widok na całe Sorrento.

Nie chciało mi się pytać, skąd to wie. Należał do tych ludzi, których można było rzucić do dowolnego miasta na świecie, a oni znali najlepsze miejsca. I nie mylił się co do maleńkiej, dziewiętnastowiecznej gospody z tarasem, zawieszonym nad nieskończonym błękitem Zatoki Neapolitańskiej, z widokiem na wyspę Capri na horyzoncie i na Wezuwiusza na północy. Gospoda tonęła w amarantowej bugenwili. Były tam też drzewka cytrynowe w donicach i stoliki w cieniu czerwonych markiz. Panował gwar rozmów i śmiechu, i wyglądało na to, że wszyscy prócz mnie doskonale się bawią.

Zajęliśmy stół pod markizą. Słodka morska bryza, rozwiewająca mi włosy, zaczęła rozwiewać także mój zły nastrój. Poczulałam się odrobinę lepiej. Lekko skacowana po cosmopolitanach i szampanie zamówiłam pellegrino z cytryną, a Montana i Bordelaise wzięli piwo Peroni. Przyniesiono półmisek z *calamari fritti*, jeszcze skwierczącymi po zdjęciu z patelni, i miseczkę cytrynowego *aioli*. Jedliśmy w milczeniu, maczając kalmary w sosie. W końcu się rozluźniłam. Nie byłam jeszcze gotowa wybaczyć Montanie, ale teraz przynajmniej mogłam spojrzeć mu w oczy, nie mordując go wzrokiem.

- Mam zacząć, czy ty chcesz mi pierwsza powiedzieć swoje nowiny? - za pytał.

- Ty pierwszy. - Wrzuciłam ociekającego *aioli* kalmara do ust. Pomyślałam, że jak tak dalej pójdzie, to wrócę do domu z pięć kilo cięższa, ale kto by się przejmował?

- Przepraszam, że zostawiłem cię tak nagle, ale dostałem telefon o czwartej rano. Spałaś. Nie chciałem cię budzić.

Uniosłam rękę, by przestał.

- To jest czysto zawodowe spotkanie.

- Okej. No więc dzwonił mój asystent z Nowego Jorku. Ściągnęliśmy ekipę dochodzeniową, żeby zbadali samochód Boba. Doszli do interesujących wniosków.

Wzięłam kolejnego kalmara. Montana przechylił się przez stół i położył dłoń na mojej.

- Posłuchaj, Daisy - powiedział z naciskiem. - To ważne. - I opowiedział mi, jak zginął Bob.

W palącym słońcu Sorrento zmieniałam się w sople lodu. Spojrzałam w przerażone oczy Bordelaise, potem znów na Montanę.

- Przykro mi - powiedział i pogłaskał moje zimne dłonie.

Zapłonęłam gniewem. Byłam gotowa własnoręcznie udusić zabójcę, który zabrał mi Boba, odebrał życie dobremu człowiekowi, a sam wiódł dalej swój godny pogardy żywot.

- Oczywiście, że to Dopplemann - stwierdziłam. - Powiedział mi wczoraj w nocy, co myśli o Bobie. - Wprowadziłam Montanę w temat. - Więc wi dzisz, jego motywem była zemsta. To on, jestem pewna.

- Będziemy musieli poczekać, aż będę miał ostateczny dowód - powiedział Montana.

- Ale w takim razie co z Charlem Clementem? - zapytała Bordelaise.

Już wcześniej zapoznałam ją z historią Ginny, a teraz powiedziałam też Montanie, że Texas widziała go w cieszącym się złą sławą klubie Ecole de Nuit. Jakiś czas temu pracowała w Paryżu i poszła do klubu z niedawno poznany mężczyzną. Do „klubu dla wybrańców”, jak się wyraził. Okazało się, że to jedno z tych miejsc pod tytułem „dla każdego coś miłego”, seks dla każdego, kto chciał i jak chciał, nawet z dziećmi. Człowiek, z którym była, powiedział jej, że właścicielem jest Charlie Clement i pokazał go jej. Texas wyszła natychmiast, kiedy się zorientowała, co to za miejsce, ale wiedziała na pewno, że to klub Charliego.

- Więc Bob miał rację - stwierdził Montana. - Wszyscy zaczynają pokazywać prawdziwe twarze.

- Tylko Rosalii nie obchodzi, co jest w testamencie Boba - powiedziałałam. - Nic od niego nie chce i nigdy nie chciała.

- Ciekawe - mruknął Montana zamyślony.

Bordelaise pomachała do kogoś przy innym stoliku.

- Muszę lecieć - powiedziała, biorąc torebkę.

Zobaczyłam, że kapitan Anders wstaje z krzesła, kiedy ruszyła w jego stronę. Oboje wyglądali na zadowolonych ze spotkania.

- Bordelaise znów jest w formie - stwierdziłam z uśmiechem.

Montana widocznie mylnie zinterpretował ten uśmiech jako pęknięcie w mojej zbroi, bo powiedział:

- A co z nami, Daisy? Będziemy się dalej kłócić o nic?

- O nic!? - Policzki mi zapłonęły z oburzenia. - Zasypiam, mając obok siebie mężczyznę. Następnego ranka on znika bez słowa wyjaśnienia. To ma być nic?

- Oczywiście, że nie, ale jest rozsądne wytłumaczenie. Poza tym zadzwoniłem i zostawiłem ci wiadomość. Nie odebrałaś jej?

Zagapiłam się na niego.

- Jaką wiadomość?

- Chcesz jej posłuchać?

Patrząc na jego zatroskaną twarz, pomyślałam, że jeśli będę się dalej dąsać i powiem nie, on może sobie pójść, a nie chciałam, żeby to zrobił.

- No dobra. Więc powiedz mi - burknęłam.
- I co myślisz? - zapytał, kiedy skończył się tłumaczyć.

Wstałam z krzesła i posłałam mu długie spojrzenie. Bez słowa wziął mnie za rękę i sprowadził na marinę, gdzie wsiedliśmy do łódki i wróciliśmy na „Blue Boat”.

Wszyscy byli na brzegu, na jachcie panowała cisza. W moim apartamencie było chłodno. Klimatyzator mruczał cicho, zasłony były zaciągnięte, odcinając popołudniowy żar słońca. Rzuciłam torebkę na krzesło i przeszłam do sypialni. W końcu się odwróciłam.

- Chodź tu, Montana - powiedziałam. A on, śmiejąc się, przyszedł prosto w moje otwarte ramiona.

To nie była powtórka z rozrywki, to było całkiem nowe przedstawienie. Jego pocałunki były czulsze, moje bardziej namiętne. Dotyk jego dłoni wydawał mi się zupełnie nowy, usta gorące i dobrze znane. Jego ciało idealnie pasowało do mojego, pieczyoty sprawiały, że drżałam, a usta - że błagałam o jeszcze. Pragnęłam Harry'ego Montany bardziej niż kiedykolwiek. Nie sądziłam, że potrafię aż tak pragnąć mężczyzny. A Harry zaspokoił wszystkie moje żądania.

O siódmej wieczorem wciąż jeszcze leżeliśmy w łóżku, wykapani pod prysznicem i nadzy.

- To tylko tak, żeby złapać oddech - powiedział, wtulając się w moją szy-

Jęknęłam, chowając twarz we włosach na jego piersi i gryząc go lekko.

- Nie mogę dziś patrzeć na podejrzanych. Nie chcę myśleć o morderstwie, o pieniądzach, nie chcę się zastanawiać, kto to zrobił. Czy nie możemy po prostu zostać tutaj, sami? - błagałam.

Po głowie kołatała mi się niechciana myśl, że może tylko tyle mamy, dzisiejszą noc, i nic więcej. Z mężczyznami takimi jak Montana wszystko było możliwe. Nigdy nie będę wiedzieć, kiedy znowu zniknie, tym razem na dobre. Chciałam wszystkiego, co tylko mogłam od niego dostać. Teraz.

- Więc na nich nie patrzmy - powiedział ku mojemu zaskoczeniu. - Zadzwońmy po room-service.

- Ale wtedy będziesz musiał się schować w łazience - zaprotestowałam.

- Naprawdę sądzisz, że uwierzą, że zjesz dwie kolacje? Daj spokój, Daisy, myśl rozsądnie, nikogo to nie obchodzi, oprócz mnie i ciebie.

Zerknęłam na niego z ukosa, nieufnie.

- A ciebie obchodzi?

- Tak - powiedział, poważniejąc nagle. - Zależy mi na tobie, Daisy.

Nie powiedział „Kocham cię”, ale na razie wystarczyło mi to w zupełności. To nie była po prostu przelotna, seksualna przygoda. Byłam z mężczyzną, na którym coraz bardziej mi zależało i któremu zależało na mnie.

- Więc zadzwońmy po room-service - powiedziałam rozpromieniona.

Część 9

Dzień piąty, willa Belkiss,
odczytanie testamentu;
czas poznać prawdę

Szacunek winniśmy okazywać żywym; zmarłym jesteśmy winni tylko prawdę.

Voltaire

Rozdział 46

Daisy

Był wczesny ranek. Montana siedział na werandzie, pijąc kawę. -

Chodź no tutaj, Daisy - zawołał.

Wciąż leżąc w łóżku, ziewnęłam leniwie i przeciągnęłam się z lubością. Moje ciało było zrelaksowane i giętkie jak u kociaka.

- Nie, to ty wracaj tutaj - odpowiedziałam, myśląc, że kochanie się rano może być nawet miłsze niż w nocy. I przyszedł. Ale zamiast wejść do łóżka, podciągnął mnie za ramiona i poprowadził do relingu.

- Patrz - rozkazał.

Przed nami wznosiła się wyspa Capri, maleńki klejnot na szafirowym morzu. Miasteczko wyglądało jak płatanina błyszczących kwiatów i zieleni, przetykana białymi domami. Leżało pomiędzy dwoma ogromnymi, wapiennymi klifami pełnymi jaskiń i grot. Poniżej, z głębin, sterczały gigantyczne skały, wokół których perkotały małe łódki. Przypomniała mi się legenda o rzymskim cesarzu Tyberiuszu, który tak pokochał tę wyspę, że zbudował na niej willę i nie wrócił więcej do Rzymu. Patrząc na tę scenerię, mogłam go zrozumieć.

Naga w objęciach Montany, oparłam łokcie o reling. Pragnęłam, byśmy byli tylko parą zwyczajnych turystów, zamierzających odkrywać uroki, jakie miała do zaoferowania Capri. Pragnęłam, by dzisiejszy dzień nie musiał się wydarzyć.

Montana odgadł moje myśli i powiedział:

- Może kiedyś jeszcze tu wrócimy.

Ale znając jego tryb życia, niezbyt na to liczyłam. Pomyślałam, że trzeba wykorzystać ten czas, jaki mamy, i zaprowadziłam go za rękę do łóżka. Nasza randka z przeznaczeniem na Capri mogła jeszcze poczekać.

Dwie godziny później wyszliśmy na pokład. Kazaliśmy się zawieźć łódką na Marina Grandę i kolejką linową wjechaliśmy na Piazzetta, mały placyk, stanowiący centrum miasta, otoczony ślicznymi kawiarenkami i butikami, z wysoką wieżą z zegarem o przepięknie zdobionej majolikowej tarczy. Wskazówki zegara pokazywały południe. Umówieni byliśmy ze wszystkimi o drugiej w willi Belkiss. Mieliśmy dwie drogocenne godziny tylko dla siebie.

Trzymając się za ręce, spacerowaliśmy po brukowanych uliczkach, zatrzymując się, by zajrzeć do małego warsztatu, gdzie ręcznie robiono słynne sandały z Capri, do sklepów z biżuterią i butików z modnymi kreacjami. Skuszeni zapachami dolatującymi z Ristorante Pizzeria Aurora na via Fuorlovido, usiedliśmy na tarasie. Popijając czerwone wino, patrzyliśmy, jak toczy się życie na Capri, i wspólnie jedliśmy neapolitańską *pizza aWacqua* z mozzarellą i papryczkami peperoncino. Niebo na cienkim cieście.

Tak dobrze się bawiłam, że prawie zapomniałam, dlaczego tu jesteśmy, ale nagle zadzwoniła komórka Montany. Odebrał szybko. Przeciągnął dłonią po swojej ciemnej, krótko ostrzyżonej głowie. Twarz miał zatroskaną.

- Jesteś pewien? - zapytał w końcu. Kiwnął głową. - Okej. Dobra. Rozumiem.

Rozłączył się i spojrzał w moje pełne niepokoju oczy. Nie powiedział nic, ale domyśliłam się, że wie już, kto jest zabójcą.

- Gadaj - zażądałam.

- Dowiesz się, aż za szybko - powiedział tylko.

Wychyliłam szybko resztę wina i poprosiłam o następne, ale Montana zamiast tego zamówił dwa espresso.

- Lepiej, żebyś była przytomna - ostrzegł. - Przy drzwiach będzie dwóch strażników, ale będą nieuzbrojeni. Nie mogę ryzykować użycia broni przy tylu osobach w pomieszczeniu. Mimo to będziesz bezpieczna, nie martw się.

Kiwnęłam głową, żałując, że Bob urządził ten cały teatr. Ale gdyby tego nie zrobił, nie poznałabym Montany. Stwierdziłam, że po prostu muszę cieszyć się tym, co mam i wziąć to z całym „dobrodziejstwem inwentarza”.

Ruszyliśmy powoli w górę piękną via Tragara, oglądając intrygujące, sklepione schody między jasnymi domami i wille za wysokimi żelaznymi bramami, oflankowane gigantycznymi oleandrami, obsypanymi kwieciami niczym ślubne bukiety. Uliczka biegła między wysokimi murami ogrodów i otaczały

nas wszechobecne odgłosy lata - ćwierkanie ptaków, granie świerszczy, brzęczenie ważek. Słońce odbijało się od morza tysiącem diamentowych punktów, jego promienie przebijały się przez pergole ciężkie od winorośli i wyzłacały zwężone kiście małych, opalizujących, zielonych winogron. Z ulgą skřęciliśmy w wąską cienistą uliczkę, prowadzącą pod górę. Na jej końcu wznosił się wysoki biały mur i masywna, dwuskrzydłowa brama z pomalowanego na niebiesko drewna. W mur wprawiona była mozaikowa tablica z nazwą WILLA BELKISS.

Montana posłał mi długie spojrzenie, wciskając guzik dzwonka. Byliśmy na miejscu.

Rozdział 47

Daisy

Stępujący w białej marynarce, staruszek z pomarszczoną, brązową niczym kaskazian twarzą i szpakowatymi włosami, otworzył nam bramę.

- Witamy w willi Belkiss. Jestem Enrico - powiedział. - Pracowałem dla signore Vassilya prawie dwadzieścia lat. Signora, signore, willa Belkiss wita państwa. Przekąski i napoje już czekają. Zapraszam do środka.

Weszliśmy na dziedziniec. Jego boki wyznaczały bliźniacze szaroniebieskie sadzawki, w których błyskały złote rybki. Chodnik między sadzawkami prowadził do szerokich schodów z podstopnicami z niebieskich i turkusowych kafelków. Portyku strzegły wąskie kolumny, drzwi wejściowe stały otworem. Za nimi widać było ogromną salę, biegnącą przez całą szerokość domu. A za nią, za oszklonymi drzwiami, było morze.

Sufit wznosił się na wysokość dwóch pięter, jego grube belki pomalowano na łagodny błękit. Pod nimi w jednym końcu sali wznosiła się antresola. Tera-
kotowe posadzki zdobiły kobaltowobłękitne gwiazdy. Na białych ścianach wisały stare, srebrne lustra i stonowane obrazy; pod nimi stały białe sofy, tak głębokie, że można by w nich utonąć.

Oczarowani widokiem, jak zapewne każdy, kto tu wchodził, wyszliśmy z Montana na taras. Basen zdawał się rozlewać aż po horyzont, a wąski wodospad spływał z miejsca gdzieś nad nami do niższego basenu, głębokiego i zielonego, w miejscu, gdzie morze wspinało się na skały. Pod pergolą z winorośli stał długi drewniany stół, idealne miejsce na kolację w gorący letni wieczór.

Wokół dużego ogrodowego kominka stały wygodne fotele. Kolejne niebieskie, drewniane wrota, osadzone w ścianie ogrodu, prowadziły na poszarpane wapienne urwiska, ale tu, w ogrodzie willi Belkiss wszystko było łagodne i kojące.

Róże i kapryfolium, bugenwilla i hibiskus, powój i jaśmin pięły się po pergolach i przelewały przez niskie, stiukowe murki. Słychać było szelest strumyka, pluskanie wodospadu, gruchanie turkawek i cichy szepc cykad.

- Jaki tu spokój - szepnęłam do Montany. - Wiedziałeś, że Vassily sam to wszystko zaprojektował? - dodałam.

Belkiss był synem Rosjanki i Turka. Słynny był z eterycznej lekkości swojego tańca i umiejętności podnoszenia balerin jak piórka. Kiedy zainteresował się tym miejscem, była to ledwie dwuizbowa, biała prostokątna chałupa z płaskim dachem, otoczona nieużytkami. Ale rozciągał się stąd magiczny widok, i Belkiss, oczywiście, zakochał się w nim. Całe lata projektował dom i jego ogrody, a kiedy skończył, zaczął urządzić wystawne przyjęcia z muzykami na tarasie albo na antresoli. Na te przyjęcia przychodził cały europejski *haut monde*. Podawano homary, szampana i kawior, a także miejscowe białe, wytrawne wino, które bardzo lubił. A potem tańczył dla swoich gości.

Przywoził tu swoje wszystkie kochanki... i kochanków, bo taki właśnie był. A potem, kiedy był już stary... no, w każdym razie stary jak na baletmistrza, koło pięćdziesiątki, napisał plotkarską autobiografię, która oburzyła cały świat i sprawiła, że stracił bardzo wielu przyjaciół. Wrócił więc tutaj i mieszkał w prawie całkowitym odosobnieniu, z psem, którego uwielbiał.

Te niebieskie drzwi kazał wyciąć w murze po to, by móc wychodzić z psem na klify. Znał te skały jak własną kieszeń, wiedział, gdzie są wszystkie niebezpieczne szczeliny i zagłębienia, ukryte w trawie.

- Umarł tutaj, na tym tarasie - powiedziałam Montanie. - Siedząc w swoim fotelu, z psem u boku, sącząc ulubione wino i patrząc na swój ukochany widok.

Spojrzałam w oczy Montany i wiedziałam, że oboje myślimy to samo. O ileż lepiej byłoby, gdyby Bob umarł w spokoju jak Vassily.

Zjawił się Enrico ze szklankami mrożonej herbaty i małymi migdałowymi ciasteczkami, które, jak powiedział, były specjalnością willi. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła druga.

Daisy

Ciemne chmury zbierały się na horyzoncie, kiedy podejrzani zaczęli się schodzić na dziedziniec. Wyglądali jak grupa najzwyklejszych turystów, w szortach, spódnicach i sandałach, w okularach przeciwsłonecznych i słomkowych kapeluszach. Davis jak zwykle miał aparat zawieszony na szyi, a Dopplemann taszczył drogą lornetkę, kupioną, jak zakładałam, za pieniądze od Boba, gdzieś po drodze.

Charlie Clement miał na twarzy wygięte okulary, zachodzące aż na skronie i szczelnie zakrywające oczy. Magdalena zostawiła Bellę na pokładzie „Blue Boat” z nianią i przysłała tu z Rosalią i Hectorem, jak zwykle wystrojonym w białą marynarkę, z włosami tak przylizanymi, że wyglądały, jakby o mało ich nie wyrwał przy czesaniu.

Dianę ubrała się na czarno, by podtrzymać swój image „wdowy”. Była bardzo obrażona, że musiała iść pieszo, za to Filomena weszła na dziedziniec różnym krokiem, olśniewająca w króciutkich szortach, świeżo zakupionych sandałach z Capri i w kusym topie wiązonym na szyi. Była z Brandonem, oczywiście.

Bordelaise, wiecznie młoda cheerleaderka ze swoją opalenizną, w szortach i białej koszulce, przysłała z Texas, która jak zawsze wyglądała doskonale w prostym, bawełnianym kostiumie.

Wiatr poruszył gałęziami drzew, zrzucając z głowy Dopplemanna panamę, która potoczyła się po dziedzińcu. Naukowiec rzucił się za kapeluszem jak niezgrabny patyczak w szortach.

Reg i Ginny wykrzykiwali z zachwytem, oglądając willę i kierując się na taras, by podziwiać widok. Reg powiedział, że nigdy w życiu nie widział nic podobnego i głośno podziękował Bobowi za zaproszenie, bo gdyby nie ono, mógłby przeżyć życie, nie wiedząc, że takie miejsca są na świecie. Ginny rozmawiała z Enrico, który rozdawał kieliszki słynnego wytrawnego wina o charakterystycznym smaku, zimne piwo, mrożoną herbatę i pellegrino. Staruszek wydawał się zadowolony z całego tego zamieszania. Domyślałam się, że jest szczęśliwy, widząc, jak willa wraca do życia. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, dlaczego tu jesteśmy.

Ciemne chmury po drugiej stronie zatoki kłębiły się coraz bliżej, zahuczał daleki grzmot. Montana skinął głową, kiedy spojrzałam mu w oczy. Już czas.

Poprosiłam wszystkich do wielkiej sali, sadząc podejrzanych w pierwszym rzędzie foteli, tuż przed olbrzymim hebanowym biurkiem, za którym stanął Montana. „Statyści” usiedli w rzędzie z tyłu.

Kiedy wykonałam swoje zadanie, usiadłam za biurkiem obok Montany. Grzmol rozdarł pełną wyczekiwania ciszę. Kobiety spojrzały nerwowo na siebie.

Pomyślałam, że ta scena wygląda dokładnie tak, jak opisał ją Bob w swoim liście: wiejski dom, nadchodząca burza, podejrzani czekają na odczytanie testamentu.

Kobiety zakładały nogę na nogę, odstawiały torebki na posadzkę obok krzeseł, przyglądały spódnice, obciągały szorty i splatały dłonie na kolanach. Mężczyźni opierali się wygodniej, zakładając ręce na piersi i wyglądali dość agresywnie moim zdaniem, z wyjątkiem Dopplemanna, który zatonął w swoim wielkim fotelu i wyglądał jak Biały Królik, uwięziony w Krainie Czarów. Charlie pstryknął palcami, by przywołać Enrico z kolejnym drinkiem, a Davis patrzył wprost na Montanę.

Rozległo się kilka nerwowych kaszlnięć, kiedy Montana podniósł teczkę z dokumentami i wyjaśnił, że testament Boba ma formę listów. Po jednym do każdego z zebranych.

I zaczął czytać.

Rozdział 49

*Ostatnia wola sir Roberta Hardwicka
Przyjaciele,*

Jeśli jeszcze mogę Was tak nazywać. Mam nadzieję, że dobrze bawiliście się podczas rejsu i że uczciliście moją pamięć, jakbyście naprawdę szczerze tego pragnęli. Ale zebraliśmy się tutaj po to, by się dowiedzieć, kto z Was mnie zabił.

Ciche okrzyki zaskoczenia obiegiły salę. Wszyscy spojrzeli po sobie nerwowo.

Ale zanim do tego dojdziemy, chcę Warn przypomnieć, że nieczęsto człowiek dostaje w życiu drugą szansę - a jednak dziś ja oferuję każdemu z Was taką właśnie szansę. Zacznijmy od Ciebie, Dianę.

Przejęta Dianę pochyliła się do przodu w fotelu.

Nie mogę być pewien, czy to Ty mnie zabiłaś, Dianę, ale na pewno byłaś przekonana, że masz słuszny powód. Wiele razy widziałem w Twoich

oczach gniew. Wiedziałem, że z chęcią wyrządziłabyś mi krzywdę. Zastał (nawiałem się dla czego. Czy nie byłem dość hojny? Czy nie dałem Ci wię-

cej, niż zostało określone w intercyzie? Jako lady Hardwick miałaś wszystko, czego chciałaś, a mimo to wciąż pragnęłaś więcej. Co takiego jest w tych pieniądzach? Bóg mi świadkiem, że jako dziecko nie miałem ani grosza, tak samo jak Ty, Dianę.

Usta Dianę zacisnęły się w cienką kreskę. Rozejrzała się wokoło, próbując wyczytać coś z twarzy sąsiadów, ale oni patrzyli na Montanę, czekając, co będzie dalej. Dianę czuła, że raczej jej się to nie spodoba.

Z początku dałem się nabrać na Twój rodzinny chateau i na te bzdury z drzewem genealogicznym, bo dobrze grałaś rolę arystokratki. Ale potem zajrzałem do francuskiej historii. Wydawało mi się, że Twoje nazwisko brzmi znajomo, a było tak dlatego, że pierwotnie należało do Dianę de Poitiers, księżnej de Valentinois, kochanki króla Francji Henryka II. Dianę de Valentinois rządziła całym francuskim dworem aż do śmierci króla, po której jego żona, Katarzyna Medycejska, zmusiła ją do życia w odosobnieniu. Nie w jej wspaniałym chateau w Chenonceaux, ale w tańszym i o wiele brzydszym Chaumont. Ale oczywiście, Dianę, Ty z pewnością wiesz to wszystko. Dianę wpatrywała się w Montanę, gotując się z wściekłości, że przyłapano ją na kłamstwie. Nie powiedziała jednak nic, a on czytał dalej:

Zatem w dbałości o szczegóły historyczne kupiłem Ci chateau, w którym będziesz mogła spędzić „emeryturę”. Oczywiście jest mniejszy niż Chenonceaux czy nawet Chaumont, ale w sam raz odpowiedni dla mojej lady.

Może go pamiętasz. Kiedyś byliśmy tam razem. Urocze, spokojne miejsce na wzgórzach nad Saint-Tropez, otoczone własnym sosnowym lasem, z widokiem na morze - doskonałe do przyjmowania gości. Tak doskonałe, że zostawiam Ci dość pieniędzy, byś mogła przyjmować gości na poziomie, a jednocześnie wreszcie zarabiać na własne utrzymanie. Są już zatwierdzone plany przebudowy tej nieruchomości na hotel. Wybrałem już nawet dla niego nazwę - Chateau de Valentinois. Nareszcie, moja droga Dianę, Twoje otoczenie będzie pasowało do Twojej historyjki. I wszyscy Twoi starzy przyjaciele będą mogli Cię odwiedzić i zostać na dłużej. Pomyśl, jakie to będzie przyjemne, tym razem obciążyć ich konta za tę przyjemność.

To jest Twoja „druga szansa”. Będziesz miała dość pieniędzy, by pokryć kosztą renowacji i wystartować z interesem, a rozsądna „emeryturka”

w wysokości dziesięciu milionów dolarów pozwoli Ci spokojnie żyć. Dywidendy będą Ci wypłacane co miesiąc, żebyś nie przepuściła wszystkiego w kasynie. Reszta zależy od Ciebie. Jest takie stare przysłowie: „próżne ręce kuszą diabła”. No więc, dzięki temu będziesz miała zajęcie. Ale nie przelicz się, to będzie ciężka praca. Ciekawe, czy jej poddasz? Zobaczmy.

Nie rozumiem tylko, co się stało z tymi wszystkimi pieniędzmi, które Ci dałem. Co się stało z biżuterią? Z domem? Nie wierzę, by Twoje problemy z hazardem były aż tak poważne, więc co właściwie z tym wszystkim zrobiłaś?

Nie, droga Dianę, tak naprawdę nie wydaje mi się, byś to Ty mnie zamordowała. Po pierwsze, nie sądzę, żebyś była dość sprytna, by zaplanować coś tak skomplikowanego jak morderstwo - chyba że byłaby to crime passionel, wbicie noża w plecy niewiernego kochanka czy coś w tym rodzaju.

Myślę, że na swój sposób mnie kochałaś. I przez krótki czas ja też byłem w Tobie zakochany. To dla mnie cenne chwile, mimo tego wszystkiego, co było potem. Tak więc, chere Dianę, żegnam Cię serdecznie i życzę Ci bonne chance.

Mam tylko jedno zastrzeżenie. By otrzymać własny chateau, musisz teraz powiedzieć prawdę. Więc wstań, moja droga. Przyznaj, kim byłaś kiedyś, kim jesteś teraz, a także na co poszły moje pieniądze i dlaczego. Nie zatajaj niczego, bo zapewniam Cię, że Montana i tak na pewno już to wszystko wie.

Wszystkie oczy skierowały się na Dianę, która siedziała z kamiennym wzrokiem, z płonąca twarzą. Po chwili wstała. Patrząc na Montanę, powiedziała:

- Skoro pan wie wszystko, ja nie muszę już niczego mówić.
- Ale Bob chce, żeby pani nam powiedziała, Dianę.

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

- Żebyście mogli triumfować.
- Nie jesteśmy tu po to, by triumfować, słuchając o cudzych nieszczęściach. Przyszliśmy tu dostać drugą szansę, pamięta pani?

Zadarła buntowniczo podbródek.

- Więc dobrze. Nie jestem arystokratką. Wymyśliłam samą siebie na nowo jak całe mnóstwo innych kobiet. Urodziłam się jako Dianę Lenclous na biednej, żalostnej małej farmie. Ojciec bił mnie i moją siostrę, a matka zapłała się na śmierć, bo uznała to za lepszą opcję niż życie. Nasze gospodarstwo leżało blisko... a jednak tak daleko... od pięknych chateau nad Loarą, które dla mnie

były mniej więcej tak samo osiągalne jak księżyc. To dlatego przyjąłem nazwisko Dianę de Valentinois. Jako młoda dziewczyna pragnęłam być taka jak ona. - Wzruszyła ramionami. - I prawie mi się udało, nie sądzicie? Kiedy *ma-man* umarła, ja i moja młodsza siostra, Alice, zostałyśmy same z papą, który zaczął wyładowywać swoją wściekłość na nas. Uciekałyśmy z domu i pomagałyśmy w gospodarstwie, unikając, jak się dało, jego ciosów, ale o jeden raz za dużo pojawiłyśmy się w szkole posiniaczone i nauczycielka zadzwoniła do opieki społecznej. Papa wyładował w więzieniu na pół roku. Nie wiem, co się z nim stało potem, nigdy więcej go nie widziałam. Miałam trzynaście lat, a Alice dziewięć, kiedy umieszczono nas w zimnym domu z czerwonej cegły, razem z czterdzieścioro innych bezdomnych dzieci. Każde z nas miało łóżko, które mogło nazwać swoim, i małą komodę, w której mogliśmy trzymać swoje rzeczy. Tyle że ja i Alice nie miałyśmy żadnych rzeczy. Dostawaliśmy trzy ledwie zjadliwe posiłki dziennie, sześć dni w tygodniu chodziliśmy do szkoły, co rano do kościoła, a w niedzielę nawet dwa razy. Czułam się tak, jakby moją duszę spętano kaftanem bezpieczeństwa, który wyciskał ze mnie życie. Poczekaliśmy do szesnastych urodzin i uciekłam. Obiecałam Alice, że wrócę po nią, kiedy osiągnę sukces. Jak wszystkie nastolatki zamierzałam zostać gwiazdą filmową. Byłam wystarczająco ładna, potrzebowałam tylko pieniędzy i odpowiednich znajomości. Sądziłam, że to będzie proste.

Dianę umilkła. Patrzyła w podłogę, przygryzając dolną wargę, jakby to, co miała powiedzieć teraz, było zbyt bolesne.

- Nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły, jak wyglądało wtedy moje życie - powiedziała w końcu - więc opuszczę parę lat. Wystarczy powiedzieć, że wyszłam za bogatego człowieka, stałam się lady Hardwick i zupełnie inną osobą. Obiecałam Alice, że osiągnę sukces, i kiedy z początku mi się nie udało, za bardzo się wstydziłam, by jej się do tego przyznać. „Poczekaj, tylko poczekaj - mówiłam - wszystko będzie dobrze. Niedługo po ciebie przyjadę”. Ale byłam już damą z towarzystwa, pochłaniało mnie moje nowe życie, kreacje i przyjęcia, biżuteria i domy. Musiałam podtrzymywać mój nowy image, a Alice była wiejską myszką, znała tylko nasze nieszczęsne dzieciństwo i dom dziecka. Gdybym przywiozła Alice, by zamieszkała ze mną, zdemaskowałaby mnie, więc odsunęłam ją. Dawałam jej pieniądze, mówiłam, że po nią przyślę, kiedy będę mogła. Ale Alice nie chciała dłużej czekać. Postanowiła wynająć samochód i przyjechać do mnie do Monte Carlo. Była pod Lyonem, kiedy samochód uderzył w drzewo. Wydostali ją, rozcinając wrak, i zawieźli do szpitala. W torebce znaleźli list ode mnie. Wydawałam właśnie przyjęcie, kiedy do mnie zadzwonili. Potwornie bałam się o Alice, ale moi goście byli ważnymi

ludźmi, nie mogłam ich tak po prostu zostawić, więc, o wstydzie, dalej ich ba-
wiłam. Do Lyonu poleciałam następnego ranka. Alice była w sypialni. Była
tak poowijana bandażami, że wyglądała jak mumia. Powiedzieli, że przednia
szyba roztrzaskała się i pokaleczyła jej twarz. I że mózg uległ uszkodzeniu.

Dianę uniosła głowę i spojrzała na swoich słuchaczy. Niecierpliwie otarła
łzy, które płynęły jej po policzkach.

- Przyznaję się. Modliłam się, żeby moja siostra umarła - powiedziała ci-
cho. - Chciałam, żeby umarła. Była słodką, prostą dziewczyną, a teraz stała
się niczym. I to była moja wina. Leżała w szpitalu przez wiele miesięcy.
Twarz się zagoiła, ale blizny były koszmarnie. W końcu wybudziła się ze
sypialki. Wierzę, że mnie rozpoznała, choć nie mogła wypowiedzieć mojego
imienia, bo nie mogła już mówić. Jako żałosna, samolubna kobieta nie po-
trafiłam wcześniej przyznać się do swojej siostry, do tej wieśniaczki, więc
i teraz nie mogłam tak po prostu przywieźć jej do domu i powiedzieć: Proszę
bardzo, oto moja siostra, kaleka, oszpecona i z uszkodzonym mózgiem.
Będę nienawidzić siebie do końca moich dni za to, co zrobiłam potem, ale
po prostu nie mogłam jej wziąć do siebie. Więc kupiłam jej mały domek,
tam, niedaleko szpitala w Lyonie, w którym zawsze mogła uzyskać pomoc,
jakiej potrzebowała. Znalazłam doświadczoną opiekunkę, pielęgniarkę, któ-
ra zamieszkała z nią i dbała o jej potrzeby. Miała mały ogródek, własny dom.
Nie miała tylko siostry, która mówiłaby jej, że ją kocha. - Dianę umilkła na
chwilę. Zamknęła oczy. - Teraz możecie mną gardzić - powiedziała. Łzy
pociekły jej po twarzy. - Kiedy Bob się ze mną rozwiódł - zaczęła znów po
chwili - coraz trudniej było mi płacić za opiekę nad Alice. Byłam zmuszona
sprzedać biżuterię, zaciągać pożyczki u lichwiarzy. I oczywiście grałam w ka-
synie, wciąż mając nadzieję na wielką wygraną, która rozwiązałaby wszystkie
moje problemy. I wciąż się bałam, że Alice straci jedyny dom, jaki miała w ży-
ciu. - Przyjrzała się milczącej publiczności. - No więc - powiedziała w końcu
- oto moja historia, którą miałam wam opowiedzieć, zgodnie z życzeniem
Boba. I wiecie co? Jestem mu wdzięczna, że zmusił mnie, bym wreszcie wy-
znała swoje winy. Wydobył mnie z tego oceanu rozpacz, w którym tkwiłam
przez ostatnie lata, i dał mi cel w życiu. Bob dał mi drugą szansę, na którą nie
zasługuję, wiem, ale zasługuje na nią Alice.

Bob

Panowała cisza, kiedy Montana wyjął kolejną kartę żółtego papieru. Błys-
kawica rozświetliła pokój jak reflektor na hollywoodzkiej premierze.
Obecni poruszyli się w fotelach, patrząc niespokojnie w okna.

- Ten jest do Davisa Farrella - powiedział Montana.

Drogi Davisie,

*Pomyślałbyś kiedykolwiek, że do tego dojdzie? Że będę do Ciebie mó-
wił z za grobu, do którego, być może, to Ty mnie posłałeś? Zabiłeś mnie,
Davisie? Śmiało, powiedzmy teraz prawdę. Nie mamy już nic do strace-
nia, czyż nie?*

*Nienawidziłeś mnie za to, co Ci zrobiłem. Za to, że zamknąłem przed
Tobą bramy tego finansowego raj, który stworzyłeś, że zostawiłem Cię
w zimnym, nieprzyjaznym świecie, byś wyszedł na ludzi. Miałeś wielkie
możliwości i nadużyłeś ich na wszelkie sposoby. Oszukiwałeś, kradłeś,
kłamałeś, a nawet zdradzałeś przyjaciół... a wszystko dlatego, że czciłeś
tego starego tyrana - mamonę.*

*Pieniądze rządziły Twoim życiem i, w pewnym sensie, rządziły też moim,
choć ja ceniłem je tylko za samą grę, jaką było ich zdobywanie. Nigdy nie
miały nade mną władzy, jaką miały nad Tobą. A jednak Cię nie wydałem,
nie postawiłem przed sądem, nie posłałem do więzienia. Wciąż widzia-
łem w Tobie coś, co kazało mi Cię puścić wolno, byś zrobił ze swoim ży-
ciem, co zechcesz. Uznałem, że odcinając Cię od pieniędzy, uratuję Cię
przed samym sobą. Sądziłem, że daję Ci drugą szansę. Byłoby smutne,
gdyby się jednak okazało, że to Ty odebrałeś mi życie.*

*Mimo to udzielam Ci łaski wątpliwości, chyba że Montana udowodni,
iż się mylę. Słyszałem o Twojej działalności. Wykonujesz wspaniałą
robotę, pomagając nieświadomym biedakom, pozbawionym praw oby-
watelskich. To chwalebne, Davis. I dlatego zostawiam Ci pięćdziesiąt
milionów dolarów, byś założył własną fundację, która pomoże Ci rea-
lizować filantropijne marzenia o poprawie życia bliźnich. Myślę, iż
mogę bez wahania powiedzieć, że tym razem moje pieniądze będą do-
brze wydane.*

Przez chwilę wszyscy milczeli, osłupiali. Davis wstał. Z rękami w kiesze-
niach rozejrzał się obojętnie wokół siebie, niespecjalnie przejęty.

- Jasne, że myślałem o zabiciu Boba - powiedział. - Ale jestem oszustem finansowym, a nie mordercą. Technicznie rzecz biorąc, nie kradłem, tylko sprytnie przesuwałem aktywa, tak by służyło to moim celom. A moim celem oczywiście zawsze było zarobienie pieniędzy dla siebie. Szedłem pewnie tą długą, śliską ścieżką, prowadzącą na szczyty finansjery, byłem na najlepszej drodze, by stać się jednym z tych szefów miliardowych spółek, którzy napychają własne konta, używając funduszy emerytalnych pracowników, i wydających gigantyczne przyjęcia za pieniądze, wyskubane z kieszeni akcjonariuszy. Bob przyłapał mnie i siłą wyeksmitował ze świata, w którym czułem się jak ryba w wodzie. Bob Hardwick odmienił moje życie, i to wcale nie na lepsze. Tuż przed śmiercią Boba zacząłem już po cichu wkręcać się z powrotem na finansową arenę, ale musiałem zaczynać od zera. Współczuję ludziom pozbawionym praw, bo dzięki Bobowi - nie zapominajmy o tym - przez parę lat byłem jednym z nich. Ale to nie jest moje prawdziwe ja, i nie chcę zostać filantropem. Nie chcę pięćdziesięciu milionów Boba. I nie chcę prowadzić fundacji. O nie, ja chcę zostać następnym Bobem Hardwikiem, i uwierzcie mi, moi współpodejrzani... a tak przy okazji, ciekawe, które z was faktycznie zamordowało Boba... uwierzcie mi, że to osiągnę. Niech się schowa Gordon Gekko. Nie jestem mordercą, ale tak jak on jestem rekinem ludojadem na Wall Street, i to moje nazwisko będziecie widywać codziennie w „Wall Street Journal” i „Financial Times”. Wykorzystam każdą szarą komórkę mojego pokrętnego mózgu, by zostać tam już na zawsze. W tym przypadku Bob się pomylił - dodał. - Może zatrzymać swoje pięćdziesiąt milionów. Niech tę fundację prowadzi ktoś inny. I wiecie co jeszcze mam do powiedzenia Bobowi Hardwickowi? Odpuść sobie, Bob. Ja jestem człowiekiem, który sam zdobywa swoją drugą szansę. Nie potrzebuję twojej.

Usiadł w osłupiałej ciszy.

- Ma pan trzydzieści dni na przemyślenie swojej decyzji - powiedział Montana.

Davis wzruszył ramionami.

- Nie potrzebuję ich. Wiem, czego chcę. I tym razem nic mnie nie zatrzyma.

Montana zwrócił się do Filomeny.

- Więc teraz pani kolej - powiedział.

Filomena przygryzła nerwowo wargę.

- Ja nie zabiłam Boba - wykrzyknęła płaczliwie. - Nigdy nie zrobiłabym czegoś tak złego...

- Proszę poczekać - powiedział Montana - i wysłuchać, co Bob do pani na pisał.

Przysiadła na brzegu fotela, ze spuszczoną głową, wykręcając dłonie - wcielenie poczucia winy.

Filomeno, moja śliczna Filomeno. Jakże pragnąłem, żebyś mnie kochała. Naprawdę kochała. Przeglądałem się w blasku Twojej urody - nie-szczęśny, brzydki, stary człowiek - szukając czegoś, czego nigdy nie miałem i nigdy bym nie miał, gdyby nie moja wyjątkowa zdolność do zarabiania gór pieniędzy.

Oczywiście prosiłem o zbyt wiele. To, co było między nami, było najzwyklejszą wymianą. Co nie znaczy, że Cię nie kochałem. Oczywiście, że kochałem, na swój sposób. Kochałem Twoją górną wargę, łuk Twoich ust, tę buzię w ciup. Kochałem Twoją urodę - być może zauważyłaś, że nie mogłem oderwać od Ciebie oczu. Ale popełniłem błąd, Filomeno. Ty byłaś młodą dziewczyną, a ja podstarzałym, doświadczonym mężczyzną. Wykorzystałem Twoją młodość i wstydziłem się tego. Próbowałem Ci to wynagrodzić, ale Tobie wszystkiego było mało i zaczęłaś zmieniać moje życie w piekło.

Kiedy teraz o tym myślę, siłą rzeczy zastanawiam się, jak mogłoby wyglądać Twoje życie, gdybyś mnie nie spotkała. Czy byłby to po prostu jakiś inny bogacz? A może wyrwałabyś się z pułapki swojej urody i stała się kimś?

Ciekawe, czy i Ty zastanawiałaś się nad tym ostatnio, moja kochana mała Filomeno? Czy zadawałaś sobie pytanie, co Ci jeszcze pozostało w życiu? A może zamiast tego zapytać: „Co jeszcze ma dla mnie życie w swoim małym sklepiku?” I można to zinterpretować na dwa sposoby: „Co mnie jeszcze spotka?” albo „Gdzie ten sklepik?”

Kupiłem Ci butik przy najlepszej handlowej ulicy, tu, na Capri. Do niego dorzucam małą, bardzo ładną willę - widziałem zdjęcia - z której nareszcie będziesz mogła zrobić prawdziwy dom, bo widzisz, uważam, że jesteś po pierwsze, urodzoną handlarką, a po drugie, prawdziwą, staroświecką domatorką. Już widzę, jak gotujesz spaghetti w swojej prawdziwej włoskiej kuchni.

Będzie też dość pieniędzy na rozkręcenie interesu i na życie, ale na wszelki wypadek założyłem Ci też fundusz powierniczy na dziesięć milionów. Dochód z tego funduszu będzie corocznie wpłacany na Twoje konto. Jesteś ustawiona na całe życie, Filomeno. Życzę Ci szczęścia. I oczywiście, nie zamordowałaś mnie. Przecież mogłabyś sobie przy tym zniszczyć sukienkę. Pomruk tłumionego śmiechu przebiegł po sali. Filomena wstała.

- Bob miał rację - powiedziała, wciąż nerwowo wykręcając splecione dłoń. - W głębi serca jestem handlarką. Znam się na ciuchach i modzie i wiem, że mój butik odniesie sukces. - Klasnęła, kiedy dotarło do niej, że spełniły się jej sny. - Nie mogę uwierzyć, po prostu nie mogę uwierzyć. Bob nie tylko dał mi sklep, ale też kupił mi dom! Koniec z wilgotnymi wynajętymi pokojami w biednych weneckich *palazzo*. Będę miała własny dom. Będę mogła zaprosić rodzinę i będą ze mnie dumni. Bob oddał mi moją godność. I jestem mu bardzo wdzięczna. Za to i za moją drugą szansę.

Rozejrzała się niepewnie i nagle, decydując się, powiedziała szybko:

- Nigdy bym się do tego nie przyznała, ale teraz, kiedy Bob okazał mi zaufanie, ja też muszę coś wyznać. Kradłam rzeczy z butiku, gdzie pracowałam. Drobiazgi, rzeczy, które ktoś zwrócił albo które miały iść na sprzedaż. Kłamałam i zwałałam winę na sklepowych złodziejasków. Czasem się trafiają, nawet w takim eleganckim sklepie. Ale obiecuję, że zwrócę wszystko co do centa. Nie będę zaczynać interesu z czymś takim na sumieniu.

Ryk gromu pochłoniął jej małą przemowę. Jeszcze nie padało, ale czarne chmury przemieniły dzień w noc, a ogród był cichy jak makiem zasiał; nie śpiewały ptaki, nie grały świerszcze.

- Pańska kolej, Clement - stwierdził Montana.

No cóż, Charlie, w Twoim przypadku chyba muszę się przyznać do kłeski. Dałem Ci szansę. Zamknąłem Twój burdel, ale nie wpakowałem Cię do więzienia, jak na to zasługiwałeś. Ty wcale się nie zmieniłeś. Jesteś jeszcze gorszy.

Charlie skoczył na równe nogi.

- Dość tych bzdur - wrzasnął. - Proszę to przerwać w tej chwili. Żądam obecności mojego adwokata.

- Proszę usiąść - powiedział Montana lodowatym tonem i Charlie usłu chał, choć wciąż burczał coś pod nosem.

Dałem Ci szansę, Charlie, nawet po tym, jak przywiozłeś do Sneadley tę biedną dziewczynę jako „prezent” dla mnie. Jak się dowiedziałem później, była to Twoja zwykła metoda naganiania sobie klientów. Ale tym razem się pomyliłeś. Źle oceniłeś mój charakter. Zamykając Twój interes, dałem Ci szansę, a Ty ją zmarnowałeś. Jestem głęboko przekonany, że wywiozłeś swoją dziecięcą pornografię, swój handel dziećmi za granicę...

Charlie znów się zerwał. Z wściekłości na twarz wystąpiły mu plamy.

- Bob Hardwick kłamie. Był pedofilem, zatrudniał mnie, żebym wyszukiwał mu dziewczynki, dziewięcio-, dziesięcioletki, czasem nawet młodsze... Nie znacie prawdziwego Hardwicka, kłamcy i deprawatora dzieci...

Montana wyskoczył zza biurka. Z zaciśniętymi pięściami stanął przed Charliem.

- Jeszcze jedno słowo, a sprawię sobie tę przyjemność i osobiście spuszcze ci lanie twojego życia - powiedział tonem cichej groźby. - I powiem ci jeszcze, że w tej samej chwili, kiedy tu rozmawiamy, Ecole de Nuit... uroczą na zwa dla bandy nieszczęsnych dzieci sprzedawanych w seksualną niewolę... jest właśnie zamykana przez paryską policję. Jesteś skończony, Charlie. Dla ciebie jest już po wszystkim.

Charlie odepchnął fotel do tyłu. Odwrócił się, chcąc uciekać, potykając się o Rega i odpychając Ginny z drogi. Ale Reg nie miał skrupułów Montany. Walnął go pięścią w nos, odrzucając do tyłu. Siknęła krew. Montana złapał Rega i powstrzymał go przed kolejnym ciosem.

- Żaden drań nie będzie tak mówił o Bobie Hardwicku - wysyczał Reg. - Żaden drań, a szczególnie taki jak ty. - Wierżgnął nogą, celując w kolano Charliego, i mruknął z satysfakcją, kiedy kopniak sięgnął celu.

Utykając, z krwią wciąż kapiącą na drogą koszulę, Charlie rzucił się do drzwi. Głowy odwróciły się w stronę Montany, kiedy zawołał:

- A tak przy okazji, Charlie, Bob uznał za całkiem prawdopodobne, że to ty go zamordowałeś. „Z takim człowiekiem nigdy nic nie wiadomo”, powiedział.

Ignorując go, Charlie nieufnie zerknął na strażników, przygotowując się na kolejną szarpaninę. Ku jego zdziwieniu odsunęli się na bok i nawet otworzyli mu drzwi.

Wyszedł na zewnątrz, wieszając sobie, że jest wolnym człowiekiem. I trafił prosto w ramiona dwóch bardzo rosyjskich włoskich policjantów. Oznajmili mu, że mają nakaz aresztowania rozesłany przez Interpol, po czym skuli go, odczytali mu jego prawa, wpakowali do radiowozu i odjechali.

- Jak on śmiał mówić w ten sposób o Bobie!?! - rzuciła gniewnie Ginny. - Zawsze wiedziałam, że to szumowina.

Reg potarł obdarte kostki palców. Wyraz jego twarzy mówił jasno, co myśli o Charliem. Pozostali szeptali między sobą, zszokowani.

Montana poprosił o uwagę i wrócił do testamentu Boba. Tym razem miał się więc Dopplemann.

A teraz Ty, Dopplemann. Być może powinienem nazywać Cię Marius, ale nikt tego nie robi. Dopplemannem byłeś i Dopplemannem pozostaniesz, z okazjonalnym „Hen” z przodu, by okazać należyty szacunek.

Byłem Twoim wielkim fanem, Herr Dopplemann. Ja sam byłem tylko człowiekiem, który umiał zarabiać pieniądze, podczas gdy Ty jesteś

geniuszem. Czy to usprawiedliwia to, co zaszło? Myślę, że nie. Oczywiście chętnie dałbym Ci pieniądze, gdybyś ich potrzebował, ale nie potrzebowałeś. Pragnąłeś tylko sensu w życiu. Kobiety. A taki „sens” zniszczył już niejednego mężczyznę przed Tobą.

Miałem znajomości w wysokich kręgach, słyszałem plotki. Próbowałem je bagatelizować, ale w głębi duszy wiedziałem, że są prawdziwe. A jednak nie zrobiłem nic, bo nie miałem dowodu. Potem ktoś przyszedł do mnie z kilkoma niepokojącymi historyjkami: o potajemnych spotkaniach w parku w Georgetown, o wiadomościach przekazywanych w kawiarenkach na uboczu... nie potrzeba było geniusza, Dopplemann, by się domyślić, że chcą Cię zwerbować, byś zdradził Amerykę, kraj, który obdarzył Cię honorami i dał dostęp do swoich tajemnic. A Ty miałeś je przekazać obcemu mocarstwu. I wszystko przez kobietę.

Mogę pojąć, pod jaką znajdowałeś się presją i rozumiem Twoje uczucia do tej kobiety, ale - tak jak Ci powiedziałem, kiedy doszło do konfrontacji - sprzedać kraju, który uczynił Cię tym, kim byłeś, nie było zachowaniem godnym dżentelmena. Przekonał się o tym niejeden szpieg na własnej skórze.

Na szczęście powstrzymałem Cię, zanim cokolwiek zrobiłeś. Dałem Ci wybór. Wyjechać natychmiast i nigdy więcej nie kłaść swoją obecnością Krainy Wolności albo ponieść konsekwencje swojego postępowania. A wszyscy wiemy z relacji prasowych o szpiegach ujętych na gorącym uczynku, co to oznaczało. Hańbę i więzienie do końca życia. Tylko dlatego, że się zawahałeś, nie zrobiłeś ostatniego kroku i nie popełniłeś tej zbrodni, czułem, że mogę zaofiarować Ci możliwość ucieczki. I skorzystałeś z niej. Wyjechałeś z Ameryki i zniknąłeś nie wiadomo gdzie.

Uratowałem Cię, Dopplemann. Dałem Ci szansę, a jednak jestem pewien, że przez resztę życia będziesz mnie przeklinał za to, że zniszczyłem to wszystko, czym byłeś. Naukowca. Geniusza. Człowieka oddanego swojej pracy. I człowieka ze straszliwą słabością.

Zabijeś mnie, Herr Dopplemann? Myślę, że to możliwe. To już nam powie Montana. Jednak byłaby szkoda, gdyby tak się okazało, bo właśnie zamierzam podarować Tobie i Twojemu geniuszowi drugą szansę.

Świat potrzebuje ludzi takich jak Ty. Ludzi z Twoją wizją, z Twoim talentem, z Twoim niewiarygodnym, sięgającym poza horyzonty, wiecznie poszukującym umysłem. Rozmawiałem o Tobie z pewnymi ludźmi, których znam, i uznaliśmy, że można bez ryzyka przyjąć Cię z powrotem na pokład. Będzie na Ciebie czekać praca w sektorze prywatnym. Podaję Ci

na półmisku Twoje życie, Dopplemann, choć moje, niestety, się skończyło. Być może zechcesz to przemyśleć.

Zostawiam Ci też fundusz powierniczy w wysokości miliona dolarów, z których dochód będzie Ci wypłacany raz do roku. Wraz z pensją wystarczy Ci to na życie. Tylko trzymaj się z daleka od kobiet. Zostawiam Ci też zawartość mojej nowojorskiej piwniczki z winami. Myślę, że znajdziesz tam wystarczająco dużo dobrego bordeaux, by Cię uszczęśliwiło na długi, długi czas. I jeśli mnie nie zamordowałeś, życzę Ci szczęścia.

Wszyscy spojrzeli na Dopplemanna, kiedy wstał. Głowę trzymał wysoko i po raz pierwszy dostrzeżliśmy człowieka, jakim był niegdyś.

- W ciągu tych ostatnich lat bywały chwile, kiedy myślałem, że dobrze byłoby zabić Boba Hardwicka- powiedział tym swoim dziwnym, syczącym głosem. - Ale nie zrobiłem tego. Przyznaję, że pragnienie zemsty płonęło we mnie tak jasnym płomieniem, że nie mogłem już myśleć. Nie mógłbym wykonywać pracy, którą wykonywałem kiedyś, ponieważ mój mózg zatrzymał się jak zepsuty zegarek w dniu, kiedy Bob mnie przyłapał. Winiłem go za swój upadek, a powinienem był winić tę kobietę. Bob puścił mnie wolno, a teraz dał mi drugą szansę. Chylę głowę przed jego szczerością. Możecie być pewni, że nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

Rozdział 5 1

Bob

Rosalio. — Głos Montany był cichy i łagodny, kiedy wymówił jej imię. — To do pani, od Roberto.

Rosalio, moja prawdziwa miłości. Niezliczoną ilość razy zastanawiałem się, jak by to było, gdybyśmy zostali razem. Tęskniłem za Tobą każdego dnia mojego życia i nie wątpię, że będę tęsknił i po śmierci. Taka jest siła mojej miłości do Ciebie.

Twarz Rosalii złagodniała. Chwyciła dłoń córki i mocno ją ścisnęła. Miała w sobie wrodzoną godność - w sposobie trzymania głowy, w drugiej, eleganckiej szyi, która świadczyła o minionej urodzie, w łagodności obejścia. I choć minęło czterdzieści lat, choć spędziła bez niego życie, było jasne, że wciąż kochała swojego Roberto.

Wciąż mam te listy, które do Ciebie pisałem, a które Ty odsyłałaś, nie otwierając ich nawet. Bardzo długo nie mogłem zrozumieć, gdzie popełniłem błąd. Kochałem Cię, wiedziałaś o tym. Potrafiłem ciężko pracować - wiedziałaś i to. Chciałem dać Ci wszystko, tyle pięknych klejnotów ile zdołałabyś unieść, wspaniały dom, a może dwa lub trzy - czegokolwiek byś zapragnęła. I oczywiście dzieci, Rosalio, ukochana, tak bardzo chciałem mieć z Tobą dzieci, że przez te wszystkie lata śniłem, jak mogłyby wyglądać. Syn podobny do mnie? Córka taka jak Ty? Kto wie, może nawet bliźnięta...

Ale prawda jest taka, że chciałem czegoś jeszcze. Rządziła mną ambicja. Moim błędem było to, że nie rozumiałem, jak zmiany w moim życiu wpłyną na Ciebie, nie rozumiałem, że Ty bałaś się takiego życia, jakie ja chciałem dla nas wykuć. Nie potrafiłem zrozumieć, że Ty sobie z tym nie radziłaś, że rozstanie było jedynym wyjściem, że potrzebowałaś, by Twoje życie pozostało takie, jakim było zawsze.

Zawiodłem, ale w przeciwieństwie do osób zgromadzonych tu, w willi Belkiss, mnie nie dano drugiej szansy. Twoja decyzja była ostateczna i w końcu musiałem się z tym pogodzić. Ty żyłaś swoim życiem, ja swoim, i nie mieliśmy się już nigdy spotkać. Aż do dziś.

Bo musisz wiedzieć, że teraz, kiedy słuchasz moich słów, jestem tu z Tobą. Nic nie zdołałoby mnie zatrzymać. Chciałem dać Ci wszystko, kiedy żyłem, ale teraz muszę Ci to dać po śmierci.

Rosalia kurczowo ścisnęła rękę córki. Siedzący za nią Hector pochylił się i położył dłoń na jej ramieniu, by dodać jej otuchy.

Montana czytał dalej.

Pozostawiam Tobie, Rosalio Alonzo Ybarra Delgado, sumę stu milionów dolarów.

Błyskawica rozświetliła salę. Tuż po niej przetoczył się grzmot, od którego zabrzączały szyby willi.

Zostawiam też sumę dziesięciu milionów dolarów mojej córce, Magdalenie Alonzo Ybarra Delgado Ruiz.

Dał się słyszeć zdumiony pomruk i wszystkie oczy skierowały się na Magdalene.

Wiele lat nie wiedziałem o naszej córce i teraz próbuję wynagrodzić to, co mogła uznać za porzucenie. Wiedz, Magdaleno, że nigdy bym Cię nie zostawił.

Zostanie też utworzony fundusz powierniczy dla wszelkich wnuków, zarówno moich, jak i Juana Delgado - człowieka, który miał szczęście po-

ślubić Cię, Rosalio, i dać Ci więcej dzieci. Dochód będzie wyplacany dorocznie, a mój prawnik, Arnold Levin, i mój przyjaciel Harry Montana będą głównymi powiernikami. To ludzie, którym mogę ufać, i proszę, byś i Ty obdarzyła ich zaufaniem.

Tak więc, moja Rosalio - czuję, że nareszcie mogę Cię nazwać „moją” - to koniec naszej drogi. W przeciwieństwie do innych, Ty nie jesteś podejrzana o zamordowanie mnie. Nikt nie ma wątpliwości co do Twojego honoru. W Twojej czystej duszy nie ma miejsca na zło.

Pozdrawiam córkę, której nigdy nie poznałem, i żegnaj się z Tobą, ukochana. Wiedz, że nawet tu, za tą wielką przepaścią, za tą ostateczną zastoną, zawsze będę Cię kochał.

Montana odłożył na biurko długie arkusze papieru kancelaryjnego. Hector wstał i klęknął przed Rosalią. Ujął jej dłoń i dłoń Magdaleny, patrząc w ich pochylone twarze. Wyglądał, jakby się modlił.

W sali panowała cisza. Na dworze wiatr szumił w drzewach.

- Ja nie zasługuję na ten dar - powiedziała cicho Rosalia. - Nie mogę go przyjąć.

Hector zerwał się na nogi.

- Ależ Rosalio, Bob był taki hojny i tak bardzo cię kochał. Poza tym to nie tylko dla ciebie, ale też dla dzieci i wnuków.

Pokręciła głową.

- Nie wiedziałam, że jestem w ciąży, kiedy zostawiłam Boba — powiedziała. - W moim życiu panował chaos. Myślałam, że oczywiste objawy ciąży to tylko skutek niejedzenia. Byłam chuda i rozpaczona. Byłam przestraszona. Kiedy wreszcie zrozumiałam, to był już piąty miesiąc.

- Rosalio - powiedział łagodnie Montana. - Nie ma potrzeby, żeby pani opowiadała nam swoją historię. To prywatne, osobiste sprawy...

Pokręciła głową.

- Nie, ja mam taką potrzebę. Zdradziłam swój sekret tylko trojgu ludziom, ale teraz, przez ten spadek, muszę wam powiedzieć, dlaczego nie mogę go przyjąć. Byłam kelnerką w kawiarence dla robotników. Juan Delgado był moim szefem, a przy okazji kucharzem. Podawaliśmy proste, niedrogie andaluzyjskie potrawy: ryby, paellę, tapas. Juan był starszy. Był miłym człowiekiem po czterdziestce i nigdy się nie ożenił. Pracowałam u niego pięć miesięcy i zauważył mój rosnący brzuch, chociaż próbowałam go ukrywać za wielkim fartuchem. Mieliśmy zwyczaj jadać razem wieczorem, po zamknięciu kawiarni. Juan gotował to, na co miałam ochotę, a potem siadaliśmy i rozmawialiśmy, on z kieliszkiem wina, ja tylko z wodą, z powodu dziecka. Pewnego

wieczoru, mimo późnej pory, chciałam porozmawiać. Chciałam mu powiedzieć o Bobie i dlaczego go zostawiłam. Płakałam, a Juan słuchał. W końcu zapytał „I co teraz zrobisz? Powiesz mu o dziecku?” Nie wiedziałam, że on wie, ale kiedy spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam jedynie dobroć. Odparłam, że nigdy nie powiedziałabym Bobowi, bo wtedy musiałabym wrócić do niego i wieść życie, które by mnie zniszczyło. „Ale co z twoim dzieckiem?” - zapytał. - Ono nigdy nie zobaczy swojego prawdziwego ojca”. Powiedziałam mu, że tak musi być. Że sama będę się nim opiekować. Juan przyznał, że się we mnie zakochał, że chce się ze mną ożenić i opiekować się i mną, i dzieckiem. Ja też go kochałam, cichą, niewymagającą miłością. Byliśmy przyjaciółmi, krajanami. I mieliśmy zostać rodzicami. By ochronić mój honor Juan, zwlekał ze zgłoszeniem narodzin Magdaleny. Zarejestrował ją sześć miesięcy później. W ten sposób, powiedział, Bob nie będzie podejrzewał, że jest jej ojcem. A jednak - dodała z półuśmiechem -jakimś cudem się dowiedział. Myślałam, że wiedział o tym tylko Juan. Powiedziałam prawdę Magdalenie, kiedy była już dość duża, by zrozumieć, bo nie mogłam żyć z tym kłamstwem. A dużo później powiedziałam Hectorowi, bo jest moim dobrym przyjacielem i nie mam przed nim sekretów. Oczywiście wiem, że źle postąpiłam. Powinnam była powiedzieć Bobowi o dziecku. Oszustwem pozbawiłam go przyjemności przebywania z córką, ale tak się bałam, że ją stracę, bałam się, że Bob mi ją odbierze. Człowiek z takimi pieniędzmi może zrobić wszystko. I dlatego nie mogę przyjąć jego daru, choć oczywiście jego córka musi przyjąć to, czym tak hojnie obdarował ją ojciec.

Rosalia usiadła. Wszyscy patrzyli na nią, ale ona pochyliła głowę i cicho zapłakała. Dla niej to był koniec miłosnej historii.

Rozdział 52

Daisy

Przyszła moja kolej. Spojrzałam na Montanę, kiedy zaczął czytać, zastanawiając się nerwowo, jakie moje sekrety może zdradzić Bob. *Moja Daisy, zostawiłem Cię na koniec, bo jesteś mi najbliższa. Znosiłaś mnie przez ładnych parę lat, dłużej niż ktokolwiek inny - i mówię tu o życiu pod jednym dachem, o wspólnym przeżywaniu dobrych chwil, ale i moich humorów, choć muszę powiedzieć, że potrafisz być bardziej kłót-*

liwa niż jakakolwiek znana mi kobieta, jak zapewne pamiętasz z naszej pierwszej „randki” w mojej ulubionej londyńskiej restauracji. Wciąż mam bliźnę po tej okropnej, tandetnej broszce, którą wtedy nosiłaś, i dlatego chcę, żebyś poszła do sklepu i kupiła sobie nową. Tym razem prawdziwą. Idź do Asprey w Londynie, oni mają dokładnie to, czego chcesz. Zapisz to na mój rachunek - chociaż nie, zapisz to na swój rachunek, dziewczyno, bo do tej pory będziesz już miała na nim pieniądze.

Naprawdę myślałaś, że zostawiłbym Sneadley Hali komukolwiek innemu? Chociaż tak właściwie to dom Ratsa - Ty tam będziesz tylko po to, żeby się nim opiekować. Ha, ha, żartuję, oczywiście. Nie, dziewczyno, Sneadley jest Twój. Wiem, że kochasz to miejsce tak samo jak ja, i lubię wyobrażać sobie Ciebie w zimowy wieczór, siedzącą wygodnie przy ogniu, z Ratsem na kolanach, albo w letnie popołudnie, jak wręczasz nagrody na wiejskim festynie i słuchasz orkiestry grającej Jerusalem pod stuletnim kasztanowcem. To wszystko jest Twoje, Daisy, tylko pamiętaj wychylić za mnie kufelek, kiedy następnym razem będziesz siedziała z Regiem i Ginny w Baraniej Głowie.

A teraz willa Belkiss. Oczywiście nigdy jej nie widziałem, ale wiele razy ślęczałem nad jej zdjęciami, aż prawie poczułem, że ją znam. Wiem na pewno, że jest piękna. Jest inna, niezwykła, dramatyczna i ma swoją historię. Zupełnie jak Ty, moja kochana. Więc jest Twoja. Tam też sobie Ciebie wyobrażam, jak w porośniętej winoroślą altanie popijasz wino i może nawet myślisz o mnie.

Odliczając inne zapisy, które zostały już załatwione, zostawiam Tobie, Daisy Keane, całą moją fortunę. Dlaczego? Bo nie znam nikogo innego, kto bardziej by na nią zasługiwał. Byłaś moją wierną towarzyszką w złych i dobrych chwilach. Znosiłaś moje humory równie dzielnie, jak ja znosiłem Twoje. Doglądałaś mnie w chorobie i w zdrowiu. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nie wzięliśmy ślubu, ale przecież wiem, że mnie nie kochałaś, a przynajmniej nie w ten sposób. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Daisy, i zawsze nią będziesz. A ja Cię kocham i zawsze będę kochał i troszczył się o Ciebie - nawet zza grobu. Więc bierz, co Ci daję, i wykorzystaj to jak najlepiej.

Moja mała, to jest Twoja druga szansa. Ten testament to nie są ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszysz. Pamiętaj, jest jeszcze jeden list, który czeka na przeczytanie, kiedy wrócisz do Sneadley.

Pomyśl o mnie wtedy, Daisy, bo możesz być pewna, że ja będę myślał o Tobie. I będę błogosławił dzień, kiedy znalazłem Cię na tym okropnym

przyjęciu, na którym próbowałaś udawać dziennikarkę z kolumny plotkarskiej, z tym wygłodniałym spojrzeniem w oczach. Zawsze pamiętaj, że to ja Cię uratowałem przed tymi koszmarnymi zakąskami. To całkiem miłe wspomnienie i warto je przechować. Wiedz, że Cię kocham. Zawsze.

Wszyscy patrzyli na mnie, czekając, co powiem. Nagle stałam się dziedziczką miliardów. Spojrzałam w oczy Montany, a on uśmiechnął się i powiedział tak cicho, że tylko ja mogłam to usłyszeć:

- Bob tak chciał. O nic się nie martw.

Rozumiał, że poczułam już ciężar tego spadku, ale przede wszystkim tęskniłam za Bobem. Nie chciałam tych pieniędzy, chciałam tylko, żeby Bob wrócił.

Wstałam z fotela i rozejrzałam się po twarzach obecnych, odczytując ich najróżniejsze reakcje: zdumienie, gniew, radość, zazdrość. Ale nawet z opaską na oczach potrafiłabym powiedzieć, kto co czuł.

- Kochałam Boba - powiedziałam. - I niektórzy z was też go kochali. Byłam prawie na dnie, emocjonalnym i finansowym, kiedy go poznałam. A on podniósł mnie z podłogi i dał mi pracę. A teraz dał mi drugą szansę, dał mi dom, Sneadley Hali, i tę śliczną willę. A ja zrobię co w mojej mocy, by zadbać o nie tak, jak on by tego chciał. I będę kochać i troszczyć się o Ratsa tak, jak on sam by się troszczył.

Kłapnęłam na fotel, bliska płaczu. Po sali przebiegły ciche brawa.

Ale to nie był jeszcze koniec. Przyszła kolej na występ Montany.

Rozdział 53

Montana

Montana stał za zgrabnym hebanowym biurkiem, przy którym Vassily Belkiss spisywał wspomnienia, zdradzając swoje sekrety, tak jak zdradzili je podejrzani. Był bardzo opanowany, sprawiał wrażenie człowieka, który panuje nad sytuacją. Drzwi były zamknięte. Stało przy nich dwóch strażników z założonymi ramionami, pilnując spadkobierców. Napięcie w sali było niemal namacalne, a na dworze chmury kłębiły się tak blisko, że wydawało się, iż przesuwają się po dachu. Krople deszczu, wielkie jak srebrne dolarówki, zabębniły nagle o taras, a niebo rozdarł zygzak błyskawicy, ginąc w czarnych głębinach morza. Daisy zaczęła liczyć sekundy... jedna, dwie, trzy, cztery,

pięć... Huk gromu zatrzęsł willą, jakby sam Thor uderzył swoim młotem w niebiosa.

- A teraz chcę wam opowiedzieć, jak zginął Bob Hardwick - zaczął Montana. Rozległ się kolejny pomruk i podejrzani usiedli prosto, wpatrując się w niego. - Bob jechał do górskiego sanatorium na konferencję. Spotkanie zostało umówione już parę miesięcy wcześniej. Jechał tam sam, bo Daisy miała grypę. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że pod silnikiem został podłożony ładunek wybuchowy, a ustawiony na wibrację telefon jest schowany pod fotelem kierowcy. Zabójca nie musiał nawet być na miejscu. Wystarczyło tylko wybrać numer, by samochód eksplodował.

Cisza była niemal namacalna. Magdalena znów chwyciła dłoń matki i mocno ją uściśniła. Dianę odchyliła się w fotelu, z zamkniętymi oczami, pobladła twarzą. Przerazona Filomena zakryła ręką usta. Łzy ciekły po jej policzkach i kapały z podbródka. Dopplemann gapił się tępo przed siebie, w przestrzeń. Davis z rękami założonymi na piersi, z przymkniętymi oczami, patrzył w podłogę, a Reg i Ginny spoglądali na siebie z niepokojem.

- Oczywiście właściwe pytanie to nie jak zginął Bob, ale dlaczego - ciągnął Montana. - Otóż, Bob przyszedł do mnie na kilka dni przed śmiercią i powiedział, że niepokoją go dziwne maile, które ostatnio dostawał. Pomyślałem, że wygląda to na początek szantażu, ale o ile wiedziałem, Bob prowadził przykładne życie i nie było go czym szantażować. Oczywiście nikt nie jest doskonały i mogłem się mylić, ale tym razem miałem przeczucie. Tkwilo w tym coś więcej, niż można było dostrzec na pierwszy rzut oka. Tego samego dnia Bob dał mi listę sześciorga ludzi, którzy jego zdaniem mogli czuć do niego urazę, na tyle silną, że każdy z nich mógł chcieć go zabić. A żeby go zabić, wystarczył jeden telefon. - Odwrócił głowę i spojrzał na Rosalię. - Ten telefon wykonano z Andaluzji.

Twarz Rosalii zbliała. Nagle wydała się o wiele lat starsza i o całe życie smutniejsza. Po chwili wstała powoli z fotela. Martwym głosem, który stracił całą swą czarującą miękkość, powiedziała:

- To ja zabiłam Boba Hardwicka. - Odwróciła się, by spojrzeć na Hectora. - A ten człowiek, którego nazywałam swoim przyjacielem, poprosił mnie o to. Hector był tego dnia w Nowym Jorku. Poprosił mnie, bym zadzwoniła do niego o wyznaczonej porze na pewien numer. I zadzwoniłam. Za jego sprawą zabiłam człowieka, którego kochałam, ojca mojego dziecka...

Hector zerwał się na równe nogi.

- Ona kłamie - krzyknął poprzez huk gromu. - Tak się złożyło, że byłam w Nowym Jorku w interesach. Rosalia zawsze miała żal do Hardwicka, sama

mi to powiedziała. Powiedziała mi, jak go nienawidzi za to, że ją porzucił, ciążarną i bez pieniędzy. Powiedziała, że któregoś dnia się z nim policzy. Zabiła go, a teraz usiłuje zrzucić winę na mnie!

- To ty wysyłałaś maile, Hector - powiedział zimno Montana. - Ty się do wiedziałeś, gdzie Bob parkuje samochód. Wystarczyły sekundy, by podłożyć bombę i telefon. Ty zadzwoniłeś do Rosalii, podałeś jej godzinę i numer telefonu. ..

Hector rzucił się biegiem do drzwi, ale strażnicy przesunęli się, by odciąć mu drogę. Odwrócił się i ruszył do wyjścia na taras. Ludzie Montany pognali za nim. Wszyscy poderwali się ze swoich miejsc. Kiedy Hector przebiegał koło Daisy, chwyciła go za marynarkę. Zatrzymany, obrócił się, złapał ją za gardło i zasłonił się nią. Zakrzuszyła się, niezdolna wykonać żadnego ruchu.

Wszyscy stanęli jak wryci. Bordelaise wrzasnęła jej imię; pozostałe kobiety patrzyły tylko, przerażone, zasłaniając usta rękami. Mężczyźni przesunęli się naprzód. Reg miał plamy wściekłości na twarzy, kiedy przycałił się do skoku, gotów do walki, ale Montana go powstrzymał.

- Puść ją! - W ciszy, która zapanowała w sali, zabrzmiał jego lodowaty głos.

Ale Hector zaczął się cofać w stronę zamkniętych drzwi na taras. Nagle otworzyły się z hukiem, pchnięte potężnym podmuchem wiatru, i burza z szumem wpadła do wnętrza. Wiatr zawirował, wyjąc jak upiór, na zewnątrz błyskawica rozdarła niebo, ryknął grom i zadrżały okna. Kobiety zaczęły krzyczeć. Wlokąc Daisy za sobą, Hector wycofał się na taras.

Kropki deszczu kłuły Daisy w twarz, ostre jak strzały. Włosy zwisały jej mokrymi strąkami na oczy, tak że niewiele widziała. Sparaliżował ją strach, zwisała bezwładnie w uścisku Hectora. Wiedziała, że zaraz zginie, że Hector prędzej ją zabije, niż da się złapać. Pomóż mi, Bob. Proszę cię, pomóż, błagała w duchu.

Nagle, jakby znikąd, pojawił się powietrzny wir, który wbił się pomiędzy nich jak miecz. Hector padł na ziemię. Montana złapał Daisy i pchnął ją w bezpieczne miejsce. Rzucił się na Hectora, ale Hiszpan zdążył się już podnieść i uciekał, kierując się w stronę niewielkich drzwi prowadzących z ogrodu na klify. Wybił je ramieniem i zniknął, pochłonięty przez burzę.

Montana uniósł rękę, by nikt nie pobiegł za nim. Drzwi łomotały o mur, szarpane wiatrem.

- W tej burzy to zbyt niebezpieczne — powiedział, oświetlony kolejną błyskawicą. - Poza tym on nie ma gdzie uciec. Jesteśmy na małej wyspie i policja już na niego czeka.

Zapłakana Daisy siedziała na leżaku. Montana podszedł powoli i usiadł obok niej.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę - powiedział. - Tak mi przykro.

Kiwnęła głową, że nic jej nie jest. Rozcierając posiniaczoną szyję, powiedziała ochryple:

- Lepiej porozmawiaj z Rosalią. To ona nigdy sobie nie wybaczy tego, co zrobiła.

Montana wziął ją za ramię i poprowadził do środka. Wszyscy stali wokół, potargani od wiatru, przemoczeni, z przerażonymi i gniewnymi minami. Montana przeprosił Rosalię i wszystkich pozostałych.

- Wolałbym inaczej to załatwić - powiedział - ale ostatnim życzeniem Boba było, żeby właśnie tak to rozegrać. Wiem, że wszyscy się zastanawiacie, dlaczego Hector zabił Boba, skoro go nawet nie znał. Oczywiście chodziło o pieniądze. Przykro mi to mówić, Rosalio, ale Hector to zawodowy oszust. Siedział w więzieniach na trzech kontynentach. Wkręcił się w pani życie, do pani spokojnego hotelu, z dala od policji i swojej przeszłości, i przekonał panią, że poprowadzi interes lepiej niż pani. Powiedział, że potrafi ułatwić życie wam wszystkim, i jestem pewien, że na początku rzeczywiście to robił. Stał się pani zaufanym przyjacielem, człowiekiem, na którym mogła pani polegać. W końcu przekazała mu pani zarządzanie interesami. Ufała mu pani - ciągnął Montana. - Kiedy przynosił dokumenty, podpisywała je pani bez pytania, a Hector nauczył się doskonale podrabiać pani podpis. Brał pożyczki pod zastaw pani własności i chował pieniądze do kieszeni. Wiedział, że kiedy banki zagrożą zajęciem nieruchomości, będzie musiał odejść, tak jak to zawsze robią tacy oszuści jak on. Po prostu znikają. Ale potem przypomniał sobie pani zwierzenia, że Bob Hardwick jest ojcem Magdaleny. Z początku myślał o szantażu, stąd te maile z pogrózkami. Ale zanim na dobre się do tego za brał, zorientował się, że niewiele na tym zyska i że łatwo dać się przy tym złapać. Zrozumiał, że kiedy Bob umrze, jego jedyne dziecko, Magdalena, będzie prawną spadkobierczynią jego fortuny. Bob nie miał innej rodziny, nie było nikogo, kto ubiegałby się o spadek. W pojęciu Hectora było to przestępstwo idealne, prawdziwy majstersztyk. A jego piękno polegało na tym, że on nie mógł zostać o nic oskarżony, bo to pani, Rosalio, miała pociągnąć za przysłowiowy spust. Magdalena i tak odziedziczyłaby spadek, a on, jako zaufany przyjaciel rodziny, przejąłby nad nim zarząd. Nie mógł przegrać.

- Nigdy nie pogodzę się z tym, że zabiłam Boba - zapłakała Rosalia. - Zawsze go kochałam, a on na pewno to wiedział. To dlatego nigdy nie przyszedł upomnieć się o Magdaleny. Wiedział, że to jego córka, i pozwolił mi ją zatrzymać.

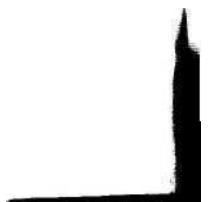
Był dobrym człowiekiem, wszyscy to wiecie. - Rozejrzała się po przestraszonych, drżących, przemoczonych grupce.

- Hector nie ucieknie - zapewnił ją Montana. - Policja czeka na dole. Proszę się nie martwić, dostaną go. Oni albo burza.

Patrząc na błyskawice i wiatr wirujący jak tornado, Daisy stawiała na burzę. Nie miała wątpliwości, że to Bob wrócił, by ją uratować, i że dopadnie Hectora. Dopiero wtedy będzie mógł zaznać spokoju.

Część 10

Z powrotem na „Blue Boat”, ostatnia noc



Doświadczenie to nazwa, którą każdy nadaje swoim błędom.

Oscar Wilde *Wachlarz lady Windermere*

Rozdział 54

Daisy

Stanowiliśmy bardzo przygnębioną i bardzo moką grupę, kiedy wspinaliśmy się po trapie na naszą piękną „Blue Boat”. Montana i ja eskortowaliśmy Rosalię. Jej krok stracił lekkość i szła z trudem jak stara kobieta, kiedy, podtrzymywana w talii przez Magdalene, wracała do swojego apartamentu.

Montana odprowadził mnie do drzwi. Oparłam się o nie z rękami za plecami, patrząc na niego z powagą. Nie przekomarzaliśmy się, nie było żadnych męsko-damskich gier.

- Zabiłbym Hectora, gdyby zrobił ci krzywdę - powiedział cicho Montana.

- Nie było potrzeby. Bob zrobił to za ciebie. - Uniósł pytająco brwi. - To tornado, które pojawiło się znikąd - stwierdziłam. - Na Capri nie ma takich wiatrów. I pewnie zauważyłeś, że nie wiało nigdzie indziej, tylko na tarasie? Bob w swoim liście obiecał, że będzie przy mnie i dopilnuje, żeby nie stała mi się krzywda. Wierzę, że dotrzymał obietnicy.

Widziałam, co Montana o tym sądzi. Uważał, że nie myślę logicznie, że przestraszona dzisiejszymi wydarzeniami uwierzyłam w coś, co było niemożliwe. Ale nie kłócił się ze mną.

- Wierz sobie w co chcesz, ja się cieszę, że nic ci nie jest. - Uniósł palcem moją twarz i pocałował mnie delikatnie. - Randka po kolacji?

- Och tak - zgodziłam się. Pocałował mnie jeszcze raz. Kiedy patrzyłam za nim, jak odchodzi długim korytarzem, moje serce znów skakało z radości.

Była to ostatnia noc rejsu i mieliśmy się wszyscy spotkać na uroczystej, pożegnalnej kolacji. Wiedziałam, że tego chciałby Bob, więc - mimo ostatnich wydarzeń - skontaktowałam się z pozostałymi gośćmi i poprosiłam ich, by ubrali się w wieczorowe stroje. Chciałam, byśmy wszyscy wyglądali doskonale, jakbyśmy nie mieli żadnych zmartwień na tym świecie. Bo też teraz, może oprócz Rosalii, nie mieliśmy.

Wieczorem, wystrojona w lekki jak morska pianka szyfon, zasłoniwszy siniaki oliwinowym naszym kupionym w Saint-Tropez, z oczami wciąż trochę zaczerwienionymi od płaczu, z włosami upiętymi do góry - choć istniało ryzyko, że fryzura się rozsypie - z ogromnym diamentem od Boba na palcu (nie mogłam się opędzić od myśli, że teraz mogę sobie kupić dziesięć takich pierścionków i nawet tego nie zauważyć), trochę niepewnie stąpając na wysokich obcasach, weszłam do baru, by powitać gości Boba. Ostatni wieczór pełniłam obowiązki gospodyni. Teraz, kiedy zniknęły wszystkie podejrzenia, pragnęłam wraz z Bobem, żeby wszyscy dobrze się bawili.

Diane i Filomena podpierały już bar. Bordelaise stojąca między nimi zapewne służyła za mediatora. Diane była piękniejsza niż kiedykolwiek. Rude włosy miała upięte w kok, ubrana była w prostą, czarną sukienkę Chanel, z białą gardenią na ramieniu. Filomena miała na sobie wzorzystą sukienkę z nadrukiem dzikiej dżungli, a Bordelaise wyglądała jak niewiniątka w koronkowej kreacji, którą, jak mi się wydawało, pamiętałam z jednego z jej ślubów.

Kiedy zawołałam do nich „cześć”, zobaczyłam, jak ich twarze rozjaśniają szczerze uśmiechy. Było zupełnie inaczej niż do tej pory i wiedziałam, że to wszystko dzięki Bobowi. Ginny, w wystrzałowych szkarłatnych koronkach, grała w triktraka z Brandonem, który w smokingu prezentował się wyjątkowo przystojnie. Texas odrzuciła kule i rozmawiała z Melvynem, grającym nasze ulubione stare standardy. Brakowało tylko Rosalii i Magdaleny, ale spodziewałam się tego.

Dopplemann wciąż paradował w tej okropnej zielonej marynarce, ale widać było, że czuje się lepiej we własnej skórze i jest bardziej pewny siebie.

Davis stał samotnie przy oknie ze szklanką perriera w dłoni, obserwując wszystkich, niby wśród nas, a jednak jakby na uboczu. Miałam przeczucie, że kiedy następnym razem wsiądzie na jacht, ten będzie należał do niego i będzie większy i lepszy niż wszystkie inne.

Reg popijał peroni, znów szczęśliwy i pogodny. Opowiadał Texas i Melvynowi o Baraniej Głowie.

Z ulgą pomyślałam, że nie muszę już patrzeć na Charliego Clementa i jego pełen wyższości uśmiech, z jakim lustrował kobiety. Zastanawiałam się nie-

spokojnie, gdzie może być Hector. Montana twierdził, że ucieczka była niemożliwa, ale i tak się martwiłam. A zresztą Montany jak zwykle nie było.

Przyłączyłam się do kobiet przy barze i poprosiłam o swojego ulubionego cosmo. Wypiwszy łyk, uniosłam wzrok i zobaczyłam, że wszystkie trzy na mnie patrzą.

- Co? - spojrzałam na swój dekolt, by sprawdzić, czy coś mi nie skapnęło.
- Nic, tylko wyglądasz dziś na zupełnie inną kobietę - powiedziała Filomena.
- A to dobrze?

Roześmiały się.

- Wyglądasz parę lat młodziej - uspokoiła mnie Bordelaise.

- To wielka ulga wiedzieć, że nikt z was nie jest mordercą- powiedziałam.

Bordelaise uniosła kieliszek, mówiąc, że za to wypije.

Stuknęłyśmy się kieliszkami. Cztery kobiety, które za sprawą Boba Hardwiccka zawarły ostrożną, kruchą przyjaźń.

- Jak tam twoja szyja? - zapytała Diane. Zerknęła na mnie, ale moja *collier* z oliwinu doskonale maskowała ślady po palcach Hectora. - Cóż za podły człowiek. - Diane zadrżała. - Biedna, biedna Rosalia.

Radosne „Juhu!” dobiegło od stolika, przy którym toczyła się partia triktraka. Ginny pokonała Brandona, a ten gratulował jej, jękając się. Za to Ginny śmiała się i wykrzykiwała radośnie, bez żadnych zahamowań. To właśnie było u niej wspaniałe. Nie miało dla niej znaczenia, kim byłeś i ile miałeś pieniędzy. Wszystkich traktowała tak samo. Tak jak i Reg. Aż miło było popatrzeć, jak oferuje Texas ramię, by odprowadzić ją na kolację.

Przeszliśmy na pokład rufowy, gdzie mieliśmy jeść pod gwiazdami, podziwiając migoczące światła Capri. Montany wciąż nie było. Zaczynałam się zastanawiać, czy tak będzie wyglądać całe moje życie.

Rozdział 55

Daisy

Usiadłam obok jego pustego krzesła, zachowując się, jakby nic mnie to nie obchodziło, ale pod maską uśmiechu wszystko we mnie kipiało. Wieczór po burzy był pogodny, migotały gwiazdy. Podano szampana, kawior *i fo is gras*. A jego ciągle nie było. Zapytałam Diane, co zamierza zrobić ze swoim chateau w Saint-Tropez.

- Zrobię z niego najlepszy hotel w okolicy, oczywiście - powiedziała, jak by nie było co do tego żadnych wątpliwości. -I sprowadzę do niego moją siostrę. Dam Alice najlepsze pokoje z widokiem na morze, żeby mogła patrzeć na przepływające łodzie i statki. Bardzo żałuję wszystkich złych rzeczy, które mówiłam o Bobie, i swojego zachowania. I przepraszam, że cię obraziłam, Filomeno.

- Nie ma sprawy - odparła Filomena. - Ale wiecie co? To dziwne, bo za wsze uważałam Boba za człowieka, który robi pieniądze i którego nieszczęśliwie obchodzi cokolwiek innego, może z wyjątkiem psa. Teraz widzę, jak bardzo troszczył się o nas wszystkich. Zrozumiał, kim jestem, i teraz nie będę już niczyją kochanką.

Spojrzałam na Davisa, popijającego w milczeniu perriera.

- A co kryje w sobie pańska przyszłość, Davis? - zapytałam.

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Sukces, oczywiście. Bo cóż innego się liczy?

- A pańska, Herr Dopplemann?

Dopplemann wstał niezgrabnie. Jak zwykle ścisnął w garści kieliszek dobrego bordeaux, tym razem ulubionego przez Boba Leoville-Las-Cases, które kazałam otworzyć specjalnie dla niego, targana wyrzutami sumienia, że tak źle go oceniłam.

- Wiele lat temu podjąłem bardzo głupią decyzję - powiedział. - Teraz, dzięki Bobowi, dostałem drugą szansę. Okazał mi zaufanie i będę ciężko pracował, by udowodnić, że miał rację. - Usiadł i wznieśliśmy toast w tej intencji-

Zdążyliśmy już zjeść przekąski i rybę - przepyszny piotrosz. Talerze były już pozbierane. Próbowaliśmy sałatek, udekorowanych jadalnymi kwiatami, i wspaniałych serów.

- A co z tobą, Daisy? - zapytała Bordelaise. - Co planujesz zrobić ze swoim życiem?

Nie planowałam niczego oprócz wykrycia mordercy Boba. W moim oszołomionym umyśle przyszłość miała coś wspólnego z Montaną, ale najwyraźniej to było kolejne marzenie ściętej głowy.

- Nie wiem - powiedziałam, rumieniąc się pod ich spojrzeniami. - To wszystko jeszcze do mnie nie dotarło. Podejrzewam, że ofiaruję dużo pieniędzy jakims fundacjom... pomagającym chorym dzieciom, walczącym z głodem... ach, i miejscowemu Towarzystwu Zwalczenia Okrucieństwa wobec Zwierząt. Bob zawsze hojnie je wspierał. I oczywiście Sneadley będzie moim domem, choć pewnie latem będę dużo czasu spędzać w willi.

Wstałam z kieliszkiem w ręce i powiedziałam:

- Chcę zaproponować toast za sir Roberta Waldo Hardwicka, Rycerza Jej Królewskiej Wysokości, wspaniałego i uczciwego człowieka. Dobrego człowieka, choć potrafił czasami bywać despotą- dodałam, rozbawiając wszystkich. Nareszcie oddawaliśmy cześć pamięci Boba, tak jak sobie to wymarzył.

Wreszcie zjawił się Montana, razem z deserem Pieczona Alaska, kolejnym z ulubionych, staromodnych dań Boba. Przygaszono światła i przy akompaniamencie werbla pojawił się kelner, niosący nad głową płonące, srebrne półmiski. Wszyscy zaczęli klaskać ze śmiechem.

Kiedy Montana wślizgnął się na krzesło obok mnie, posłałam mu mordercze spojrzenie z ukosa, które nie pozwoliło mu wątpić, że jestem naprawdę wkurzona.

- Przepraszam za spóźnienie, ale zatrzymały mnie sprawy zawodowe - powiedział do zgromadzonych. - Mam wiadomości, które zresztą przekazałem już Rosalii. Komendant policji poinformował mnie, że Hector został otoczony na klifach. Próbował uciekać, było ciemno i mokro, nie znał terenu. W tamtym miejscu znajduje się głęboka szczelina. Widocznie jej nie zauważył. Jego ciało znaleziono na skałach poniżej.

Zapadło osłupiałe milczenie, aż nagle Dopplemann powiedział: „Dziękuję”. Wszyscy pośpieszyli za nim z podziękowaniami dla Montany. Człowieka, który poskładał w całość kawałki międzynarodowej układanki i rozwikłał tajemnicę śmierci Boba.

Montana odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Przepraszam, że się spóźniłem.

Wzruszyłam obojętnie ramionami i upiłam łyżeczkę szampana.

- A co mnie to obchodzi? - Zerknęłam na niego znad brzegu kieliszka.

Roześmiał się, bo wiedział, że udaje.

- Bob mnie ostrzegał, że masz skłonność do kłamstewek - powiedział. - I chyba miał rację.

Rozdział 56

Daisy

Byliśmy sami na pokładzie. Minęła północ. Niebo było granatowe, wygwieżdzone. Dziób gładko rozcinał wodę, kilwater pienił się za

a jasne gwiazdy jarzyły się niczym świece. Staliśmy ramię przy ramieniu, nie dotykając się, a „Blue Boat” kierowała się w stronę Neapolu, gdzie mieliśmy zejść z pokładu. Było po wszystkim. Montana przerwał długą ciszę.

- Powinnaś wiedzieć coś o mnie i zrozumieć - powiedział. - To się zaczęło, kiedy byłem chłopcem. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o klaczy, na której codziennie jeździłem do szkoły? Była moją najbliższą towarzyszką i kochałem ją tak, jak tylko potrafi to chłopiec, który nie ma niczego innego do kochania. Pewnego dnia, bez mojej wiedzy, jeden z kowbojów zabrał ją na pastwisko. Był tam drut kolczasty, zahaczyła o niego barkiem i bardzo się pokaleczyła. Rany zaniedbano. Zanim ten człowiek przyprowadził ją z powrotem na ranczo, skaleczenia były poważnie zainfekowane i noga spuchła tak, że była dwa razy grubszą niż normalnie. Mój ojciec spojrział na nią, wzruszył ramionami i poszedł do stodoły po strzelbę. Zastrzelił ją na moich oczach. Zarżała, kiedy trafiła w nią kula. Patrzyłem, jak nogi się pod nią uginają, jakby w zwolnionym tempie. Patrzyłem, jak się przewraca na bok. Spojrzała na mnie, jakby pytała: „dlaczego?” A potem oczy jej się zeszkliły. „Pozbądźcie się jej”, powiedział ojciec chłopakom. Po kilku minutach odciągali już moją klacz, oplecioną lasami. W tej chwili moje życie się zmieniło. Duchem byłem już gdzie indziej, nie tam. Moje odejście było tylko kwestią czasu. I przysiągłem, że już nigdy niczego i nikogo nie pokocham.

Delikatnie dotknęłam jego ramienia.

- Ale przecież musiałeś płakać - powiedziałam.
- Nie pozwoliłem sobie na to. Dopiero tamtego wieczoru, kiedy spotkałem Phineasa Cloudwalkera, zdałem sobie sprawę, że płacz jest w porządku. Na reszcie zrozumiałem, że miłość ma prawo boleć, kiedy dzieje się coś złego. I dzięki niemu zacząłem też rozumieć, że z miłości mogą wynikać także dobre rzeczy.

Odwrócił do mnie głowę i spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Jak to możliwe, że tak mi zależy? Tak krótko cię znam.
- Wiem. - Mój głos wciąż był szorstki po żelaznym uścisku Hectora. - Gdyby podliczyć, to ile dni spędziliśmy razem?
- Bardzo niewiele - odparł.
- Za mało - powiedziałam.
- Zawsze to jakiś początek.

Skinęłam głową. Owszem, był to jakiś początek.

- Dla mnie początek czegoś nowego - dodał.
- A dla mnie druga szansa. - Uśmiechnęłam się, powtarzając słowa Boba.

- I pewnie o to chodzi w życiu.
- Pewnie tak.
- To jak, pocałujesz mnie? - zapytał.
- Dlaczego nie? - odparłam bez tchu. Zawsze to jakiś początek.

Część 1 1

Rok później

Dobrzy żyli długo i szczęśliwie, źli skończyli źle. Oto potęga fikcji.

Oscar Wilde *Bądźmy poważni na serio*

Daisy

Jest sobotni wieczór. Razem z Bordelaise zabieramy Ratsa do Baraniej Głowy na kielbaskę i kufelek jasnego piwa Tetley, tak jak robiliśmy to kiedyś z Bobem,

Rats węszy radośnie po znajomej drodze, podnosi nogę przy ulubionych drzewach i macha kikutem ogonka do ludzi, których zna, a oni przystają, by przywitać się z nim i ze mną. Jestem teraz częścią Sneadley, panią we dworze, jak mówią. Spędzam tu większość weekendów, choć w tygodniu siedzę w Londynie, a czasem w Nowym Jorku, prowadząc fundację dobroczynną imienia Boba, którą założyłam. Daje mi to zajęcie i nie zostawia czasu na głupoty. Jestem dumna z tego, co robię. Stałam się częścią międzynarodowej ekipy, pracującej na rzecz dzieci na całym świecie.

Bordelaise właśnie przyjechała w odwiedziny z Chicago. Wszyscy tutaj ją uwielbiają. Jutro wydaję proszony lunch. Chcę zobaczyć, czy uda mi się ją wyswatać z którymś z okolicznych ziemian, choć żadna z moich tutejszych znajomych nie była mężatką aż trzy razy. Mimo to będzie to jakaś odmiana. Bordelaise oczaruje ich w mgnieniu oka i na pewno będą jej jedli z ręki. Choć jak się nad tym zastanowić, nawet z pomocą Agi gotuje raczej marnie. Prawdę mówiąc, nasz rejs to najlepsze, co jej się w życiu przydarzyło i wiem, że wciąż jest w kontakcie z kapitanem Andersem. Zaokrętowała się już na kolejny rejs, tym razem na dużym statku, który w przyszłym tygodniu wypływa z Wenecji. A potem na drugi, w zimie, do Australii, z połową świata po drodze. Wygląda na to, że rejsy jej się podobają z powodu wiecznych zmian. Przysięga, że skończy

jako okrętowa maskotka, starsza pani zaadoptowana przez załogę, z własną kajutą na stałe, składająca serwetki, żeby pomóc i mieć zajęcie.

Ja widzę to trochę inaczej. Bordelaise będzie płocha i wolna, dopóki nie natoczy się kolejny czarus, a wtedy —jestem pewna — po raz kolejny zostanie poważną matroną.

W przyszłym tygodniu jadę do Saint-Tropez na otwarcie hotelu Diane. Oczywiście już go widziałam, Dianę wspaniale się spisała. Jak mogło być inaczej - kobieta z jej gustem? I z jej pieniędzmi, słyszę, jak dodaje ze śmiechem Bob.

Jej siostra, Alice, jest słodka, zupełnie jak dziecko. Diane mówi, że dziewczyna czuje się jak w domu w Chateau de Valentinois. Jest szczęśliwa i radosna, a Diane kupiła jej pieska, białego bichon frise o imieniu Billy. Alice chesze go codziennie i sama go karmi, a piesek siedzi na jej kolanach na wózku elektrycznym i jeździ na spacerach po ogrodach.

To dziwne, ale Dianę jakby nagle przestało zależeć na wyglądzie. Dobrze się czuje w spodniach i koszuli, i wygląda w tym stroju jak prawdziwa pani na zamku i prawdziwa szefowa. Oczywiście doprowadziła swoją ekipę remontową do szału, ale dzięki temu skończyli roboty w rekordowym czasie.

Co do Filomeny, oczywiście widuję ją, bo często bywam w willi Belkiss. Filomena jest w swoim żywiole, kupując towar do swojego butikku z intrygującą witryną, w której wystawiona jest, na przykład, jedna doskonała torebka albo seksowny top w kolorze persymony, albo precudna letnia sukienka. Okazała się świetnym handlowcem, potrafi ubrać klienta od stóp do głów, kiedy ten już wejdzie zapytać o cenę torebki na wystawie. A jej mały dom, upchnięty przytulnie na szczycie sklepionych schodów, z widokiem na miasto i morze, to chłodna oaza błękitu i bieli - trochę jak „Blue Boat”, jak się tak teraz nad tym zastanawiam. W jej życiu jest też mężczyzna, właściciel jednej z ładniejszych restauracji na wyspie. Przyszłość rysuje się różowo przed Filomeną.

Wiele słyszałam o Davisie Farrellu, choć go nie widuję. Zgodnie ze swoją obietnicą, codziennie jest wymieniany w finansowych gazetach. Odzyskał już swoją dawną reputację zręcznego manipulatora i na pewno będzie odnosił dalsze sukcesy. Bob oddał mu z powrotem jego duszę, a on ją odrzucił. Trudno.

Nie widuję też Dopplemanna, ale od czasu do czasu przysyła mi maila. Pracuje dla szwajcarskiej firmy i z tego co pisze, znalazł się w swoim żywiole. Życzę mu szczęścia.

A teraz Rosalia. Kilka miesięcy po rejsie Magdalena napisała, że chciałaby się ze mną zobaczyć, więc pojechałam do Finca de los Pastores. Zastałam Ro-

salię smutną i wyobcowaną. Nie interesowała się już hotelem, nie gotowała, nie rozmawiała nawet z gośćmi.

Siedziałam z nią na patio jej ślicznego domu, gdzie biały paw rozłożył dla nas ogon, niczym chmurę lśniąca w promieniach słońca. Magdalena przekonała matkę, by zatrzymała spadek po Bobie, i teraz Rosalia pytała mnie, co powinna z nim zrobić. Mówiła, że nie powinna wydawać tych pieniędzy na siebie, choć dzięki nim mogła spłacić banki i wykupić hotel, który z powodu oszustw Hectora stał na granicy bankructwa. Zachęcałam ją, by nie porzucała planów wzniesienia kolejnej przybudówki i zbudowania nowego hotelu u stóp gór, o którym zawsze marzyła.

- Na pewno się pani uda - powiedziałam, przekonana, że to prawda. - Zrobiła to pani już kiedyś w o wiele cięższych warunkach. Teraz nie będzie dzieci do wykarmienia. Proszę zapomnieć o Hectorze, zapomnieć o złych rzeczach i ruszyć naprzód. Pora zacząć żyć.

Mój upór widocznie się opłacił, bo wieczorem przed moim wyjazdem Rosalia wróciła do swojego kuchennego królestwa i ugotowała mi kolację, której nigdy nie zapomnę. A niedawno Magdalena napisała, że mama znów objęła dowodzenie i realizuje plany budowy nowego hotelu.

Ledwie mogę się zmusić do wypowiedzenia nazwiska tego podłego człowieka, ale tak czy inaczej Charlie Clement odsiaduje długi wyrok we francuskim więzieniu. Dokładnie tam, gdzie jego miejsce.

Reg Blunt opowiada fascynującą historię każdemu, kto wchodzi do pubu i chce jej posłuchać (bo wszyscy słyszeli to już milion razy), o „Blue Boat” i ludziach, których poznał. I jak świetnie się bawił. Nie wdaje się w szczegóły innych wydarzeń, jest dyskretnym człowiekiem, co było jednym z powodów, dla których Bob tak go lubił. Nie zwierza się też, że otrzymał w spadku sto tysięcy funtów, a ferrari, które też mu się dostało, trzyma w garażu i codziennie poleruje. Nie wiem, czy kiedykolwiek się nim przejedzie. Uważa, że taki dobry wóz szkoda by było „zapaskudzić”.

A Ginny... cóż, Ginny to Ginny. Pięćdziesiąt tysięcy, które dostała, jest bezpiecznie zainwestowane. Widuję ją, jak jeździ swoim mercedesem kabrio do Harrogate na zakupy, wiecznie uśmiechnięta, wiecznie kokieteryjna i wiecznie zajęta swoją rodziną. Nie spotkała jeszcze tego jedyne go mężczyzny, ale nie traci nadziei.

Pani Wainwright pracuje u mnie jako gospodyni; ona oraz Brenda i Stanley - wszystkim dostało się coś z testamentu. Bob nie zapomniał o nikim, zostawił nawet pieniądze na remont kościoła.

Texas i Brandon dostali dobrą zapłatę za swoje „statystowanie”. Ta drobna stabilizacja finansowa dodała Texas pewności siebie. Brandon ma znajomych w branży muzycznej i teraz Texas śpiewa w dobrych klubach. Dostała też niewielką rolę w filmie, który niedługo trafi na ekrany. Ma nadzieję, że tym razem jej się poszczęści.

Co do Brandona, to znalazł sobie nowy sposób na życie. Pływa na statkach wycieczkowych. „Z planszą do triktraka dojadę wszędzie”, to jego motto. Zdaje się, że zupełnie przyzwocicie w ten sposób zarabia. Na pokładzie żyje jak król i, oczywiście, kobiety za nim szaleją. Takie życie mu odpowiada. Przynajmniej na razie.

Bordelaise i ja dotarliśmy nareszcie do pubu. Ginny macha do nas zza baru, a Rats pędzi do niej po swój przysmak. Kiedy przechodzimy dalej, starzy bywalcy kiwają nam głowami na powitanie znad swoich kufli. Nagle woła mnie Reg. Ma dziwną minę.

- Mógłbym przysiąc, że właśnie widziałem Boba - mówi. - Tutaj, na tej starej ławie, nad kuflem jak zawsze. Dostrzegłem go kątem oka, ale jak odwróciłem głowę, już go nie było.

- Wierzę ci - mówię z uśmiechem. - Wierzę, że jednak wrócił do domu.

Ja nigdy nie miałam tyle szczęścia, żeby zobaczyć Boba, choć wciąż czuję jego kochającą obecność, tak jak kiedyś, w łagodnym wietrzyku. Podoba mi się to, poprawia mi to humor, ale przecież Bob zawsze to robił. I nieważne, co myślą inni. Ja będę wierzyć do końca moich dni, że uratował mnie przed Hectorem.

Pamiętacie? Był jeszcze jeden list, którego miałam nie otwierać, aż przyjdzie odpowiedni moment. Kiedy tylko wróciłam do Sneadley, usiadłam sama w uroczym, złotym salonie, w skośnych promieniach popołudniowego słońca, z Ratsem na kolanach, i otworzyłam go.

Daisy, moja kochana,

Musisz mi przyznać, że wynagrodziłem Cię po królewsku za tę imprezę, którą bez wątpienia uważałaś za zupełne szaleństwo. Ale nie do końca miałaś rację, prawda? Oczywiście nie wiem, kto był moim zabójcą, inaczej Montana zająłby się nim przed, a nie -jak się niestety okazało - po fakcie. W głębi duszy mam nadzieję, że to nie był nikt z tych, którym dałem drugą szansę. Uważałem, że każdy z nich ma coś lepszego do zaoferowania światu, jeśli tylko przezwyciężą swoje słabości i podźwigną się z dna. Nie wyszło mi z Charliem Clementem, ale to było do przewidzenia.

Tak czy inaczej, kochana, wiesz teraz, że mam córkę. Nie powiedziałem o tym Tobie ani Montanie, bo chciałem uszanować prywatność Rosalii. Dowiedziałem się o niej wiele lat po jej narodzinach, kiedy Rosalia była już zamężna. Wiedziałem, że nie chce, bym się mieszał w jej życie, więc trzymałem się z boku, choć Bóg mi świadkiem, nie było to łatwe. Wiem też, że nie wzięłaby ode mnie ani grosza, kiedy jeszcze żyłem. To nie było w jej stylu. Musiałem dać sobie spokój aż do teraz. Dopiero kiedy jestem martwy, mogę wypełnić swój obowiązek wobec nich. Mam nadzieję, że Rosalia przyjęła ten dar tak, jak był ofiarowany, w duchu miłości.

A zmieniając temat, założę się, że urządziliście niezłe przedstawienie w willi Belkiss. I założę się, że wszystko wyszło, jak zaplanowałem, oczywiście jeśli pogoda była odpowiednia, choć może i do tego przyłożyłem rękę... nigdy nie wiadomo.

Więc teraz jesteś bogatą kobietą. Jakie to uczucie? Czy pieniądze dały Ci szczęście? Pozwól, że powiem Ci z doświadczenia, co dają pieniądze. Można za nie kupić wolność. Wolność od pragnień i wolność od zmartwień. Ale nie można, jak słusznie głosi porzekadło, kupić za nie szczęścia. Wiem, że dobrzejsze spożytkujesz, i wiem, że będziesz dbać o Sneadley Hali, w którym spędziliśmy razem kilka ładnych lat. Pamiętam, że uważasz je za swój dom i że Ci na nim zależy. A willa Belkiss to chyba idealne miejsce, w którym znajdziesz spokój i słońce, a kto wie, może nawet miłość.

A skoro już o miłości mowa. Pamiętasz, jak wiecznie próbowałem Cię umawiać z facetami? I wszystkich odrzuciłaś - ten za wysoki, ten za niski, za nudny, ma się za geniusza, nie lubię wąsów. Używałaś wszystkich wymówek świata, a to dlatego, że bałaś się na nowo zakochać. Pamiętasz, jak Ci powiedziałem, że znalazłem dla Ciebie idealnego mężczyznę? I nie tylko to - wiem, że będzie też kochał Ratsa, a to bardzo ważne. Daj Montanie szansę, Daisy. I sobie też, tym razem na poważnie.

W pierwszym liście pisałem też, że będę przy Tobie i będę Cię chronił, gdyby coś Ci zagrażało, pamiętasz? Teraz już pewnie wiesz, że mówiłem prawdę.

Tęsknię za Tobą, Daisy Keane. Dbaj o siebie. I o Ratsa. I o mojego kumpla, Montanę.

I pamiętaj, Daisy. Żyj terazniejszością. Nie ma żadnej gwarancji, co wydarzy się jutro. Twój kochający B.H.

Jak zawsze Bob, mój ogr na czubku łydki fasoli, mój inteligentny Shrek, mój wszystkowiedzący, wszystkowiedzący przyjaciel, miał ostatnie słowo.

A co z Montaną? Dzięki Bobowi nareszcie poznałam mężczyznę moich marzeń. Jest zupełnie inny, niż mogłam to sobie wyobrazić. Wywrócił mój świat do góry nogami. Oboje przeszliśmy swoje, więc jak moglibyśmy choćby próbować być razem?

Czy się kochamy? Tak. Och, tak. Czy on mówi mi, że mnie kocha? Nareszcie tak. Czy ja go Kocham? Oczywiście. Ale Montaną jest oddany swojej pracy, a ona każe mu podróżować po całym świecie i czasem wyjeżdżać bez uprzedzenia.

Mówi się, że mężczyźni nie da się zmienić. Ja nie zamierzam nawet próbować. Rosalia zostawiła Boba, bo wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie go zmienić, i ja też nie popełnię tego błędu. Montaną jest, jaki jest. Jego życie jest, jakie jest. A ja biorę z tego układu, co się da, i co więcej, uwielbiam to.

Nasze życie to nieustający romans. Mamy swoje długie weekendy w Sneadley i letnie tygodnie w Willi Belkiss. Spotykamy się w małych hotelikach i pensjonatach w Stambule czy Marrakeszu, w Kioto albo Rzymie... w jakimkolwiek miejscu na świecie. Pijemy wino, obściskujemy się w zacisznych kątach przytulnych restauracji, spacerujemy za rękę po brukowanych uliczkach meksykańskich wiosek, błądzimy po piaszczystych ścieżkach cichych nadmorskich kurortów. I kochamy się wszędzie. Z Montaną każdy dzień jest inny, właśnie to w nim uwielbiam.

Czy takie życie może dać szczęście? Nam daje. Przynajmniej na razie. I prawdę mówiąc, od tamtych wydarzeń wzięłam sobie do serca radę Boba i żyję chwilą. Bierz, co dają, i bądź szczęśliwa - to moje motto. I jeśli teraz zapytacie mnie: „No więc, jesteś szczęśliwa?": Odpowiem: „Tak, jestem”. I wierzę, że przy odrobinie szczęścia - i z pomocą Boba Hardwicka - będzie tak już zawsze. I może tym razem to ja będę miała ostatnie słowo.

Od autorki

Niestety, piękny jacht „Blue Boat” to tylko wytwór mojej wyobraźni, zlepek wszystkich cudownych, olśniewających superjachtów pływających po Morzu Śródziemnym. Chciałabym, aby każdy z nas mógł na nim żeglować!